

ELSEBETH EGHOLM

Na podstawie książek duńskiej pisarki
powstał znakomity serial *Dicte!*

SZKODY



W LUDZIACH



ELSEBETH EGHOLM
S Z K O D Y
W L U D Z I A C H

Z języka duńskiego przełożyła
Edyta Stępkowska



WYDAWNICTWO
SORIA DĄBKA

Tytuł oryginału:
PERSONSKADE

Copyright © 2005 by Elsebeth Egholm and Gyldendal
Published by agreement with Copenhagen Literary Agency ApS, Copenhagen.
Copyright © 2018 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga
Copyright © 2018 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga

Projekt graficzny okładki: Ilona Gostyńska-Rymkiewicz
Zdjęcie autorki na okładce: © Sanne Berg, Politikens Forlag

Redakcja: Jolanta Olejniczak-Kulan
Korekta: Marta Chmarzyńska, Iwona Wyrwisz, Izabela Sieranc

ISBN: 978-83-8110-763-1

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione i wiąże się z sankcjami karnymi.

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórców i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!
Polska Izba Książki

Więcej o prawie autorskim na www.legalnakultura.pl

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.
ul. Fitelberga 1, 40-588 Katowice
tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28
e-mail: info@soniadraga.pl
www.soniadraga.pl
www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga

E-wydanie 2018

Skład wersji elektronicznej:

virtualo
konwersja.virtualo.pl

Spis treści

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23
24
25
26
27
28
29
30
31
32
33
34
35
36
37
38
39
40
41
42
43
44
45
46
47
48
49

50

51

52

53

54

55

56

Przypisy

*For my Philip
with all my love
always*

1

– Irak? – Dicte sama usłyszała, że zabrzmiało to jak nazwa planety odległego i nieznanego dotąd układu słonecznego. Mimo to ciągnęła dalej w tym samym tonie.

– Przecież to beczka prochu. Nie mogłeś wybrać jakiegoś spokojniejszego miejsca?

Indie, Tybet, Republika Południowej Afryki. Kurczę, nawet Turcja byłaby lepsza. Rozgrzany upałem mózg podsuwał kolejne nazwy krajów o wiele bardziej odpowiednich. Nie zdążyła ich jednak wypowiedzieć, bo właśnie przez stół pochylił się ku niej Bo, wspierając się na kuflu piwa, przy którym siedział od pół godziny, bo to on miał prowadzić w drodze do domu.

– Oczywiście zastanawiałem się nad Norwegią – powiedział spokojnym głosem – ale uznałem, że wśród ośnieżonych szczytów mogę nie znaleźć dość materiału na reportaż wojenny. – Po chwili jednak dodał pojednawczo: – Do walk dochodzi w tej chwili tylko sporadycznie.

Dicte sięgnęła po kieliszek wina, ale ostatecznie wybrała wodę. Nie najlepiej to wyszło, pomyślała. Romantyczna kolacja na mieście, jasne. Jedzenie było oczywiście pyszne, ale ich późniejsza rozmowa wyglądała nieco inaczej, niż tego chciała. Zgrzyt pojawił się w chwili, gdy Bo opowiedział o telefonie z redakcji w Kopenhadze. Zaprosili go na trzytygodniowy wyjazd reporterski z Jensem Peterem Haldem – dziennikarzem, ale również dobrym kolegą Bo.

– I kiedy by to miało być?

Próbowała nadać swojemu głosowi neutralny ton. Sama od dawna uważała, że taki wyjazd dobrze mu zrobi. Że powinien na jakiś czas wyrwać się z redakcyjnej codzienności i niekończącej się walki z byłą żoną o kontakt z dziećmi, którego ta zawzięcie mu zabrania. A może potrzebował odpocząć również od niej, Dicte?

Wzięła łyk wody i starała się myśleć racjonalnie, tyle że od tego zrobiło jej się jeszcze gorzej, bo odpowiedź brzmiała oczywiście: „tak”. Zmieniła się, i dobrze o tym wiedziała. Od burzliwych wydarzeń minionej zimy przywarła do niego, by nie powiedzieć, że się na nim uwiesiła. Tylko przejściowo – taką przynajmniej miała nadzieję – lecz owo przejście okazało się dość długie i obecnie trwało od ponad sześciu miesięcy.

– Za tydzień – odparł Bo. – Musimy tylko skompletować sprzęt, zadbać o bezpieczeństwo i tak dalej.

Gdzieś z miasta dobiegł ją dźwięk policyjnej syreny, a przed oczami przesuwały jej się obrazy i sceny: kamizelki kuloodporne, czołgi i bomby zaszyte w brzuchach martwych psów wybuchające na środku zatłoczonych ulic. Pomyślała o porwaniach, terroryzmie i śmierci i nie była w stanie objąć tego umysłem tak, jak Bo to potrafił. To był jego żywioł – oczywiście nie śmierć, ale napięcie, adrenalina, taki był z niego chojrak.

Chcąc zmienić temat, rozejrzała się po francuskiej kawiarni przynależącej do restauracji, gdzie jedli kolację.

– Wciąż najlepsza w mieście.

Bo uśmiechnął się, lecz tylko ustami, bo szare tęczyówki jego oczu znajdowały się już w samolocie do Bagdadu.

– Tak, tylko ten adres...

– To znaczy?

Znów się ku niej pochylił. Teraz naprawdę był tu, w tym miejscu i czasie, wszystkimi zmysłami zwracał się do niej jak naukowiec mający za moment zbadać reakcję zwierzęcia doświadczalnego.

– Graven¹.

Przeszły ją ciarki i dostrzegła, że Bo pożałował swojego żartu. Chłód w jego oczach ustąpił miejsca czułości. Bo sięgnął przez stół i wziął ją za rękę.

– Hej. Przecież wrócę. Trzy tygodnie to nie wieczność.

Z głębi torebki usłyszała stłumiony dźwięk dzwonka telefonu. To może być ważne. Ich dom mógł spłonąć albo coś się mogło stać Rose. Dobry Boże, naprawdę musi przestać na każdym kroku wypatrywać tragedii.

Po chwili wygrzebała z torebki cholerne pudełko. Na wyświetlaczu pokazał się numer Rose. O wpół do drugiej w nocy.

– Tak?

– Mamo. – Rose mówiła roztrzęsionym głosem. Jej słowa zagłuszał niezidentyfikowany hałas w tle. – Lepiej tu przyjedźcie. To jakiś obłąd. Wszędzie pełno policji.

– Ale gdzie? Skarbie, gdzie ty jesteś?

– Showboat – powiedziała Rose tonem zniecierpliwienia – przecież ci mówiłam.

Dostaliśmy te darmowe wejściówki, ale...

Hałas zagłuszył końcówkę zdania. Lecz mózg Dicte w końcu się obudził po kopniaku, jaki dostał od Rose. Showboat. Stary prom kursujący dawniej do Kalundborga, a teraz przycumowany na stałe w porcie Århus i zmieniony w dyskotekę. Rose wybierała się tam ze znajomymi z liceum. Dicte nie była tym zachwycona, bo miejsce słynęło z awantur, nadgorliwych bramkarzy, szemranej młodzieży z dzielnicy imigrantów i łatwego dostępu do wszelkich możliwych narkotyków. Z telefonem przy uchu wstała i ręką dała znak kelnerowi, że proszą o rachunek.

– Uważaj na siebie. Już jedziemy.

– Spokojnie, mamó, nie dzwonię dlatego, że trzeba mnie ratować – powiedziała bardzo przecież dorosła niemal osiemnastolatka – dzwonię, bo to może być dobry temat.

Hałas słyhać było już od Kystvejen. Wyjące syreny i wzburzony tłum pośród sierpniowej nocy, wciąż gorącej po całym dniu bezlitośnie przypiekającego słońca. W Paryżu staruszkowie umierali samotnie w swoich mieszkaniach, gdy ich bliscy pouciekali nad morze. W Kalifornii pożary pustoszyły ogromne połacie lasów, powodując miliardowe szkody, a w Kopenhadze Bogu ducha winnego włoskiego turystę śmiertelnie dźgnięto nożem na środku ulicy. A teraz najwyraźniej mroczne pokłosie upałów dotarło również do Århus.

Bo przejechał przez Kystvejen i skręcił w prawo, kierując się wzdłuż morza w stronę wysokiego silosu Kompanii Zbożowo-Paszowej wyrastającego z ziemi jak widmo.

– O cholera.

Plac przed Showboat i basenem portowym wyglądał jak plan filmowy. Dicte niemal spodziewała się lada chwila ujrzeć reżysera na wysokim stołku i z megafonem przy ustach, jak wykrzykuje polecenia dźwiękowcom i oświetleniowcom.

W półmroku widać było liczne grupy młodzieży skaczącej po radiowozach i wybijającej szyby w oknach. Kordon funkcjonariuszy z psami przecinał teren portu od linii kolejowej do mola. W powietrzu fruwały kostki brukowe i butelki, a za nimi w górę wznoszono bluzgi.

– Jebać policję! Jebani rasiści!

Dicte wbiła wzrok w tłum przed sobą. Rose. Gdzie jest Rose? Czy jest bezpieczna? Czy znalazła się gdzieś tam, w oku cyklonu?

Tłum to napierał, to się cofał. Dicte szacowała, że ludzi mogło być trzystu, może czterystu. Byli niczym fala powodziowa z ujadaniem psów, wyciem syren i głośnymi krzykami. Nad wszystkim wisiała mgła trującego gazu przemocy i agresji.

– Jasna cholera! – Bo mruknął i skręcił w stronę magazynu Pakhus 35, gdzie miała siedzibę kompania przemysłu drzewnego.

Stanął po drugiej stronie dwóch ogromnych żurawi. Wysiedli, a Bo z bagażnika wyjął aparat i sprawdził, czy bateria jest naładowana. Potem schował aparat pod kurtkę i razem ruszyli w stronę kotłującego się chaosu.

– Zabijają mnie, jeśli zobaczą to przy mnie – mruknął jej do ucha i poklepał się po wybrzuszeniu pod kurtką. – Zrobię tylko mały obchód.

Dicte chciała zaprotestować, poprosić, żeby pomógł jej odnaleźć Rose. Ale sekundę później już go nie było. Zniknął w tłumie pchany adrenaliną i własnym instynktem, dzięki któremu zgarniał nagrody za reportaże z punktów zapalnych całego świata. Bolesne poczucie osamotnienia trwało tylko chwilę. Nie było czasu na uzalanie się nad sobą – Dicte wyjęła notes i sama ruszyła w kierunku grupy młodych imigrantów stojących na obrzeżach pola walki, pod budynkiem KFK po drugiej stronie rzędu betonowych bloków z szyldem „Port Århus”.

– Jestem dziennikarką – zaczęła. – Powiecie mi, co tu się stało?

Czarnowłosy chłopak ze zrośniętymi brwiami nadającymi mu groźny wygląd zgasił papierosa piętą adidasa i mierzył ją podejrzliwym wzrokiem.

– Tylko żadnych fotografów – ostrzegł – nie chcemy się znaleźć w gazecie.

– Jasne – obiecała i pomodliła się w duchu, aby Bo trzymał się od nich z daleka.

W półmroku oczy chłopaka lśniły jak błyskawice.

– Nie chcieli nas wpuścić. Zrobiła się zadyma i wezwali policję. A teraz jeszcze sprowadzili psy – dorzucił lakonicznie. – Zawsze to my jesteśmy winni.

Zapisała jego relację, choć powiedział tylko to, co już wiedziała. Kiwała głową ze zrozumieniem, starając się go uspokoić i zapewnić, że jest po ich stronie, choć wcale nie była tego pewna. To temat na zaawansowane badania nad konfliktem.

– Kto wezwał policję?

Kolega jej rozmówcy wzruszył ramionami.

– Pewnie bramkarze. Kiedy zobaczyli, że i tak weszliśmy tylnymi drzwiami, to się posrali ze strachu.

I nagle zaczęli mówić jeden przez drugiego. Powietrze wypełniły potoki słów. Dicte pisała najszybciej, jak była w stanie, a i tak nie udało jej się zanotować wszystkiego. Wyglądało na to, że do północy impreza na promie była zamknięta. Potem otwarto drzwi, lecz części ludzi nie wpuszczono, mimo że mieli bezpłatne wejściówki. Doszło do przepychanek, ale wezwanej na miejsce policji udało się załagodzić nastroje. Godzinę później ci, których nie wpuszczono, wrócili z posiłkami i wdarli się na teren imprezy tylnym wejściem. Kiedy policja zamknęła klub, agresja i frustracja eskalowały i w końcu ktoś uruchomił alarm przeciwpożarowy, aby opróżnić klub z gości.

– To jakieś jaja. Pały znowu zareagowały przesadnie – powiedział jeden z chłopaków. – Zresztą zawsze tak jest, kiedy chodzi o nas.

– Psy pogryzły już paru ludzi – dodał inny i wskazał głową na kotłownię. Policja oddzielała właśnie najbardziej agresywne jednostki i odsuwała je w stronę miasta. – Do tego rasistowskie świny biją nas pałkami.

– Jebać ich!

Pierwszy z nastolatków splunął z wściekłością na asfalt.

– Muszę się odlać. – Odłączył się od kumpli i zniknął za niebieskim kontenerem na odpady kuchenne. Dicte miała właśnie zadać kolejne pytania pozostałym, gdy usłyszeli stłumiony krzyk i chłopak, który poszedł się załatwić, podbiegł do nich blady jak ściana i z otwartym rozparkiem.

– O ja pierdołę. To, kurwa, przegięcie. – Więcej nie powiedział, bo zgięło go wpół i z głośnym chluśnięciem zwymiotował. Dopiero po tym, krztusząc się i plując, w końcu się wyprostował i wyjaśnił: – Tam ktoś leży. Chyba nie żyje.

Jakby całe towarzystwo w jednej chwili zmieniło się w słupy soli. W końcu jednak ciekawość zwyciężyła i chłopcy watahą ruszyli do kontenera. A z nimi Dicte.

W pierwszej chwili nie było widać, co to takiego. Postać została w połowie zawinięta w jakiś dywan i leżała w pozycji tak powykręcanej, że żaden człowiek w naturalny sposób nie mógłby się tak ułożyć. Białe ramię tworzyło dziwaczny łuk nad głową. Jedna skrzywiona noga sterczała w trudny do wyjaśnienia sposób. Druga leżała przygnieciona ciałem. Tułów i twarz zasłaniał ów dywan, pod którym kłębiły się i spod którego częściowo się wysypały długie, jasne pofalowane włosy.

Jak u syreny. Dolna część ciała na pierwszy rzut oka również wydawała się w miarę zakryta. Po chwili jednak stało się jasne, że to, co kobieta miała na sobie, nie było zwykłą spódniczką. Materiał był czerwony i lepki. Dicte nagle z całą mocą poczuła słodki zapach krwi.

– Nie mogę. – Jeden z chłopaków podszedł bliżej, pochylił się i nasunął dywan na łono kobiety.

– Zostaw! – Usłyszała własny głos podniesiony ze zdenerwowania. Chłopak błyskawicznie odskoczył i wyglądał na przerażonego.

– Przecież nie możemy jej pozwolić tak tu leżeć – zaprotestował. Zabrzmiało to tak, jakby za moment miał się rozplakać.

– Nie wolno niczego ruszać – wyjaśniła już nieco spokojniej. – Zawołajcie policję.

Nie wiedziała, ile minęło czasu. Wiadomość rozeszła się w mgnieniu oka i nagle wokół kontenera stał spory tłum ludzi. Kiedy w końcu zjawiała się policja, kazali się Dicte odsunąć, więc oddaliła się na sztywnych nogach. Starła się powstrzymać mdłości, kierując myśli na coś praktycznego.

Nagle ktoś pociągnął ją za rękaw.

– Mamo. Co się stało?

Rose wyglądała ślicznie w kwiecistej jasnozielonej letniej sukience i z włosami puszczone luźno na nagie ramiona. Jak u syreny, pomyślała Dicte i chwilę później oddaliła od siebie to porównanie. Dopiero wtedy dostrzegła również chłopaka, który stał obok jej córki. Ciemne migdałowe oczy i skóra koloru mlecznej czekolady. I czarne dredy.

– To Aziz – przedstawiła go zawstydzona Rose. – Mieliśmy być w środku.

2

Wagner czuł ulgę, że światło w sypialni było zgaszone, kiedy głos Idy Marie zakradł się do jego ucha, wypełniając je tak dobrze znaną mieszanką słodczy i uporu.

– Są jeszcze inne sposoby.

Przywarła do niego w łóżku. Jego ciało ponownie zareagowało zmęczeniem.

– Inne sposoby... – mruknął. Bardzo chciałby nie wiedzieć, o czym ona mówi. – Ja znam tylko jeden sposób i właśnie go wypróbowaliśmy.

Przez chwilę leżała nieruchomo. Potem uniosła się na łokciu i Wagner dostrzegł zarys miękkiej, białej krągłości, jakby wyciągała ku niemu pierś niczym piękny apetyczny owoc.

– Wiesz, o czym mówię.

Oczywiście, że wiedział, ale słowa plątały mu się w głowie i nie był w stanie odpowiednio ułożyć ich w ustach. Dlatego wypowiedziała je za niego:

– Adopcja albo in vitro.

Zadzwoił telefon i bezpowrotnie zburzył atmosferę dla dalszego ciągu tej rozmowy. Ida Marie nie zaprotestowała, kiedy sięgnął ręką do nocnego stolika, by odebrać.

– Wagner.

– Mówi oficer dyżurny Kasper Grundtvig. Przepraszam, panie komisarzu, że zakłócam nocny odpoczynek. Jest zdarzenie w porcie.

Wagner miał ochotę powiedzieć, że wcale nie spał. Że ostatnio w ogóle nie może spać, bo jego wspólne życie z Idą Marie zmienia się w twardą grudę dobrych chęci i zdecydowanie mniej dobrych rezultatów. Ostatecznie tylko wymamrotał:

– Co się dzieje?

– Zadyma przy dyskotecie na statku. Znalaziono zwłoki kobiety.

Usłyszał własne westchnienie. Poczł znajome pompowanie adrenaliny, która zaczęła już krążyć po ciele.

– Znów problemy z imigrantami?

– Nie wiemy, czy to ma związek z ciałem – odparł niepewnie Kasper Grundtvig

– ale rzeczywiście, chyba nie można tego wykluczyć. Na miejscu jest już jedna dziennikarka.

Wagner delikatnie uwolnił się z objęć Idy Marie.

– Kto taki?

Usłyszał, jak rozmówca zwraca się do kogoś w pobliżu, po czym dostał odpowiedź.

– Jakaś Dicte Svendsen.

O dziwo, nie był tym zaskoczony. Mimo to w jego głosie dało się słyszeć wrogość, gdy zapytał:

– A co ona robiła w porcie o tej godzinie?

Dyżurny na chwilę pozostawił pytanie bez odpowiedzi, pozwalając mu wybrzmieć. W tym czasie Wagner ponownie słuchał gwaru po drugiej stronie, jakby całe miasto się zbudziło i ruszyło z pielgrzymką do portu o wpół do trzeciej w sobotę.

– Przyjechała odebrać córkę z dyskoteki.

Wagner wstał z łóżka i przyciskając ramieniem telefon do ucha, zaczął się ubierać.

– Będę tam za dwadzieścia minut.

Rozłączył się.

– Muszę lecieć – powiedział, zapinając koszulę.

– Co się stało?

Pokrótko streścił jej rozmowę. W twarzy Idy Marie dostrzegł rozczarowanie i zapragnął ją uszczęśliwić. Tyle że musiałby wówczas zrobić coś więcej, niż tylko zostać z nią w domu.

Na razie więc odsunął od siebie tę myśl i zadzwonił do zaspanego Jana Hansena. Wyciągnął go z pieleszy, kazał zebrać niewielki zespół i jak najprędzej zjawić się w porcie. Zadzwonił też do działu technicznego policji, po czym obudził swego przyjaciela, patologa Poula Gormsena.

– Chcesz się przejść do dyskoteki?

Gormsen miał zaspany głos, ale wydawał się zainteresowany.

– Masz coś do uczczenia?

– Niestety nie. Okazja jest mało wesoła.

– Zabójstwo? – zapytał Gormsen. Po chwili dorzucił: – Niech zgadnę: nóż

wymknął się komuś spod kontroli?

Wagner wyłowił spod łóżka swoje buty i usiadł na brzegu, żeby je założyć. Milcząca Ida Marie nadal leżała. Na karku czuł jej wzrok.

– Zwłoki kobiety przy klubie Showboat.

Gormsen powiedział coś niewyraźnie do swojej żony i po chwili znów był przy telefonie. W jego głosie nie było śladu rozbawienia.

– Widzimy się na miejscu.

Podczas jazdy Wagner otworzył okna i wdychał nocne letnie powietrze, żeby się obudzić. Było świeże, nasączone rosą i zapachem rozgrzanego asfaltu oraz niedawno skoszonych trawników. Potem, kiedy dotarł do centrum, aromat trawy zastąpił ostry odór tego, co dawniej nazywało się olejarnią – może po to, by mu przypomnieć, że nie zabłądził, lecz nadal znajduje się w Århus. Mówiono, że dzięki drogim filtrom w końcu udało się zapanować nad fetorem, ale najwyraźniej niektóre nosy były wrażliwsze od innych.

Obraz Dicte Svendsen pojawił się w jego głowie wraz z rytmem łagodnej muzyki płynącej z radia. Jej rudoblond włosy, mała blizna przy ustach i intensywne spojrzenie, które skrywało zbyt wiele, by można je nazwać pięknym. Posłał nocy głębokie westchnienie. Nie miał ochoty spotykać się z prasą, a zwłaszcza z Dicte, na ledwo odkrytym miejscu zdarzenia w sobotnią noc. Ale cóż, nie zawsze można o wszystkim decydować samemu.

Wiedział, że nie jest w najlepszej formie, odkąd kilka miesięcy temu szalenie groził jej śmiercią. Ida Marie co jakiś czas donosiła mu o kondycji swojej przyjaciółki, z którą spotykała się regularnie na siłowni albo jadła lunch w mieście. I nie były to radosne wieści. A z drugiej strony, pomyślał, zbliżając się do zjazdu z Ringgaden do Silkeborgvej, choć Ida Marie się o nią martwiła, to on miał wrażenie, że Dicte Svendsen pomimo drobnej postury i kruchości, jaką emanowała na zewnątrz, była twardsza, niż się zdawało.

Już z daleka dało się wyczuć, że atmosfera w porcie jest napięta. Grupki młodych imprezowiczów szły chodnikiem wzdłuż Nørre Allé, zapewne wracały z portu i klubu na statku. Co jakiś czas rozciągały się na całą szerokość drogi i jedne ruszywszy w pościg za innymi, popychały je i kopały. W nocnej ciszy niosły się podniesione głosy. Można było odnieść wrażenie, że żarzący się gniew lada chwila

wybuchnie i całe miasto stanie w ogniu.

Teren przy Showboat został odgrodzony. Krąg policjantów i metry policyjnej czerwono-białej taśmy oddzielały ciekawskich od tych, którzy na miejscu zdarzenia wykonywali swoją pracę. Technicy najwyraźniej już przyjechali, bo wokół klubu czarna noc rozświetlały silne reflektory. Młody funkcjonariusz kazał Wagnerowi się wylegitymować, nim go wpuścił na odgrodzony teren. Komisarzowi niespodziewanie udzieliła się wisząca w powietrzu agresja i wyparował do chłopaka:

– Nie masz oczu, człowieku? Widzisz chyba, że nie jestem zadymiarzem.

Policjant natychmiast się wyprostował i spojrzał na jego legitymację.

– Przepraszam – powiedział, ale w jego głosie zabrzmiała taka gorliwość, że Wagner miał ochotę trzepnąć go w głowę. – Takie dostałem polecenia.

– Tak samo tłumaczyli się naziści po wojnie – odburknął Wagner i natychmiast tego pożałował.

– Słucham?

– Nic takiego.

Mieszkający w Risskov Poul Gormsen pewnie przyjechał od strony Kystvejen. Wagner dostrzegł jego biały kombinezon ochronny z włókniny i lok grzywki powiewający na bryzie. Kątem oka zobaczył również Dicte Svendsen, która przytykała chusteczkę do brwi swojego chłopaka. Najwyraźniej trafił na czyjąś pięść. Wagner domyślił się również, że temu komuś pewnie nie spodobał się wiszący na jego szyi aparat.

Gormsen rozmawiał z człowiekiem w mundurze, w którym Wagner rozpoznał oficera dyżurnego Kaspera Grundtviga. Gdy ruszył w ich stronę, obaj odwrócili się i przywitali skinieniem.

– Jak wygląda sytuacja?

Grundtvig zdjął czapkę i wierzchem dłoni otarł pot z czoła. Wagner również czuł się spocony i przez ułamek sekundy pomyślał, że wystarczy już tego lata. Århus było jak rozpalony, zaogniony wrzód, który lada chwila może pęknąć. Miasto potrzebowało deszczu. Porządnego, lodowatego prysznic dla ostudzenia rozpalonych emocji.

Grundtvig pokręcił głową, nim ponownie założył czapkę. Potem wskazał na leżący za niebieskim kontenerem tłumok i powiedział:

– Chłopak z Gjellerup ją znalazł, kiedy poszedł się wysikać.

– Wiek? – Wagner spojrział na Gormsena.

– To młoda dziewczyna – odparł medyk sądowy. – Myślę, że mogła mieć z osiemnaście lat. Jeszcze za wcześnie, by stawiać hipotezy, ale to wygląda na rzeź.

– Kiedy?

Gormsen wzruszył ramionami.

– Niedawno. Zważywszy na jej stan i ten upał.

Poszli razem w stronę zwłok. Technicy już pracowali, fotografując je z każdej strony w ostrym świetle reflektorów. Wagner wdychał lekkie morskie powietrze i poczuł się spragniony, bo na widok leżącego na ziemi kłębka zaschło mu w gardle. Nigdy nie oswoił się z tą szczególną kruchością, jaką naznacza człowieka śmierć, lecz bezbronność tej młodej kobiety uderzyła go kilkakrotnie mocniej. Urodą przypominała Madonnę, leżąc z rozrzuconymi jasnymi włosami i porcelanową twarzą bez najmniejszego zadrapania. Oczy pięknie zamknięte, długa szyja, szczupłe palce. Usta nieznacznie rozchylone. Ktoś musiał je zamknąć już po jej śmierci. Żadnej biżuterii, zauważył Wagner. Żadnego pierścionka czy łańcuszka.

– Niczego przy niej nie ma – powiedział jeden z techników, skinąwszy na powitanie. – Żadnych dokumentów, żadnego dowodu tożsamości. Wydaje się czysta.

Czysta. Nieskażona. Młoda dziewczyna bez przeszłości ani przyszłości. Wagnera ścisnęło za gardło.

– Coś jeszcze? – zapytał dowodzącego zespołem. – Ile osób miało do niej dostęp? Ile osób kręciło się w pobliżu wieczorem i w nocy?

– Sporo – przyznał Kasper Grundtvig, sprawiając wrażenie nieskończenie zmęczonego. – Sytuacja pod klubem wymknęła się spod kontroli. Musieliśmy wezwać ludzi z całego regionu.

Wagner wiedział, co to oznaczało. Na miejsce zjechały patrole z psami z Horsens, Silkeborga, Odder, Randers i Viborga.

– Trzeba było jakoś opróżnić port – wyjaśnił z żalem Grundtvig.

Wagner pokiwał głową ze zrozumieniem i próbował oszacować skalę problemów, jakich to nastęrczało. Całkiem niedawno przez miejsce zdarzenia i jego najbliższą okolicę przetoczył się ocean ludzi. Szukanie śladów mogą sobie

darować. Jeśli ktoś chciałby tej nocy podrzucić gdzieś zwłoki, to chyba nie mógł wybrać lepszego miejsca.

Przez jakiś czas kuczał przy nich, wpatrując się wprost w oblicze śmierci, i bezskutecznie szukał odpowiedzi. Potem wstał i podszedł do Dicte Svendsen oraz grupki ludzi, z którymi stała.

– Ciężkie starcie – powiedział, kierując pytający wzrok ku krwawiącej brwi Bo.
– Udało ci się coś uchwycić?

Bo zdołał pokiwać głową i potrząsnąć nią niemal jednocześnie. Półdługie jasne włosy powiewały w ciemności, lecz Wagner zauważył, że przynajmniej zaczął przycinać dotychczas niechlujny zarost. No tak, pomyślał. Jeśli nie możesz ujarzmić mężczyzny, to zawsze możesz spróbować ujarzmić jego brodę.

– Tyle że zabrali mi cholerną kartę i wyrzucili – odparł Bo ze złością.

– Gdzie wyrzucili? – dopytywał Wagner.

Bo zarzucił głową w stronę parkingu.

– Gdzieś tam. Jakieś pół godziny temu było tu czarno od ludzi. Zrobiło się dość gorąco.

W tej samej chwili Wagner dostrzegł umięśnioną postać Jana Hansena torującego sobie drogę pomiędzy policjantami i idącego ku nim wartkim krokiem. Ogolona głowa i starannie przycięty wąs. Do tego łagodne usposobienie i ogromna zdolność podporządkowywania się poleceniom. Oto facet doskonale okiełznany przez kobietę.

Szybko przedstawił komisarzowi Hansenowi, jak się mają sprawy.

– Musimy znaleźć tę kartę. Porozmawiaj z Kasperem Grundtvigiem i weź ze sobą jeszcze ze dwóch ludzi.

Potem zwrócił się do Bo:

– Potrzebujesz lekarza?

Bo pokręcił głową.

– Ale karta jest moja – powiedział stanowczym głosem. – Nie mogę jej wam tak po prostu oddać.

Wagner w myślach przeklął wszystkich dziennikarzy świata z ich świętymi zasadami.

– Później o tym porozmawiamy.

Bo oddalił się, dociskając do brwi chusteczkę, i razem z Hansenem zniknęli

w poszukiwaniu karty. Jeśli im się poszczęści, być może znajdą na niej materiały przydatne policji – o ile oczywiście reporter da się przekonać, by im je przekazać. Jeśli zaś fortuna im nie sprzyja, karta leży gdzieś zatopiona w porcie, a wtedy nawet niezłomny Bo Skytte będzie mógł się wypchać ze swoją żelazną etyką.

Wagner odwrócił się do Dicte. W ułamku sekundy, jaki minął, zanim którekolwiek z nich się odezwało, przez głowę przemknęło mu tysiąc myśli i nagle sobie uświadomił, dlaczego jest taki rozdrażniony. Nie chodziło tylko o upał i bezsenność ani o nieprzewidywalność ciągu zdarzeń uruchomionego przez znalezienie zwłok młodej dziewczyny w samym środku portu Århus. Chodziło również o to, że Dicte i Ida Marie się przyjaźnią, a on nie ma pojęcia, ile Ida Marie jej powiedziała. Z doświadczenia wiedział, że kobiety mówią sobie wszystko. Ich potrzeba zwierzenia się jest równie silna co męska potrzeba zachowywania najbardziej skrytych myśli dla siebie. Dicte musiała wiedzieć, że starają się o kolejne dziecko, i to denerwowało go bardziej, niż potrafił wyrazić.

– A wy znaleźliście się w pobliżu całkiem przypadkowo?

Aż zamrugała, słysząc jego ostry ton.

– Byliśmy w restauracji w Graven, kiedy zadzwoniła Rose.

Powiedziała to, patrząc na córkę stojącą obok i wspartą o chłopaka wyglądającego na imigranta. Wagner pomyślał, że Dicte najwyraźniej ma własne problemy rodzinne.

– Czyli młodzi byli tu już od jakiegoś czasu, gdy przyjechaliście z Bo? – spytał, wskazując głową na Rose i jej chłopaka.

Przytaknęła.

– W takim razie musimy ich przesłuchać jako potencjalnych świadków.

Widział, jak blizna przy wardze Dicte uniosła się, jakby kobieta zamierzała warknąć. Spodziewał się usłyszeć mniej więcej to, co padło z jej ust:

– Podobnie jak jakiś tysiąc innych osób, które były dziś w dyskotecce, i wszystkich policjantów z pięciu okręgów – zauważyła zgodnie z prawdą, a w spojrzeniu, jakie mu posłała, trzaskały pioruny. – A jak już się za to weźmiecie, to powinniście też przesłuchać ze dwa psy.

Stał chwilę, czekając, aż emocje opadną. Może i wyglądała na zmęczoną, ale język miała dalej ostry jak brzytwa. Wolałby teraz być z Idą Marie – mniej by się bał.

– A poza tym jak leci? – zapytał przymilnym głosem.

Spojrzała na niego zaskoczona, po czym odparła, jak zwykle brutalnie szczerze:

– Do dupy.

Cierpliwie czekał, aż powie coś więcej. Zrobiła głęboki wdech dla rozpędu i wypaliła:

– Bo za tydzień leci do Iraku. Rose ma nowego chłopaka. A mnie ściska w dupie.

– Zazdrość? – zapytał, patrząc na Rose i jej przystojnego kompana.

– Rwa kulszowa. Mam zaciśnięty nerw – wyjaśniła Dicte i posłała mu pierwszy uśmiech, jaki zobaczył tej nocy.

3

– Mamo, mówiłam ci, że to żaden problem.

Żaden problem. Jasne. Dicte wyminęła ciężarówkę, jadąc do liceum w Tilst z Rose na siedzeniu pasażera. Gwałtownym skrętem wróciła na swój pas, a kierowca za nią ze złością wcisnął klakson.

– Mamo! – Przerażony głos córki przedarł się przez wściekłość i niepokój. – Pędzisz jak szalona – dodała Rose. Zaczęła robić prawo jazdy i już zaczynała się wymądrzać.

– Możliwe, że dziś to żaden problem – powiedziała Dicte, wracając do tematu nowego chłopaka Rose. – Ale w pewnym momencie się nim stanie – dała wyraz swemu czarnowidztwu. – To nieuniknione.

Rose zrobiła głęboki wdech i z wydechem wyrzuciła z siebie wszystkie frustracje nastoletnich córek wywołane przez niczego nierozumiejące matki.

– Mówię ci przecież, że studiuje medycynę. Jest zasymilowany.

Ostatnie słowo przeciągnęła i zaakcentowała ostentacyjnie. Dicte wiedziała dlaczego. Niełatwo być muzułmaninem w dzisiejszej Danii. Wszyscy patrzą na człowieka z mniejszą bądź większą nieufnością i ona sama nie jest wyjątkiem. Niełatwo być również duńską dziewczyną muzułmanina. Ludzie automatycznie, od pierwszej sekundy wyobrażają sobie ciemnienie kobiet i religijny fanatyzm.

– Nie twierdzę, że Aziz nie jest miły, mądry i zdolny – zaczęła.

– Więc co twierdzisz? – zapytała Rose łagodnym tonem.

– Chodzi mi o to, że nie znasz jego rodziny. Różnice kulturowe mogą się stać problemem, kiedy w niespokojnych czasach zetkną się ludzie wyznający inne religie. Chcę powiedzieć, że miłość nie zawsze wystarczy.

– Wystarczy do czego?

Dicte włączyła światła awaryjne i stanęła przed szkołą. Był poniedziałkowy ranek i senne nastolatki po burzliwym weekendzie wlokły się do drzwi, świecąc gołymi brzuchami, w dżinsach i krótkich spódniczkach zwisających ze sterczących bioder.

– Do szczęścia – powiedziała i od razu pożałowała. Nie dlatego, że to nieprawda,

lecz dlatego, że zbyt dobrze znała swoją córkę.

I Rose rzeczywiście od razu przechwyciła piłkę, po czym bez problemu, idealnie umieściła ją w bramce:

– Czy to znaczy, że mając chłopaka niemuzułmanina, jest się szczęśliwym? – zapytała niewinnie, patrząc Dicte prosto w oczy. A potem pochyliła się i na zgodę pocałowała mamę w policzek. – Wrócę autobusem.

W głowie dźwięczało jej zadane przez Rose pytanie i nadszarpnięta migrena, kiedy podjechała pod redakcję przy Frederiksgade. Możliwe, że jej córka ma rację. Że w ogóle nie powinna się wtrącać. Że w zasadzie nie ma jej do powiedzenia nic poza tym, że większość nastoletnich związków w pewnym momencie się rozpada. Bo co właściwie ona sama wie o miłości? Rozwiodła się z ojcem Rose i zamieszkała z młodszym o osiem lat reporterem, w którego żyłach płynie rtęć i niesłabnące pragnienie przebywania tam, gdzie jest wojna. Nie mówiąc o jej własnej nastoletniej ciąży i dziecku oddanym do adopcji, o którym myśli każdego dnia. Co ona w ogóle może wiedzieć?

Niewiele – podsumowała, jadąc Viborgvej w stronę miasta. Ale była matką i miała instynkt macierzyński. I nic jej nie obchodziło, że reszta świata nazwie ją rasistką, bo przecież doskonale wiedziała, że nią nie jest. Że po prostu się martwi. Cała jest lękiem. Martwi ją ciało znalezione w porcie, martwi ją bliskość Rose i Aziza i to, że byli tamtej nocy w Showboat. Nadszarpnięta katastrofa wydawała się tak realna jak ściskanie w żołądku, które czuła, bo wyszła z domu bez śniadania.

Okazja, by temu zaradzić, nadarzyła się, kiedy Dicte dotarła do redakcji, gdzie przy dość marnej frekwencji rozpoczynała się poranna odprawa. Poza nią byli tylko Davidsen i Holger Søborg, zatrudniony w dziale kryminalnym po odbyciu stażu. Cecilie i pozostała dwójka wyjechali na urlop, a Bo miał zlecenie. Amerykański guru od projektów nasłany na nich przez naczelnego z Kopenhagi jeszcze się nie pojawił. I bardzo dobrze. Wiedziała, że będzie kręcił nosem, jak zobaczy jej tekst. A ona zgłosiła sprzeciw i zagroziła, że usunie z tekstu swoje nazwisko, jeśli ktokolwiek odważy się zbliżyć do niego z nożyczkami.

Zdjęcie Bo było dobre, ale nie na tyle, żeby samo udźwignęło pierwszą stronę. Razem z Hansenem i dwójką policjantów znaleźli ostatecznie w tamtą noc kartę z aparatu gdzieś na terenie portu. Fotografie rzeczywiście pokazywały starcia policjantów z imigrantami. Ale panowała ciemność, były ziarniste i poruszone

i wyglądały jak kadry z amatorskiego filmu dokumentalnego. Bo na razie odmawiał wydania czegokolwiek policji.

– Smacznego. – Davidsen żuł bułkę i podziękował jej skinieniem.

Holger siedział nad gazetą otwartą na jej relacji z wydarzeń w porcie zamieszczonej na rozkładówce.

– Skąd się, u licha, dowiedziałaś? – zapytał i nawet nie próbował ukryć wyrzutu.

Popatrzyła w jego małe oczka osadzone w kwadratowej twarzy przywodzącej na myśl amerykańskiego futbolistę i wyczytała w nich zazdrość.

– Wagner do mnie zadzwonił.

Skłamała po to tylko, by rozkoszować się jego reakcją, zresztą błyskawiczną. Policzki poczerwieniały mu ze złości, a kwadratowa szczeka wysunęła się do przodu w bojowej gotowości.

– Czy ta twoja zażyłość z policją nie staje się odrobinę szkodliwa dla pracy? – prychnął i zaczął miotać frazami typu „stosunek zależności”, „faworyzowanie”, „brak obiektywizmu” i „przyjacielskie przysługi” w długiej, żałośnie przewidywalnej tyradzie o konieczności zachowania niezależności prasy od aparatu władzy.

Dłużej nie była w stanie powstrzymać uśmiechu. Zawsze ją bawiło, kiedy Holger dawał się wciągnąć w słowną potyczkę o etyce dziennikarskiej. Zwłaszcza że wiedziała, iż zasady etyki traktuje jak puste frazesy. Jak wtedy, gdy razem z dziennikarką sportową napisali szereg artykułów i podpisali je jego nazwiskiem wyłącznie po to, by się przypodobać kierownictwu.

– Dobrze już, nie unoś się tak – powiedziała słodkim głosem, sięgając po bułkę. Na rozerwanej torbie z piekarni, z której jak ogon posypał się mak i pobrudził rozłożone wszędzie dzisiejsze gazety, leżała ich cała sterta. – Jadłam kolację z Bo. Zadzwoniła Rose. Była w Showboat ze swoim chłopakiem.

– Myślałem, że bywają tam głównie młodzi imigranci i ich duńskie nałożnice – wtrącił Davidsen, a Dicte poczuła ucisk w żołądku.

Posłała mu gniewne spojrzenie.

– Jeśli uda nam się na moment zapomnieć o uprzedzeniach, to być może będziemy mogli porozmawiać o dzisiejszym wydaniu i przejść do tematów na jutro.

– Młodej duńskiej dziewczynie ciemnoskóry chłopak niewątpliwie może się

wydać atrakcyjny – włączył się Holger, bo właśnie poczuł krew. – Nie muszą przecież ze sobą rozmawiać.

Ból głowy, który właśnie zaczął kielkować daleko w tyle czaszki Dicte, natychmiast odpowiedział ogniem, rozpalając jej mózg i na sekundę odbierając wzrok w prawym oku. Z wszystkich sił zmusiła się, by wyglądać normalnie, ale nie była w stanie wydusić słowa.

– No dobrze – ulitował się Davidsen – zobaczymy, jak się przedstawiają sprawy, zanim przyjdzie nasz pan i władca i zażąda wszędzie czerwonych ramek.

Panem i władcą był Larry Olsson odpowiedzialny za projekt graficzny i przemianę „USA Today” w zamierzchłych czasach. Obecnie, wciąż unosząc się na fali sukcesów, trafił najpierw do redakcji w Kopenhadze, a stamtąd do Århus. Dicte pomyślała, że ona i jej koledzy w żadnej innej kwestii nie potrafili dojść do porozumienia, ale zawsze mogli wspólnie poznać się nad Olssonem i jego potrzebą ozdabiania każdego artykułu kolorowymi wstawkami. Uwielbiał przerywać ciągłość tekstu i wyróżniać informacje, umieszczając je w barwnych ramkach. Wszyscy w redakcji byli zgodni, że dzięki tym zabiegom czytelnik zamiast informacji dostawał kosz rozmaitości.

– Myślę, że będę musiała pojechać na konferencję prasową, kiedy policja dostanie raport z sekcji – powiedziała Dicte.

– Świetnie.

Następnie redaktor oddziału regionalnego zwrócił się do Holgera:

– A ty może zajmiesz się centrum handlowym City Vest i wątkiem imigrantów? Holger skinął głową. W Dicte obudziły się złe przeczucia.

– Tylko stonuj trochę uprzedzenia – ostrzegła.

Kiedy Holger na nią spojrział, na jego górnej wardze zamajaczył cień uśmiechu.

– Ty stonuj swoje, a ja stonuję moje.

Usiadła przy swoim biurku i wyjęła dyktafon oraz słuchawki. Miała nagrany długi wywiad z byłym żołnierzem ONZ, który przebywał na misji w Bośni, skąd Dania niedawno, po ośmiu latach obecności, wycofała swoje wojska. Osobista i barwna opowieść o strzelaninach, tęsknocie i towarzyszu cierpiącym na białaczkę, podobnie jak wielu innych. Możliwe, że chorobę spowodowało u nich obsługiwanie podczas misji broni wzbogacanej uranem. Szeroko zakrojone badania medyczne nie dały jednoznacznej odpowiedzi na to pytanie, ale nie ulegało

wątpliwości, że Jens po powrocie do ojczyzny bardzo się obawiał, że i on zapadnie na raka krwi.

Dicte naprawdę się starała. Lecz choć historia była ciekawa, wszystko inne co chwila dobijało się do jej świadomości i przerywało opowieść żołnierza. Widok martwej kobiety w porcie zalewał ją falami wraz z migreną, aż musiała się poddać i zanurzyć rękę w torebce w poszukiwaniu tabletek. Stojąc w kuchni przy zlewie i popijając pastylki wodą, doskonale wiedziała, że złagodzą jedynie ten najbardziej powierzchowny ból. Nie uwolnią jej za to od tego drugiego – od szpikulca wbijającego się nieustannie coraz głębiej w jej serce. Im bardziej starała się o tym nie myśleć, tym wyraźniej stawał jej przed oczami obraz martwej syreny z zakrwawionym łonem. To niemożliwe. Nikt nie powinien kończyć w ten sposób. Nie potrafiła tego pojąć.

Odstawiła szklankę na stolik z głośnym stuknięciem i wróciła przed monitor w pełni świadoma, że jest zarówno naiwna, jak i głupia. Bo przecież każdego dnia w takim czy innym miejscu na ziemi kobiety kończą życie w ten właśnie sposób.

Ledwie usiadła i ponownie włączyła dyktafon, nachalny dźwięk telefonu pomimo słuchawek wdarł się do jej uszu. Przez moment była pewna, że to Kaiser dzwoni z własnymi poleceniami, odmiennymi od tych, jakie dostała od Davidsena, lecz na wyświetlaczu pokazał się numer Anne, więc rzuciła się na słuchawkę jak na ostatnią deskę ratunku.

– Cześć.

– Gdzie jesteś?

Myśli w głowie Dicte zakręciły się jak kulka w ruletce i nagle wpadły do odpowiedniego przedziału.

– O cholera! Zapomniałam!

– To przychodzisz czy nie? – poganiała ją Anne.

Dicte spojrzała na zegarek i pocieszyła się, że jej alzheimer nie jest jeszcze w pełni rozwinięty, bo rano na szczęście pamiętała, żeby spakować rzeczy na trening.

– Potwornie boli mnie głowa.

– Co się stało? – zapytała Anne, która miała szósty zmysł.

– Nic takiego – skłamała Dicte. Szybko dodała: – Już lecę. Muszę tylko gdzieś zadzwonić. Będę za piętnaście minut, okej?

Anne była usatysfakcjonowana. Dicte wybrała numer Wagnera na komendę, choć wiedziała, że nic od niego nie wyciągnie.

– Jak idzie? Masz już coś od Gormsena?

Wagner westchnął głęboko.

– Po pierwsze do bani. A po drugie, owszem, mam.

– Czyli pierwsze, wynika z drugiego – podsumowała Dicte, wiedząc, że raport z sekcji nie zbliżył ich ani trochę do ustalenia tożsamości kobiety i śledczy wciąż nic nie mają.

– Mniej więcej – odparł Wagner.

– Jak umarła?

– Na trzecią zwołaliśmy konferencję prasową – powiedział szorstkim tonem i się rozłączył.

Przez parę sekund siedziała, wciąż trzymając przy uchu słuchawkę z sygnałem ciągłym. Dopiero po chwili się ocknęła, wstała i wyszła. Miała oczywiście świadomość, że Wagner musi poczekać i przekazać nieliczne informacje, jakimi dysponuje, wszystkim zebranym dziennikarzom. Że nie może sobie pozwolić na faworyzowanie kogokolwiek, dlatego że przypadkiem przyjaźni się z jego dziewczyną. Ale zawsze warto spróbować.

Wagner patrzył rozdrażniony na telefon.

Akurat teraz Dicte Svendsen ze swoim wścibstwem była mu najmniej potrzebna.

Siedział chwilę, próbując się uspokoić i zastanowić, czego wobec tego mu trzeba. Może ulubionego fotela i *Wohltemperiertes Klavier* Bacha na wieży, i zimnego piwa w dłoni? Albo tej cholерnej karty pamięci, której reporter o żelaznych zasadach nie chciał im dać, a która być może zawiera najmniejszą choćby wskazówkę co do kierunku, w jakim powinni podążać? Wiedział oczywiście, że nie powinien się wyżywać na Dicte za to, że jej chłopak jest tak niewiarygodnie skąpy w dzieleniu się informacjami i z zaciętością służbisty egzekwuje ustawę o wolności prasy i ochronie źródeł. Ale, do diabła, jest tylko człowiekiem i ma do rozwiązania odrażającą sprawę dotyczącą zbrodni. A poza tym panuje taki cholerny upał.

Z pudełka na biurku wyjął chusteczkę i otarł czoło. Potem sięgnął po szklanekę z wodą, która już zdążyła się zrobić letnia.

Może tak naprawdę najbardziej potrzebował klimatyzacji pracującej na pełnych obrotach, żeby choć przez chwilę od bardzo dawna móc jasno myśleć. Zawsze źle znosił upały. Podjął decyzję. Odsunął się razem z krzesłem, wstał i wyszedł z biura. Winda nie działała, więc schodami wszedł na górę do działu techników i zdyszany wcisnął dzwonek. Wiedział, że nie ma kondycji, ale mimo wszystko zaskoczyło go, że tak się spocił przy niewielkim przecież wysiłku.

W głowie usłyszał tykanie zegara, a przed oczami stanął mu sekundnik bezlitośnie poruszający się po tarczy. Wkrótce kończy pięćdziesiąt cztery lata, więc stał się bardziej świadom swojego wieku i ciała oraz jego rozpadu. Tego wszystkiego, czego już nie był w stanie zrobić, albo czuł, że nie jest. Na przykład pograć w piłkę z Alexandrem na trawniku u nich w okolicy. Kiedy grali ostatnim razem, nadawał się do hospitalizacji, tak bardzo był wycieńczony, i to nie tylko fizycznie. Przemknęło mu przez głowę, że być może przechodzi jakiś kryzys, ale odrzucił tę myśl. Nie miał czasu na kryzysy.

Mieszczące się na czwartym piętrze laboratorium kryminalistyczne zawsze było

zamknięte. Nie można było pozwolić, aby przypadkowe osoby swobodnie poruszały się wśród szuflad i regałów z materiałem dowodowym i teczkami pełnymi zebranych dowodów.

Usłyszał kroki za drzwiami i po chwili stanął w nich Kjeld Haunstrup.

– O, akurat ciebie szukałem – ucieszył się Wagner.

Haunstrup był rudy i wyglądał jak komiczny bohater starego duńskiego filmu. Zadarty nos upstrzony brązowymi piegami, usta szerokie jak u Micka Jaggera i niemal zawsze gotowe do zawadiackiego uśmiechu, którym teraz uraczył Wagnera.

– No popatrz, zatem zapraszam.

Haunstrup szarmancko usunął się na bok i wpuścił gościa do swojej świątyni.

– Znaleźliście coś? – spytał Wagner.

Dopiero kiedy powiedział to zdanie, uzmysłowił sobie, że to był prawdziwy powód jego wizyty w królestwie techników. Zależało mu na ruszeniu z miejsca sprawy kobiety z portu, a nie na tym, z czym początkowo przyszedł – na zakupie obrazu dla policyjnego towarzystwa miłośników sztuki. Jako jego przewodniczący Wagner osobiście chodził na wystawy i odwiedzał pracownie malarskie. Czasem miał w związku z tym potrzebę omówienia konkretnego artysty z wiceprzewodniczącym. Pomyślał, że zdąży to zrobić przed konferencją prasową.

Poczuł się odrobinę zażenowany. Nie miał w zwyczaju poganiać techników, którzy z reguły znakomicie wywiązywali się ze swych zadań. Na szczęście zdawało się, że Haunstrup nie ma nic przeciwko odpowiedzi na to pytanie.

– Niewiele, mówiąc szczerze. Ale coś tam jednak mamy.

Wagner wiedział, że to ostatnie dorzucił wyłącznie z litości – aby nie rozczarować go kompletnie.

Poszli razem w dół korytarza. W ciągu tych kilku sekund, jakie minęły, nim dotarli do właściwych drzwi, Wagnerowi udało się poczuć szczególną atmosferę tego miejsca.

Kiedyś sam zastanawiał się nad zdobyciem dodatkowych kwalifikacji i pracą w tym dziale. Zawód technika kryminalistyki go pociągał. Charakteryzowało go przydatne w takiej pracy zamiłowanie do porządku, lecz brakowało mu również potrzebnego zmysłu praktycznego. Tu trzeba być trochę rzemieślnikiem, no i być dobrym w liczbach. Wszystko w tym dziale, od dołu do góry, miało swój własny,

niepowtarzalny numer, chodziło bowiem o materiały dowodowe, które musiały być przez sąd uznane za wiarygodne. Byłoby katastrofą pomylić próbki spermy w sprawie o gwałt albo wysłać zły zestaw odcisków do laboratorium w Kopenhadze. Wszystko opierało się na zaufaniu. Gdyby sędziowie choć raz nabrali podejrzeń, że mogło dojść do zaniedbań, poważnie odbiłoby się to na renomie działu. Obecnie niesłychaną wagę przywiązywano do zeznań techników składanych podczas rozpraw sądowych.

– Akurat badałem narkotyki zabezpieczone w zeszłym tygodniu.

– Chodzi o nalot na Munkegade?

Haunstrup przytaknął.

– Udało mi się znaleźć odcisk, który może się do czegoś nadać.

Otworzył drzwi do pomieszczenia, w którym stała komora cyjanoakrylowa. Wagner był tu wielokrotnie i za każdym razem ogromne wrażenie robił na nim system, według którego przeprowadzano analizy. W komorze wisały wyglądające całkiem niewinnie torebki z białym proszkiem. Wszystkie ponumerowane. Pokrywała je biała błona, jakby ktoś posypał je mąką. Wagner wiedział, że dzieje się tak wtedy, kiedy w komorze włącza się ogrzewanie i zdemineralizowana woda wiąże się z oparami kleju. Metodę z użyciem kleju błyskawicznego stosuje się przede wszystkim do wykrywania odcisków palców na plastiku albo lakierowanym drewnie – na przykład trzonku siekiery. Z surowym drewnem sprawa jest bardziej skomplikowana. Wówczas trzeba użyć metody ninhydrynowej i poddać drewno kąpieli chemicznej.

Haunstrup otworzył szafkę i wyjął jedną z torebek. Ostrożnie trzymał ją za haczyk, nie dotykając woreczka.

– Sam zobacz. – Pokazał miejsce, gdzie znalazł odcisk.

Wagner uważnie szukał charakterystycznego wzoru w warstwie proszku, ale ciężko mu było odnaleźć odcisk palca wśród wszystkich innych śladów. Może powinien zacząć nosić okulary?

– Tutaj.

I nagle go zobaczył – bardzo wyraźnie. Minimalne kręgi wiły się spiralnie wokół siebie, aż się zbiegały w małej spirali na środku.

– Piękne – powiedział i pożałował, że to nie on prowadzi tę sprawę.

Wyraźny odcisk palca zawsze oznaczał przełom. Z reguły pozwalał wyciągnąć

od podejrzanego przyznanie się, gdy się go zapędziło w kozi róg na przesłuchaniu. Oczywiście nie dotyczyło to gangsterów. Ci nie przyznawali się nigdy.

O skonfiskowanym towarze słyszeli wszyscy. Policja dostała wiarygodny cynk i przeszukała jedno z mieszkań w centrum miasta. Znaleźli ponad kilogram heroiny i sporo skradzionych przedmiotów. Mieszkanie zajmował pewien Libańczyk.

– Macie coś jeszcze w tej sprawie?

Haunstrup nieznacznie wzruszył ramionami.

– Niewiele ponad to. Trochę włosów i takie tam. Jak zwykle zresztą. Bo przecież zawsze znajdzie się cokolwiek, jeśli się bliżej przyjrzeć.

– A ta druga sprawa? Zwłoki w porcie.

– To samo. Trochę włókien na kocu, to wszystko. Chyba nic szczególnego.

– Włókna zwierzęce? Ludzkie?

– Myślę, że i takie, i takie – odparł Haunstrup. – Wysłaliśmy je morfologom w Kopenhadze. Ale jeden z włosów wygląda dokładnie jak włos Kvika.

– Kvika?

Haunstrup wybuchnął swoim śmiechem Jaggera.

– Naszego psa. Foksterier szorstkowłosa.

Wyjął kopertę i ostrożnie umieścił w niej torebkę z odciskiem palca.

– Będą mieli nad czym myśleć w stolicy.

Wagner wstał i powiedział, wskazując głową kopertę:

– Mam nadzieję, że będzie zgodność.

Haunstrup uniósł w górę skrzyżowane palce wskazujący i środkowy. Obaj mieli świadomość, jakie to ważne. Jeśli odciski sprawcy znajdują się w archiwum Centralnego Biura Identyfikacji, to są spore szanse na pojmanie go. Jeśli nie, to muszą iść dalej po omacku, bez względu na odkryty ślad – do czasu, gdy znajdą podejrzanego.

– Byłeś na wystawie Kviuma? – Haunstrup zmienił temat, wypełniając formularz, który trzeba było dołączyć do torebki.

– A właśnie – odparł Wagner i nagle znowu poczuł się zmęczony – w sumie po to dziś do ciebie przyszedłem. Chciałem porozmawiać o jednym obrazie, który być może moglibyśmy dostać za w miarę rozsądną cenę. Musiałbyś go zobaczyć.

Haunstrup wyglądał na zdziwionego.

– Siedzimy po uszy w robocie. Ale nazwisko jest dobre, więc jeśli cena też okaże

się w porządku, to spokojnie możesz się zgodzić. Teraz muszę cię odprowadzić – odparł Haunstrup.

Idąc korytarzem, minęli tablicę z różnymi fragmentami lin i węzłami. Wagner przypomniał sobie inne trudne śledztwo, które prowadził na początku tego roku. Siostra sąsiadki Dicte Svendsen została znaleziona na mokradłach Kasted ze sznurem na szyi i siekierą w głowie. Tamta sprawa również w pewnym momencie wydawała się beznadziejna, ale ostatecznie wszystkie luźne końce – między innymi ślad znaleziony przez techników – ostatecznie naprowadziły ich na właściwego człowieka. Może i tym razem będzie podobnie, pomyślał pełen nadziei. Może zdarzy się cud i uda im się poznać tożsamość nieszczęsnej kobiety z portu, następnie oddać ją rodzinie, a sprawców postawić przed sądem.

Haunstrup najwyraźniej czytał w jego myślach.

– Sprawa w porcie nie wygląda dobrze, prawda? Sekcja musiała być wstrząsająca.

Wagnera przeszły ciarki. Nie chciał nawet o tym myśleć. Byli z Hansenem przy tym, jak ją otwierano, a Gormsen zrobił to, w czym jest najlepszy. Wynik wciąż przyprawiał go o dreszcze.

Spojrzał na Haunstrupa.

– Wszystko jedno, ile znajdziesz. Nawet jeśli to będzie mikroskopijna cząstka włosa albo okruszek bułki. Tych bydlaków trzeba złapać, i to jak najprędzej.

Haunstrup nie wydawał się zaskoczony – ani tonem, ani lekkim drżeniem, które Wagner sam usłyszał w swoim głosie. Położył tylko po przyjacielsku rękę na jego ramieniu.

– Zajmę się tym. Przebadamy ten koc raz jeszcze – obiecał.

5

Siłownia mieściła się we Frichsparken, dawnej siedzibie zakładów Frichs. Teraz zamiast gasterbeiterów w niebieskich kombinezonach między budynkami kręcili się adwokaci, księgowi, pracownicy urzędu skarbowego i uczniowie gminnej szkoły wieczorowej znajdującej się w nowo wybudowanej części kompleksu. Swoje siedziby miały tu również firma sprzedająca meble i zakład winiarski prowadzący sklep firmowy.

Dicte stanęła na jednym z wyznaczonych miejsc i umieściła za szybą zegar z czasem parkowania. Potem wysiadła, chwyciła torbę i ruszyła w stronę budynku Norsk Sekvenstræning sąsiadującego ze szkołą wieczorową. Rzuciła okiem przez ogromne okna i zobaczyła w środku stałą ekipę spędzającą w tym miejscu poniedziałkowe przedpołudnia. Nie po raz pierwszy zastanawiała się, czym też mogą się zajmować ci ludzie, kiedy nie podnoszą ciężarów, nie biegną przed siebie na bieżniach ani nie leżą na matach, poddając się godzinnej sesji masochizmu. Anne również się nad tym zastanawiała, bo przecież „wszyscy nie są chyba dziennikarzami i położnymi”.

Anne niekiedy wychodziła na nocny dyżur, a i ona sama miewała wezwania w nocy na miejsca wypadków albo pracowała do późna nad tekstami o krótkich terminach i dysponowała wynikającymi z tego nadgodzinami, które się kumulowały. A co z pozostałymi? Ciekawe, jakie życie zostawiali za sobą, kiedy wychodzili z domu albo brali parę godzin wolnego, żeby dwa razy w tygodniu rzucić strój roboczy i wskoczyć w dres?

Anne uważała, że Dicte nie powinna się tym aż tak interesować. I kiedy Dicte pchała drzwi wejściowe, pomyślała, że na tym chyba polega największa różnica pomiędzy nimi – Anne była ucieleśnieniem dyskrecji, ona zaś wiecznym znakiem zapytania. Ciekawość napędzała ją do działania i stała się jej przekleństwem, bo bez niej wszystko byłoby znacznie prostsze. Tak jak teraz z tą sprawą kobiety z portu. Co ją właściwie obchodzi, kim była i jak się tam znalazła? Czy nie łatwiej oddać ten temat Holgerowi Søborgowi?

– Cześć. O czym tak dumasz?

Anne była spocona po nadprogramowo długiej jeździe na rowerku. Dicte przesunęła dłonią po wilgotnej koszulce, gdy obowiązkowo się uściskały.

– Chodzi o tę sprawę w porcie? – zapytała Anne, która powinna być psycholożką. – Nie możesz tego oddać komuś innemu?

Dicte zarzuciła sobie torbę na ramię i powłokła się boso do salki treningowej, a Anne tuż za nią.

– Nie ma nikogo innego – rzuciła za siebie – nikogo kompetentnego. Sezon urlopowy – wyjaśniła.

– Sezon urlopowy – powtórzyła Anne i stanęła obok Dicte, gdy ta wyjęła z pudełka przy kasie swoją kartę i zapisała się na dzisiejszy trening. – Chciałabym, żeby ludzie o tym pomyśleli, kiedy zabierają się za rodzenie dzieci podczas przerwy świątecznej.

– O czym?

Anne, która została adoptowana z Korei, popatrzyła na nią z uśmiechem w skośnych oczach. Delikatne zmarszczki mimiczne uniosły się nad niewiarygodnie wysokimi kośćmi policzkowymi.

– O tym, że położne też chciałyby latem wyjechać na wakacje.

– Macie duży ruch?

Wiedziała, że to pytanie było zbędne. Anne pracowała na największym oddziale położniczym w kraju. Mniejsze szpitale stopniowo pozamykały własne, więc wszystkie przyszłe matki musiały obecnie pielgrzymować do Skejby.

Wąskie brwi Anne uniosły się pod samą grzywkę.

– Ruch to grube niedopowiedzenie. Bardziej adekwatne byłoby określenie megaruch. Maluchy wręcz stoją w kolejce, każdy we własnej macicy, i z reguły wyskakują nocą.

Dicte próbowała usłyszeć w głosie Anne zmęczenie tymi wszystkimi nocnymi zmianami, a do tego jej matka leżała w szpitalu po wylewie, więc i jej trzeba było doglądać. Ale przyjaciółka wyglądała na pełną energii i rześką jak zwykle.

– Czyżbyś skarżyła się na swoją pracę?

Anne uśmiechnęła się szeroko.

– Nigdy w życiu.

– Jak się czuje twoja mama?

Uśmiech zmienił się w nieznaczące uniesienie kącików ust i Dicte przez moment

pożałowała, że spytała. Ale znały się przecież tak dobrze. Powinny umieć również wspólnie się martwić.

– Lekarze wciąż się płaczą. Nie mają odwagi powiedzieć tego wprost.

– Jest aż tak źle?

Anne przytaknęła. Dicte wyciągnęła ręce i przez chwilę stały jak posąg dwóch obejmujących się postaci. W końcu Anne się uwolniła.

– Cholerne życie – powiedziała Dicte i podniosła torbę z podłogi.

Anne zaczęła ćwiczyć na urządzeniach, a ona sama przebrała się i poszła zrobić rozgrzewkę na rowerku. Widziała go, kiedy wszedł na salę, bo akurat siedziała i trochę się nudziła, bezmyślnie wciskając pedały. Pierwszym, co ją uderzyło, był jego wzrost. Był wysoki i barczysty, ale wypełniał przestrzeń w jeszcze inny, nieokreślony sposób. Przez ramię miał przewieszoną sportową torbę w kolorze butelkowej zieleni, a na sobie dżinsy i czarną koszulkę polo. Krótko mówiąc, był całkiem zwyczajny, a jednocześnie niezwykle. Pomyślała o Bo i jego chudej jak u kota, żylastej sylwetce. O długich włosach w strąkach i brodzie, o której przycinaniu stale musiała mu przypominać, bo inaczej wyglądał jak albański uchodźca. Pomyślała o jego wiecznym rozedrganiu, o niepokoju, którym potrafił wypełnić cały dom. I nagle ze wstydem zapragnęła spokoju, bezpieczeństwa. Zanurzyć się w objęciach potężnego mężczyzny o głosie ciepłym niczym mahoń. Nie miała w zwyczaju porównywać ludzi, ale teraz właśnie to zrobiła. I Bo nie wypadł w tym porównaniu najlepiej.

Mężczyzna się zapisał, tak jak ona zrobiła to chwilę wcześniej. A kiedy się odwrócił, żeby wejść na schody do przebieralni, spojrział wprost na nią. Dicte poczuła, jak krew uderza jej do głowy aż po cebulki włosów. Może dlatego, że wpatrywała się w niego tak intensywnie, ukłonił jej się, jakby byli starymi znajomymi, a ona się odkłoniła.

– Kto to jest? – zapytała Anne, kiedy potem spotkały się na sąsiednich urządzeniach, a on zaczął właśnie rozgrzewkę na rowerku. – Widziałas go tu wcześniej?

Anne wyciągnęła ręce, z zapałem pociągnęła w dół drążek i zaczęła kolejną serię powtórzeń.

– A czemu pytasz?

W głowie Dicte znów na pierwszy plan wysunął się komunikat Bo z poprzedniego wieczoru. Irak. Niechętnie opowiedziała o tym Anne, która od zawsze uważała, że Bo nie jest dobrym partnerem do wspólnego życia opartego na spokoju i utrwalonym rytmie.

– Osobiście go nie znam – w końcu cicho wysapała Anne – ale wiem, że nazywa się Jeppe Vrå i jest lekarzem w Marselisborgu.

– Myślałam, że zamknęli tamtejszy szpital.

– Bo to prawda. Ale została klinika chorób skórnych i wenerycznych.

– Choroby przenoszone drogą płciową?

– Dokładnie tak. Między innymi HIV i AIDS.

– Leczy zakażonych wirusem HIV?

– Z tego, co wiem, jest kimś w rodzaju eksperta.

– No, no...

– Co: „no, no”?

Dicte zobaczyła dla siebie nieograniczone wręcz pole manewru. Bez trudu mogłaby wymyślić temat wymagający przeprowadzenia wywiadu z ekspertem od wirusa HIV z okolic Århus.

– Dicte? – Głos Anne przedarł się przez hałas, jaki wydawały urządzenia do ćwiczeń. – On ma żonę i dwójkę dzieci.

Cios był silny i celnie wymierzony w okolice brzucha. Dicte zawstydziała się własnych myśli. Na szczęście Anne właśnie skończyła, więc zabrały swoje ręczniki i przeszły na kolejne urządzenie.

Anne z jękiem podciągnęła się na drążku, zaczynając swoją zwyczajową serię piętnastu powtórzeń, szarpiąc i napinając wszystkie mięśnie.

– Choć z drugiej strony do tej pory nie stanowiło to dla ciebie większej przeszkody – dorzuciła, lekko sapiąc.

Dicte postanowiła zignorować jej komentarz, choć mogłaby przypomnieć przyjaciółce, że kiedy spotkali się po raz pierwszy, Bo był już mocno zmęczony swoim małżeństwem, a jego ekszona to prawdziwa hetera. Wyrzuty sumienia? Kto? Ona?

Kiedy Dicte wytrwale ćwiczyła skłony, Anne się poddała i poszła się napić wody. Nigdy nie miała poczucia winy, że Bo zdecydował się na rozwód, nawet jeśli to oznaczało, że Ninka i Tobias musieli żyć w rozbitej rodzinie.

Może się myliła, ale logika podpowiadała jej, że rozwód nie zawsze jest złem. Nic w życiu nie jest takie proste, aby dało się o tym napisać podręcznik.

– Skąd ja właściwie jestem, twoim zdaniem? – zapytała cicho Anne, kiedy wyszły spod prysznic i Anne stała naga z blizną po operacji raka piersi jak różową latarnią pośród oceanu piękna. – Ostatnio dużo się nad tym zastanawiam.

Filozoficzne dywagacje były do niej niepodobne.

– W jakim sensie? – zapytała Dicte. – W takim: „kim jesteśmy, skąd pochodzimy i dokąd zmierzamy”? Czy bardziej konkretnie?

Anne się uśmiechnęła. Stojąc najpierw na jednej, a potem na drugiej nodze, włożyła majtki. Potrząsnęła głową i krople z jej mokrych włosów zrosiły ramię Dicte.

– Bardziej konkretnie.

– No to z Korei, a jak inaczej.

Dicte usiadła na ręczniku i wyjęła z torby suche ubranie.

– Korea jest duża.

Przez wszystkie lata znajomości rozmawiały o tym zaledwie kilkakrotnie. Anne zawsze twierdziła, że to bez znaczenia. Jej rodzina mieszkała w Danii. Ona była Dunką. Niczym się nie wyróżniała. Dicte pokręciła głową.

– Do tej pory cię to nie interesowało. A teraz, mając czterdzieści trzy lata, zaczynasz to roztrząsać?

Anne zdjęła z wieszaka dzinsy i zaczęła je naciągać.

– Dlaczego? – zapytała Dicte i nagle wszystko zrozumiała. – Chodzi o twoją mamę?

Anne zapięła suwak rozporka i guzik spodni. Po czym przytaknęła.

– Jaka właściwie zostanie mi rodzina, kiedy ona odejdzie?

Dicte nie potrafiła jej odpowiedzieć. Ojciec Anne zmarł, nie zdążywszy się pogodzić z córką. Był pastorem, lecz nie potrafił pokochać adoptowanego dziecka.

– Podjęłaś już jakąś decyzję? – zapytała zamiast tego.

Anne podeszła do lustra, włączyła suszarkę i zaczęła suszyć włosy.

Dicte pomyślała, że gdzieś na świecie może żyć jakaś siostra albo brat Anne. Gdzieś może być jakaś matka każdego dnia myśląca o córce, którą oddała.

Wytarła włosy ręcznikiem. Miała świadomość, że to mogą być jedynie pobożne życzenia, bo ona sama tak właśnie się czuła, odkąd oddała pierwsze dziecko.

Tymczasem rzeczywistość bywa zupełnie inna. Być może nikt już nie myśli o dziecku oddanym dawno temu do sierocińca gdzieś w Korei. Może nikt nie chciał, aby w ogóle się urodziło.

– Nie wiem, czy mam dość odwagi – powiedziała wreszcie Anne.

Kiedy Dicte wróciła do redakcji, rozmowa z Anne i widok dziewczyny z portu splotły się ze sobą jak dwa końce jednej liny. Na pozór jedno z drugim nie miało najmniejszego związku. Ale jeśli się dobrze przyjrzeć, istniało pewne podobieństwo – coś egzotycznego i obcego zostaje rzucone na poniewierkę, a przy tym, o ile się nie myliła, obie kobiety zostały pozbawione czegoś absolutnie fundamentalnego. W przypadku Anne tym czymś byli biologiczni rodzice.

W ostatniej chwili odebrała telefon, który dzwonił, gdy weszła do biura. Jediną osobą poza nią był tam Davidsen przyklejony do swojego monitora.

– Dicte Svendsen.

– Widzę, że postanowiłaś zaszaleć i przeżyć drugą młodość – powiedział Kaiser z kopenhaskiej redakcji.

Nie miała siły po raz setny tłumaczyć, dlaczego tamtej nocy znalazła się w porcie. Poczekala więc tylko na następne pytanie naczelnego, choć niemal wiedziała, jak będzie brzmiało.

– Seria gwałtów i teraz jeszcze to. Ciężkie czasy nastały dla dziewczyn w Århus. Kim ona jest?

– Gdybym to wiedziała, mielibyśmy okładkę na jutro. Za pół godziny jest konferencja prasowa, więc może wtedy się czegoś dowiemy – odparła.

– Ale widziałaś ją?

Dicte przytaknęła skinieniem i zaraz sobie uświadomiła, że on tego nie widzi.

– Tak, widziałam.

– Jasna, ciemna? Dunka? Cudzoziemka? Jak obstawiasz?

– Jedno i drugie.

W słuchawce zapadła cisza. Teraz to on czekał w napięciu.

– Miała długie jasne włosy – sprecyzowała. – Jak się przyjrzałam uważniej, widziałam, że są czarne u nasady. Wysokie kości policzkowe.

– Azjatka?

– Możliwe, choć wątpię.

Zagwizdał głęboko.

– Europa Wschodnia?

– Mogę się mylić.

Wręcz widziała, jak wąż unosi mu się w diabelskim półśmiechu, i raz jeszcze poczuła wdzięczność za dystans, jaki dzielił Århus i Kopenhagę.

– Coś ty, poważnie?

Jego głos błyskawicznie się zmienił i wkradło się do niego coś na kształt zawodowej troski.

– Dasz sobie radę?

Właśnie. Czy da sobie z tym radę? Znał ją na wylot. Pomyślała o tej młodej dziewczynie, o jej kruchości. O długich jasnych włosach kontrastujących z krwawym podbrzuszem. Wiedziała, że w każdej chwili może go poprosić, aby dał ten temat Holgerowi. Wiedziała również, że dla własnego dobra powinna to zrobić.

Zaczerpnęła powietrza i dała mu odpowiedź, której spodziewali się oboje.

– Jasne, że tak.

6

Anne sięgnęła po termos i nalała sobie czarnej kawy. Całe ciało bolało ją po treningu, ale jak zawsze umysł miała odświeżony, a myśli jasne.

– Anne?

Przełożona położnych Vibeke Termansen wskazała na tacę z ciastem francuskim na końcu stołu. Anne pokręciła tylko głową.

– Właśnie zrobiłam coś niesamowicie zdrowego, więc nie chcę tego zmarnować – odparła i od razu usłyszała swój protekcjonalny ton.

I faktycznie jedna z pielęgniarek, Henriette Baunehøj, przewróciła oczami, wzięła z tacy kawałek ciasta i wbiła zęby w lukrowaną powłokę na górze.

– Bez przesady, nie można być takim świętym – skomentowała między kęsami.
– Nie wiem jak wy, ja w każdym razie zdecydowanie potrzebuję dawki cukru.

Anne poprawiła sobie opaskę i wzięła łyk nieposłodzonej kawy o smaku błota. Możliwe, że się z niej nabijały, już dawno nauczyła się z tym żyć. Od operacji radykalnie zmieniła swoje nawyki żywieniowe, aby przynajmniej poczuć, że w jakikolwiek sposób stara się zapobiec nawrotowi raka.

– Czytałyście o tym, co się stało w porcie? – zapytała Henriette z pełnymi ustami i z niedowierzaniem pokręciła głową, plując wokół okruchami. – Cholera, to się robi naprawdę przerażające. Coś takiego w samym środku rozróby i nikt nic nie widział.

Vibeke przechyliła głowę, żeby łatwiej jej było przeczytać artykuł. Po chwili wskazała na nazwisko autorki.

– Czy to nie twoja znajoma? Dicte Svendsen?

Anne przytaknęła.

– Wszędzie jej pełno – zauważyła przełożona.

Kiedy jej koleżanki zaczęły się prześcigać w domysłach i teoriach dotyczących tego, kto mógł podrzucić ciało w porcie, Anne na moment pomyślała o Dicte. Kto by pomyślał, że ta cicha i skryta dziewczyna z liceum ekonomicznego stanie się wziętą dziennikarką? Zaprzyjaźniły się niemal od pierwszej chwili. To okoliczności pchnęły je ku sobie, jak dwie uchodźczynie w obcym kraju. Każda dźwigała

własny ciężar, który na zewnątrz wyglądał inaczej, ale w istocie był tym samym. Niepewne własnej tożsamości i miłości – w przypadku Anne jednego, a Dicte obojga rodziców – instynktownie czuły, że powinny się wspierać. I rzeczywiście, ramię w ramię przechodziły wzloty i upadki. W jakimś sensie zastępowały sobie wtedy wzajemnie rodziców i być może wciąż to robiły.

Anne znów napiła się kawy, wdychając ciepłą parę.

Ich relacja była w każdym razie podszyta nieustannym niepokojem. Gdy sama była chora, czuła niepokój przyjaciółki. Teraz było odwrotnie. Teraz to ona była tą, która się martwi. Aż oblewał ją pot na myśl o koszmarze, jaki przeszła Dicte w ciągu ostatniego pół roku, i o tym, że wciąż nie wyzbyła się tamtego strachu. W tym sensie sprawa kobiety znalezionej w porcie była straszna również w wymiarze osobistym.

– Jak myślisz? Dicte coś ci mówiła? Policja ma już jakąś teorię?

Anne pokręciła głową.

– Nic nie słyszałam. Ale mówiła coś o konferencji prasowej dziś po południu. Może po sekcji będą mogli powiedzieć coś więcej.

Vibeke raz jeszcze zerknęła na artykuł. Wyglądało to, jakby czytała i mówiła jednocześnie.

– Biedna dziewczyna. Kim trzeba być, żeby zrobić coś takiego?

– A jak myślisz? – zapytała asystentka położnej, Hanne Rasmussen, która właśnie weszła i opadła ciężko na krzesło. – To chyba nie przypadek, że doszło do tego w pobliżu dyskoteki, gdzie przychodzą imigranci.

Anne puściły nerwy.

– Oczywiście, że to nie przypadek. Ktoś mógł ją tam podrzucić, żeby łatwo było wyciągnąć dokładnie taki wniosek.

Vibeke wtrąciła się, zanim ich wymiana zdań rozwinęła się w kłótnię.

– W każdym razie to potworne. Miejmy nadzieję, że policja szybko znajdzie sprawcę.

Anne poczuła, jak jej tętno powoli wraca do normy. Hanne nasypała sobie do kawy dwie łyżeczki cukru i energicznie zamieszała.

– Po prostu mam ich serdecznie dość – wybuchła nagle. – Czy oni muszą być tacy cholernie... – Nie dokończyła, tylko walnęła mocno pięścią w stół.

Vibeke nakryła jej dłoń swoją i delikatnie ścisnęła. Hanne otarła łzę.

– Co się stało?

Choć właściwie nietrudno było się domyślić. Każda z nich przeżyła już podobną sytuację, a dziś trafiło na Hanne.

– Fatima w siódemce – powiedziała cicho. – Urodziła śliczną dziewczynkę z długimi czarnymi włosami. A potem przyszła cała rodzina z ojcem i mężem na czele. – Rozejrzała się po twarzach koleżanek.

– No tak, i cała radość prysła, prawda?

– Ma już jakieś dziewczynki? – domyśliła się Henriette.

– Trzy – potwierdziła Hanne. – Czwarta była zdecydowanie niepożądana. Biedna Fatima, była kompletnie roztrzęsiona. Musiałam wezwać dwóch salowych, żeby ich wszystkich zatrzymali na korytarzu i pozwolili dziewczynie odpocząć.

– Ile ona ma lat? – zapytała Vibeke.

– Dwadzieścia cztery. Wyszła za jakiegoś kuzyna z Turcji, który ledwie mówi po duńsku.

– A ona sama coś ci mówiła? – zainteresowała się Anne.

Czasem młode ciężarne zwracały się do personelu z porodówki z prośbą o pomoc w uwolnieniu od przymusowych małżeństw. Zdarzało się też, że kobiety w zaawansowanej ciąży przyjeżdżały z siniakami na całym ciele, choć tu akurat trzeba było powiedzieć, że przemoc domowa nie dotyczyła wyłącznie cudzoziemek.

– A jak myślisz? – spytała z rezygnacją w głosie Hanne i wstała. – Muszę lecieć. Mam poród bliźniaków.

Jeszcze chwilę posiedziały, po czym Anne wymknęła się na korytarz i zakradła do sali, w której leżały Fatima i jej córeczka. Młodą Turczynkę poznała podczas badań kontrolnych. Teraz widziała ją w łóżku zmęczoną i o ziemistej skórze, ale w chustce ukrywającej doskonale to, co powinno być ukryte, i z dłońmi złożonymi na kołdrze. Spojrzała na Anne wielkimi oczami, w których nie było ani śladu uśmiechu.

– Gratulacje, Fatimo. Mogę ją zobaczyć?

Fatima machnęła obojętnie ręką w stronę stojącego przy łóżku kojca. Anne po cichu podeszła do dziecka. Mała rzeczywiście była śliczna. Długie, czarne włosy okalały pięknie ukształtowaną buzię, a na jasnej, zdrowej skórze widniało tylko niewielkie zaczerwienienie.

– Jest naprawdę piękna. Jak będzie miała na imię?

Fatima milczała ze wzrokiem wbitym w pustkę. Anne pochyliła się nad kojcem i wzięła dziecko na ręce. Nie czekając na pozwolenie, usiadła na krawędzi łóżka i Fatima spojrzała na swoje dziecko.

– Aisza – odparła cicho. A gdy to powiedziała, mała wyciągnęła rączkę i Fatima wzięła od Anne maleństwo.

– Życie – powiedziała Anne, układając dziewczynkę w ramionach matki. Niespecjalnie znała się na islamie, ale tyle wiedziała. Aisza, najukochańsza z małżonek proroka Mahometa, a jej imię oznacza „życie”. – Piękne imię.

Wstała. Ostrożnie pogłaskała delikatne jak jedwab włosy noworodka.

– Wiem, Fatimo, że zrobisz, co będzie w twojej mocy, aby Aisza miała udane i szczęśliwe życie.

Młoda kobieta uśmiechnęła się tylko lekko. Anna wychodząc z sali i idąc korytarzem, zastanawiała się, jak może się potoczyć życie małej Aiszy. Czy kiedy przyjdzie pora, będzie jej wolno wybrać mężczyznę, który zostanie jej mężem, czy głowa rodziny zażąda respektowania przynależnego mu prawa? Czy małżeństwa z przymusu bądź to, co bardzo je przypomina, za dwadzieścia lat wciąż będą w Danii możliwe? A może zwyczaje i tradycje upodobnią się do tych obecnych we współczesnym duńskim społeczeństwie? Chyba nikt nie jest w stanie tego przewidzieć, ale miała nadzieję, że Aisza znajdzie własną drogę.

W pracy nigdy nie działała mechanicznie, zawsze była skupiona na tym, co robi. Lecz przez następnych kilka godzin myślami wciąż krążyła wokół małej tureckiej dziewczynki, jednocześnie przygotowując dwa porody i rozpoczynając trzeci. I wiedziała dlaczego. Znowu nawiedzała ją myśl o Korei. Musiała bowiem zadać sobie pytanie, czy i ona jako niemowlę nie była dla swoich biologicznych rodziców rozczarowaniem. Czy tak bardzo chcieli syna, że zdecydowali się oddać do adopcji nowo narodzoną córkę? Bo będzie tylko kolejną osobą do wykarmienia, a potem i tak trzeba będzie ją wydać za mąż?

Ostatnimi czasy zaczęła usilnie szukać odpowiedzi. Odkąd jej matka trafiła do szpitala, by potem coraz bardziej się od niej oddalać, pograżając się w mroku własnego, gasnącego umysłu, owo pragnienie nabrało konkretnych kształtów, choć wiedziała, że to szaleństwo. Nie mogła jednak przestać myśleć, że być może gdzieś tam ma jeszcze jakąś rodzinę. Może udałoby jej się choć na chwilę pokonać

samotność, nawiązując kontakt z rodzeństwem, którego nigdy nie poznała, i rodzicami, którzy ją oddali. Może za bardzo różni się od innych, aby funkcjonować w Danii bez miłości i wsparcia matki?

Anne pchnęła drzwi do sali, gdzie poród wchodził właśnie w fazę kulminacyjną.

Doświadczenie nauczyło ją jednak nie mieć zbyt dużych pragnień i nie żywić zbyt wielkich nadziei. Dążąc do realizacji celów, łatwo można bowiem zranić ludzi, którzy są człowiekowi bliscy.

Potrząsnęła głową, by oczyścić myśli. Właśnie zdecydowała, że bardzo ostrożnie wypyta matkę, o ile uda jej się dotrzeć do niej po wylewie.

Powietrze przeciął krzyk rodzącej i chwila obecna całkowicie i bezwzględnie zawładnęła myślami Anne.

7

– Wygląda nieźle – Larry Olsson z entuzjazmem pochwalił ich zespół, pukając kłykiem w okładkę.

Wszyscy stali pochyleni nad najnowszym numerem leżącym wśród zużytych plastikowych kubków z resztkami kawy na posłaniu z innych gazet rozrzuconych po całym stole.

Dicte spojrzała na Bo. Oboje wiedzieli, co teraz nastąpi.

– Choć możliwe, że lepiej by się przysłużyło tej historii umieszczenie zdjęcia w pionie – zawyrokował ostatecznie, patrząc z przechyloną głową na zrobione przez Bo zdjęcie.

Dicte usłyszała westchnienie Bo.

– Trochę trudno jest sfotografować w pionie długi kordon policji z psami – zauważył.

Ale przecież Larry Olsson był Amerykaninem i optymistą.

– Wszystko da się zrobić – odparł. – Nie wolno się zniechęcać tym, że coś jest trudne. Mogłeś zrobić zbliżenie jakiejś pojedynczej sytuacji, zamiast się starać objąć wszystko.

– Coś w tym jest – próbował się podlizać Davidsen, który normalnie, gdy tylko Olsson odwracał się plecami, krytykował go równie zawzięcie co pozostali.

Bo się poddał. Larry Olsson wziął gazetę i ją podniósł.

– Ta okładka zyskałaby też na atrakcyjności z ramką wyłuszczającą najważniejsze informacje na boku – zwrócił się do Dicte. – Pomyśl o tym następnym razem.

– Wobec tego byłaby to bardzo mała ramka – odparowała Dicte swoim najśłodszy głośm i zapragnęła zobaczyć Olssona w Iraku bez kamizelki kuloodpornej. – W tej sprawie zasadniczo nie ustalono jeszcze żadnych faktów.

Larry Olsson opuścił rękę, w której wciąż trzymał gazetę, i spojrzał na nią znad świeżo przetartych szkieł okularów.

– Zawsze da się coś wyróżnić.

Kiedy dziesięć minut później jechali na konferencję prasową na komendę, Bo okrutnie się z niego naigrywał.

– Zawsze da się znaleźć coś do ramki – powiedział falsetem i wbił w Dicte wzrok znad nieistniejących okularów. – Można na przykład wyciąć wszystkie kropki i umieścić w czerwonej ramce po prawej.

– Albo można obramować cały artykuł i wylać na niego wiadro farby – zaproponowała Dicte, prychnając. – I wtedy problem będzie jakby rozwiązany.

– Można również pociąć główne zdjęcie i rozrzucić po całej stronie w małych trójkątnych fragmentach. To przykuwa uwagę czytelników – dorzucił Bo. – A potem można przyznać nagrodę osobie, która ułoży puzzle w całość.

Śmiech rozładował frustrację. Na krótką chwilę Dicte udało się zapomnieć o Iraku i nowym chłopaku Rose, i o zwłokach kobiety w porcie Århus. Spojrzała na roześmiany profil Bo z zaskakująco zadbanym kompletem zębów i wystającym podbródkiem wskazującym na zdecydowany charakter pomimo chłopięcej sylwetki i aury. Nagle jak nigdy poczuła w brzuchu motyle i absolutną pewność, że jest w nim zakochana. Takiej reakcji misiowaty lekarz od HIV mimo wszystko nie był w stanie wywołać.

– Niech to szlag – powiedziała, gdy w końcu udało jej się złapać oddech. – Czy naprawdę trzeba to brać serio?

Bo nic nie opowiedział. I nie musiał, bo przecież sama wiedziała, że tak, bo taki jest odgórny nakaz. Gazeta ma zostać podrasowana nowoczesnym designem. Zamysł jest taki, że klienci nieposiadający prenumeraty, stojąc przed półką w kiosku, wybiorą właśnie ich tytuł, bo grafika przykuje ich uwagę. A rozpaczliwie potrzebowali zwiększenia sprzedaży, ponieważ ich rezerwy finansowe topniały w tempie spadania samolotu z pilotem samobójcą. Nie żeby było to coś nowego.

– Sam powinien sobie stanąć w tym porcie i porobić cholerne zdjęcia aparatem schowanym pod kurtką – powiedział rozżalony Bo i dotknął rozciętej brwi, gdzie założono mu trzy szwy.

– A pozostałe zdjęcia? Dasz je Wagnerowi?

Pokręcił głową.

– Nie ma opcji. Tak się przecież nie bawimy. – Spojrzał na nią z ukosa. – Mam tylko nadzieję, że nie wyżyje się na tobie.

Ona też miała taką nadzieję. Bo miał prawo chronić swoje źródła, ale Dicte

obawiała się, że policja zwróci się do sądu, by uzyskać dostęp do całego filmu. Znajdą w nim na pewno masę twarzy i umieszczą w swoim archiwum, aby je wykorzystać, gdy następnym razem będzie trzeba zidentyfikować zadymiarzy. To ułatwiłoby pracę im, ale ogromnie utrudniło zadanie Bo. W środowisku imigrantów bardzo szybko rozniosłoby się, że pomógł policji, i następnym razem jeszcze trudniej byłoby mu robić zdjęcia innych wydarzeń.

– To może przysporzyć problemów – przyznała i wyobraziła sobie, że Wagner teraz zacznie trzymać ją na dystans. – Ale będziemy musieli się nimi zająć, kiedy się pojawią.

Bo wjechał na parking przed komendą. Kluczył w poszukiwaniu miejsca. Przez nieplanowany wykład Olssona spóźnili się i pozostali dziennikarze pozajmowali wszystkie wolne krzesła.

– Jakbyśmy nie mieli dość kłopotów – powiedział i zuchwale zaparkował na miejscu dla inwalidów, zostawiając w oknie tabliczkę z napisem „Prasa”. – O co chodzi z Rose? To coś poważnego?

Dicte zwróciła uwagę, że zadał to pytanie takim tonem, jakby chodziło o nową, nieznaną chorobę. Właściwie nie miały czasu normalnie o tym porozmawiać. Praca i zwłoki w porcie natychmiast zaprzętnęły całą jej uwagę.

– Ma na imię Aziz, studiuje medycynę i pochodzi z Pakistanu – zreferowała. – Rose mówi, że jest zasymilowany. Jego rodzina właśnie dlatego przeniosła się z City Vest do Viby. Ej, nie możesz tu parkować!

Bo spojrzął na zegarek. Po chwili zabrał zza szyby legitymację dziennikarską i skinął na nią, żeby wysiadała.

– Jeśli się spóźnimy, będziemy musieli po prostu znaleźć jakieś zdjęcie wśród tych starych z portu. W pionie – dorzucił, nim trzasnęła drzwiami.

W policyjnej sali konferencyjnej panował zaduch od przepoconych letnich ubrań.

Na miejscu było mnóstwo dziennikarzy, również z największych krajowych dzienników. To, że „Jyllands-Posten” przysłało swojego fotografa i dziennikarkę, było oczywistością, ale Dicte dostrzegła też ludzi z „Politiken” i „Berlingske Tidende” oraz pracowników agencji informacyjnych i lokalnych gazet. Operator wschodniojutlandzkiego oddziału TV2 chodził wokół i celował w ludzi obiektywem kamery opartej na ramieniu jak ręczna wyrzutnia rakiet, a dziennikarze ustawili swoje dyktafony na głównym stole, przy którym Wagner

i nadinspektor Hartvigsen siedzieli niczym trochę dziwna młoda para na weselu. Hartvigsen miał na sobie ciemną marynarkę, nieco za ciasną w ramionach, i ekstrawagancki krawat wybrany przez żonę, zaciśnięty pod szyją. Wagner jak zwykle był w tweedowej marynarce, a krawat miał poluzowany.

Pięć minut po czasie Hartvigsen odchrząknął i zaczął konferencję głosem brzęczącym, jakby się dusił. Rzeczywiście sięgnął po szklankę wody i głośno przełykając, opróżnił ją do połowy, po czym rozluźnił krawat i wreszcie zdecydował się rzucić w wir konferencji prasowej – czego ewidentnie nienawidził.

– Za moment wrócimy do sprawy kobiety, której zwłoki zostały znalezione w porcie w nocy z soboty na niedzielę, ale na początek chciałbym powiedzieć, iż obecnie mamy już ogląd przebiegu zamieszek w porcie tej samej nocy i w związku z tym zatrzymaliśmy czwórkę młodych ludzi.

– Czy są podejrzani o zabójstwo? – przerwał mu jeden z dziennikarzy.

Hartvigsen przesunął po zebranych małymi oczami osadzonymi głęboko w purpurowej twarzy.

– Nikt nie jest podejrzany o zabójstwo. Jak powiedziałem, do tej sprawy wrócimy później. Jeden z mężczyzn jest oskarżony o napaść na policjanta na służbie, inny o groźby karalne, a dwaj pozostali o obraźliwe i agresywne zachowanie.

Zaszeleścił papierami i zerknął do notatek. Christian Hartvigsen w wolnym czasie był rolnikiem i najlepiej czuł się pod gołym niebem. Sam się do tego przyznał w jednym z wywiadów.

Dicte posłusznie notowała w notesie i w myślach widziała już małą czerwoną ramkę.

– Rozpoznaliśmy również dwie osoby, które dopuściły się poważnego uszkodzenia samochodów policyjnych, i wezwaliśmy je do stawienia się na komendzie. Jest spora szansa na zidentyfikowanie kolejnych napastników i wandalii.

Bo wszedł do środka i usiadł na krześle, które dla niego zajęła.

– Wiem, do czego pijesz, kolego, ale będziecie musieli sobie poradzić bez mojego aparatu – szepnął przed siebie.

Hartvigsen ciągnął dalej, opisując wydarzenia z tamtej nocy. Z jego opowieści znów począł się wyłaniać scenariusz, w którym zarzewiem sporu była odmowa

wpuszczenia grupy młodych imigrantów do klubu Showboat. Mieli bilety ze świetlicy młodzieżowej Ungdomscenter i spodziewali się, że wejdą do środka, aby uczestniczyć w zabawie.

Hartvigsen podkreślił, że nic nie wskazywało na to, by starcie z policją było wynikiem zaplanowanej akcji.

Z sali padło sporo krytycznych pytań o to, czy policja nie mogła rozładować napięcia w inny sposób, unikając wzywania tak licznych posiłków i psów. Dicte również dorzuciła kilka pytań od siebie, choć tak naprawdę wszyscy czekali, aż głos zabierze Wagner.

Temperatura zrobiła się prawie nie do zniesienia. Dicte czuła, że przykleja się do siedzenia, a materiał letniej sukienki jest wilgotny pod pachami. Hartvigsen w końcu spojrzeniem przekazał pałeczkę Wagnerowi. Komisarz nie musiał zaglądać do notatek. Jego głos brzmiał spokojnie i łagodnie. Odnosiło się wrażenie, że jego wyważony, opanowany ton rozrzedza stojące w pomieszczeniu powietrze.

– Jak państwu wiadomo, około godziny drugiej dwadzieścia za kontenerem na śmieci znaleziono ciało kobiety. Pragnę podkreślić, że obecnie nic nie wskazuje na to, by starcia młodzieży z policją i fakt umieszczenia zwłok w tym samym miejscu były ze sobą powiązane.

Dyktafony szumiały, długopisy skrobały w notesach. Wszyscy czekali z pytaniami, aż Wagner skończy.

– Wciąż nie jesteśmy w stanie zidentyfikować ofiary. W bazach osób zaginionych, zarówno krajowej, jak i prowadzonej przez Interpol, nie widnieje nikt odpowiadający jej rysopisowi. Dlatego zdecydowaliśmy się udostępnić prasie zdjęcie twarzy ofiary.

Położył rękę na małej stercie plastikowych teczek i na moment ją tam zostawił.

– Nieliczne informacje, jakie postanowiliśmy upublicznić, zebraliśmy w teczkę, którą każdy z państwa otrzyma wraz ze zdjęciem. Tymczasem postaram się pokrótce przedstawić fakty, jakie udało nam się ustalić.

Dość lapidarnie, skupiając się na dokładnie tych informacjach, którymi zajmowały się media, Wagner przedstawił przebieg śledztwa od chwili znalezienia zwłok przez młodego imigranta do czasu, gdy ciało kobiety trafiło do Instytutu Patomorfologii przy Peter Sabroes Gade.

– Znaleziono oczywiście różnego rodzaju włókna na dywanie. Najwyraźniej to

zarówno sierść psa, jak i ludzkie włosy. Obecnie materiał jest poddawany szczegółowym analizom. Wciąż czekamy na wynik badania DNA i uzupełniający raport na temat substancji odurzających, alkoholu i tym podobnych.

Pochylił się lekko na krześle i wsparł łokciami na stole. Dicte miała wrażenie, że patrzy teraz wprost na nią. Wagner również nie lubił rozmawiać z prasą, lecz w przeciwieństwie do swojego szefa posiadał naturalny talent do przykuwania uwagi publiczności.

– Lekarze medycyny sądowej ustalili wiek ofiary na mieszczący się między siedemnastym a dwudziestym drugim rokiem życia. Śmierć najprawdopodobniej nastąpiła między godziną dwudziestą trzecią a pierwszą.

Znów zrobił przerwę i wszyscy wstrzymali oddech. Kiedy padły słowa, które Dicte najbardziej obawiała się usłyszeć, zauważyła wyraźną zmianę w głosie Wagnera, zwykle rzeczowym i neutralnym:

– Przyczyną śmierci była duża utrata krwi wynikła z profesjonalnie przeprowadzonego cesarskiego cięcia.

Powietrze w pomieszczeniu było ciężkie od gorąca. Wagner pomyślał, że wygląda to tak, jakby lato miało nigdy nie odpuścić. Zsunął marynarkę i powiesił na oparciu krzesła. Krawat też zdjął i położył przed sobą na stole. Mimo że po konferencji otwarto okna, wciąż panował zaduch pozostały po sporej grupie ludzi, a wilgotność dochodziła do stu procent.

Czekał cierpliwie, aż wszyscy usiądą. Ivar K i Eriksen przynieśli termos kawy, Jan Hansen ciasto półfrancuskie i paczkę biszkoptów przekładanych dżemem malinowym, a Petersen ze stołówki tacę z filiżankami i spodkami. Ich młody kolega, Kristian Hvidt, położył przed Wagnerem teczkę z raportem techników. Komisarz zaczął ją powoli przeglądać, kiedy reszta zespołu przesuwała krzesła po konferencji i powoli zajmowała swoje miejsca wokół królującego w sali stołu.

Zdjęcia zmarłej – zarówno te z portu, jak i z metalowych noszy w Instytucie Medycyny Sądowej – wyzierały spomiędzy kartek wsuniętych w plastikowe koszulki. Choć czuł wewnętrzny opór, odciął się od zgiełku wokoło, by w skupieniu wsłuchać się w to, co mówiła do niego śmierć. Pytania znów zakłębiły się w jego głowie – te same, które nie przestawały go dręczyć od sobotniej nocy. Była taka młoda, mogła nawet nie skończyć osiemnastu lat. Człowiek u progu życia. Jak ma na imię? Gdzie dorastała, jakie miała dzieciństwo i jak wyglądały jej pierwsze młodzieńcze lata? Kim jest ojciec jej dziecka? Miała pełne usta, Wagner wyobraził sobie, że dużo się śmiała. Jaki miała śmiech? Piękny i melodyjny? Czy twardy i nieco zgorzkniały, bo być może jej dawne życie mimo wszystko nie było hasaniem po łące?

Wagner przyjął podany mu kubek kawy i niechętnie wziął pierwszy łyk o smaku lekarstwa.

Znał ten proces na wylot i być może dlatego za każdym razem było to dla niego trudniejsze. Aby skutecznie poprowadzić śledztwo, niezbędne jest otwarcie się na ofiarę, dopuszczenie jej do siebie i osobiste odczucie jej straty i tragedii. Należało mieć ją bardzo blisko, wpuścić ją w to miejsce w swojej świadomości, gdzie zagadka jej śmierci będzie mogła zacząć żyć własnym życiem, dzień i noc.

W miejsce, w którym ta zagadka będzie sprawiała mu ból i z którego Ida Marie zostanie odsunięta na peryferie jego życia. Ona również to wiedziała i zwykle umiała się z tym pogodzić. Czy i tym razem tak będzie?

Zmusił się, by ponownie spojrzeć na kartki. Było wśród nich duże zbliżenie kobiecego podbrzusza z poprzecznym cesarskim cięciem. Obce dłonie zajęły się tą dziewczyną i wyłuskały niemowlę z jej ciała. Czy była wówczas świadoma? Czy zdążyła zobaczyć swoje dziecko? Czy wiedziała, że za chwilę umrze?

Głos Ivara K przywrócił go do rzeczywistości.

– Jak starcie z drapieżcami?

Wagner nieznacznie wzruszył ramionami.

– Chyba dobrze. Teraz trzeba poczekać, co wyniknie z publikacji zdjęcia.

Hansen sięgnął po biszkopt z malinami i przez chwilę machał nim w dłoni.

– Wyobraźcie sobie: zobaczyć kogoś znajomego w gazecie w takich okolicznościach. To musi być potworne.

Wagner, jak już wielokrotnie wcześniej mu się to zdarzało, pomyślał, że Hansen jest wrażliwszy, niżby na to wskazywała potężna sylwetka wykidajły i ogolona na zero głowa. Wiedział również, jaka nastąpi reakcja. Ivar K, odwieczny antagonistą Hansena w ich zespole, podrapał się po modnie przyciętym zaroście i wbił wzrok w kolebę.

– Nie ma sensu się roztkliwiać.

Wagner tylko spojrział na urażoną twarz Hansena i zdecydował się niezwłocznie interweniować. W żadnym razie nie wolno dopuścić, by rozpoczęli dochodzenie ze szczeniackim konfliktem kipiącym pod pokrywką.

– Jest bardzo mało prawdopodobne, by jacyś duńscy rodzice otworzyli gazetę i ujrzeli na tym zdjęciu swoje dziecko. Jak wam wiadomo, sprawdziliśmy wszystko, wzdłuż i wszerz, i nigdzie nie ma zaginionej odpowiadającej rysopisowi. Obdzwoniliśmy też wszystkie szpitale i prywatne kliniki i wiemy, że tego zabiegu nie przeprowadzono w żadnej z zarejestrowanych placówek w kraju.

– Zatem co, do cholery? – spytał Ivar K i poniuchał w powietrzu, jakby odpowiedź mogła się kryć w wirujących drobinach kurzu. – Dokąd można iść na cesarkę, żeby nie zostało to odnotowane? Mówicie przecież, że z zagranicy po czymś takim nie zdołałaby dotrzeć do kraju.

Petersen pokręcił głową.

– Tak twierdzą medycy sądowi. Zrobienie zabiegu za granicą byłoby trudne, zważywszy na czas zgonu.

Eriksen, zasypując okruchami ciasta leżący przed nim notes, dodał:

– Musiałaby zostać przewieziona, na przykład z Niemiec, niezwłocznie po tym, jak umarła. To mało prawdopodobne, ale może dla pewności powinniśmy się skontaktować z niemieckimi szpitalami w pobliżu granicy? I szwedzkimi?

Wagner przytaknął i przemknęło mu przez myśl, że może również w niemieckiej i szwedzkiej policji znajdą się jacyś krewni Eriksena. Jego rodzina była tak liczna, że miał braci i kuzynów zarówno w policji w Ringkøbing, jak i Århus czy Kopenhadze.

– A co w ogóle jest prawdopodobne? – zastanawiał się Ivar K, wyciągając długie nogi przed siebie i jak zwykle odchylając się na krześle pod niebezpiecznie szerokim kątem.

Pytanie było bardzo na miejscu. Wagner niechętnie się do tego przyznawał, ale czasem, szukając odpowiedzi, człowiek musi się odwołać do swoich uprzedzeń. Myślał to i jednocześnie obiecał sobie, Bóg wie, który raz, że już nigdy, przenigdy nie napije się kawy z policyjnej stołówki, bo zawsze rozwała mu żołądek.

– Myślę, że to nie córka państwa Jensenów przypadkiem znalazła się za kontenerem na śmieci w porcie Århus.

Z odrazą odsunął od siebie kubek i rozejrzał się wokół. Wszyscy patrzyli na niego w skupieniu. Nawet Ivar K przestał się huśtać na krześle i siedział jak zahipnotyzowany, pochylony do przodu z łokciami wspartymi na stole.

– Sądzę, że powinniśmy szukać młodej dziewczyny z powiązaniem z jakimś środowiskiem działającym w ukryciu – powiedział Wagner. – Skoro nikt się do niej nie przyznaje, to być może ani na papierze, ani w komputerach w ogóle nie ma jej w kraju.

– Czyli była tu nielegalnie? – zasugerował Petersen. – Uroda wskazywałaby na Wschód.

– Dziwka? – swoim zwyczajem prosto z mostu spytał Ivar K. – Białorusinka z salonu masażu? Tych jest tutaj na pęczki – dodał z miną znawcy.

– Tylko czy dziwki zachodzą w ciążę? – Pytanie Kristiana Hvidta zabrzmiało nazbyt naiwnie i gdy Ivar K podniósł brwi i sarkastycznie je skomentował, Hvidt doprecyzował: – Wiem, że to ryzyko zawodowe, ale chyba się zabezpieczają,

prawda? Albo robią sobie aborcje?

– Być może. – Wagner był ostrożny w sądach. – Możliwości jest wiele.

Zasadniczo możliwości było zdecydowanie za wiele i niewykluczone, że właśnie to dręczyło go najbardziej. Ta kobieta w rzeczywistości mogła być kimkolwiek, począwszy od nielegalnej imigrantki, a skończywszy na turystce. Mogła pracować gdzieś w kraju albo tylko tędy przejeżdżać. Choć z drugiej strony kto odbywa dalekie podróże, będąc w zaawansowanej ciąży?

Kiedy zaczęli ustalać zakres działań i dzielić się zadaniami, Wagner zastanawiał się, jakie niemożliwe do przewidzenia konsekwencje dla miasta będzie miało podrzucenie zwłok akurat w tym miejscu. Myślał o tym podczas konferencji prasowej, gdy dziennikarze uczepili się wątku imigrantów.

Nawet Dicte Svendsen doszukiwała się zależności pomiędzy środowiskiem skupionym wokół klubu, gdzie już wcześniej były problemy z młodzieżą z dzielnicy imigranckiej, a znalezieniem zwłok w tym akurat miejscu.

Wagner zamknął powieki i mimowolnie przed oczami stanął mu obraz przyjaciółki Idy Marie siedzącej w jednym z pierwszych rzędów i wyciągającej rękę jak pilna uczennica. Tyle że jej pytania nie były ani trochę grzeczne, ale jak zawsze trafiały w sedno.

– Czy to znalezisko wpłynie na stanowisko policji wobec kwestii imigrantów? Czy nie wydaje się jasne, że tę sprawę będzie można wyjaśnić jedynie poprzez skoncentrowanie się na środowisku przestępczym z kręgów imigranckich?

Jak zwykle mówiła uprzejmym, przyjaznym tonem, podszytym jednak kąśliwością cechującą jej styl zadawania pytań.

Odpowiedział wymijająco, bo co niby miał zrobić? Istniały uzasadnione obawy, że jeśli prasa rozdmucha wątek imigrantów, spirala przemocy w Gjellerup ponownie się nakręci, a do tego za żadną cenę nie wolno dopuścić. Od znalezienia ciała minęły zaledwie dwie doby, a już doszło do czterech gwałtownych starć pomiędzy młodymi imigrantami a policją. Dwaj policjanci zostali skopani, kiedy zatrzymali młodego chłopaka, by dokładniej obejrzyć jego skuter, a w Hasle grupa młodych ludzi ze środowiska imigrantów próbowała obrabować konwój pieniędzy. Do zamieszek doszło również w Brabrand, kiedy młodzież stojąca na kładce dla pieszych przy Edwin Rahrsvej zrzuciła kostki brukowe na dwa przejeżdżające poniżej radiowozy. Zatem już teraz napięcie pomiędzy obiema stronami sięgało

zenitu, a niesłabnący upał i znalezienie zwłok mogły się stać zapalnikiem, od którego całe miasto stanie w ogniu.

Po Dicte spodziewał się jednak czegoś innego. Liczył, że skupi się na ofierze i zabiegu, jakiemu została poddana. Dopiero po kilku minutach od rozpoczęcia konferencji dotarło do niego, dlaczego tego nie zrobiła. Dicte martwiła się bardziej niż inni. Znalezienie zwłok w porcie i informacja o makabrycznym cesarskim cięciu mogły być dla niej jak sztylet wbity prosto w jej własną przeszłość. Od Idy Marie wiedział, że jako nastolatka oddała do adopcji dziecko i nigdy się z tego nie otrząsnęła. Być może dlatego tak długo trwało, nim zdobyła się na zadanie pytania, które nasuwało się samo, lecz żaden inny dziennikarz z jakiegoś powodu nie wpadł na nie:

– A co z dzieckiem? – zapytała w końcu głosem nieco donośniejszym, niżby wynikało ze zwykłego niepokoju, który brzmiał, jakby nie należał do niej. – Gdzie ono jest? Czy żyje?

Nie potrafił jej odpowiedzieć.

– Czy w ogóle mamy się na czym oprzeć? Jakież ślady techniczne? Cokolwiek, co by wskazywało na środowisko imigrantów? – niecierpliwił się Ivar K i ignorując siedzącego obok Hansena, sięgnął po cukierniczkę.

Wagner przesunął w ich stronę raport techników. Obaj z Hansenem zaczęli powoli kartkować dokumenty. Pozostali wyciągali szyje w stronę teczki.

– Mamy dywan – zasugerował po chwili Wagner. – Ten, w który była zawinięta. Tam, w porcie, trudno go było dokładnie obejrzeć – dodał, zwracając się do Hansena, który potakiwał głową – ale spójrzcie na to.

Hansen służył dawniej w lokalnym komisariacie w City Vest i Wagner wiedział, że świetnie zna okolicę. W którymś momencie złapał jednak detektywistycznego bakcyła i w ramach okresowej rotacji trafił do wydziału kryminalnego, gdzie doskonale się spisał podczas śledztwa w sprawie martwego noworodka znalezionego w rzece Århus. Od tamtej pory Wagner ani razu nie pożałował, że tak usilnie naciskał na kierownictwo, by na stałe włączyło Hansena do ich zespołu.

Hansen cicho zagwizdał, kiedy obejrzał zdjęcie. Okazało się, że na dywanie widnieje konkretny motyw. Po rozwinięciu spod warstwy krwi przebijał wyraźny obraz meczetu.

– Ładne – skomentował cicho. – Wygląda zdecydowanie jak ten szajs, który

można kupić w Bazar Vest.

W tym śnie była sama. Pozostali znajdowali się bardzo daleko. Rozdmuchani po różnych krańcach świata przez potężną siłę, która ją z nimi rozdzieliła. Jej rodzice, Rose, Bo. Jakby wszechświat w wielkim kosmicznym skurczu wypchnął ich na wszystkie strony i tylko ona została w tyle. Trwale przywiązana do tratwy samotności dryfowała w rytmie fal w nicość.

Dicte obudziła się mokra od potu i z prześcieradłem zwiniętym między nogami. Zza okna dobiegał poranny trel ptaków, słońce jak co dzień tego lata niemal od świtu przypiekało przez okno w dachu. Wciąż zapominała kupić rolety. Wciąż zapominała o tylu rzeczach. Myślała o tym, kiedy jeszcze chwilę leżała, spijając światło i czekając, aż koszmar całkiem z niej uleci.

Wygrzebała się z pościeli i odwróciła do Bo. Leżał spokojnie, cicho pochrapując, jakby wszystko było w najlepszym porządku, a na Bliskim Wschodzie i w reszcie świata ogłoszono pokój. Sypiał tak, odkąd zdecydował się na Irak – spokojnie jak dziecko.

Wparta na łokciu przyglądała się mężczyźnie, którego nigdy nie nauczyła się rozumieć. Wyglądało na to, że był dokładnym przeciwieństwem większości ludzi. Jakby czekające go wkrótce niepokój i niepewność same w sobie stanowiły źródło stabilności i cichej, pełnej nadziei radości. Nosił w sobie coś, co od czasu do czasu musiał przewietrzyć – tyle wiedziała. To coś najpierw sprawiało, że się dystansował, ale jednocześnie niestrudzenie go urabiało, aż musiał temu ulec. Jakieś pragnienie, jakaś tęsknota – tylko na tyle była w stanie to pojąć. Trochę jak jej nieodparty pociąg do zagłębiania się w tematy, które ją zmuszały do konfrontacji z własną przeszłością. Tylko że jego pragnienie nie było dla niego tak wyniszczające, jak potrafiły być jej ciągoty. Ono nie popychało go do autodestrukcji i obwiniania się, a jedynie całkowicie go angażowało, pobudzało do działania, wręcz radowało. Można by go porównać do udomowionego zwierzęcia, w którym czasem odzywa się prawdziwa natura. Pies goniący kota. Kot pożerający żywca mysz. Zając, który wrzeszczy przeraźliwie jak niemowlę, gdy go dosięgnie kula myśliwego. Czysty instynkt. W każdym włóknie i każdym mięśniu.

Przytuliła się do niego. Jak zwykle chciała ukraść mu trochę tego, czego czasem zapominał jej dać. Miał przecież również własne życie poza tym, które wiedli wspólnie. Musiała pamiętać, że dzieci zajmowały ogromną część jego uwagi. I kariera, choć sam nigdy tego tak nie nazywał. A jednak czasem pochłaniała go bez reszty, bardziej nawet niż ją.

– Mmm...

Na jego twarzy dostrzegła lekki uśmiech, a oczy poruszyły się pod zamkniętymi powiekami. Uniosła się i pocałowała je – najpierw jedno, a potem drugie. Długie rzęsy łaskotały w wargi. Jego dłonie chwyciły ją za biodra.

– Mmm... mmm.

Wydawał z siebie dźwięk uruchamianego silnika. Z jego warg ssał smak soli, jaki na nich zostawiła upalna noc. Dłonie przesuwały się teraz po jej ciele. Ramiona ją otoczyły.

– Chcę... – szepnęła – chcę cię wziąć... teraz.

– Ach tak – wciąż na wpół śpiący mruknął jej do ucha przez zasłonę włosów. – Czy mam tu cokolwiek do powiedzenia, jeśli wolno spytać?

– Oczywiście. Możesz wybrać delikatnie albo mniej delikatnie. Albo dużo mniej delikatnie – dorzuciła.

Przez chwilę leżał nieruchomo i Dicte zaczęła myśleć, że znów zasnął. Ale nagle jego dłoń szarpnęła ją za włosy i odchyliła głowę do tyłu. Uśmiechnął się, odsłaniając zęby, a na skórze poczuła, jak jego mięśnie brzucha napinają się, kiedy się odwrócił, by być na górze. Poczowała ssanie otwierające jej ciało.

– Myślę, że spróbujemy tej ostatniej opcji. Dla odmiany – dodał.

I wtedy zaczęły się pchnięcia, obezwładniające ją i porywające w rytmie podobnym do fal ze snu, tylko teraz nie była już sama.

– Myślisz, że coś ukrywają? – spytał Bo, przeżuwając kanapkę, kiedy siedzieli w kuchni i jedli śniadanie, a Rose już dawno pojechała autobusem do szkoły.

– Zawsze coś ukrywają. Dla dobra śledztwa – wyjaśniła.

Ukroiła plasterek chudego sera i położyła na czarnym chlebie. Bez masła. Stwierdziła, że kazania Anne o zdrowym odżywianiu najwyraźniej działały, po czym zapiła kęs kawą. Próbowwała zgadnąć, co mogliby ukrywać, ale równie dobrze mogło to oznaczać, że po prostu nic nie mają. Był oczywiście dywan, w który zawinięto kobietę. Tak zakrwawiony, że ledwo dało się na nim cokolwiek dostrzec,

ale kto wie – technicy mogli znaleźć coś poza psią sierścią i ludzkimi włosami, o których wspomniał Wagner. Mogły się oczywiście znaleźć również inne ślady – włókna na ciele ofiary, w jej ustach albo pod paznokciami. Zawartość żołądka również mogła dać sporo wskazówek, podobnie jak poziom środków odurzających, alkoholu czy leków we krwi. Na pierwszy rzut oka brakowało jednak jakichkolwiek śladów. I dziennikarze również nie mieli punktu zaczepienia, dopóki policja nie ujawni kolejnej albo kolejnych informacji. Może powinna się postarać o audiencję u Wagnera? Tylko że to może być trudne. Zwykle dawała mu coś w zamian, a w tej chwili naprawdę nie ma żadnej karty przetargowej.

– I co teraz? Możesz coś zrobić? – zapytał Bo, który znał ją na wylot. – Jest jakiś wątek, na który mogłabyś się rozpisnąć?

Wiedział równie dobrze jak ona, że gazeta, a przede wszystkim Kaiser byli nienasytzeni i oczekiwali, że wycisnie ten temat jak szmatę do podłogi. I oczywiście jeden z wątków aż się prosił o rozwinięcie, ale ona nie miała na to ochoty. Patrzyła z wyrzutem na kromkę chleba, jakby to wszystko była wina pieczywa.

– Imigranci – mruknęła. – Cała prasa rzuci się teraz na nich. U nas będzie podobnie. Daję głowę, że Holger już wygrzebuje starą sprawę grupowego gwałtu na trzynastolatce.

Bo wlał w siebie resztkę kawy.

– Jest jeszcze cesarskie cięcie. Mówią, że zrobiono je profesjonalnie.

Wzruszyła ramionami. Jak trudne może być rozcięcie podbrzusza? Słyszała opowieści o kobietach, które same na sobie wykonały ten zabieg. Taki szczegół nie odwiedzie dziennikarzy od powrotu do starej śpiewki o muzułmańskich chłopcach, którzy nie mają za grosz szacunku dla duńskich dziewcząt. Tok myślenia mógł być taki, że jeśli chodzi o szacunek dla kobiet, niewielka jest różnica pomiędzy gwałtem a rozcięciem brzucha ciężarnej i porzuceniem jej w porcie. I kto wie, może faktycznie niewielka, ale Dicte tak bardzo nie chciałaby zajmować się akurat tym aspektem sprawy.

– Tylko czy profesjonalista pozwala kobiecie się wykrwawić i porzuca ją za śmietnikiem? Zobaczysz – ostrzegła – cały ten wątek utonie w dyskusji o imigrantach i powykręcają go jak spiralną wieżę kościoła Najświętszego Zbawiciela.

Bo dolał im obojgu kawy z dzbanka z tłokiem.

– Pamiętasz tamtą matkę, która nam pokazała fucka? – W jego głosie słyhać było tęsknotę, pewnie dlatego, że zawsze myślał obrazami, a ten akurat mówił więcej niż tysiąc słów.

Oczywiście, że pamiętała – aż nazbyt dobrze. A zwłaszcza to, jak sama zareagowała. Syn tamtej kobiety chwilę wcześniej został skazany za współudział w gwałcie na młodej Duncce, a jego ubrana w hidżab matka, wychodząc z budynku sądu, prowokacyjnie wysunęła ku dziennikarzom środkowy palec. Jej zdjęcie trafiło na okładki w całym kraju, a potem zostało wykorzystane w kampanii reklamowej partii Venstre. Oburzenie wywołało zarówno zachowanie matki, jak i sposób, w jaki prasa i politycy wykorzystali jej zdjęcie.

Dicte ku własnemu zaskoczeniu zachowała się wtedy wyjątkowo nieprofesjonalnie. Bo doskonale to zapamiętał i teraz bezlitośnie ją przedrzeźniał:

– To czemu, u licha, nie wróci tam, skąd przyjechała? – wrzasnął donośnym głosem, nasladując ją.

Poruszyła się niespokojnie na krześle i poczuła, że się czerwieni. Miał rację. Tak właśnie powiedziała, kiedy Bo i inni reporterzy trzaskali zdjęcie za zdjęciem, utrwalając na zawsze niesławną scenę. Nie wiedziała, dlaczego to powiedziała. Zazwyczaj naprawdę starała się widzieć kwestię imigrantów w całej jej złożoności. Lecz coś w tamtej groteskowej przeciwieństwie sytuacji uruchomiło w niej dziwny mechanizm, o którego istnieniu nie miała pojęcia. Emocje wezbrały i musiały się wydostać. Czuła nieprzemienne pragnienie, by zerwać kobiecie z głowy chustę, potrząsnąć nią i zapytać, jak do cholery mogła nauczyć syna traktować kobiety w ten sposób.

Dicte przeszły ciarki. Chciałaby o tym zapomnieć. Dawniej mogła się poszczycić pewnym zrozumieniem dla obcych kultur. Ale może tamto zajście było po prostu krokiem w stronę uznania, że pewnych aspektów kultury mieszkających w Danii muzułmanów najzwyczajniej nie pojmuje i nie ma ochoty pojąć.

Przypomniała sobie lakoniczną odpowiedź Bo, kiedy stał z aparatem zawieszonym na szyi:

– Może dlatego, że ona jest stąd. Z Danii.

Dicte odsunęła resztkę suchego chleba na brzeg talerza i z lodówki wzięła jogurt naturalny, a z szafki nad blatem wyjęła pudełko płatków.

– Nie mam ochoty pisać o imigrantach.

– Dlaczego? – spytał Bo z niewinną miną.

Odwróciła się do niego z kartonem jogurtu w ręce.

– Po pierwsze dlatego, że jestem tchórzem – przyznała. – Temat jest po prostu zbyt skomplikowany i budzi za dużo kontrowersji. A po drugie, w głębi duszy czuję, że rozwiązania należy szukać gdzie indziej.

– A po trzecie – dokończył za nią Bo i zaczął zbierać filiżanki ze stołu – ponieważ twoja córka ma chłopaka z Pakistanu, a ty nie wiesz już, co jest słuszne, a co nie, i gdzie w tym konflikcie jest góra, a gdzie dół.

Spojrzała na niego z wyrzutem. Tak się złożyło, że w całym zamieszaniu udało jej się zapomnieć o Rose i Azizie, ale Bo oczywiście miał rację. Związek Rose przez cały czas unosił się na obrzeżach jej świadomości. Nie było sensu zaprzeczać.

– Sama bym tego lepiej nie ujęła – przyznała.

Nalała jogurtu do miseczki i odstawiła karton na stół. Bo wziął go i wepchnął w zwyczajowy gąszcz resztek jedzenia, opróżnionych do połowy butelek wina i kartonów mleka wypełniający ich lodówkę.

– Może właśnie dlatego powinnaś o tym napisać – powiedział poważnym tonem.

– Przedstawiłabyś temat w całej jego złożoności i z wyczuciem.

– Tyle że Kaiser nie chce niuansów.

Miała twardy orzech do zgryzienia. Chciałaby postąpić jak należy i opisać to tak, jak trzeba. Czasem człowiek musi przyznać się do własnej niepewności i uznać starą prawdę, że bardzo łatwo wyrażać poglądy w imieniu innych. Znacznie trudniej jest, kiedy problem dotyka kogoś bezpośrednio.

– Anne się zastanawia, czy nie odszukać swoich rodziców – powiedziała, sądząc, że w ten sprytny sposób zmieni temat i skieruje ich uwagę na co innego – w Korei.

Bo cicho zagwizdał, a ona nagle zrozumiała, że nieświadomie z jednego ciężkiego tematu przeszła na kolejny, bo oto przyglądał jej się teraz bacznie i w mgnieniu oka również ta historia zboczyła z toru.

– I coś się w tobie obudziło – odgadł. – Skoro Anne może odnaleźć rodzinę, to może ty również możesz? Czy nie tak?

Pokręciła głową.

– Ani trochę.

– Ale przyszła ci do głowy taka myśl – nie dawał za wygraną.

– Codziennie mi przychodzi. Gdzieś tam jest mój syn, oczywiście, że o nim myślę.

– To dlaczego nic z tym nie robisz?

Czuła się coraz bardziej niezręcznie, aż sobie uświadomiła, że odpowiedź jest taka jak przed chwilą.

– Bo jestem tchórzem.

Potrzebowała świeżego powietrza i samotności. Żeby nikt nie kwestionował jej odwagi czy motywów.

Dlatego też nie miała ochoty jechać razem z Bo do redakcji. Zamiast tego ruszyła do portu, gdzie policja zwinęła już taśmy odgradzające.

Zaparkowała, wysiadła i skierowała się w stronę Showboat przycumowanej przy kei jak wielki biały wieloryb. Na pokładzie pracował jakiś mężczyzna. Słyszała jego kroki, ale nie widziała, co robi. Skierowała wzrok na plac. W miejscach, z których młodzi ludzie powyrywali kostki brukowe, by rzucać nimi w policjantów, nadal były dziury. Lecz tam, gdzie leżały zwłoki, nie został nawet ślad. Domyśliła się, że policja opróżniła również kontener z odpadami z kambuza w poszukiwaniu dowodów. Zrobiła rundkę wokół kontenera i bacznie wpatrywała się w asfalt. Miejsce wyglądało jednak tak, jakby ktoś dokładnie je odkurzył, usuwając nawet najmniejszy papierek i najkrótszy niedopałek papierosa.

Z zamkniętymi oczami wyobraziła sobie, jak tamta kobieta mogła tu trafić. Samochodem – pomyślała. Ten albo ci, którzy ją podrzucili, musieli mieć samochód. Może ktoś coś widział. Może gdzieś jest jakiś świadek.

Może to, może tamto, stwierdziła z żalem, oddalając się i podchodząc do krawędzi basenu portu. Głęboko wdychała zapach morza, wpatrując się w szarozieloną wodę. Ktoś musiał wrzucić do niego resztki jedzenia, a może to tylko odpady ze statku dryfowały na powierzchni. Stado mew otoczyło je i baraszkowało wśród głośnych pokrzykiwań mieszających się ze skrzypieniem liny, gdy przycumowany nią statek-dyskoteka bujał się na wodzie.

Kawałek dalej na rozkładanym krzeselku siedział wędkarz. Żyłka zwisała z kija luźno z końcem zanurzonym w wodzie, a ów mężczyzna nie wyglądał, jakby naprawdę spodziewał się cokolwiek złapać. Obok niego stało białe wiaderko i torba ze sprzętem. A jeszcze dalej przy kei cumowały dwa frachtowce.

Tak powinno się żyć. Cisza i spokój w letni ranek, zanim słońce zacznie na

dobre przypiekać. Siedzieć sobie po prostu na świeżym powietrzu z wędką i tylko na niej się skupiać, patrząc na wodę.

Próbowała zobaczyć siebie na miejscu tego człowieka. Dać się zahipnotyzować rytmicznemu pluskaniu morskiej wody i stłumić strach, który gdzieś w niej dudnił. Jej życie było inne. Do ciszy i spokoju miała tak daleko jak stąd do Księżyca. Oczy zalały jej czerwone fale i na moment znów zamarła wpatrzona w zakrwawione podbrzusze. Świadomość podsuwała jej ponurą wizję. Zostanie wciągnięta w gąszcz zła i cynizmu. Jakkolwiek się to rozwinie, ona stanie się tego częścią, a to wywierci w niej dziurę dokładnie tam, gdzie najbardziej tego nie chciała.

– Tchórz – powiedziała na głos, a morska bryza porwała głoski, zakręciła nimi i poniosła je hen daleko nad taflą wody.

Potem Dicte wróciła do samochodu i pojechała do redakcji.

10

– To złe oko.

Aziz przyglądał się swojej matce, kiedy stała przy zlewie i wymachiwała ręką. Podobnie jak jej siostra była niska i okrągła. On za to był po ojcu wysoki i szczupły. Nie po raz pierwszy jednak sobie uświadomił, że umysł odziedziczył po matce, za to jego młodsza siostra, Nazleen, pod tym względem bardziej przypominała ojca. O ile on był zamknięty i zamyślony jak matka, Nazleen z pasją używała słów jako broni przeciw wszystkiemu i wszystkim.

Choć teraz, krojąc warzywa, matka nie była szczególnie zamknięta i zamyślona. Szybko też dodał w myślach, że jej małomówność zdecydowanie nie oznaczała spolegliwości. Przeciwnie – gdy coś sobie wbiła do głowy, nie sposób było jej od tego odwieść. Tak jak teraz.

– To zbieg okoliczności – tłumaczył Aziz. – Nie ma żadnego związku ze złym okiem.

Matka trzymała się obranego kursu.

– Dobrze sobie radzisz – tłumaczyła przez ramię, obierając marchewkę z taką wprawą, że aż fruwały strużyny. – Dobrze ci idzie na studiach, jesteś dobrym synem i cała masa uroczych i bardziej odpowiednich dziewcząt stoi w kolejce, by za ciebie wyjść.

Aziz z wszystkich sił starał się wyglądać neutralnie. Pocił się na samą myśl, że mógłby być z kimś innym niż Rose. Wiedział, że oboje rodzice liczyli po cichu na miłą muzułmańską synową z Pakistanu. Wiedział też, że mają na myśli pewną bardzo konkretną dziewczynę. Oczywiście nie zamierzał im pozwalać o tym decydować, ale poinformowanie ich o tym stanowiło odrębny i niemały problem.

Matka wrzuciła kolejną marchew do miski z wodą i rozległo się ciche pluśnięcie.

– Tyle nieszczęść, i to prawie jednocześnie – powiedziała dramatycznym tonem.

Wciąż trzymając w ręce nóż do obierania, zaczęła liczyć na krótkich grubych palcach. Jak zwykle, gdy miała coś robić przy zlewie, złote pierścionki odłożyła na parapet.

– Najpierw ten wypadek samochodowy. Potem spadłeś ze schodów i rozciąłeś

sobie głowę. Później zgubiłeś portfel, a w nim sto koron, a teraz jeszcze to.

Wbiła wzrok w sufit i wykonała ramionami błagalny gest ku niebiosom, aż z noża kawałek obierki spadł na linoleum. Aziz schylił się i go podniósł.

– Ta kobieta, której ktoś odebrał dziecko. Niech Allah trzyma tę sprawę z dala od nas. Kobietę, która leżała w porcie.

– Przecież ja nie miałem z tym nic wspólnego. Chcieliśmy tylko iść do klubu – bronił się.

Ale zrozumiał komunikat. Jak większość muzułmanów, matka była przekonana, że śmierć przynosi pecha i jeśli ktoś w jakikolwiek sposób został powiązany z kimś martwym, był to bardzo zły znak.

– Zamówiłam ofiarę – powiedziała tonem nieznoszącym sprzeciwu i chwyciła mocno następną marchewkę. – Umówiłam się z kuzynem twojego ojca w Pakistanie, że prześlę mu sto koron, aby w twoim imieniu ofiarował dwie kozy i rozdał mięso biednym.

Aziz aż jęknął, ale z doświadczenia wiedział, że nie ma sensu protestować. Poza tym chyba nic złego się nie stanie, jeśli kilkoro biedaków zje trochę mięsa na jego rachunek.

– Zamówiłam też talizman – powiedziała wreszcie. – Musisz go stale przy sobie nosić, a ochroni cię przed złem.

– To nic nie pomoże. Nie wierzę w takie rzeczy – oświadczył.

– Oczywiście, że pomoże.

Znów stwierdził, że nie ma siły protestować. To by zresztą nic nie dało. Równie dobrze może się pogodzić z tym, że jeden z arabskich szamanów sprzedających amulety bogobojnym muzułmańskim matkom robi kolejny dobry interes. Wyciągnął się przy kuchennym stole i przez chwilę nie robił nic, tylko wyglądał przez okno. Próbował zapanować nad myślami i nie rozpamiętywać tego, co widział sobotniej nocy. Lepiej już być dobrym chłopcem, przyjmować talizmany i słuchać napominania matki. Nawet religijne kazania Nazleen były lepsze od myśli, które dudniły w jego głowie i w każdej chwili mogły rozsadzić mu czaszkę.

– Jesteś głodny?

– Niespecjalnie.

Matka skończyła zmywać i ciężko człapiąc, przesunęła swą przysadzistą postać ku lodówce i wyjęła z niej talerz z jakimś jedzeniem.

Ostrożnie wzięła nóż i ukroiła kawałek ciasta. Do szklanki nalała mu zimnej wody z sokiem i postawiła wszystko pod nosem, nim zdążył cokolwiek powiedzieć.

– Musisz nabrać ciała. Jesteś za chudy.

Nie mógł się nie uśmiechnąć. W jej oczach każdy, kto wyglądał inaczej niż ona, był bliski śmierci z niedożywienia. Sama zresztą też ukroiła sobie kawałek i usiadła na chwilę, szybko wpychając w siebie słodkości.

Zalała go fala czułości i przyłapał się na tym, że chciałby tę chwilę zatrzymać, a całą resztę zamknąć na zewnątrz. Oto jego mama. Niczego nie podejrzewając, siedzi sobie, zadowolona i dumna z syna, który studiuje na uniwersytecie i zajdzie znacznie wyżej niż ona i jej mąż, a jego ojciec. Bo to trzeba im przyznać. W przeciwieństwie do rodziców wielu kolegów jego rodzice rozumieli, że ich dzieci muszą umieć dobrze funkcjonować w duńskim społeczeństwie. To był zresztą jeden z powodów, dla których przeprowadzili się z Gjellerup do Viby. Choć był jeszcze inny powód, o którym wolał nie zapominać.

– A gdzie Nazleen? – spytał między kęsami.

Nie był w stanie zjeść całego kawałka, ale żeby nie zrobić jej przykrości, musiał udawać, jakby to właśnie robił. Dlatego podzielił ciasto na mniejsze części i obracał je na talerzu.

– W swoim pokoju – westchnęła matka. – Odrabia lekcje.

– Wciąż nie zmieniła zdania?

Matka energicznie pokręciła głową.

– Znasz ją. Jest uparta.

Spojrzała na niego błagalnie.

– Ciebie by posłuchała. Nie mógłbyś z nią porozmawiać?

Nie powiedziała tego wprost. Wiedział, że by sobie na to nie pozwoliła. Muzułmanka miałaby zabraniać córce chodzić w hidżabie? Nie do pomyslenia.

Aziz napił się wody z sokiem i rozważał za i przeciw. Jak się zachować, kiedy twoja siostra zapragnęła żyć zgodnie z Koranem, jakby się wychowała w górskiej wiosce w głębi Turcji? I to mimo że jej własna matka już dawno przestała zakrywać głowę.

– Tak niespokojnie się teraz zrobiło – powiedziała i zmarszczyła czoło, biorąc następny kęs – niedobrze jest zwracać na siebie zbyt dużą uwagę.

– Porozmawiam z nią – obiecał. – Tylko nie teraz, mam – dorzucił, wstając od stołu. – Muszę jeszcze trochę poczytać.

Pochylił się ku niej i pocałował ją w czoło. Wciągnął w nozdrza aromat kuchni i lekki zapach potu. Oto jego matka, którą kocha nad życie. Serce mu krwawiło, bo wiedział, że wkrótce będzie przez niego cierpiała.

Pomyślał o tym, leżąc na łóżku w swoim pokoju. Pomyślał o Rose i łączącej ich relacji. O tym, jak jej oczy go przywoływały, o miękkich ustach i skórze, która potrafiła lśnić jak marmur. Ale najbardziej o sobotniej nocy i tym, co wtedy zobaczył: zielony samochód, który krążył wokół tego przeklętego kontenera, gdy razem z Rose stali jeszcze spokojnie w kolejce i myśleli, że za moment wejdą do środka na darmowe wejściówki. To była stara, zniszczona simca. Jeden błotnik miała brązowy, bo nie został polakierowany i pewnie już nie zostanie. Wydawało mu się, że zna to auto. To samo przeczucie wróciło do niego, kiedy kilka godzin później stali w tłumie ludzi zebranych wokół zwłok. Przypomniał sobie silny skurcz, fizyczny ból, który szybko przeszedł w mdłości, gdy sobie uświadomił, czyj to samochód.

– Co mamy na jutro? – Redaktor oddziału regionalnego Davidsen bardzo się starał, by w jego głosie słychać było autorytet, wciąż jednak brzmiał jak słaba kopia wielkiego Ottona Kaisera, który ze swego kopenhaskiego fotela niczym generał dowodził rozszanymi po kraju wojskami.

Toteż nie od razu dostał odpowiedź, choć wszyscy posłusznie stawili się na odprawę w redakcji. Można było odnieść wrażenie, że utrzymujące się ekstremalnie wysokie temperatury wywołały w ludziach coś na kształt zmęczenia materiału. Nawet Cecilie z działu sportowego, choć dopiero wróciła z urlopu, siedziała rozkojarzona, jakby wciąż przebywała na plaży na Majorce.

Dicte ukradkiem przejrzała dzisiejsze wydanie, a w nim wypociny Holgera Søborga o środowisku imigrantów w zachodnim Århus. „Grupy przestępcze sieją spustoszenie w Gjellerup” – brzmiał tytuł jednego z artykułów, a wewnątrz numeru znalazł się wywiad ze starszą panią, której w biały dzień na ulicy wyrwano torebkę. Tekst był opatrzony rozpaczliwym nagłówkiem: „Boję się dłużej tu mieszkać”. Z niewiadomego powodu Dicte bardzo wyraźnie poczuła własny puls w tętnicy szyjnej.

Szybko przerzuciła kartki i odszukała kontynuację swojego tekstu z pierwszej strony będącego podsumowaniem konferencji prasowej na komendzie. W czerwonej ramce wyróżniono niektóre z informacji, jakie zapisała sobie w notesie.

– Wygląda bardzo dobrze – monotonnym głosem i nienaturalnie przeciągając samogłoski, wyraził swoje uznanie Larry Olsson, kiedy zajmował miejsce obok niej. – Smakowity kąsek dla czytelnika, a to w końcu najważniejsze – podsumował.

Dicte zamknęła gazetę. Spojrzała na Bo. Pytał wzrokiem, co właściwie amerykański grafik robi w kraju, w którym nie rozumie treści artykułów. Na ile smakowita może być historia o martwej kobiecie z rozplatanym brzuchem, której dziecko leży być może w jakimś kontenerze i gnije?

Dicte uśmiechnęła się do amerykańskiego kolegi.

– Larry, bardzo miło mi to słyszeć. Mamy tylko nadzieję, że uda się znaleźć

dziecko.

– Jakie dziecko? – Olsson wydawał się rozkojarzony.

Wziął gazetę i wrócił do tekstów Holgera. A w nich zrobiono nie jedno, ale aż trzy jasnoniebieskie wyróżnienia, a zdjęcie staruszki wykonano od dołu, więc nos miała jak przerośnięty kartofel. Fotografie otaczała nierówna czarna żałobna ramka, podobna do tych, które były modne w latach osiemdziesiątych.

– To mi się podoba – powiedział Olsson i posłał Holgerowi pełne zachwyty spojrzenie znad okularów bez oprawek. Holger naprężył dumnie pierś, a Bo nachylił się do Dicte i szepnął:

– Przynajmniej umie przeczytać nazwisko autora.

Daidsen, który najwyraźniej poczuł, że traci uwagę publiczności, wstał, prostując długą sylwetkę, i zaczął się przechadzać po pokoju redakcyjnym tam i z powrotem.

– Cecilie – rzucił z założonymi z tyłu rękoma. – Co masz na jutro?

– *Ask not what your country can do for you* – wycedził Bo, naśladując Kennedy'ego. – *Ask what you can do for your country.*

Larry Olsson wydawał się zdezorientowany, słysząc nagle amerykańskie powiedzenie. Cecilie przeciągnęła się leniwie i lekko oparła na Holgerze. Wszyscy wiedzieli, że są weekendową parą.

– Nic specjalnego – ziewnęła. – Masz jakąś propozycję?

Zwykle dziennikarze sami wykazywali inicjatywę i Daidsena wyraźnie zaskoczyła jej reakcja. Powietrze w pomieszczeniu zadrżało od jego niezdecydowania.

– To może zrobię kawę i skoczę po jakieś ciastka – podsunęła wreszcie Cecilie.

Daidsen przełknął głośno, a jego grdyka poszybowała w górę i znów opadła. Kiedy machnął ręką w stronę kuchni, w jego oczach widać było poczucie klęski.

– No dobrze, leć.

Z pomocą przyszedł mu Holger.

– Zadzwoń do mnie wiceprzewodniczący związku zawodowego policji w Århus – zagaił konspiracyjnym tonem. – Twierdzi, że muszą zamrażać sprawy z powodu urlopów.

I dalej w dramatycznych słowach opisał, jak umarza się dochodzenia albo zwyczajnie ignoruje włamania do prywatnych domów, a w sprawach kradzieży

samochodów albo grózb nie prowadzi się żadnych działań.

– Powiedział też, że nie mają środków, by się zajmować handlem ludźmi, bo takie dochodzenia są niezwykle czasochłonne. Z kolei rozboje na ulicach, jak te w Gjellerup, trafiają na listę spraw oczekujących.

Gdy skończył, Holger posłał triumfalne spojrzenie nie Davidsenowi, lecz Dicte, która jego zdaniem w redakcji reprezentowała stronę policji przez swoją znajomość z Johnem Wagnerem.

– Innymi słowy, bije na alarm i ostrzega, że mieszkańcy nie mogą liczyć na taką ochronę policji, jakiej potrzebują.

Dicte odchrząknęła. Dudnienie krwi w tętnicy szyjnej jeszcze się wzmogło, a dodatkowo pojawił się ucisk w gardle. Jeśli to prawda, że gość zadzwonił do Holgera z takimi informacjami, to oczywiście trzeba o tym napisać. I oczywiście kierownictwo policji nie będzie zachwycone. John Wagner również nie, co w połączeniu z niezmiennym stanowiskiem Bo co do udostępnienia filmu z portu prawdopodobnie sprawi, że jakakolwiek współpraca między prasą a policją będzie niemożliwa.

Postanowiła trzymać się jak najdalej od policji – przynajmniej jeden dzień. Trzeba pilnie znaleźć jakąkolwiek inną historię, by Davidsen się odczepił.

Jej wzrok padł na stary numer „Ritzau”, który ktoś zostawił na stole. Hasło „Kontrola jakości pożywienia” zamigotało niczym neon.

– A kiedy ostatnio pisaliśmy o kontroli produktów spożywczych? – zaryzykowała. – Sporo lokalnych restauracji i sklepów wścieka się na żółte emotikony przyznawane przez Inspekcję. Może zrobię ankietę i sprawdzę, jak to wygląda w rzeczywistości?

Temat doskonały na upalne lato, a ponadto Davidsen uwielbia ankiety.

– Znakomity pomysł – pochwalił jej inicjatywę i uradowany spojrzał na Larry’ego Olssona. – W takim tekście będzie można wrzucić sporo efektów graficznych. Pomyślałem o tych emotikonach – dodał. – Na pewno da się ich użyć w tym kontekście.

– Może powinniśmy przejść na żółte ramki – podsunął przymilnym głosem Bo.

Dicte najpierw obdzwoniła szereg restauracji i kawiarni, żeby poznać ich opinię i dowiedzieć się, jaką ocenę im wystawiono. Jak się można było spodziewać, na ogół ci, którzy otrzymali skrzywione buźki, równie krzywo odnosili się do pomysłu

Krajowej Inspekcji Produktów Spożywczych, a ci, którzy otrzymali buźki uśmiechnięte, byli jeśli nie weseli, to w każdym razie zdecydowanie mniej krytyczni.

Potem zadzwoniła do Inspekcji i dowiedziała się, że akurat jutro kontrolerzy planują odwiedzić halę Bazar Vest. Podczas ostatniej ich wizyty stwierdzono wiele uchybień i Dicte wywnioskowała, że są niemal pewni, iż tamtejsze punkty gastronomiczne oraz sklepy otrzymają złe noty. Tym razem kontrola została zapowiedziana, inspektorzy mają więc nadzieję, że sklepikarze i restauratorzy wzięli sobie do serca zalecenia z poprzedniej i nieco poprawili panujące u nich warunki.

– Można odnieść wrażenie, że kwestie higieny po prostu ich nie interesują. – W kobiecym głosie w słuchawce Dicte usłyszała szczere zdumienie. Po chwili jednak rozmówczyni się zreflektowała. – Ale oczywiście proszę nie pisać, że tak powiedziałam.

Dicte się rozłączyła. Jej dłoń zostawiła na słuchawce mokrą plamę potu. Wstała i szerzej otwarła okno, jakby to cokolwiek mogło pomóc. Powietrze było nieruchome, a temperatura miała dziś sięgnąć trzydziestu stopni. Wyobraziła sobie, jak takie upały znosi żywność w Bazar Vest, jeśli nie jest odpowiednio przechowywana. W myślach zobaczyła belę kebabu z niedopieczonym mięsem, którego kawałki trafiają się upchnięte w picie, i karaluchy baraszkujące w piekarni z otwartymi workami z mąką.

Nagle przypomniała sobie, jak przed laty poleciały z Anne na wakacje do Maroka i beztrąsko opychały się falafelami z miejscowych budek, kompletnie nie zważając na panujące w nich warunki. Przywołała w pamięci apetyczny smak smażonych kotlecików z ciecierzycy, a nozdrza niemal wypełnił jej aromat przypraw z tamtejszego bazaru. Jakaś jej część potrafiła zrozumieć, dlaczego duńska filia marrakeszańskiego suku świadomie ignoruje zalecenia Krajowej Inspekcji Produktów Spożywczych, skoro już sama nazwa tego organu przyprawia o ciarki.

Później, kiedy skończyła spisywać wywiad z duńskim żołnierzem służącym w Bośni i zajrzała do dwóch restauracji w centrum miasta, wsiadła do samochodu i pojechała do City Vest. W tyle głowy wciąż słyszała swoje własne słowa z porannej rozmowy z Bo: „Nie mam ochoty pisać o problemach z imigrantami”.

Jednocześnie do jej świadomości docierały strzępy informacji z konferencji prasowej poświęconej martwej kobiecie. Pewnie nie uda jej się tego uniknąć. Może więc powinna zapuścić się na to niebezpieczne terytorium. Holger jest na najlepszej drodze do zawładnięcia całą problematyką imigrantów, a przy tym wygląda na eksperta w dziedzinie podtrzymywania uprzedzeń i stereotypów. Nie żeby sama zamierzała wychodzić przed szereg i stawać w czyjejkolwiek obronie. Wiedziała równie dobrze co Holger, że pewne rzeczy są po prostu nie do przyjęcia i nie można godzić się na wszystko w imię tolerancji. Liczyła tylko, że być może potrafiłaby przedstawić sytuację w sposób nieco bardziej obiektywny i w szerszej perspektywie.

Westchnęła, zjeżdżając z Edwin Rahrsvej na niesławną stację Shella, na której tego lata doszło do wielu burd. Również teraz, w środku dnia, stację oblegali szukający zaczepki młodzi ludzie. Nerwowi, śniadzi nastolatki, z nadmiarem wolnego czasu i energii. Dicte wiedziała, że się łudzi. Kaiser oczekuje sensacji. Chce dostać porządną, chwytającą za serce historię, nawet jeśli ludziom wyda się przerażająca, a Århus będzie w niej wyglądać jak przedmieścia Bagdadu. On chce Holgera, a perspektywa i obiektywizm przynależą do gatunku fantasy.

Zaparkowała przed Lykkeskolen – szkołą, której budynek sąsiadował z Bazar Vest. Złapała się na szczególnie dokładnym sprawdzaniu, czy samochód jest zamknięty, zanim z torebką przyciśniętą do ciała ruszyła w stronę wejścia na zadaszony targ. Wędrowała wśród straganów, a zewsząd dobiegała arabska muzyka. Tęgie kobiety w kolorowych chustach i długich tunikach miały zdecydowaną przewagę liczebną nad tymi ubranymi inaczej. W hali w ogóle było mnóstwo ludzi i panowały typowe dla tego typu miejsc gwar i zapachy. Na straganach prezentowały się sprzęty kuchenne ze złotymi lamówkami i motywami religijnymi, kolorowe zasłony z koralików, misternie zdobione fajki wodne i tysiące poduszek i narzut z perkalu w różnych odcieniach czerwieni, błękitu i żółci.

Zwabiona muzyką, zajrzała do jednego ze sklepów. Wypełniały go po brzegi egzotyczne pamiątki – przypominał prawdziwy gabinet strachów. Dicte szybko jednak zganiła się w myślach, że oceniła to miejsce według własnego nudnego zachodniego gustu. Falbaniaste i koronkowe ubranka dla niemowląt dzieliły półki z zestawem do parzenia kawy po arabsku z maleńkimi pozbawionymi uszek

kubkami. Obok leżały narzuty z wizerunkami minaretów i meczetów na tle błyszczącego rozgwieźdzonego nieba, a przy nich zdobione, wysadzone perłami srebrne i złote ramki, w które wnuczki mogły wstawiać portrety swoich przodków, a panny młode własne zdjęcia w sukniach ślubnych.

Szła dalej, torując sobie drogę przez labirynt ludzi, kuszona zapachem z restauracji i straganów z arabskimi przekąskami. Kawiarnia na rogu wyglądała zachęcająco. Dicte zamówiła kofetę z jagnięciny i sałatkę. Przy stoliku wyjęła notes, żeby na świeżo zapisać parę spostrzeżeń, kiedy od strony wejścia dobiegł ją hałas. Odwróciła się i zobaczyła parę Duńczyków, którzy weszli do środka z białym pudłem. Mężczyzna o arabskiej urodzie stał blisko nich i wyglądał na mocno wzburzonego. Gwałtownymi gestami wskazywał im wyjście. Dicte nastawiła uszu, lecz nie była w stanie rozróżnić słów. Arab w powietrzu zamachnął się nogą w kierunku psa, jakby chciał go kopnąć, i dla porządku solidnie splunął. Z jego ust wylewała się litania klątw i bluźgów – tak przynajmniej interpretowała jego słowa Dicte. Kobieta pośpiesznie się schyliła i tuląc do siebie przerażone zwierzę, wyszła z lokalu, a za nią jej mąż.

Grupka młodych dziewcząt przy stoliku obok również przyglądała się zajściu. Dwie założyły chusty, trzecia wyglądała na Turczynkę, ale siedziała z odkrytą głową, a czwarta miała duńską urodę, jasne włosy i skórę. Dicte nieznacznie się do nich nachyliła.

– Zorientowałyście się, o co poszło? – zagadnęła.

Wszystkie cztery spojrzały na nią jak na idiotkę i prychnęły chóralnie. Po chwili jednak tej wyglądającej na Dunkę najwyraźniej zrobiło się żal Dicte.

– To przecież jasne: trzeba być debilem, żeby przychodzić na bazar z psem – wyjaśniła. – Każdy wie, że muzułmanie nie cierpią psów.

Dicte musiała wyglądać, jakby nadal nie rozumiała, bo jedna z dziewczyn w chuście dodała:

– Psy są nieczyste.

Dopiero po paru rozmowach z właścicielami restauracji i zakupie kilku pęczków ziół na straganach z warzywami w pełni dotarło do niej znaczenie epizodu, którego była świadkiem.

I choć obiecała sobie, że tego nie zrobi, zadzwoniła do Wagnera, kiedy tylko wróciła do redakcji.

– Powiedziałaś, że na kocu była zarówno sierść psa, jak i ludzkie włosy?
Wagner nie wydawał się zachwycony jej telefonem.

– Wszystko jest w materiałach przekazanych prasie. Chyba umiesz czytać.

– W istocie – powiedziała żartobliwym tonem – ale możliwe, że jest coś, o czym nie pomyśleliście. O ile oczywiście nadal rozpatrujecie teorię, że sprawcy należy szukać gdzieś w środowisku imigrantów.

– A kto mówi, że ją rozpatrujemy? – Wyraźnie nie był w nastroju do żartów.

– Rozumiem. Czyli nie interesuje cię moje małe odkrycie? – powiedziała swym najśłodszy głoŝem.

– Jakie odkrycie?

– Rozpatrujecie wątek imigrantów? – zapytała wprost.

Starł się stłumić westchnienie, ale i tak wyraźnie je usłyszała.

– Rozpatrujemy wszystko.

– I to przy waszych ograniczonych zasobach. Ilu obecnie macie ludzi w zespole? Pięciu? A powinno was być dziesięciu, prawda?

– Po co właściwie dzwonicz? – Mówił tak zmęczonym głoŝem, że zrobiło jej się go żal.

– Chodzi o sierść psa. Przyszło mi to do głowy, kiedy byłam na Bazar Vest i widziałam, jak ktoś przegania psa ze swojego lokalu. Powiedziałaś, że na kocu, w który owinięto kobietę, znaleźliście psią sierść.

– I co z tego?

Zrobiła głęboki wdech. Przez moment spoglądała przez otwarte okno na Telefonrotvet, gdzie uliczni sprzedawcy rozstawili swoje stragany.

– Według Koranu psy są nieczyste – powiedziała wreszcie. – Myślę, że nie znajdziecie zbyt wielu muzułmanów trzymających je w domu. W każdym razie nie w charakterze zwierząt do towarzystwa.

12

– Oczywiście skontaktujemy się, jeśli sytuacja ulegnie zmianie.

Wzrok pielęgniarki zdradzał wszystko. Anne ujęła dłoń matki, leżącą bezwładnie na krawędzi łóżka. Czy jeszcze kiedykolwiek będzie mogła z nią porozmawiać? Czy dane jej będzie poczuć niekończący się strumień bezwarunkowej miłości i troski, płynący od człowieka do człowieka?

Wydało jej się, że za zamkniętymi powiekami oczy matki się poruszają. Niewielki ruch, drżenie zaledwie, lecz mimo to dowód, że wciąż tli się w niej życie. Klatka piersiowa tylko nieznacznie unosiła się pod lekką kołdrą, ale to również działało uspokajająco. Mama wciąż tu jest. Tak jak zawsze była.

– Wrócę później – powiedziała Anne głosem, którego nie rozpoznawała.

Pielęgniarka poprawiła kołdrę.

– Na pani miejscu spróbowałabym się trochę przespać.

Każde słowo tej kobiety było częścią szyfru. Anne знаła go z własnej pracy. Używała go, kiedy coś było nie tak, jak powinno.

– Macie moje oba numery telefonów – powiedziała tylko. – Proszę dzwonić w razie najdrobniejszej choćby zmiany.

Pielęgniarka pokiwała głową. Doświadczona. Profesjonalistka, pomyślała Anna. Dokładnie tak jak ona sama. Ta świadomość powinna dodać jej otuchy, lecz chłodna rzeczowość kobiety przeszła ją do kości i zadrżała z niepokoju.

– Później będę musiała wyłączyć telefon, ale tylko na dwie godziny. Muszę iść na koncert – dodała i poczuła, że zabrzmiało to jak bardzo słaba wymówka.

Anders nie dawał jej spokoju. Jego zdaniem dobrze jej zrobi letni koncert w parku Tivoli. Na stałe był oboistą w Orkiestrze Symfonicznej Århus, ale oprócz tego grał muzykę kameralną w najróżniejszych ensemble'ach – tego wieczora w kwintecie dętym. Potem mieli razem wrócić do szpitala. Anne rozważała, czy nie zostać z matką na noc. Wówczas Anders sam pojechałby do swojej matki po Jacoba.

Pielęgniarka ponownie skinęła głową.

– Prawdopodobnie nie będziemy musieli dzwonić aż tak prędko.

Te słowa wciąż brzmiały jej w uszach, kiedy Anne wyruszyła spod szpitala komunalnego i objeżdżając ogród, skierowała się w stronę Marselis Boulevard i Tivoli. Było wpół do ósmej, jaskrawe światło dnia przechodziło w łagodny zmierzch. Zaparkowała i pokazała darmową wejściówkę mężczyźnie w bramie. Potem jak somnambuliczka przeszła przez słabo oświetlone wesołe miasteczko. Konie na karuzelach stały z pustymi siodłami i tylko w autodromie, gdzie spotkała się mała grupa entuzjastów gokartów, panował pewien ruch. Dziwne, ale właśnie tu, w parku rozrywki było w miarę spokojnie i po paru minutach ów spokój udzielił się i jej. Nerwy się wyciszyły, ucisk w gardle zelżał, a serce weszło w bardziej naturalny rytm. Znów była sobą – Anne, która jednak nie jest tylko kobietą. Jest również żoną i matką. Byli małą rodziną, stanowili jedność. Niepotrzebna jej przeszłość i nie musi znać prawdy innej niż ta, którą już zna i która w tej chwili otworzyła się przed nią z całą jasnością – jej miłość do Andersa i Jacoba, to że uwielbia swoją pracę i swoje przyjaciółki. Że kocha swoją codzienność.

Wyłączyła telefon, kiedy piątka muzyków weszła na scenę. Przyglądała się Andersowi, jak razem z pozostałymi kłania się, siada na swoim miejscu i dostraja instrument do klarnetu, kornetu, fletu i tuby. Jak zawsze próbowała oddzielić jego obój od dźwięków wygrywanych przez pozostałe instrumenty w kwintecie dętym Carla Nielsena. Sama nie była muzykalna. Kiedy w Wigilię śpiewali kolędy, ledwie trafiała we właściwe tony i miała problemy nawet z rozróżnianiem piosenek popowych. Ale obój umiała rozpoznać zawsze. Nosowe, egzotyczne brzmienie przenosiło ją do nieznanых krain i odległych zakątków jej własnej duszy. To było trochę niepokojące, lecz mimo wszystko bezpieczne, bo przecież to Anders tam siedział. Anders o kasztanowych włosach i z lekkim zarostem, który nadawał mu wygląd twardziela kontrastujący z łagodnymi oczami. Anders, którego kochała, lecz dla którego musiała pozostać silna, nawet pomimo własnej choroby, bo miał tak kruchą psychikę.

Bardziej to czuła, niż wiedziała. A wraz z tym uczuciem ponownie obudziło się w niej osamotnienie, które właściwie nie opuszczało jej od czasu choroby. Anders miał swoją muzykę, drzwi do świata piękna. Był łagodny, dobry i czuły, lecz gdy życie stawało się zbyt trudne, wrzucał wsteczny bieg, zamykał się w sobie i nie potrafił przyjść z pomocą. W takich okresach trzeba go było prowadzić i to ona musiała powozić ich trojką. Wówczas oparcie dla niej stanowiła właśnie matka. Za

bardzo na niej polegała, miała tego świadomość. Matka, jej skała i opoka, teraz rozpadała się na jej oczach.

Występ rozpoczął się tematem z wariacjami. Piękna, prosta melodia psalmu popłynęła nad ogrodem, mieszając się z wieczornymi zapachami drzew i kwiatów: „O Jezu, przyjmij serce me”.

Słowa nie przemawiały do niej osobiście. Podobnie jak Dicte, Anne odrzuciła religię. To kolejna rzecz, jaka je łączyła. Ale gdy piątka muzyków ze sceny podsuwała jej melodię, w głowie mimowolnie pojawiły się słowa. Pamiętała je z pogrzebów w kościele prowadzonym przez ojca. Był tam królem – stanowczym i cieszącym się autorytetem zarówno przy kazalnicy, jak i przy ołtarzu. Barczysty, o szerokiej twarzy i dużych dłoniach, które nigdy jej nie uderzyły, ale też nigdy nie pogłaskały.

Grzesznika nędznego do domu Twego
Przez światło Swojej sprawiedliwości
Do Jeruzalem odnowionego
Wprowadź, niech się schroni w Twej wspianiałości.

Czy można kochać za bardzo? Czy to również grzech? Czy można kochać tak bardzo i tak bardzo oprzeć się na drugiej osobie, że nagle, gdy tego kogoś zabraknie, a człowiek wśród zawiei potrzebuje skądś czerpać siłę, okazuje się bezradny i traci grunt pod nogami?

Przywykła do bycia silną. Zawsze brała się z życiem za bary, nawet gdy znalazła guzek w swojej piersi. Teraz jednak miała wrażenie, jakby potrzebowała czegoś więcej.

Anne ścisnęła w dłoniach program koncertu. Musi się wziąć w garść. Przez myśl przemknęło jej wspomnienie kobiety znalezionej w porcie. Oderwanej od własnej przeszłości i przyszłości, od rodziny, skądkolwiek pochodziła, i od dziecka, które nosiła w łonie. Gdzie było jej miejsce? Skąd przybyła i jak trafiła na swoją stację końcową?

Po koncercie przeszli się po parku, a na koniec usiedli i wypili po lampce białego wina. To rozgrzało ją od środka i znów nabrała odwagi.

– Zastanawiam się nad odnalezieniem moich korzeni w Korei.

Wypatrywała w twarzy Andersa jakiegokolwiek reakcji. Strach przed nieznanym pojawił się natychmiast. W ciągu nanosekundy zobaczyła, że boi się ją utracić, jakby powiedziała, że ma nawrót choroby.

– Po co? – spytał po chwili. – Na co ci to?

Najwyraźniej zorientował się, jak surowo to zabrzmiało, bo dorzucił:

– Przecież mamy siebie.

Ale nie jesteśmy tacy sami, chciała mu przypomnieć. Wystarczy spojrzeć w lustro. Jesteśmy zbudowani z innej materii, a mnie brakuje poczucia wspólnoty.

– Oczywiście, że mamy siebie – powiedziała – oraz Jacoba.

– To za mało?

W jego spojrzeniu było błaganie. Nie dlatego, że chciał jej tego odmówić, po prostu taki był. Martwił się, że ustalone ramy ulegną przesunięciu.

Anne westchnęła. Nie miała siły rozmawiać o tym teraz. Nie kiedy tyle miała na głowie. Nie równocześnie z tym, co się działo z mamą.

Na to wspomnienie przeszły ją ciarki.

– Telefon!

Gorączkowo grzebała w torebce, szukając komórki, i od razu ją włączyła. Anders zdumiał się, kiedy telefon zadzwonił w jej dłoni. Chłód pielęgniarce z drugiego końca miasta przeniknął Anne na wskroś.

– Pani matka gorzej się poczuła i wszystko potoczyło się błyskawicznie. Naprawdę próbowałam się do pani dodzwonić.

13

– Napijesz się?

Mężczyzna siedzący przy oknie w kafejce na siłowni odłożył gazetę i ją zagadnął. Dicte już wcześniej rozpoznała Jeppego Vrå po sylwetce i ukradkiem przyglądała mu się, jak po treningu zajmuje miejsce przy stoliku, kładzie na blacie komórkę i zamawia kawę i ciastko.

– Dzięki.

Jej myśli próbowały przebić się przez hałas urządzeń na siłowni. W zasadzie nie miała na to czasu – nie w środku dnia pracy – a poza tym to był naprawdę kiepski pomysł. Mimo to ciekawość kazała jej się dosiąść.

– Przyjemne uczucie, prawda? W każdym razie można się poczuć znacznie lepiej – stwierdził Jeppe i nalał jej kawy do plastikowego kubka.

– Tak, to pomaga – zgodziła się, czując jednocześnie potworne wyrzuty sumienia, które jednak stanowczo postanowiła od siebie odsunąć.

Zadzwoiła jego komórka. Odebrał, uśmiechając się przepraszająco, i przekazał rozmówcy krótki komunikat.

Gdy Dicte dmuchała na gorącą kawę, Jeppe skinął na rozłożoną na stole gazetę. Jej artykuł o kontroli przeprowadzonej przez inspekcję żywności zajmował nieproporcjonalnie dużo miejsca i dodatkowo przykuwał uwagę grafiką oraz armią uśmiechniętych i skrzywionych buziek ułożonych w roztańczoną girlandę biegnącą przez całą rozkładówkę.

– Szkoda trochę Bazaru Vest – skomentował. – Lubię tam kupować, chociaż z tą higieną są rzeczywiście nieco na bakier.

– Warzywa i owoce na szczęście są w porządku – odparła i poczuła się głupio, bo przecież sama napisała ten artykuł. – Dziś ma być u nich inspekcja.

Uśmiechnął się. Starannie przycięta broda się rozsunęła, ukazując równe, białe zęby.

– Jesteś dobrze zorientowana.

Odchrząknęła.

– To mój tekst.

– Naprawdę?

Pokiwała głową. Jeppe pochylił się i uważnie obejrzał zdjęcie obok podpisu autorki, a potem podniósł wzrok na nią.

– W rzeczywistości jesteś ładniejsza.

Aż tak bardzo nie wyszła z wprawy, żeby nie rozpoznać flirtu.

– To stare zdjęcie.

Ponownie spojrzął na gazetę i powiedział to, czego się spodziewała:

– Nie widać.

To nic, że jego podryw jest mało oryginalny. Miał czarującą brodę i ciepły głos, niski jak dźwięk kontrabas. A ona była dziś sama, bo Anne umarła mama, a Ida Marie nie miała czasu. Bo był zajęty pakowaniem i zamawianiem biletów i hotelu w Basrze, a ona musiała choć na chwilę wyrzucić z głowy obraz kobiety z portu. To nie jest zabronione. Wielkie nieba, to tylko rozmowa.

– Wiesz już, czym się zajmuję – powiedziała. – A ty?

Przez chwilę jakby rozważał, czy nie dać nogi. Zerknął ukradkiem na zegarek i raz jeszcze spojrzął na gazetę i zdjęcie Dicte. Potem nagle się roześmiał. Ten śmiech uderzył ją prosto w brzuch. Dźwięczny, pełen podtekstów i nadinterpretacji zawibrował w całej ogromnej przestrzeni.

– No, muszę przyznać, że do czegoś takiego nie przywykłem.

– Do czego?

Spojrzał na nią z boku błyszczącymi z uciechy oczami.

– Że się ode mnie wyciąga informacje w ciągu pierwszej minuty znajomości.

Odchylił się na krześle i wypił łyk kawy. Wyglądał, jakby zbierał siły.

– Ale cóż, to oczywiście nie jest tajemnica państwowa – odezwał się wreszcie. – Jestem lekarzem. Pracuję w Marselisborgu.

Gdy tylko to powiedział, ponownie zadzwonił jego telefon.

– Mam dyżur – wyjaśnił i odebrał. – Słucham?

Bez żenady przysłuchiwała się jego rozmowie i próbowała dopowiedzieć sobie kwestie rozmówcy. Ktoś – może jego żona albo sekretarka – najwyraźniej szukał jakiegoś dokumentu.

– Jest w folderze – powiedział lekko zniecierpliwiony. – Mówiłem przecież. Już dobrze, ale lepiej sobie zapisz: a jak alfa, be jak beta, es jak Simon, i jak Ivan, n jak Nisse... Nie wiesz, co to? Napój alkoholowy.

Dicte zaczęła się niecierpliwić. W jej głowie nieoczekiwanie pojawiła się seria dziwnych obrazów. Niedawno oglądali z *Bo Moulin Rouge* na DVD i nagle myśli wypełniły jej francuskie kawiarnie i dziewczyny tańczące kankana. Nieproszone przedzierały się do jej świadomości, gdy w skupieniu słuchała rozmowy Jeppego Vrå. Rozmowa trwała jeszcze jakiś czas, zanim się rozłączył.

– Praca – powiedział przepraszająco. – Trudno całkiem się od niej uwolnić.

– Nie ma sprawy. – Dicte pokiwała głową.

Miała poczucie winy, sama też powinna trzymać przy sobie włączony telefon, ale czasem nachodziła ją ochota na dziecinny bunt. Dlatego akurat teraz jej komórka leżała zamknięta w szafce siłowni razem z portfelem i kluczami.

Przysunęła sobie bliżej gazetę i zaczęła ją przeglądać. Przeleciała wzrokiem wywiad Holgera z wiceprzewodniczącym związku zawodowego policji z Århus, który wykorzystał okazję, by zwrócić uwagę na kwestie polityki, i domagał się większych nakładów.

– Czy w takim razie nie powinnaś dopisać dziś dalszego ciągu swojej historii? – spytał. – Wiesz, po tym, jak inspekcja przeprowadzi kontrolę.

Oczywiście, że powinna, ale temat bazaru nie był aż tak ważny. Nerw kulszowy dawał jej w kość tak, że ciało domagało się rundki na maszynach. To ją odprężało, a właśnie odprężenia potrzebowała teraz najbardziej. A jeśli nie tego, to w każdym razie czegoś jej brakowało.

– Potem zadzwonię do redakcji – wyjaśniła tylko.

Zamierzała powiedzieć coś jeszcze, kiedy otwarły się drzwi wychodzące na parking. Aż ją zamurowało, kiedy do sali jak burza wpadł Bo.

– Mamy wezwanie!

Stanął o krok przed nimi. Zmierzył wzrokiem Jeppego, a potem spojrzał na nią. Dicte dostrzegła, że obudził się w nim szósty zmysł, a w jego postawie pojawiła się czujność.

– Do czego?

Bo schylił się i ostentacyjnie pocałował ją w policzek.

– Nie odbierałaś komórki. Czy mama nie ostrzegła cię przed rozmawianiem z obcymi mężczyznami?

Powiedział to żartobliwie i uśmiechając się do Jeppego. Dicte była zapewne jedyną osobą w tym gronie, która usłyszała wrogość pobrzmiwającą w jego głosie.

– Bo... Jeppe – przedstawiła ich sobie i rozpaczliwie próbowała wymyślić, co by tu powiedzieć, by rozładować kompletnie nieproporcjonalne napięcie między nimi.

– Bo jest reporterem – wyjaśniła i usłyszała w swoim głosie ton zapewniający: „a poza tym w ogóle go nie znam”.

Jeppe z rezerwą skinął głową.

– Myślałam, że musisz się pakować – zwróciła się następnie do Bo.

– Byłem w trakcie, kiedy zadzwonił Davidsen i powiedział, że nie może cię znaleźć. Dowiedzieli się o tym z policyjnego kanału.

Bo bez pytania sięgnął po ciasteczko i w całości włożył je do ust.

– Muszę jeszcze wziąć prysznic. Ale co usłyszeli?

Czyżby na moment się zawahał? Potem nie umiała tego rozstrzygnąć. Tak czy inaczej, wiedział, jakie to robi wrażenie, kiedy z ciastkiem w ustach powiedział:

– Znaleźli ciało noworodka.

Dicte serce wskoczyło do gardła, a usta wypełnił metaliczny posmak.

– Gdzie?

Bo wziął ją za rękę. Jeppe Vrå przestał istnieć.

– Myślę, że powinnaś zostawić prysznic na później i od razu się przebrać – powiedział łagodnie.

Nie było czasu na protesty. Zbiegła schodami do szatni, gdzie pośpiesznie włożyła czyste majtki i ochlapała zimną wodą twarz i szyję. Upchała w torbie przepoczone ubranie i szybko wróciła do Bo, siedzącego teraz samotnie przy pustym kubku. Gdy ją zobaczył, poderwał się na nogi.

– Wszystko w porządku, skarbie?

Skinęła tylko głową. Chciała mu zadać pytania, które kotłowały się w jej głowie, ale Bo był już przy wyjściu i szedł do swojego samochodu.

– Pojedziesz za mną, dobrze? – rzucił jej przez ramię.

Nie było czasu na rozmowę. Wsadziła torbę do swojego wozu i ruszyła za Bo, kiedy on wycofał i skręcił w Søren Frichs Vej. Przy Ringgaden włączył lewy kierunkowskaz. Dicte dosłownie siedziała mu na ogonie, zła, że nie zdążył jej nawet powiedzieć, dokąd jadą.

Przy Silkeborgvej ponownie skręcili w lewo. Dalej jechali prosto, aż dotarli do zewnętrznej obwodnicy i gdzieś w tyle jej głowy pojawiło się bardzo, bardzo złe przecucie. Proszę, tylko nie tutaj. Niech to szlag, tylko nie tu. Wszędzie, tylko nie

tutaj.

Lecz honda Bo była obojętna na jej błagania. Odbili przy Edwin Rahrsvej, potem jeszcze raz skręcili w prawo, podjechali pod Lykkeskolen i zaparkowali przed wejściem do Bazar Vest.

Nie pamiętał, kiedy ostatni raz tu był. Nie miał ochoty pamiętać.

Aziz wysiadł na przystanku i ruszył przez betonowy pejzaż Gjellerup, gdzie ponure blokowiska malowały świat na różne odcienie szarości. Wyglądały identycznie jak ogromne klocki Lego, które wpadły do jednego wiaderka z farbą. Aziz wiedział jednak, że to tylko pozory – wiedział aż zbyt dobrze, jak różne losy kryły się za tymi ścianami.

Rzeczywistości nie widać z zewnątrz – chowała się za zasłonami i ogromnymi talerzami anten satelitarnych. W kuchniach, gdzie krzątają się tureckie i palestyńskie matki, aż cała klatka schodowa wypełnia się aromatem przypraw i czosnku, tam, gdzie rozmawia się w najróżniejszych językach: od urdu po serbski i chorwacki, i tam, gdzie telewizory niemal nigdy nie transmitują któregoś z duńskich kanałów.

Tutaj żył, odkąd skończył pięć lat i jego rodzina przeniosła się z Pakistanu do Danii. Był chłopcem w krainie klocków Lego. Czuł się bezpiecznie w tej osobliwej wspólnocie i włączając się po ulicach z kolegami. Muhammed, Metin, Mustafa i reszta stali się jego braćmi, bo w Gjellerup nie przebywało wielu Pakistańczyków. Byli synami swoich ojców, dumą rodu i poważali tylko własnych rodziców, a czasem nawet ich nie. Poza domem byli królami życia.

Odciał się od tego w dniu, kiedy jego rodzina wyprowadziła się z Gjellerup. Na zawsze, jak sądził i jak miał nadzieję.

Lecz dziś, idąc chodnikiem i wdychając zapach rozgrzanych w słońcu płyt chodnikowych oraz spalin z pędzących tuningowanych samochodów, mimo wszystko poczuł w sercu ukłucie czegoś, co do złudzenia przypominało tęsknotę. Nie było to uczucie czyste. Ani przyjemne. Jak zwykle była to mieszanka emocji. Coś, czego nie chciał, lecz co mimo wszystko pobrzmiwało rytmem i melodią, które go pociągały.

Dał się im więc poprowadzić w dół Edwin Rahrsvej w stronę stacji Shella, gdzie zawsze przesiadywali. Wielu z nich już nie poznawał. Niektórzy tak wyrosli, że kompletnie się zmienili, inni, tak jak on, zerwali z dawnym życiem. Jeszcze kolejni

pozakładali rodziny i znaleźli pracę. Słyszał w każdym razie, że Mustafa się ożenił. Wiedział też, że niektórzy zostali odesłani do swoich krajów albo regularnie trafiali do więzienia bądź aresztu na krótsze lub dłuższe odsiadki. Rabunki, napady, kradzieże samochodów, groźby. Repertuar występków był długi, a pewność siebie ogromna. Przynajmniej wtedy, gdy chronili ich koledzy.

– Aziz, stary!

Przyjrzał się baczniej i w stojącej grupie chłopaków rozpoznał młodszego brata Mustafy, Eihana. Był wyższy i mocniej zbudowany, niż zapamiętał, ale wciąż miał wystające kości policzkowe i nos płaski jak bokser.

– *Merhaba*, Aziz – powtórzył Eihan. – Witaj. Kupe lat.

Ich dłonie splotły się w mocnym uścisku. Eihan odsunął papierosa, żeby nie dmuchać Azizowi w twarz.

– *Salam alejkum* – odparł uprzejmie Aziz, choć nie był Turkiem. Pokój z tobą.

Eihan przedstawił go pozostałym chłopakom. Większość pochodziła z Turcji i Palestyny, ale było też dwóch Kurdów. Aziz wszystkim uściśnął dłoń, jak nakazywała tradycja, i dalej rozmawiali po duńsku.

– Gdzie jest Mustafa? – spytał Aziz, wyczekawszy na odpowiedni moment.

Wcześniej wy pytali się wzajemnie o swoje rodziny oraz Aziz uprzejmie odmówił kupna radia samochodowego i cyfrowego aparatu. Uprzejmie również powstrzymał się przed pytaniem o pochodzenie tych przedmiotów.

Eihan pokręcił tylko głową.

– Jest bezrobotny. Pomaga mojemu wujkowi na bazarze.

Aziz mimowolnie się uśmiechnął. Nie tyle z powodu wyjaśnień Eihana, ile dlatego, że ani go to nie oburzyło, ani nie zaskoczyło. Tak wyglądało życie w szarej strefie – życie w kolorze takim jak te bloki. Urząd skarbowy wielokrotnie próbował tym ludziom tłumaczyć, że nie można pobierać zasiłku i jednocześnie pomagać w sklepie ojca czy wuja. To myślenie było jednak bardzo trudno przekładalne na ich język. Było tak duńskie, że aż bolało.

– Jest tam teraz?

Eihan pokiwał smutno głową i wypluł odrobinę tytoniu ze skrzytego papierosa trzymanego między dwoma palcami.

– Teraz lepiej trzymaj się stamtąd z dala. Pełno tam policji i do tego przyjechała karetka.

W pierwszej chwili zaniepokoiło to Aziza, lecz szybko oddalił od siebie złe przeczucia. Cokolwiek się stało, nie miało z nim żadnego związku. Tak naprawdę mógłby już teraz wsiąść w autobus i zostawić wszystko za sobą. Mógł to zrobić. A jednocześnie wcale nie mógł.

– Co się stało?

Eihan wzruszył ramionami. Wydawał się obojętny, ale to tylko pozory. Aziz widział to w jego oczach, gdy nerwowo rozglądał się po ulicy.

– Nie wiem, o co im chodzi. Mustafa zadzwonił do mnie na komórkę. On też nie wie, co jest grane.

Eihan wyrzucił niedopałek na jezdnię, którą właśnie z głośnym dudnieniem i piskiem opon przejechała czarna toyota. Od niechcienia podniósł rękę, by pozdrowić kierowcę.

– Podobno jakaś kontrola – powiedział, oglądając się za znikającym samochodem. – Z inspekcji żywności. Myślisz, że to to?

Aziz milczał chwilę, rozważając, co począć. W końcu podjął decyzję i podał Eihanowi rękę na pożegnanie.

– Zobaczę, czy uda mi się go znaleźć.

Może mama miała rację.

Przyszło mu to do głowy, kiedy patrzył na radiowozy i karetkę pod budynkiem świetlicy Lykkeskolen.

Może padło na niego złe oko. Może właśnie w tej chwili powinien mieć przy sobie swój talizman.

Znów przystanął na moment, niezdecydowany. Może tu wrócić kiedy indziej. Może też poczekać, aż wszystko się uspokoi. Ale wtedy pomyślał o Rose i o tym, jak po raz pierwszy spojrział jej w oczy i stwierdził, że to imię doskonale do niej pasuje. Przypomniał sobie jej delikatną skórę, która letnią nocą lśniła, jakby była z alabastru, i usta czerwone jak pąk róży. I nagle zrozumiał, że nie ma wyjścia. Jeśli chce żyć dalej w zgodzie ze sobą i tak, jak postanowił żyć, to musi zrobić to, czego najbardziej na świecie nie chce zrobić. Kiedyś nazywali się braćmi i poprzysięgli sobie wieczną przyjaźń. Potem on odwrócił się do nich plecami. A teraz po tych plecach klepała go ich wspólna przeszłość.

Idąc w stronę bazaru, czuł się tak, jakby wracał do domu.

Pięć lat – tyle mu wyszło z obliczeń. Pięć lat minęło, odkąd tu mieszkał i pracował po szkole dla wujka Mustafy. Cała wieczność, a jednocześnie jakby tylko chwila. Miejsce było to samo, ta sama atmosfera jarmarku. Z jednej strony dobiegało go targowanie się, pytania o jakość albo jej brak. Z drugiej docierały do niego strzępy informacji i plotek krążących wśród straganiarzy. Mówili głównie o polityce i o tym, kto ma się ożenić z czyją córką i do której rodziny wejść. Tłem muzycznym jak zawsze były bliskowschodnie dźwięki wijące się pomiędzy ludźmi. Mężczyźni siedzieli na ławach i przesuwali paciorki modlitewnych koralików pomiędzy wykrzywionymi od reumatyzmu palcami, a zasłonięte od stóp do głów kobiety pchały przed sobą dziecięce wózki. Pieniądze przechodziły z rąk do rąk nad i pod ładami.

W rogu dostrzegł taśmę policyjną – dokładnie jak tamtej nocy w porcie. Obszedł ją szerokim łukiem i skierował się do piekarza wyciągającego ciekawie szyję. Z czystej uprzejmości kupił chleb.

– Co się dzieje?

Piekarz popatrzył w górę.

– Najpierw przyjechała kontrola, a potem nagle zjawiły się policja i karetka. Podobno znaleźli jakieś dziecko.

Aziz przypomniał sobie, co wyczytał w gazecie, i w środku upalnego lata zimny pot popłynął mu po plecach. Śledził historię dziewczyny z portu, choć coś mu podpowiadało, że nie powinien. Czytał o kobiecie, której wycięto z brzucha dziecko, i zrobiło mu się niedobrze. Czy to możliwe? Tutaj? Jak to dziecko mogło tu trafić?

Skierował się w głąb hali, minął kawiarnię i wszedł do działu z warzywami, gdzie Mustafa sprzedawał właśnie worek ziemniaków i trochę pomidorów.

Aziz zauważył wzrok kolegi, który na chwilę się na nim zatrzymał, po czym pośpiesznie odbiegł gdzie indziej.

– Co tam? – spytał, kiedy klientka zapłaciła i odeszła, taszcząc siatki.

Mustafa wzruszył ramionami.

– Nic. Co tu robisz?

Mustafa omiótł wzrokiem stragan i zatrzymał go na małym kopczyku fenkułu. Najróżniejsze obrazy stawały Azizowi przed oczami. Razem byli dziećmi, razem dorastali. Znali się od wieków, a ich przyjaźń była niezłomna.

– Co właściwie teraz porabiasz? – odpowiedział pytaniem i jakby od niechcienia, udając, że w stosie kapusty szuka najładniejszej główki.

Mustafa włożył ręce do kieszeni i zacisnął zęby. Aziz zauważył, że dawny przyjaciel zaczął trenować. Był mocno umięśniony, a ścięgna na szyi miał napięte jak sznury na pranie jego matki. I zapuścił brodę.

– Nic specjalnego – odparł lekko Mustafa. – Takie tam interesy, nic wielkiego. Aziz skinął głową w stronę policji.

– Wiesz, co tam się stało?

Mustafa pokręcił głową.

– Cała hala aż huczy od plotek. Ktoś powiedział, że znaleźli zwłoki. Inni mówią, że ktoś kogoś dziabnął.

– Dalej masz swój samochód?

Aziz przytrzymał Mustafę wzrokiem.

– Jaki samochód? – spytał Mustafa obojętnym tonem.

– Simcę.

– Tę zieloną?

Aziz pokiwał głową. Mustafa odwrócił się bokiem i wyjął dwa ogórki, które zawierały się wśród pomidorów. Wzruszył ramionami.

– Czemu pytasz?

– Bo niedawno ją widziałem.

Mustafa spojrzał na niego. Wściekłość w jego oczach lśniła tak, że Aziz z trudem powstrzymał się przed zrobieniem kroku w tył.

– Gdzie?

– W porcie. Wtedy, kiedy znaleźli tę martwą kobietę.

Już, gotowe. Powiedział to. Rzucił oskarżenie. Wewnątrz trzął się cały i napiął wszystkie mięśnie, by te dreszcze opanować.

Mustafa spuścił wzrok i uważnie przyglądał się sałacie. Z jednej z główek oderwał dwa brązowe liście.

– Ukradli mi ją – powiedział w końcu. – W zeszłym tygodniu.

Dopiero teraz spojrzał na Aziza. Po czym uśmiechnął się krzywo. Aziz rozpoznał w tym uśmiechu swojego przyjaciela i poczuł się, jakby ktoś wbił mu w serce sztylet.

– Raczej nie mogę tego zgłosić na policję.

Aziz postął jeszcze chwilę, przenosząc ciężar ciała z nogi na nogę. Nie potrafił odpowiedzieć na logiczne wyjaśnienie Mustafy, bez względu na to, czy było prawdziwe, czy nie. Nierozsądne byłoby zgłosić kradzież kradzionego samochodu.

Była taka drobna.

A jednak to człowiek – całkiem normalny, w pełni wykształcony. Miała po pięć palców u każdej dłoni i po pięć u każdej stopy, mały, zgrabny nosek i doskonale uformowane uszy.

Wagnerowi przyszło do głowy, że to chyba najgorsza sekcja, w jakiej musi uczestniczyć. Oto bowiem miał przed sobą samą niewinność, dosłownie zaduszoną w łonie matki. Dziewczynka leżała z pępowiną zaciśniętą wokół szyi na metalowym stole wielkim jak ocean. Do tego wyraz, jaki się malował na jej buźce. Ślepa ufność pomieszana z zaskoczeniem – tak to sobie interpretował, choć wiedział, że prawdopodobnie daje się ponieść wyobraźni. Mimo wszystko nie potrafił się uwolnić od myśli, że wszystkie instynkty tej małej istoty kazały jej wierzyć w to życie i ten świat, które się właśnie przed nią otwierały. Śmierć nie wchodziła w grę, nie została wpisana do jej świadomości. A jednak światło zgasło, nim zostało zapalone, i Wagner mimowolnie poczuł ogromną, bezkresną rozpacz. I nie miał nawet siły zadać sobie pytania – dlaczego.

– Biedactwo.

Wagner podniósł wzrok. Gormsen rzadko pozwalał sobie na tego typu komentarze. Zwykle cechowały go rzeczowość i pełny profesjonalizm i niemal nigdy nie uzewnętrzniał swoich emocji. Wagner pokiwał głową i poczuł do kolegi dziwną wdzięczność za te słowa.

– Nie dostała najmniejszej szansy – wymamrotał Kjeld Haunstrup przysłany z laboratorium kryminalistycznego.

Niesforne pukle Gormsena skutecznie poskromił czepek z białej gazy, a usta jak zawsze przesłaniała mu maseczka. Dłonie obleczone w cienkie gumowe rękawiczki z najwyższą ostrożnością przesuwają się po ciele dziewczynki w poszukiwaniu wskazówek. Łagodnym, monotonnym głosem zaczął szczegółowo opisywać wygląd zewnętrzny dziecka. Jego słowa wyłapywał niewielki mikrofon zwisający z sufitu nad ciałem, by później stenotypiści mogli przepisać nagranie i sporządzić raport.

Wagner wzrokiem odszukał spojrzenie Haunstrupa sponad jego maski. Bezczelne i czarujące spojrzenie technika ustąpiło miejsca wyrazowi głębokiego smutku i Wagner przez moment miał wrażenie, że ktoś postawił przed nim lustro, by go skonfrontować z jego własnym niepokojem.

Gdy Gormsen zaczął pobierać próbki z maleńkiego ciała, Wagner musiał jednak przesunąć myśli na inne tory. Mimo to niczego nie rejestrował. Jakby między nim a rzeczywistością rozgrywającą się na jego oczach rozciągnięto nieprzepuszczalną błonę.

To, co miał przed sobą, stanowiło zagadkę – podobnie jak wszystko, czym zajmował się zawodowo. Każda zagadka zaś ma rozwiązanie i to ku niemu powinien się kierować, zamiast zagłębiać się w sobie, gdzie wszystko wydaje się aż nazbyt trudne. Znaleźli zwłoki kobiety w porcie, a teraz wedle wszelkiego prawdopodobieństwa mają również dziecko, które zostało jej odebrane. Dwa miejsca zbrodni, a w każdym razie dwa miejsca znalezienia zwłok. Dwa miejsca, w których sprawcy musieli w którymś momencie i w jakiś sposób się pokazać. Oba są ze sobą powiązane – tego faktu nie da się zignorować. Port – tamtej nocy pełen policji i młodych imigrantów. I bazar – gdzie również skupiała się społeczność imigrantów. Logika podpowiada, że sprawa musi mieć związek właśnie z tymi kręgami. Ktoś, ktokolwiek w tym dość hermetycznym środowisku, gdzie każdy jest czyimś kuzynem bądź bratem, musiał coś widzieć albo o czymś wiedzieć. Nawet jeśli to miało być najdrobniejsze spostrzeżenie albo pozornie nieistotna informacja.

Aż się spocił, gdy o tym pomyślał, i bynajmniej nie zrobiło mu się lepiej, kiedy Gormsen włączył piłę. Jak, u licha, przeniknąć do tego środowiska, jak zdobyć zaufanie kogokolwiek w społeczności, w której po ostatnich burzliwych zajściach nienawiść do policji szczególnie się nasiliła? Burmistrz i rada miasta ogłosili niedawno politykę zerowej tolerancji. To jeszcze bardziej zaostrzyło konflikt, a podział na „my” i „oni” stał się wyraźniejszy niż kiedykolwiek. Można wręcz było odnieść wrażenie, że młodzież z kręgów imigranckich otwarcie wypowiedziała wojnę reszcie społeczeństwa. Tu mogła się polać krew. To miasto może zadrzeć w posadach, a fala nienawiści rozlać się na resztę kraju. Wagner już teraz z najwyższym niepokojem myślał o tym, jakie znaczenie dla Århus może mieć znalezienie akurat w tym miejscu zaginionego dziecka, gdy wiadomość o tym

przedostanie się do opinii publicznej.

– Okej.

Po dwóch godzinach pracy Gormsen w końcu skinął pracownikowi instytutu na znak, że skończył. Razem poszli do szatni, zdjęli maski z twarzy i siatki ochronne z głów i się umyli. Mimo to wszędzie czuli zapach laboratorium i śmierci. Wniknął w ich skórę, przesiąknął ubrania. Gdy wróci do domu, Ida Marie od razu się zorientuje, gdzie był.

– Na razie żadnych niespodzianek. Przyczyną śmierci było uduszenie. – Gormsen potwierdził to, czego dowiedział się już wcześniej podczas oględzin.

Wypowiadał się w swoim normalnym, telegraficznym stylu, wrzucając rękawiczki i maskę do pojemnika na odpady.

– Szukano rytmu pracy serca, lecz go nie odnaleziono. Ktoś próbował wykonać cesarskie cięcie, lecz było za późno. Dziecko najprawdopodobniej zmarło przed porodem.

– Czyli to zabójstwo nieumyślne?

Gormsen pokręcił głową.

– Technicznie rzecz biorąc, tak. Nie było to zabójstwo z premedytacją. Na żadnej z ofiar.

– Technicznie rzecz biorąc. – Haunstrup pokręcił głową. – W jaki sposób kobieta, technicznie rzecz biorąc, trafia w łapy ludzi, którzy najpierw próbowali zrobić jej cesarskie cięcie, a potem porzucili jej ciało w porcie, dziecko zaś ukryli w lodówce w hali Bazar Vest?

Gormsen posłał im smutny uśmiech, stojąc przy metalowej umywalce i szorując sobie ręce aż po łokcie.

– Znaleźć odpowiedź to już wasze zadanie. Moja rola kończy się tutaj.

Odwrócił się i wyjął dwa papierowe ręczniki ze stojaka na ścianie.

– Nie wydaje mi się, aby to w znaczący sposób zmieniło obraz sytuacji, ale będę naciskał, żeby w trybie pilnym dostać wyniki z laboratorium.

– Zabójstwo nieumyślne.

Jan Hansen obracał słowa w ustach. Przesunął dłonią po łysej głowie i rozejrzał się wokół, jakby czegoś szukając. Siedzieli właśnie na porannej odprawie. Wagner odniósł wrażenie, że jego ludzie wyglądają na wykończonych, ale może to dlatego,

że on sam tak się czuł. Potrzebował snu, w ostatnim czasie jednak odpoczynek był niemożliwy.

– Nieumyślne – powtórzył za nim Ivar K. – Przebiegłe dranie.

Wagner spojrzął na niego. Naprawdę czasem człowiek miał dość Ivara K. Jego niechlujnego wyglądu, włosów w strąkach i kilkudniowego zarostu. Jego sposobu bycia jak u chłopaka z ulicznego gangu, wiecznego huśtania się na krześle. Facet kiedyś naprawdę upadnie do tyłu. Ale ten człowiek miał w sobie jakąś iskrę nie do podrobienia. Energię, która właśnie w tej chwili była tym, co uratowało ich wszystkich.

Wagner natychmiast zapomniał o bezsennej nocy i sięgnął po termos z kawą.

– To oczywiście nie znaczy, że nie doszło do przestępstwa – przypomniał. – Zdecydowanie nie. Co więc mamy?

Jan Hansen schylił się i pokazał wszystkim dużą foliową torbę.

– Wczorajszy łup – oświadczył. – Siedemdziesiąt dziewięć na dziewięćdziesiąt pięć, jeśli to kogoś ciekawi.

Wszyscy się przyglądali, jak rozwija dywan na stole. Niemal identyczny jak ten, w który zawinięto kobietę. Ze złotym motywem budynku przypominającego meczet wraz z minaretem na tle granatowego, rozgwieźdzonego nieba.

Ivar K głośno zagwizdał. Wagner przypomniał sobie Dicte Svendsen oraz jej teorię o psiej sierści i muzułmanach. Petersen ostrożnie dotknął tkaniny.

– Sztuczne – oświadczył. – Wyprodukowanie kosztowało pewnie z piąta.

– W porządku – powiedział Wagner i przesunął wzrokiem po zebranych. – Musimy się dowiedzieć, kto to importuje i sprzedaje w Danii. W dużych ilościach.

Spojrzał na Hansena.

– A co z człowiekiem, od którego go kupiłeś?

Hansen pokręcił głową.

– Nic nie pamięta. Mówi, że sprzedaje ich tyle, że nie ma nad tym kontroli.

– Czyli brak woli współpracy. – Ivar K przetłumaczył komunikat na język policji. – Może powinniśmy go doprowadzić i zapytać raz jeszcze.

Hansen wzruszył ramionami.

– Nie wydaje mi się, że przesłuchanie to dobry pomysł. W tej chwili panują tam nie najlepsze nastroje.

Wagner oparł się o blat stołu, złapał obsyty frędzlami róg dywanu i pociągnął

tkaninę do siebie jak ciemnego węża.

– Jaki wobec tego masz pomysł?

Hansen spojrzał zaczepnie na Ivara K.

– Musimy zdobyć ich zaufanie – powiedział wreszcie. – Oni muszą się na nowo nauczyć nam ufać.

Ivar K odchylił się na krześle i prychnął w sufit.

– Zaufanie możesz sobie wsadzić w dupę. Siła i władza to jedyne, co do tych ludzi przemawia. Zero tolerancji, weź to sobie w końcu wbij do głowy. Nawet nasza burmistrz to rozumie – dodał z uśmiechem.

Hansen przez chwilę jakby się zastanawiał, czy nie trzepnąć Ivara K przez głowę. Lecz przegapił odpowiedni moment, więc tylko głośno westchnął, jakby ostatecznie przełknął własną złość. Spojrzał za to na Wagnera.

– Ten Pakistańczyk, który się spotyka z córką tej dziennikarki...

– Rose – przypomniał Wagner.

Hansen pokiwał głową.

– Był wczoraj na bazarze.

– Myślałem, że już tam nie mieszka.

– Bo nie mieszka. Razem z rodziną wyprowadzili się z Gjellerup pięć lat temu. Ale wczoraj go tam widziałem. Nagle go sobie przypomniałem z czasów, kiedy pracowałem w tamtejszej komendzie.

– No jasne, jesteś przecież gliną po otrzęsinach – wyparował Ivar K z taką złością w głosie i tak zamasyście dolał sobie kawy, że pochlapał blat.

Hansen na szczęście kompletnie go zignorował.

– Aziz Sami. Sprawdziłem go. Chłopak jest w porządku, choć kiedy był młodszy, miał swoje za uszami.

– To znaczy? – niecierpliwił się Wagner.

– Ma dwa wyroki za kradzież samochodu. I jeden wycofany zarzut.

– Jaki?

Hansen zawahał się przez chwilę. Wagner widział, że zerknął na Ivara K, i szczerze się pomodlił, by kruchy pokój między nimi dwoma utrzymał się choć do końca tego śledztwa.

– Za gwałt – powiedział w końcu Hansen i spuścił wzrok.

16

– Praca – powiedział Bo z przekonaniem. – To pomaga. Poza tym przyda ci się trochę czasu dla siebie.

Gdzieś w tyle głowy Dicte pojawiła się myśl, że on robi to wszystko dla niej. Ale przecież nie stał się nagle taki rycerski i było oczywiste, że Irak służy mu wyłącznie do podreperowania ego. Wyjeżdżał, żeby udowodnić sobie samemu, że wciąż jest znakomitym reporterem wojennym, oraz dlatego, że nie potrafił się oprzeć takiej pokusie.

Dicte usiadła na rogu łóżka, gdzie granatowa sportowa torba Bo gapiła się na nią wygłodniałym wzrokiem.

– Mów za siebie.

Wiedziała, że jest niesprawiedliwa. Co właściwie chciała tym osiągnąć? Żeby nie wyjeżdżał ze względu na nią? Żeby co wieczór siedział obok niej, głaskał ją po główce i wmawiał, że wszystko jest w porządku?

Bo zwinął koszulę i wrzucił ją do torby.

– Beze mnie będzie ci lepiej – przekonywał. – Przynajmniej przez jakiś czas.

Posłała mu gniewne, a przy tym ostrzegawcze spojrzenie.

– Jeśli będę potrzebowała pomocy psychologa, to ci powiem.

Przez moment się wydawało, że dokładnie to zamierzał jej zaproponować. W końcu jednak usiadł obok niej, a ich ciężar kompletnie spłaszczył jeden koniec materaca. Chciała podtrzymać w sobie złość, lecz okazało się to niemożliwe, kiedy zaczął wachać jej szyję i pocałował policzek.

– Dasz sobie radę – mruknął czule. – Zawsze dajesz sobie radę.

Chciała zaprotestować, ale w głębi serca wiedziała, że on ma rację. To, co teraz czuła, było chwilową histerią. We dwoje łatwiej stawiać czoła codzienności, ale takie wspólne zmagania wchodzi w nawyk, a to niekoniecznie czyni człowieka silniejszym.

Poza tym nie zamierzała przecież go o cokolwiek błagać. Jeszcze kompletnie nie zwariowała. Bo wyczuwał po prostu jej niepokój, dokładnie tak jak ona czuła jego niepokój, choć również jego satysfakcję, że zdecydował się wyjechać.

Bo wyjął z dna szafy starą kamizelkę kuloodporną.

– Nie powinienesz niedługo sprawić sobie nowej?

Wzruszył ramionami i wepchnął kamizelkę do torby.

– Jeśli ktoś naprawdę chce cię zabić, to kamizelka i tak na nic się nie zda.

Starła się odpędzić od siebie sceny, w których zachodni zakładnicy są wleczeni ulicami za samochodem i w których porywacze bez mrugnięcia okiem odcinają głowy swoim ofiarom. Ogarnęła ją rosnąca panika, w głowie zaczęło szumieć, jakby nadciągała kolejna migrena.

– To nie może być przypadek, że padło właśnie na Bazar Vest – powiedział nagle Bo i w cudowny sposób odwrócił jej myśli od własnego wyjazdu: najpierw do Kopenhagi, a dwa dni później do Basry.

Patrzyła za nim, kiedy poszedł do łazienki. Słyszała, jak wyjmuje kosmetyczkę, i widziała część jego sylwetki, kiedy wyjmował maszynkę do golenia z kontaktu i ją pakował.

– W jakim sensie?

– Myślę, że czytali twój artykuł – odparł, teraz nieco podniesionym głosem. – Ktoś umieścił tam to dziecko celowo. Chcieli, żeby kontrolerzy z Krajowej Inspekcji je znaleźli. Jako coś w rodzaju happeningu.

Zwróciła uwagę, że on również myślał o „sprawcach”, a nie „sprawcy”. Przy tej sprawie komputer w mózgu zwyczajnie nie radził sobie z myślą, że za zbrodnią mogła stać jedna osoba.

– Ale kim oni są, ci „oni”? – spytała, kiedy wrócił do sypialni ze spakowaną kosmetyczką.

Był to prezent gwiazdkowy od niej. Kosmetyczka w stylu wojskowym – można ją było rozłożyć i powiesić na haku albo na gwoździu. Jakby faktycznie miał mieszkać w namiocie albo baraku, a nie czterogwiazdkowym hotelu z klimatyzacją i telewizją satelitarną.

Od kilku godzin dręczyła ją myśl, że swoim tekstem mogła zainspirować sprawców do podrzucenia noworodka w Bazar Vest – miejscu z jakiegoś powodu uznanym przez nich za strategiczne.

Bo stał chwilę z dyndającą kosmetyczką zawieszoną na palcu, po czym zwinął ją w rulon i zacisnął rzepem.

– Chodzi o to cesarskie cięcie – zauważył. – Do tego musiało być ich więcej.

Może coś w rodzaju gangu, sam nie wiem. Może coś z prostytutką. Handlem ludźmi.

– A ta kobieta? – spytała i pomyślała o dywanie z psią sierścią. – Co powiesz o niej? Czy twoim zdaniem porzucenie jej w porcie też było elementem strategii?

Bo wzruszył ramionami, otworzył szafkę i wyjął z niej stos bokserek, odliczył cztery pary, a resztę z powrotem odłożył na półkę.

– Na to trochę trudniej odpowiedzieć.

– Niewykluczone, że to wszystko to tylko gra. Sposób na zmylenie przeciwnika – podsunęła i dodała: – Tylko tyle?

– Czego?

– Gatek.

Patrzył na nią zdezorientowany, aż w końcu zaskoczył. W kąciку ust zamajaczył uśmiech, ale nie wypłynął na twarz.

– Podróżuję lekko. Poza tym trzeba też dać jakieś zajęcie hotelowej pralni, nie?

W jego spojrzeniu widziała rzucone jej wyzwanie. „Męska wyprawa”, odczytała. „Robimy, co nam się podoba, i żadne baby z obsesją czystości nie będą nam mówić, ile mamy zabrać gaci”.

– Możliwe, że port wybrano celowo. I możliwe, że to był przypadek – powiedział wreszcie.

Uświadomiła sobie, że niemal zupełnie zapomniała o swojej panice, a nadciągający ból głowy się wycofał. „Praca” – tak powiedział i Dicte wiedziała, że miał rację. Zaangażowanie się w coś pomagało, a sprawa kobiety i dziecka przyciągała ją jak magnes. Dicte wiedziała, że musi znaleźć rozwiązanie, choć wszystko wskazywało na to, że będzie to proces ponury i mroczny. Ta historia mogła jej pomóc odzyskać siłę, której tak bardzo potrzebowała.

– I co dalej? – zadała pytanie, które bezustannie zadawała sobie przez większą część nocy. – Od czego zacząć?

W ich sypialni trwała prawdziwa burza mózgów i to – być może poza seksem – wychodziło im wspólnie najlepiej. Będzie jej brakowało jego trafnych spostrzeżeń, słów kluczy, które czasem potrafiły uruchomić cały ciąg zdarzeń w jej głowie.

– Sądzę, że od przestępczego podziemia. – Bo myślał na głos. – Burdele, salony masażu. Centra kryzysowe. Nielegalni imigranci. Na pewno na coś wpadniesz – dodał z uśmiechem.

Zasunął suwak w torbie.

– Ta kobieta nie pojawiła się znikąd. Musiała więc przebywać w środowisku, w którym milczenie, jak to się mówi, jest złotem.

– Bo w przeciwnym razie coś byśmy słyszeli. Czy to chcesz powiedzieć?

Zarzucił torbę na ramię.

– Na pewno. Jedziemy?

Odjeżdżając spod dworca, czuła pustkę.

Praca, pomyślała, parkując na podwórku na tyłach redakcji przy Frederiksgade. Dajcie mi coś, cokolwiek. Niech przyjdzie jakiś faks z policji, że znaleźli coś nowego albo niech ktoś się załamał i przyzna.

Daidsen, którego normalnie nie podejrzewała o szczególnie rozwiniętą intuicję, rzucił na nią okiem i głową wskazał na stół, gdzie termos z kawą bulgotał samotnie.

– Weź sobie kawy. Mam dla ciebie prezent.

Prezenty od Daidsena z reguły pojawiały się w przebraniu jakiegoś zadania dziennikarskiego. Mogła to być relacja z premiery teatralnej albo koncertu w Operze. W artykule powinny paść nazwiska wszystkich dziesięciorga celebrytów z Århus, znanych również jako „typowi podejrzani”. Było jej to obojętne. Dziś weźmie cokolwiek.

I rzeczywiście.

– Otwarcie nowej galerii sztuki przy Grønnegade – wydusił z siebie w końcu Daidsen, kładąc jej przed nosem zaproszenie dla prasy. Lecz nie poprzestał na tym.

– I ogłoszenie wiosennego repertuaru Opery.

Nie były to sprawy kryminalne, ale w okresie letnich wakacji normalny podział na działy w redakcji ulegał zawieszeniu. Na leżące przed nią zaproszenie z galerii sfrunęło zaproszenie z Opery.

– I ponowne otwarcie Hellet przy Thunøgade.

Dopiła kawę, która tylko pogłębiła w niej uczucie pustki.

– A cóż to takiego?

– Miejsce dla ćpunek i dziwek – usłyszała głos Holgera, który jak zwykle siedział w kącie i pisał coś swoją dwupalcową techniką. Domyśliła się, że kompiluje ciąg dalszy historii o brakach personalnych w policji w związku z sezonem urlopowym.

– Ponowne otwarcie? W jakim sensie?

David położył kolejne zawiadomienie na dwóch poprzednich. Wynikało z niego, że ośrodek Helle w końcu może otworzyć swe podwoje, umożliwiając określonej liczbie prostytutek i narkomanek nocowanie w placówce. Istniała pilna potrzeba stworzenia kobietom takiej możliwości, ponieważ inne noclegownie tego typu w mieście przyjmowały osoby obojga płci.

– W porządku – powiedziała, kiedy skończyła czytać. – Biorę galerię i to. Oba miejsca są blisko siebie. Może Holger weźmie Operę?

Holger raptownie przerwał stukanie w klawiaturę. Spojrzał na nią znad monitora z niechęcią malującą się na twarzy.

– Holger jest zajęty – odpowiedział Davidsen.

– Wierzę. Co zatem dziś będzie na tapecie? Komendant? Zaniedbani mieszkańcy?

Holger się skulił. Dicte wiedziała, że tak naprawdę on się jej boi. Drży ze strachu, że któregoś dnia ona wykorzysta przeciwko niemu swoją wiedzę o jego podpisie pod tekstami Cecilie. Władza jest słodka, pomyślała Dicte, tylko trochę zażenowana własną próżnością.

– Nie ma sprawy – powiedział do monitora. – Za chwilę podjadę do Opery.

Nie do końca wiedziała, czego właściwie się spodziewa. Ale kiedy zadzwoniła do drzwi ośrodka przy Thunøgade i po chwili weszła do małego pomieszczenia socjalnego, na widok starych mebli, które musiały chyba pochodzić z wystawek, oraz niewielkiego, mocno już zniszczonego aneksu kuchennego, ogarnęło ją przygnębienie.

– Bardzo nas cieszy nowe rozporządzenie. Gmina udziela nam sporego wsparcia finansowego – powiedziała kobieta, która ją oprowadzała. – Zwłaszcza zimą ogromnie ważne jest, żeby dziewczęta miały gdzie przenocować.

Dicte weszła do mikroskopijnej sypialni z piętrowymi łózkami. Wyobraziła sobie, jak by to było obudzić się w takim miejscu, wśród koleżanek równie bezbronnych w świecie pozbawionym nadziei. Jakkolwiek się starała, nie potrafiła dostrzec w tym niczego pozytywnego.

– Ludziom trudno w to uwierzyć – powiedziała kobieta, która przedstawiła się jako Elisabeth Rohde. Była niska i drobna, ale miała tak duży biust, że zdawało się, iż ją pociągnie w dół. Dicte nie umiała się zdecydować, czy ją lubi, czy nie – ale te

dziewczyny naprawdę mają życie. Śmieją się i płaczą dokładnie jak my wszyscy. W ich życiu jest miejsce na rzeczy inne niż seks i narkotyki. Może niewiele, ale jest. One mają rodziny. Mają rodzeństwo, o które się martwią. I dzieci, o które również się martwią.

Dicte poczuła, że się czerwieni. Policzki ją paliły – odnosiła wrażenie, że Elisabeth ją upomina.

– Oczywiście. – Pokiwała głową i spuściła wzrok na swój notatnik, gdzie zapisała kilka kluczowych haseł, starając się, by Elisabeth ich nie widziała.

– Proszę tego nie brać do siebie – powiedziała nagle, a z jej głosu zniknęła część surowości, którą Dicte wyłapała na początku. – Napije się pani herbaty?

Była jedyną dziennikarką, która się pojawiła. To nie był ciekawy temat. Większość redakcji przysłała tylko fotografa i zadowolila się krótką notatką podyktowaną przez telefon.

– Pani przynajmniej się do nas pofatygowała. – Elisabeth Rohde postawiła przed Dicte kubek. Siedziały na komplecie wypoczynkowym w stylu lat siedemdziesiątych z tapicerką z zielonej wełny całkowicie wytartą na podłokietnikach. Błat prostego, składanego stołu był poprzypalany od papierosów, a zapach tytoniu wnikał na dobre w ciężką tkaninę pomarańczowych zasłon.

– Społeczeństwo zwykle skąpi nam swojej uwagi.

Dicte ujęła kubek wyszczerbiony na uchu. Dziwne, ale herbata dobrze jej zrobiła, mimo że była letnia.

– Kim są kobiety, które do was przychodzą? – zapytała w końcu. – Jak pani wspomniała, ich życie to nie tylko seks i narkotyki. Jakie więc są ich historie?

– Będzie pani przeszkadzało, jeśli zapalę?

Dicte pokręciła głową, choć nie znosiła dymu. Elisabeth przysunęła sobie popielniczkę z aluminium, a z kieszeni na piersi wyjęła papierosy i zapalniczkę.

– Pracuję tu od pięciu lat – zaczęła. – I wciąż nie udało mi się znaleźć dla nich wspólnego mianownika.

Przypaliła papierosa i pomachała ręką, by rozproszyć pierwszą chmurę dymu.

– Kiedy już zaczniesz myśleć, że wszystkie były molestowane w dzieciństwie i pochodzą z dysfunkcyjnych rodzin, pojawia się jedna albo więcej i opowiadają ci zupełnie inną historię: kochający rodzice, zamożni, dobre stopnie w szkole i tak dalej. Najbliższe odpowiedzi na te pytania będzie chyba stwierdzenie, że narkotyki

i uzależnienie od nich nie dyskryminują nikogo – podsumowała, a w jej głosie zabrzmiała nagle nuta goryczy. – Kiedy weźmiesz pierwszą działkę i wpadniesz w to, twoje pochodzenie przestaje się liczyć.

– A narodowość? – spytała Dicte. – Tylko Dunki do was trafiają? A może w ogóle tylko kobiety z Århus?

Elisabeth Rohde strzepnęła do popielniczki odrobinę popiołu.

– Z tym jest podobnie. Niedawno była u nas dziewczyna tureckiego pochodzenia. To tragiczna historia, bo jej rodzina o niczym nie wie. Uciekła z domu, gdy miała szesnaście lat, bo rodzice zamierzali ją wydać za kuzyna, którego nie знаła. Pozostawiona sama sobie wpadła w złe towarzystwo, o ile można to tak nazwać.

– A inne historie?

Elisabeth wzruszyła ramionami. Papieros zachybotał w powietrzu.

– Większość z nich to oczywiście Dunki. Ale wydaje mi się, że widziałam tu naprawdę wszystkie nacje. Tajki. Dziewczyny z Europy Wschodniej. – zaśmiała się chrapliwie. – A nawet z Kopenhagi.

Siedziały chwilę w milczeniu, a Dicte notowała. Kiedy skończyła, rozejrzała się po pomieszczeniu. Odniosła wrażenie, że czegoś tu brakuje – poza ludźmi. Czegoś do czytania. Gazet, pomyślała. Nie było nawet choćby pojedynczego egzemplarza tygodnika „Århus Onsdag”. Można było tu sobie siedzieć i kontemplować własne objawy odstawienia.

– Nie prenumerujecie gazet?

Elisabeth uśmiechnęła się z politowaniem.

– Na takie zbytki niestety nas nie stać. Musimy rozważnie gospodarować środkami.

– A słyszała pani, by któraś z kobiet rozmawiała o ciele znalezionym w porcie? Albo o dziecku z Bazaru Vest?

– Oczywiście. O tym słyszeli chyba wszyscy.

– Ale nie czytały gazet? Nie oglądały telewizji?

Elisabeth zaciągnęła się papierosem i dłonią rozproszyła dym, choć niewiele to dało.

– Nie tutaj. I mówiąc szczerze, wątpię, by oglądały gdziekolwiek indziej. One, że tak powiem, mają inne zajęcia.

Dicte dokończyła wywiad. Tak naprawdę mógł z tego wyjść całkiem dobry, zgrabny tekst, o ile Kaiser zgodzi się dać jej choć trochę miejsca w numerze. Kiedy podniosła się z kanapy, Elisabeth wstała razem z nią. Wychodząc, zwróciła uwagę na małą tablicę, gdzie wywieszono informacje o organizowanych wydarzeniach i godzinach otwarcia, a także regulamin placówki.

– Ma pani coś przeciwko temu, żebym powiesiła tu artykuł ze zdjęciem kobiety z portu? – spytała. – Szukamy informacji. Może któraś z dziewcząt będzie mogła nam pomóc.

Elisabeth Rohde nie wyglądała na przekonaną.

– Jeśli o mnie chodzi, to proszę bardzo. Ale wątpię, by to cokolwiek dało. Te dziewczyny są półprzytomne. Nawet jeśli któraś będzie coś wiedziała, mało prawdopodobne, że znajdzie w sobie siłę, by się z panią skontaktować.

Dicte jednak już szła do samochodu, gdzie miała egzemplarz gazety ze zdjęciem. Na pocztówce zabranej z galerii, w której była wcześniej, zapisała w dwóch liniach swoje nazwisko i telefon. Pomyślała przy tym o Bo. Pewnie teraz siedział w Kopenhadze przy piwie razem z Jensem Peterem Haldem i planowali swój wyjazd do Iraku. Nawet on uznaliby, że to bardzo naciągany strzał w ciemno.

Przyczepiła do tablicy artykuł ze zdjęciem kobiety. A gdy to zrobiła, mimo wszystko, choć wiedziała, że to gest rozpaczliwy, coś w niej drgnęło i pomyślała, że nawet kobiety, które trafiają w miejsce takie jak to, również czasem muszą czuć przypływ nadziei. Jak wtedy, kiedy ktoś rzuca w morze butelkę z wiadomością, nie wiedząc, dokąd poniesie ją prąd

Obudził ją jej własny płacz.

Typowe, pomyślała Anne, budząc się z powodu skurczów, które wstrząsały jej ciałem, i ze słonym smakiem łez w ustach. Jak zawsze tak głęboko skrywała swoje uczucia, że tylko nocą, gdy nikt nie mógł jej widzieć, samowolnie wyłaniały się na powierzchnię. Jak zawsze odsunęła się na samą krawędź łóżka i odwróciła plecami do Andersa, żeby go nie obudzić.

Nawet we śnie bała się odsłonić.

Spojrzała na zegarek na nocnym stoliku. Było pięć po trzeciej. Obróciła się na plecy i przez chwilę leżała, próbując wyrównać oddech, ze wzrokiem wbitym w sufit, gdzie widać było kontur białej lampy. Nabrała głęboko powietrza, przytrzymała je w płucach, po czym wypuściła powoli, kontrolując tempo. Powtarzała to w kółko, starając się jednocześnie wyrzucić z głowy myśli o śmierci matki i kompletnie w tej chwili nieprzydatne wyrzuty sumienia z powodu wszystkiego, co w ich relacji wolałaby zrobić inaczej.

Poprawiła poduszkę pod głową i zamknęła oczy. Cierpliwie czekała, aż znajdzie się w innym świecie, do którego zawsze wracała i który podczas choroby przyniósł jej ocalenie w chwilach największego załamania.

To było jak wejść przez ramkę do zdjęcia w albumie i stwierdzić, że ono jest rzeczywistością. Przed nią rozciągała się plaża nad Morzem Północnym, fale obmywały jej opalone palce u stóp. Horyzont zlewał się z błękitnym niebem, a słońce przesunęło się nad taflą wody. Powietrze pachniało solą i wodorostami, a falujący rytm morza udzielał się jej stopom, łaskotanym przez fale. Była oszołomiona absolutną pełnią szczęścia.

Zdjęcie pochodziło z jej dzieciństwa i Anne doskonale wiedziała, że tamto poczucie szczęścia dlatego tak mocno wyryło się w jej pamięci, że nigdzie indziej tego nie doświadczyła. Wyjechała wtedy na wakacje do dziadków od strony mamy, do ich letniego domku w Lønstrup. Wśród wydm biegła do domu. Na zewnątrz budynek pachniał smołą z dachu, a w środku salon wypełniał surowy aromat drewna na opał i słońca na parkiecie.

Jej płatki nosa zdrząły w ciemności, kiedy ponownie pozwoliła się wciągnąć w głąb swojego snu. Zapachy pamiętała bardziej niż wszystko inne. Babcine klopsiki. Koperek na kanapce z jajkiem. Zwęglone drewno. Trawy i wydmuchryce porastające wydmy. I słodka woń truskawek oraz perfum babci. Konwaliowych – zapamiętała Anne. Mały flakonik stał na półce nad umywalką. Gdy jako dziecko stawała na palcach, potrafiła do niego sięgnąć.

I to ten zapach pozostał przy niej, kiedy w końcu zasnęła.

– W środę o której?

Anders nalał mleka do miski z płatkami. Gdy zaczął jeść, usłyszała chrupanie.

– Uroczystość w kościele zaczyna się o drugiej. Potem pójdziemy na kawę do Nilles Kro.

Odpowiadała mu, jednocześnie robiąc kanapki dla Jacoba siedzącego przy stole cicho jak mysz. Bardzo płakał, kiedy babcia umarła, i długo musieli mu tłumaczyć, że jest teraz wysoko w górze i towarzyszy im we wszystkim, co robią i mówią.

– Myślę, że dobrze będzie podać też jakieś piwo – podsunął Anders. – Albo coś innego, co pozwoli ludziom trochę się rozluźnić.

Miał rację. Już i tak nie będzie łatwo, kiedy rodzina jej matki będzie musiała się spotkać z rodziną ojca, za którą nie przepada.

– Zadzwoń tam i powiem, żeby zaproponowali ludziom piwo i wodę, kiedy przyjdziemy.

Anders jednak wciąż nie był do końca usatysfakcjonowany.

– I koniak do kawy – dodała.

Pokiwał głową, uśmiechnął się i pocałował ją przez stół.

– Myślę, że nie będziesz żałować.

O takich rzeczach potrafiła z nim rozmawiać. Wszystko, co się wiązało z pogrzebem, zaplanowali razem. Jako jedynaczka musiała o wszystkim zdecydować. Wybrali trumnę i kwiaty, i psalmy, które będą śpiewane w kościele. Anders obiecał też przyprowadzić kolegów ze swojego tercetu. Ale kiedy chodziło o całą resztę – o żałobę, rozpacz, która tak bardzo ciążyła jej na sercu, o tę dojmującą pustkę, jakby tak naprawdę nigdy nie była kimś albo czymś, albo o to, że świat wokół momentami wyglądał dla niej jak czarno-biały film – wówczas rozmowy z nim nic nie dawały. Anders doskonale wyrażał się poprzez muzykę. Miał najwrażliwsze palce na świecie, a gdy opuszkami głaskał ją po plecach albo

wtulał twarz w jej szyć, słyszała anielskie śpiewy. Niestety – połączenie uczuć ze słowami nie wychodziło mu najlepiej.

– Pojadę dziś do mieszkania mamy.

Pokiwał tylko głową i dalej jadł, głośno chrupiąc. Jacob za to nagle się ożywił.

– Ja też chcę do babci.

Anne z całego serca pragnęła, żeby to Anders podjął się wytłumaczenia małemu – po raz kolejny – co się stało, lecz on tego nie zrobił. Siedział gdzieś bardzo daleko, pogrążony we własnych myślach, w jakimś utworze, który aktualnie ćwiczyli, albo przygotowywał się mentalnie do najbliższego koncertu.

– Ale babcia nie żyje, skarbie – powiedziała i usłyszała w swoim głosie znany jej nauczycielski ton. I nie ma mowy o płaczu. W ciągu dnia była tą, która ma wszystko pod kontrolą. – Babci już tam nie ma, Jacob.

Widziała, że myśli chłopca zawirowały jak globus.

– To gdzie ona teraz śpi? Gdzie gotuje?

– Nie powinieneś tak dużo o tym myśleć. Babcia umarła, i już. Teraz jest w niebie, a tam nie potrzeba łóżka ani jedzenia, ani mieszkania. – Anne za późno się zorientowała, że w jej głosie słychać zniecierpliwienie.

Oczy chłopca się zaszklily. Drobny podbródek drżał i Jacob walczył, żeby się nie rozplakać. Poczucie winy spowiło ją jak czarna chmura i nagle nie wiedziała już sama, jak to naprawić. Co powiedzieć własnemu dziecku, które teraz popłakiwało cichutko. Był inny, tak jak ona, i wiedziała, że dzieci się z nim drocą przez jego egzotyczną urodę. A teraz po raz pierwszy spotkało go wielkie nieszczęście.

– Tęsknię za babcią – wychlipał.

Tak po prostu. Jej mądry syn potrafił znaleźć słowa, których jej brakowało.

– Skarbie, babcia również za tobą tęskni. Jestem tego pewna. Pamiętasz, jak się zawsze cieszyła, kiedy coś dla niej narysowałeś?

Jacob pokiwał głową. Łzy naznaczyły szare paski na jego policzkach. Gdy mu je ocierała, czuła pod palcami miękką dziecięcą skórę.

– Może coś byś dla niej narysował? – zaproponowała. – Mógłbyś dać rysunek babci w kościele.

Ponownie pokiwał głową z powagą. Anne widziała, że w jego głowie znów kołaczą się myśli, tym razem jeszcze zwawiej. Wyobraziła sobie, że przesuwa w niej motywy, które mogą się przydać – ufoludki, dinozaury, stwory i inne

fantastyczne rzeczy. Tyle razy wracał od babci z taką masą rysunków, że brakowało na nie miejsca na tablicy, i z ożywieniem opisywał każdy najdrobniejszy szczegół.

To wspomnienie ścisnęło ją za gardło i niemal zapało jej dech w piersiach. Już dawno powinna była to zauważyć. Mieszkanie babci było dla Jacoba bezpieczną przystanią, miejscem, gdzie jego wyobraźnia mogła się rozwijać, gdzie miłość była jak ocean, a zadania, jakie mu powierzano, drobne i proste. Dla niego to mieszkanie będzie tym, czym dla niej letni dom nad Morzem Północnym. Na zawsze je zapamięta i to w nim będzie szukał schronienia, kiedy dorośnie i świat zawali mu się na głowę. Małe dwupokojowe mieszkanie z balkonem i jasnym salonem wychodzącym na zachód, gdzie codziennie wpadało popołudniowe słońce.

Spojrzała na zegarek. W pracy musi być za dwie godziny.

Wysiadła z autobusu w Vejlbym i przeszła tych kilka metrów do kamienicy niedaleko Veri Centret, gdzie od rozwodu mieszkała jej matka. Nigdy ponownie nie wyszła za mąż. I o ile Anne było wiadomo, nie poznała od tamtej pory żadnego innego mężczyzny. Jej rodzice kiedyś się kochali, tyle wiedziała na pewno. Nigdy natomiast się nie dowiedziała, co dokładnie sprawiło, że ich małżeństwo się rozpadło, choć od zawsze czuła, że to była jej wina. Pojawiła się w ich życiu jak obca, egzotyczna roślina, która rosła i rosła, i stawała się coraz silniejsza oraz bardziej wymagająca, niż się spodziewali. Na koniec roślina wypaliła ich miłość.

Nigdy z mamą szczerze o tym nie porozmawiała. Ani o adopcji i o tym, jak podjęli tę decyzję i jak wszystko zorganizowali. Mama raz przymierzała się, żeby jakoś to wyjaśnić. Możliwe, że chciała jej w jakiś sposób wytłumaczyć, dlaczego tacie tak trudno było pokochać adoptowane dziecko. Lecz Anne zasłoniła uszy dłońmi i poprosiła, żeby nic więcej nie mówiła.

Wsunęła klucz do zamka i otworzyła drzwi. Wtedy stchórzyła, a teraz było za późno.

Pierwszym, co ją uderzyło, był zapach. Tak bardzo domowy i tak bardzo przesiąknięty nią. Pomyślała, że zaraz się rozplacze. Żałowała, że nie zabrała ze sobą Jacoba, bo on powiedziałby to na głos. Najpierw biegałby po pokojach i jej szukał, ale w końcu pogodziłby się, że babcia jest w niebie i przygląda im się z góry.

Anne bezwiednie odchyliła głowę i spojrzała na sufit. Żadnego, najmniejszego

nawet znaku. Weszła w głąb mieszkania, wciąż czując aromat mydła, klopsików i perfum. Rośliny stały w kuchni w zlewie. Anne domyśliła się, że to sąsiadka, pani Jensen, je tu wstawiła. Miała przecież klucz i ustaliła z mamą, że od czasu do czasu zajrzy do mieszkania i podleje kwiatki. Zasłony były zaciągnięte, lecz słońce i tak zdołało się przecisnąć przez wąską szparę. Promień padał na podłogę, wspinał się po regale i wylądował na rzeźbionym słoniu, który przywieźli kiedyś z Andersem z Tajlandii. Anne przypomniała sobie, jak dziwnie się czuła, będąc nagle wśród ludzi podobnych do niej samej. Jak poczuła się z nimi w jakiś sposób związana, mimo że nie znała ich języka. Mogli wtedy wybrać Koreę. Mogli zwiedzić jej miejsce urodzenia. Ale wówczas tego nie chciała.

Usiadła w fotelu, w którym tak często siadywała jej mama, gdy oglądała telewizję. Na ławie leżały karty do gry. Może grała w tysiąca z panią Jensen albo stawiała pasjansa?

To pani Jensen zadzwoniła tamtego dnia, kiedy mama się przewróciła. Znalazła ją na podłodze w kuchni w nienaturalnie wykręconej pozycji. Anne przyjechała od razu, lecz nim dotarła na miejsce, karetka już zabrała ją do szpitala. Pani Jensen uprzątnęła bałagan i mieszkanie wyglądało tak, jakby mama wyskoczyła tylko na chwilę do sklepu. Trzeba będzie do niej zajrzeć, żeby jej podziękować i powiadomić ją o pogrzebie.

Jeszcze przez chwilę siedziała, rozglądając się po pokoju. Nie do końca wiedziała, od czego zacząć. Wydało jej się, że porządkowanie mieszkania matki to zadanie bez końca. Bo jak się sprząta czyjeś życie? Jak zorganizować wyprawę duszy? Bo przecież właśnie to miała teraz zrobić. Dusza matki wciąż tkwiła w tym miejscu, w którym spędziła ponad dwadzieścia pięć lat. Unosiła się nad regałem z książkami jej ulubionych pisarzy, kładła na klawiszach pianina, wila między kartkami zeszytów nutowych. Spowijała ubrania w szafie i chowała się w szufladach, była na każdym kuchennym przedmiocie – nożu do zieleniny, trzepaczce, puszce z kawą i maselnicy. Jej dusza tu mieszkała i odnosiło się wrażenie, że opierała się wszelkim namowom, by to miejsce opuścić.

Anne wstała z fotela i zaczęła otwierać przypadkowe szafki i szuflady, żeby wyrobić sobie pojęcie o skali zadania – to był przecież pierwszy krok. Potem z Andersem albo przyjaciółkami będą musieli tu wrócić w któryś weekend, wyposażeni w czarne worki i adres najbliższego kontenera Czerwonego Krzyża.

Nie umiała się wyzbyć nieprzyjemnego uczucia, że włamuje się do czyjegoś życia, kiedy zaczęła wysuwać kolejne szuflady sekretarzyka. Mebel stał jeszcze na plebanii. Pamiętała go doskonale i wielokrotnie podchodziła do niego i zaglądała do środka. Wtedy znajdowały się w nim głównie albumy rodzinne, świadectwa szkolne, paszporty i inne dokumenty. Nie miała pojęcia, co mama trzymała tu przez te wszystkie lata, kiedy mieszkała sama.

Mnóstwo czasu minęło, odkąd ostatni raz widziała zdjęcia rodzinne. Wciąż były w szufladach. Teraz sobie przypomniała, jak któregoś dnia Jacob po powrocie do domu opowiadał, że z babcią przeglądali albumy. Pod nimi leżały całe stosy najróżniejszych papierów. Stare atesty, paragony z gwarancją na wszystko: od telewizora po sprzęt kuchenny. Znalazła nawet małą teczkę z własnymi rysunkami z dzieciństwa.

Systematycznie przeglądała wszystkie dokumenty i odkładała na kupki „do wyrzucenia” albo „do zachowania”, aż dotarła do szuflady zamkniętej na klucz. Zaczęła go szukać w najróżniejszych pudełeczkach i spodeczkach, aż znalazła w małej, rzeźbionej drewnianej miseczce, którą mama przywiozła sobie kiedyś z jakiejś zagranicznej podróży.

Zawahała się przez moment, nim wsunęła klucz do zamka. Poczowała ucisk w brzuchu i mrowienie w całym ciele. Znów pomyślała, że się zachowuje jak włamywacz. Ostatecznie udało jej się odrzucić to wrażenie, przekręciła klucz i otworzyła szufladę.

Wiedziała, co w niej znajdzie, jeszcze zanim otwarła kopertę. Wiedziała to od pierwszej chwili, kiedy przekroczyła próg mieszkania. Że dziś pozna część odpowiedzi.

A jednak okazała się ona zupełnie inna, niż oczekiwała. Kiedy skończyła czytać, zdała sobie sprawę, że jej życie nigdy już nie będzie takie jak dawniej, a ją czeka podróż całkiem inna, niż sobie wyobrażała.

Patrzyła osłupiała na dokument w swojej dłoni. Kartka pożółkła, ale nie ulegało wątpliwości, że była to odbita przez kalkę kopia listu, który jej rodzice napisali do agencji adopcyjnej.

Przeczytała go raz jeszcze. I jeszcze. Ale już za pierwszym razem doskonale zrozumiała, czego dotyczy. Uprzejmym, oficjalnym językiem, którym tak dobrze władał jej ojciec, rodzice Anny prosili o wycofanie swojego wniosku o adopcję.

Dicte pomyślała o chłopcu, którego urodziła dawno temu.

Czy on też zastanawiał się czasem, skąd pochodzi i kim jest jego mama? Czy kiedykolwiek pomyślał o tym, by się z nią skontaktować? Może chciałby jej zadać to nieuniknione pytanie: dlaczego mnie nie chciałaś?

Obeszła swój dom w Kasted i sprawdziła, czy okna i drzwi są pozamykane, mimo że panował upał. Pytania kotłowały się w jej głowie, co często się jej zdarzało, kiedy była sama. Teraz jednak natłok myśli był wyjątkowo gwałtowny, po tym jak zadzwoniła Anne i opowiedziała o liście znalezionym u matki. Dicte doskonale rozumiała rozpacz przyjaciółki. Anne, która tak bardzo liczyła, że pozna w końcu własną historię, zamiast dostać odpowiedź, została przygwożdżona całą masą nowych pytań. Jeśli jej rodzice zrezygnowali z adopcji, to jak wobec tego się u nich znalazła? Kim ona właściwie była?

Dicte sprawdziła drzwi do ogrodu i zamknęła je na dodatkowy zamek, który kazała zamontować. Na zewnątrz zapadał zmrok i światło dnia powoli ustępowało cieniom zmierzchu. Odwróciła się. Gdyby postać tak dłużej, wyobraźnia bardzo szybko mogłaby zmienić drzewa i krzewy w morderców i demony.

Podeszła do stolika i nalała sobie trzeci kieliszek czerwonego wina. Chilijskiego Cabernet Sauvignon z Bilki. To zdrowe, przekonywała samą siebie, przysuwając kieliszek do ust i wdychając korzenny zapach. Zawiera mnóstwo przeciwutleniaczy, co zawsze tłumaczyła Rose, gdy jej rozważna do bólu córka tukała jej do głowy zalecenia dotyczące zdrowia. Doskonale robi na krążenie i w ogóle jest dobre dla serca pod wieloma względami.

Myśląc o Rose, mimowolnie się uśmiechnęła. Niech to szlag, jeśli na dokładkę będzie miała zięcia muzułmanina, a zatem abstynenta, to dopiero się ubawią podczas rodzinnych nasiadówek.

Wychyliła kieliszek i poczuła przyjemne ciepło spływające do ramion i nóg. Wmawiała sobie, że rozzierająca tęsknota robi się od tego odrobinę mniej bolesna i łatwiej daje się znieść. Zzula buty i podkuliła nogi na kanapie. Tęsknota wydawała się czasem nie do zniesienia i szarpała jej myśli we wszystkie możliwe

strony – ku dziecku, które oddała, Bo, Rose, ojcu, który zmarł zaledwie kilka miesięcy temu. Miała aż nadto powodów, by odczuwać stratę, i dobrze wiedziała, że kiedy nie było przy niej Bo, by ją trzymać w pionie, łatwo dawała się ponieść fali żalu do całego świata.

– Svendsen. Chodź tu do mnie.

Poklepała zachęcająco miejsce obok siebie na kanapie. Musiała czegoś dotknąć. Ciepłe futro, miękkie uszy i zimny nos powinny zadziałać. Pies patrzył na nią niepewnie. Wiedziała, że to błąd wychowawczy, który się kiedyś na niej zemści, ale dziś wolno mu wejść na kanapę, i już.

– No chodź, psino.

Svendsen podniósł się wreszcie. Jak zwykle zachwyciła się szczupłą sylwetką, która się do niej zbliżała, choć wciąż wyraźnie spięta.

– No, śmiało. – Słyszała własny przymilny głos i wiedziała, że oto zaprzepaszcza trzyletnie starania wychowawcze.

Svendsen w końcu podjął decyzję. Eleganckim, płynnym ruchem wybił się, skoczył i wylądował obok niej jak czarna błyskawica. Jesteś żałosna, powiedziała sobie w myślach, zanurzając twarz w krótkiej sierści.

Svendsen uprzejmie odpowiedział na jej wylewne pieszczoty krótkim polizaniem po dłoni, po czym położył się na bok i zasnął. Tak to się robi, pomyślała i dołała sobie. Człowiek powinien umieć dokładnie w ten sposób odrzucić zmartwienia i skupić się na chwili obecnej.

To właśnie próbowała osiągnąć za pomocą wina, ale dla niej chwila obecna była czymś innym niż dla psa, któremu instynkt kazał w pierwszej kolejności zapewnić sobie pożywienie, wodę i sen. Dla niej chwila obecna była zagadką kobiety z portu i dziecka z Bazar Vest. To tam powinna skierować swoje myśli i swoją uwagę, zamiast rozdrapywać stare rany albo dumać o Bo, który był tak daleko. Albo o Rose, która pod tym samym dachem wiodła własne, równoległe życie, jak chyba robią wszystkie siedemnastolatki.

To właśnie o Rose myślała, kiedy zasypiała z twarzą tuż przy mokrym pysku. Była na imprezie w swoim liceum i pewnie wróci późno, świeża, pachnąca latem i rosą, i dojrzałym zbożem rosnącym na polach tuż pod ich oknami. Rose, która upierała się, że kocha swojego Aziza.

– Mamo! Wstawaj!

Ktoś ją wołał. Rytmiczne dudnienie z jej uszu rozniosło się po całym ciele. Ktoś delikatnie nią szarpał.

– Maaamo!

Dicte otworzyła oczy na milimetr. Światło wwiercało się jej w mózg.

– Zasnęłam.

Na wpół usiadła na kanapie. Svendsen leżał, machał ogonem i patrzył na Rose wzrokiem ciężkim od winy. Dudnienie, które słyszała, było jego ogonem walącym w tapicerkę.

– Co ty powiesz.

Rose podniosła butelkę i obejrzała ją pod światło.

– Napijesz się lampki wina, skarbie?

– Nie sądzę, żeby została tu lampka – orzekła jej córka tonem znawcy i wyniosła butelkę do kuchni. Dicte wiedziała, że zaraz z powrotem nałoży korek.

– Która godzina?

Dicte ziewnęła i się przeciągnęła. Pies zrobił to samo.

– Svendsen, na podłogę. Słyszysz? Na podłogę. – Autorytarny głos Rose nie zamilkł ani na chwilę. – Wpół do trzeciej.

– O cholera.

Rose spojrzała na nią z przyganą.

– Też tak uważam. Do tego z psem na kanapie. Mamo, co z tobą?

Powiedziała to tak, jakby robili z psem coś bardzo zakazanego. Dicte od razu zepchnęła Svendsena.

– Impreza się udała?

Rose wzruszyła ramionami i ziewnęła.

– Tak sobie. Idę spać.

Tak właśnie teraz rozmawiała z nią jej zakochana córka. Krótka i półsłówkami – za karę, że stara matka nic nie rozumie. Dicte westchnęła. Dobrze, że ma chociaż psa.

– Jak wróciłaś?

Zdążyła zapytać, zanim Rose zniknęła jej z oczu, idąc do swojego pokoju.

– Aziz mnie odwiózł.

– Nie wiedziałam, że ma samochód.

– Pożyczył od kolegi – wyjaśniła Rose tonem sugerującym, że temat został

wyczerpany.

To na nic. Jak ma jej wytłumaczyć strach, który ściska ją za gardło i nie pozwala oddychać, kiedy myśli o niej i Azizie, i przyszłości, jaka mogła ich czekać? Jak sprawić, by jej córka zrozumiała to, czego ona sama nie do końca potrafi zrozumieć? Bo nie wystarczyło wyjaśnić, że Aziz jest muzułmaninem. Ani że Rose jest za młoda, żeby snuć dalekosiężne plany.

Sięgnęła po pilota i włączyła CNN. I nagle poczuła się zupełnie przytomna, a mózg zaczął pracować na przyspieszonych obrotach. Zdała sobie sprawę, że coś w związku Rose i Aziza, i całej tej sytuacji przerażało ją bardziej, niż umiała wyrazić słowami, i bardziej, niż powinno.

Wróciła w myślach do tamtej nocy w porcie i pierwszego, i jak dotąd jedyne spotkanie z chłopakiem córki. Jego uroda była niewątpliwie uderzająca. Wysoki i szczupły o regularnych rysach twarzy nadających mu wygląd księcia z dalekiego kraju. I miał szczere spojrzenie. A ona coś w tym spojrzeniu wyczytała – ale co to było?

Zamknęła oczy i przypomniała sobie panujący tam na miejscu chaos oraz to, że Rose z Azizem wyrosli jak spod ziemi. Pierwsze wrażenie – jakie było jej pierwsze wrażenie, kiedy ich oczy się spotkały?

Nagle sobie przypomniała i owionął ją chłód.

Strach. Trwało to tylko chwilę, nim się zorientował i zasłonił go maską, niemal chowając się za Rose i zamieszaniem wokół. Lecz ona to dostrzegła – w jego oczach był strach i na tym właśnie polegał problem. Bo czego mógł się bać Aziz?

19

– Ja nic nie zrobiłem. Nie macie prawa.

Chłopak nawet nie spojrzał na Ivara K i zamiast tego próbował przywołać wzrokiem Wagnera siedzącego po drugiej stronie stołu w pokoju przesłuchań.

– Chodzi wyłącznie o to, że jestem tym, kim jestem. To dlatego wydaje wam się, że możecie ze mną robić, co wam się podoba.

W jego głosie nie było oskarżenia, a raczej szczere rozczarowanie i Wagner mimowolnie skulił się pod ciężarem tych słów. Przecież chłopak miał rację. W jakimś sensie pasował do stereotypu. To proste. Bardzo proste. Kradł samochody i oskarżono go o gwałt. Mógł więc być zamieszany również w coś większego.

A jednak, patrząc na Aziza, wyprostowanego i siedzącego spokojnie na niewygodnym krześle, Wagner czuł, że to wcale proste nie jest. Coś w tym młodym człowieku mu nie pasowało. Owszem, wydawał się inteligentny i do tego szczery, ale odnosiło się wrażenie, że jego długie rzęsy są czymś w rodzaju zasłony.

– Po raz sto siedemnasty – wycedził Ivar K i pochylił się do przodu razem z krzesłem tak, że niemal leżał na blacie – co robiłeś na bazarze trzynastego sierpnia? Z kim się spotkałeś? Z kim rozmawiałeś? I dlaczego?

Aziz nawet nie mrugnął. Wagner pomyślał, że chłopak to sobie przećwiczył. Jakby stał przed lustrem i się przygotowywał, żeby przed policją wyglądać dokładnie tak – cool, jak by to określił dziesięcioletni Alexander. A nawet ultracool.

– Kupowałem warzywa. Prawo tego nie zabrania.

Nie powiedział tego z przekorą, raczej ze smutkiem.

– I co kupiłeś? – Wagner po raz pierwszy dostrzegł niepokój w spojrzeniu chłopaka. Czyżby teraz miał zacząć kłamać?

– Pomidory – odparł Aziz. – I bakłażany.

– W centrum albo tam, gdzie mieszkasz, nie ma pomidorów ani bakłażanów? – spytał Ivar K.

Aziz wzruszył ramionami.

– O ile mi wiadomo, kupowanie pomidorów i bakłażanów nie jest nielegalne. Również na bazarze.

– Ale nielegalne jest zatajanie informacji przed policją.

Głos Ivara K podniósł się o oktawę. Wagner już żałował, że zdecydowali się na to przesłuchanie. I że zgodził się, aby to Ivar K je poprowadził. Zdecydowanie wolałby widzieć w tej roli Hansena, ale właśnie mu wyrwali ósemkę i mówił, jakby miał w ustach skarpetę.

– To ile kosztowały te pomidory? – Ivar K niemal krzyczał.

Aziz nie dał się wyprowadzić z równowagi.

– Za dwa kilo zapłaciłem dwadzieścia pięć koron.

Powiedział to takim tonem, jakby chciał ich przekonać, by niezwłocznie pojechali na Bazar Vest i nakupowali sobie pomidorów po okazyjnej cenie. Wagner złapał się na tym, że przez moment faktycznie się zastanawiał, ile wobec tego mogły kosztować bakłażany.

– I nie widziałeś tam policji? – zapytał. – Nie przyszło ci do głowy, że niezbyt mądrze jest kręcić się po bazarze akurat w tym momencie?

Aziz skierował na niego łagodne spojrzenie. Wagner pomyślał, że doskonale rozumie córkę Dicte. Chłopak był zarazem przystojny i sympatyczny. Tylko czy to połączenie nie jest zbyt piękne, by mogło być prawdziwe? A może przemawia przez niego stary, pełen uprzedzeń glina, który powinien rozważyć wcześniejszą emeryturę?

– Widziałem policję. Ale cokolwiek tam robiła, nie miało to nic wspólnego ze mną – odpowiedział Aziz. – Dział warzywny nie został odgradzony.

Wagner westchnął. To się robi coraz gorsze. Bakłażany i pomidory. Czy naprawdę nie mają nic lepszego do roboty, tylko ściągać ludzi na komendę na podstawie tak wątpliwych przesłanek?

– Od kogo kupiłeś pomidory? – spytał Ivar K głosem pełnym słodyczy.

Wagner się wyprostował. Oczy młodego mężczyzny po raz pierwszy poruszyły się niespokojnie i chłopak przerwał kontakt wzrokowy.

– Od sprzedawcy warzyw, oczywiście – mruknął poirytowany.

– To ktoś, kogo znasz? – drażył Ivar K.

Aziz wzruszył ramionami.

– Znam mnóstwo osób. Przecież tam mieszkałem.

– Jak on się nazywa?

Aziz spuścił wzrok.

– To jakiś twój znajomy z czasów, kiedy kradłeś samochody? – Ivar K przypuścił atak, a jego głos znów przeszedł w dyszkant.

Wagner widział, jak piersi i ramiona chłopaka się unoszą i jak Aziz przeciągle wypuszcza powietrze z płuc.

– Mustafa. Pracuje dla swojego wujka. Znamy się, więc chwilę z nim rozmawiałem.

– O czym?

Aziz spojrzał na Wagnera, który zadał to pytanie.

– Zastanawialiśmy się, co też policja może tam robić. Wśród ludzi krążyły różne plotki, ale nikt niczego nie wiedział na pewno.

– Jakie plotki? – zaciekawiał się Ivar K.

Aziz znów odwrócił wzrok. Bezwiednie uniósł rękę i zaczął nawijać na palce pojedynczego dreda. On coś ukrywa, pomyślał Wagner, ale nie dowiemy się co. Hansen ma rację, oni nam nie ufają. A to, co właśnie robimy, na pewno tego nie zmieni.

– Plotki o dziecku, a o czym by innym?

Na moment wszyscy zamilkli. Potem Ivar K spytał:

– Jak Mustafa ma na nazwisko?

Aziz uważnie przyglądał się własnym paznokciom.

– No powiedz. Twierdzisz, że go znasz – przekonywał Ivar K. – Musi mieć jeszcze jakieś nazwisko. Przecież tam co drugi to cholerny Mustafa.

Ostatnie zdanie powiedział na wpeł zwrócony do Wagnera, który zastanawiał się, kiedy powinien interweniować.

– Pinar – powiedział Aziz, jakby gdzieś w środku coś mocno go zabolalo.

– Pinar – powtórzył Ivar K. – Więc może powinniśmy podjechać na stragan Mustafy Pinara i kupić trochę pomidorów? Chyba że sprzedał ci coś zupełnie innego, co, kolego? Może DVD? Albo wieżę?

Aziz siedział nieruchomo ze wzrokiem wbitym w pustkę. Wagner przez chwilę niepokoił się, czy chłopak w ogóle cokolwiek słyszy albo widzi, ale wtedy ten jakby się przebudził. Gwałtownie pochylił się w przód i wbił wzrok najpierw w Ivara K, a potem w Wagnera. To dorosły mężczyzna, pomyślał Wagner. Nie

tylko pod względem wieku. Coś uczyniło go dojrzałym. Domyślał się, że tym czymś było oskarżenie o gwałt, które musiało być piekłem dla niego i jego rodziny, zanim postępowanie umorzono z braku dowodów.

– Posłuchajcie – zaczął Aziz, jakby czytał Wagnerowi w myślach. – Zmieniłem się. Zasymilowałem. Studiuję medycynę i spotykam się z duńską dziewczyną. Od pięciu lat trzymam się z dala od kłopotów i przysięgam, że nie mam z tą sprawą nic wspólnego.

Ponieważ żaden z nich się nie odezwał, Aziz mówił dalej. Powtórzył raz jeszcze, z cichym wyrzutem w głosie, który sprawił, że Wagner mu uwierzył i raz jeszcze się zawstydził.

– Nic na mnie nie macie. Wypuście mnie.

Lecz Ivar K nie wyłapał zmiany w tonie chłopaka – a może była mu obojętna.

– To ty posłuchaj, ciapaty gówniarzu – wybuchnął nagle i Wagner przestraszył się, że zaraz chwyci Aziza za kołnierz i przeciągnie na drugą stronę stołu. – To my wydajemy polecenia. I to my...

Wagner powinien był to przewidzieć. Ale tropów było tak niewiele, a on nie spał po nocach, bijąc się z myślami. Trudno, stało się. Teraz zrobił jedyne, co mógł w tej sytuacji. Położył dłoń na ramieniu Ivara K, żeby nie rzucił się chłopakowi do gardła.

– Chodźmy.

Ivar K spojrział na niego zaskoczony.

– Co?

Wagner wstał, zdjął z oparcia krzesła marynarkę i przewiesił ją przez ramię.

– Idziemy.

Zatrzymał się na moment i popatrzył na Aziza.

– A ty wracaj do domu – powiedział w końcu i wyszedł z pokoju, wlokąc za sobą łypiącego spode łba Ivara K.

Musiał jak najprędzej wydostać się z dusznego pomieszczenia, w szczególności chciał się znaleźć jak najdalej od Ivara K, który na środku korytarza, niezrażony obecnością przypadkowych świadków, dał upust swojej wściekłości.

Wagner opuścił czerwone mury komendy i ruszył deptakiem, rozpaczliwie szukając czegokolwiek, co pozwoliłoby mu się uspokoić. Wciąż było przed południem i upał nie rozkręcił się jeszcze na dobre. Komisarz miał przed sobą

niewyobrażalnie długi poniedziałek, który wydawał mu się trudniejszy do przebrnięcia niż zwykle, bo weekend był wypełniony bezsennością i podejmowanymi wspólnie z Idą Marie nieporadnymi próbami, aby ponownie odnaleźć bliskość i zaufanie, które przecież ich łączyły. Kiedy przeszedł na drugą stronę deptaka i ruszył w stronę Ridehuset, myślami wrócił do Ivara K, którego zachowanie było mimo wszystko łatwiejsze do rozszyfrowania.

Próbował mu tłumaczyć, że ostre przesłuchanie w przypadku Aziza nie jest właściwą taktyką. I że być może nie jest to odpowiedni sposób postępowania z żadną z osób zaangażowanych w tę sprawę – zgodnie z tym, co już wcześniej sugerował Jan Hansen. Ale na Ivara K samo nazwisko Hansena zadziało jak płachta na byka. Jego niesforny podwładny odwrócił się na pięcie i z całej siły kopnął drzwi windy, która jak zwykle jechała za wolno.

– Cholerny gnojek już zaczynał się łamać – wycedził z wściekłością. – Jeszcze dwie minuty, a mielibyśmy przyznanie – dorzucił.

– Przyznanie do czego? – przytomnie zapytał Wagner. – Że kupił dwie kapusty za dychę?

Gdyby wzrok zabijał, Wagner byłby trupem po spojrzeniu, jakie mu posłał Ivar K. Mimo wszystko wytrzymał to dopóty, dopóki krewki kolega odrobinę się nie uspokoił. Oddalając się, Wagner powtarzał sobie w głowie, że zna przecież Ivara K nie od dziś i że on zawsze jest właśnie taki – łatwo traci nad sobą panowanie i trzeba go kontrolować. I że to on, Wagner, ma za zadanie tak pokierować swoim podwładnym, żeby w pełni wykorzystać jego zdolności śledczego. Bo bezdyskusyjnie Ivar K był zdolny. Miał wrodzone zdolności do tropienia zbrodni i jak nikt inny potrafił prowokować i drażnić zespół, zmuszając do pracy ponad siły.

Dopiero gdy dotarł do siedziby nowo otwartej galerii sztuki, zdał sobie sprawę, że szedł właśnie na wystawę Kviuma. W budynku prócz niego było zaledwie parę osób, więc mógł spokojnie usiąść na ławce i nierozpraspany przez nikogo chłonąć wrażenia, które powoli wypierały z jego głowy myśli o pracy. Sztuka i muzyka stanowiły balsam dla jego udęczonej duszy.

Tak było od zawsze, pomyślał, zanurzając się w groteskowy świat powykrzywianych postaci z obrazów Michaela Kviuma, przedstawionych na ciemnym, ponurym tle. Odrażający autoportret przyglądał mu się z białej ściany.

Wielkie uszy, zaślinione usta i łysina. Autor był bezlitosny zarówno dla siebie, jak i dla innych. Inna wersja Ivara K, uzbrojona w płótno i pędzel, stale poszukująca słabych punktów i miejsc, w które można wbić igłę, by bolało najbardziej?

Rozmyślał o tym wszystkim, kiedy usłyszał zza pleców czyjś głos.

– Dwie dusze, jedna myśl.

Odwrócił się i spojrzał w oczy Kjelda Haunstrupa. Jego twarz wykrzywiła się na krótką chwilę i stała się przerysowaną postacią z obrazów Kviuma z wielkimi ustami i perkatym nosem. Nawet piegi wyglądały, jakby ktoś strzepał nad Haunstrupem pędzel umoczony w karmelowej farbie.

– Dokładnie tak – przyznał Wagner. – Czasem dobrze jest zmienić kontekst, prawda?

Haunstrup stał przez chwilę z przechyloną głową i przyglądał się obrazom.

– Tak, to bardzo ciekawe – zgodził się i szybko dodał: – choć nie wiem, czy te dysharmonie są tym, czego akurat teraz potrzebujemy.

Usiadł na ławce obok Wagnera.

– Mimo wszystko przynoszę dobre wieści – powiedział i nagle się ożywił. – Zamierzałem właśnie to uczcić, ale nie zastałem cię na komendzie.

Kvium zniknął ze świadomości Wagnera tak szybko, jakby ktoś nacisnął guzik. I równie szybko detektyw zdał sobie sprawę, że praca ani na moment nie opuściła jego myśli. Że nie jest w stanie się wyłączyć. Zawsze będzie czujny, gotów w każdej chwili przejść w tryb działania.

– Mów.

Haunstrup zrobił głęboki wdech i spojrzał na groteskowy autoportret. Wagnerowi przemknęło przez myśl, że może i jego kolega dostrzegł podobieństwo.

– Sierść znaleziona na dywanie z całą pewnością pochodzi od foksteriera – powiedział.

To ważne. Foksterier kompletnie nie pasował do środowiska imigrantów. Już prędzej pitbull. Albo rottweiler czy staffordshire bulterier. Ale nie foksterier. Znów przypomniał sobie Dicte Svendsen i jej komentarz o psach i Koranie. Wciąż jednak nie rozumiał, do czego właściwie mógłby tę informację wykorzystać.

– Ale to nie wszystko – powiedział Haunstrup głosem pękającym od dumy, jak Alexander, kiedy przynosił ze szkoły piątkę. – Znaleźliśmy też nadający się do analizy odcisk palca.

– Gdzie?

– Na foliowej torbie. Tej, w której leżała dziewczynka.

– O cholera – mruknął Wagner, podnosząc się z miejsca. – No to pora brać się do roboty.

Haunstrup również wstał.

– Pójdę z tobą.

Idąc w stronę wyjścia, Haunstrup spojrzął przez ramię na autoportret i powiedział:

– Niech to, ten gość kogoś mi przypomina. Kogoś znajomego.

Wagner poklepał go po przyjacielsku po plecach.

– Pewnie tylko ci się wydaje.

Lepiej nie myśleć. Lepiej po prostu się ruszać i pozwolić, by ciało zużyło całą energię, aż nic nie zostanie. Taki miała plan.

Dicte przerzucała żelazo na siłowni jak szalona, mięśnie na karku i szyi napięły się, a zaraz po nich napięły się całe ramiona. Działo przez chwilę. Niepokojące wrażenie, że jest okrętem, który się zerwał z kotwicy, zniknęło na peryferiach świadomości, razem z tęsknotą za Bo i lękiem, że nadejnie na minę albo porwą go terroryści. Pustka, która zdominowała jej weekend, ustąpiła miejsca poniedziałkowej sile mięśni. Dicte zapragnęła tego dnia spokojnie zasnąć, bez pomocy połowy butelki czerwonego wina i niesłabnącego przecucia, że czegoś jej brakuje.

Może zresztą faktycznie bagatelizuje swą słabość do tego trunku, przemknęło jej przez myśl, gdy pojedyncza kropla potu torowała sobie drogę od linii włosów do nasady nosa. Rose znów się jej czepiała. Przypomniała sobie, że wypła jeszcze tę odrobinę z piątku, o której wołała zapomnieć. Ale przecież zrobiła to, gotując risotto. Ile tego było? Ćwierć butelki? A może trochę więcej? Nie, nie będzie o tym myśleć.

Zamknęła oczy i z ogromnym wysiłkiem dokończyła piętnaście powtórzeń. Sztanga wydawała się cięższa niż normalnie. Chociaż niewykluczone, że przez pomyłkę nałożyła sobie za duże obciążenie. I może powinna była zjeść cokolwiek na śniadanie, choć żołądek jej się wywrócił na widok pudełka z płatkami, które Rose ostentacyjnie postawiła jej przed nosem.

– Zjedz coś, mamó, bo za bardzo spadnie ci cukier – powiedziała jej córka, która śledziła w telewizji Tour de France.

Gdy przeszła do stanowiska ćwiczeń mięśni brzucha, jej ciało zaprotestowało gwałtownie. Soki żołądkowe podeszły jej do gardła. Próbowwała się skupić na muzyce dudniącej z głośników, hałasie urządzeń i ściszonych rozmowach ludzi na rowerkach czy w kafeterii. Dziś jednak dźwięki tylko wzmacniały narastający ból głowy, a ciężkie bity były jak gwoździe wbijane wprost do mózgu. Ums, ums, ums, ums. Dicte położyła się na ławeczce, zrobiła głęboki wdech i pochyliła się do

przodu, opuszczając głowę do ziemi. Wisiała tak przez chwilę, zbierając siły. Znów poczuła mdłości, a przed oczami miała mroczki.

Całą wieczność trwało, nim wymęczyła dziesięć skłonów. Na dziś musi wystarczyć. Zwyczajnie nie była w stanie zrobić ani jednego powtórzenia więcej.

Zdażyła to pomyśleć i wstać, nim podłoga gwałtownie się do niej zbliżyła i uderzyła ją w twarz. Usłyszała niewyraźne wołanie o lekarza, po czym zanurzyła się w absolutną, bezkresną biel.

– Wody, przynieście jej wody.

Znała ten głos. Był łagodny i niski, i podnosił ją ku światłu. Ktoś przycisnął jej do czoła moką szmatkę. Czyjeś przedramię podpierało jej kark, a między wargi wsunięto jej coś, co smakowało jak plastik. Usta wypełniła chłodna ciecz, zmuszając ją do przełknięcia.

Dicte otworzyła oczy.

– Nic jej nie jest – powiedział głos. – Po prostu zasłabła. Przynieście jakiś sok i ze dwa herbatniki.

Zakrztusiła się wodą i z trudem usiadła.

– Co się stało?

Jeppe Vrå przyglądał się jej badawczo, mierząc puls. Jego chłodny dotyk niósł ulgę.

– Zemdlałaś. Akurat wtedy, kiedy wchodziłem na salę.

Spojrzał na zegar wiszący na ścianie.

– Jest wpół do jedenastej. Co dziś jadłaś?

Poczuła się jak dziecko. I jak dziecko zapragnęła się zbuntować.

– Nie pamiętam.

Ktoś podał Jeppemu sok, a on podsunął jej do ust słomkę.

– Trzymaj, musisz wypić trochę tego.

Nienawidziła soków i wzdrygnęła się na myśl o całym dodanym cukrze. Mimo wszystko grzecznie wzięła dwa łyki. I rzeczywiście niemal natychmiast poczuła się lepiej.

– Dzięki.

Pozwoliła, by pomógł jej wstać, po czym dała się zaprowadzić do kafeterii i posadzić. Jeppe usiadł naprzeciwko niej, na samej krawędzi krzesła, jakby chciał być w pogotowiu na wypadek, gdyby znów osunęła się na ziemię.

– Nie ma za co. Kto wie, może któregoś dnia będę potrzebował wsparcia dziennikarskiego.

Przez chwilę patrzył na nią uważnie i choć kompletnie nie miała energii, poczuła gdzieś w środku dziwne poruszenie. Czyżby ją pociągał? A może po prostu była wdzięczna. Postanowiła uznać, że to jednak wdzięczność, bo z nią łatwiej mogła sobie poradzić.

– Nic nie jadłaś, prawda?

Pokręciła głową.

– Głupio, co?

– Ty to powiedziałaś – zauważył z uśmiechem. – Śpieszy ci się? Musisz lecieć do pracy?

Oczywiście, że musiała, ale zebranie redakcyjne zawsze może sobie odpuścić albo znaleźć jakąś wymówkę i przyjść spóźniona. Poza tym i tak planowała popracować wieczorem.

– To może poczekać.

– Musisz coś zjeść. Możemy skoczyć do kawiarni – powiedział, jakby właśnie jej zaordynował lek ratujący życie.

Ależ oczywiście. Wszystko było w najlepszym porządku – on jest lekarzem, a ona pacjentką, która musi coś zjeść. Tu chodziło wyłącznie o przetrwanie. Nie było w tym absolutnie nic dwuznacznego, absolutnie nic.

– Dobry pomysł – powiedziała i nagle zrobiła się głodna jak wilk.

– Często ci się zdarza zapomnieć o jedzeniu?

Nad rzeką Århus poranne słońce mocno już przypiekało. Usytuowane na nabrzeżu kafejki miały w tym roku odnotować rekordowe obroty. Znaleźli stolik nieco w cieniu. Wokół wciąż było sporo wolnych miejsc, ale stopniowo zwiększała się liczba osób zasiadających przy stolikach albo na prowadzących do wody schodkach.

– A na to wygląda?

Jeppe odrobinę za długo patrzył jej w oczy, zanim uciekł wzrokiem niżej, lustrując jej ciało i robiąc objazd po ramionach, nogach, szyi i piersiach. Jej oddech stał się płytki i przesunął się z przepony do klatki piersiowej. Ale udało jej się go opanować. Zjadła kanapkę. To był ich wspólny cel. Zadanie wykonane.

– Jesteś może trochę blada – powiedział dyplomatycznie – ale nie ma się co

dziwić, masz sporo na głowie.

– Bo jest w Iraku – wypaliła. – Pojechał robić reportaż.

Uniósł brwi zdumiony. Wydawało jej się, czy w jego spojrzeniu dostrzegła cień zadowolenia?

– Wobec tego masz jeszcze więcej zmartwień, niż początkowo sądziłem. Mnie chodziło głównie o tę historię z kontrolą żywności na Bazar Vest. Wygląda na to, że sprawy potoczyły się trochę inaczej, niż się spodziewano.

– Łagodnie powiedziane.

Dopiła cappuccino i przez chwilę patrzyła na dno filiżanki, gdzie osiadły resztki kawy.

– Czuję się winna – powiedziała wreszcie. – Możliwe, że pisząc tamten artykuł, podsunęłam sprawcom dobry pomysł.

Jeppe również przez jakiś czas się nie odzywał. Wodził wzrokiem za dwójką młodych dziewczyn.

– Uprawiamy bardzo różne zawody – powiedział, odrywając spojrzenie od dziewcząt – ale wydaje mi się, że w obu profesjach czasem trudno się wyzbyć poczucia winy.

Oczywiście. Nie tylko ją dopadała myśl, że nie jest dość dobra. Przed sobą miała człowieka, który na co dzień zajmował się życiem i śmiercią. Inaczej niż ona, która tylko czasami trafiała na trop zbrodni. Odstawiła filiżankę.

– Opowiedz mi o swojej pracy i wątpliwościach, jakie cię nachodzą – powiedziała. – Pewnie poczuje się lepiej, kiedy tego wysłucham.

Przez chwilę wydawało się, że rozważy za i przeciw.

– Zwątpienie może człowieka dopaść w każdej chwili – zaczął. – Wybór ma się zawsze. Rzecz w tym, by wybierać właściwie. Z czysto statystycznego punktu widzenia to oczywiście niemożliwe. Nieuniknione jest bowiem, że czasem wybierze się źle.

– A konsekwencje? – spytała, choć wiedziała przecież doskonale, jakie mogą być w jego zawodzie.

Jeppe odwrócił dłonie wnętrzem do góry w geście, który pozostawiał otwarte wszystkie możliwości, włącznie z jego własną omyłnością.

– Życie albo śmierć.

Dicte widziała jednak, że chce powiedzieć coś jeszcze, dlatego cierpliwie

czekała.

– Niedawno miałem do czynienia z pięciomiesięcznym niemowlakiem – powiedział w końcu, patrząc na rzekę. – Dziecko zaraziło się wirusem podczas porodu. Gdybyśmy o tym wiedzieli, moglibyśmy temu zapobiec.

Dicte wyobraziła sobie rodziców jako parę narkomanów, ale Jeppe nie pozwolił jej rozwinąć tej wizji.

– Rodzice są zdrowi. To bardzo dziwna sprawa.

– I teraz sobie wyrzucasz, że nie wykonano testów?

Wzruszył tylko ramionami.

– Tu nie ma co sobie wyrzucać. Nikt nie mógł tego wiedzieć. Ale poczucie winy...

Spojrzał na nią i Dicte wiedziała już, co powie dalej.

– ...od tego chyba nie sposób się uwolnić.

Przewiercał ją wzrokiem, a jej ciało niespodziewanie zupełnie oprzytomniało. Dicte uświadomiła sobie, że jej towarzysz zbudował między nimi atmosferę poufałości, by teraz to wykorzystać. Prosty trick, pomyślała i uśmiechnęła się w myślach. Oceniał, że ją należy uwodzić intelektem. Może Jeppe Vrå był mimo wszystko bardziej wytrawnym flirciarzem, niż początkowo sądziła.

Jego palec ostrożnie, niemal przypadkiem dotknął jej spoczywającej na stole dłoni. Nie odwzajemniła dotyku, ale i nie przesunęła ręki.

– Mieć sumienie nie jest czymś złym – powiedział cicho – tylko czasem nie ma co z nim począć.

Przełknęła ślinę. Wyraźnie czuła, że jego myśli poruszają się zupełnie innym torem niż temat ich rozmowy. Sumienie. Kto umiałby je uwolnić i rzucić ot tak na stół jako krótkie wtrącenie? Ponownie spojrzała mu w oczy.

– Jesteś piękna – odezwał się – i mam na ciebie cholerną ochotę. Teraz już wiesz.

Słowa zawisły między nimi i przez chwilę migotały w upale, który o tej godzinie unosił się już nad asfaltem. Dicte poczuła, jak po ciele rozchodzi jej się przyjemne uczucie bycia pożądaną, a Bo wydał jej się teraz bardzo odległy. Pożądanie. Wewnątrz cała drżała. Ale wtedy przy sąsiednim stoliku rozległ się głośny płacz dziecka i ten dźwięk przebił bańkę rozmarzenia, w której na moment się zamknęła.

Spojrzała na zegarek.

– Muszę lecieć. To znaczy, wracać do pracy.

Zabrzmiało to tak strasznie nieporadnie. Uśmiechnął się, widząc jej zakłopotanie.

– To nie musi być tu i teraz – powiedział i puścił do niej oko. – Ale może później. A może wcale... – Dał kelnerce znak, że chce zapłacić. – Sama zdecydujesz.

Do końca dnia pilnowała się, żeby jeść zdrowo i zgodnie z surowym zaleceniem Jeppego – pić. Nie wino, ale wodę.

„Sama zdecydujesz”.

Jego słowa zainfekowały jej cały organizm i zasypały myśli zakazanymi obrazami. Może dlatego do dziesiątej wieczorem nie umiała sobie znaleźć miejsca, aż sobie przypomniała plan, który obmyśliła rankiem. Rose powiedziała tylko, że wychodzi na parę godzin. Dicte wsiadła do samochodu i z opuszczonymi szybami ruszyła do miasta. Pokonując Kasted, czuła zapach dojrzałych zbóż unoszący się z pól, na których już zaczęły się żniwa. Jej mózg przekuł go w wizję namiętnych chwil wśród tych krajobrazów i w świetle księżyca. W pobliżu Nowego Młyna dostrzegła kombajn na samym środku rozległego łąnu. Maszyna buczała samotnie w ciepły letni wieczór, a dźwięk odbijał się echem od okolicznych pagórków.

Włączyła radio. W wiadomościach mówili o kolejnych rozróbach pomiędzy imigrantami a policją w City Vest. Brak zrozumienia policji dla istniejącej w młodych ludziach potrzeby wszczynania burd wywoływał w tamtej okolicy napięcia bliskie tym, które towarzyszą rozszczepianiu atomu. Miejski zarząd dróg wytyczył szereg objazdów, żeby autobusy nie musiały mijać miejsc najbardziej zapalnych. W stronę policji poleciały kamienie, ucierpiał też jeden ze strażników agencji ochrony mienia. Wściekła młodzież podpalała opony na stacji Shell przy Edwin Rahrsvej. Rany boskie, to brzmi jak początek wojny domowej, pomyślała Dicte i przełączyła na inny program. Znalazła stację muzyczną, która właśnie puszczała country. Nie była wielką fanką tego gatunku, ale dźwięk kombajnu i atmosfera żniw wydały jej się adekwatnym tłem dla wysłuchania *Help me make it through the night* Krisa Kristoffersona.

Potem nastąpiła cała seria nostalgicznych kawałków i Dicte z Kennym Rogersem w uszach i Jeppem Vrå w głowie skręciła w Nørre Allé i później z Hjelmensgade wjechała na zadaszony parking przy Thunøgade, dziesięć metrów od centrum

kryzysowego Hellet.

Wysiadła, podeszła do budynku i zadzwoniła do drzwi. Kobieta, która jej otworzyła, patrzyła na nią nieufnie. Dicte domyśliła się, że jest tu wolontariuszką.

– Nazywam się Dicte Svendsen – przedstawiła się – napisałam niedawno o was dla „Avisen”. Chciałabym chwilę porozmawiać i zapytać, jak działa wasza nowa noclegownia.

Kobieta wyglądała tak, jakby należała do tego typu ludzi, którzy są odporni na dziennikarzy, bez względu na to, z czym tamci przychodzą. Usta miała zaciśnięte w cienką kreskę niechęci, a oczy zmrużyła, szykując się do chłodnej odmowy.

– To miejsce ma być schronieniem dla kobiet – przypomniała – nie ma więc sensu wpuszczać tu dziennikarzy.

– Rozmawiałam z Elisabeth Rohde. – Dicte nie dawała za wygraną. – Zastałam ją?

Kobieta potrząsnęła głową i już miała zamknąć drzwi, gdy zza jej pleców wychyliła się przeraźliwie chuda dziewczyna.

– Czy to Katka? – spytała dziewczyna tonem marudnego dziecka. – Obiecała, że przyjdzie.

– Nie, to nie ona – syknęła kobieta w drzwiach.

– Więc kto?

Powiedzieć, że oczy tej małej wyglądały na ciekawskie, byłoby pewną przesadą, lecz mimo wszystko dało się w nich wyczytać pewne zainteresowanie i Dicte postanowiła to wykorzystać.

– Nie ma ze mną żadnego fotografa – zapewniła pośpiesznie – chcę tylko porozmawiać z niektórymi podopiecznymi waszej placówki, anonimowo.

Zza pleców wolontariuszki wyłoniło się cienkie ramię. Dłoń dziewczyny zacisnęła się wokół nadgarstka Dicte i pociągnęła ją do środka.

– Wejdz – powiedziała dziewczyna. – Widziałaś Katkę?

Wolontariuszka zamierzała zaprotestować, ale być może dzięki zapewnieniom Dicte, że nie przyprowadziła fotografa, ostatecznie odsunęła się i pozwoliła jej wejść.

– Pięć minut – zastrzegła – potem będzie pani musiała wyjść. O jedenastej gasimy światło.

Na rogowej kanapie siedziały trzy dziewczyny. Co jedna to bardziej zagłodzona.

Gdy Dicte weszła, zwróciły ku niej zmęczone, choć przyjazne twarze.

– Cześć. Nazywam się Dicte Svendsen. Jestem dziennikarką, ale nie ma ze mną fotografa, więc możecie zachować anonimowość.

Powiedziała to wszystko szybko i bez ogródek i wyglądało na to, że ta strategia dała pożądaną efekt. Czasu było niewiele, więc zamiast pytać o ich wrażenia na temat miejsca, w którym się znalazły, od razu przeszła do tego, po co naprawdę tu przyszła.

– Ostatnim razem powiesiłam na waszej tablicy pewien artykuł. Dotyczył martwej kobiety znalezionej w porcie Århus. Widziałyście go?

Spojrzały po sobie. Pierwsza pokiwała głową. Pozostałe zrobiły to samo.

– Cholernie przykra sprawa – powiedziała pierwsza i pociągnęła nosem. – Ale tak, widziałam to zdjęcie tego samego dnia, kiedy się pojawiło w gazetach.

Pozostałe pokiwały głowami. One też widziały zdjęcie.

– Nie znałyście jej?

Pokręciły przecząco głowami. Jedna zaczęła zwijać papierosa i na stół posypał się tytoń. Druga pochyliła się w przód i nalala sobie kawy do obtłuczonego kubka.

– Kurwa, co za życie – mruknęła. – Pewnie wszystkie tak skończymy.

Roześmiały się niepewnie. Chuda dziewczyna, którą Dicte widziała w drzwiach, opierała się o ścianę. Miała głębokie cienie pod oczami i mocno wystające obojczyki.

– Tego zdjęcia już tam nie ma – powiedziała. – Katka je zabrała.

– Kto to jest Katka? – spytała Dicte. – Skąd pochodzi?

– Właśnie, skąd jest Katka?

Zaczęły wypytywać się nawzajem i spierać. Jedna uważała, że dziewczyna jest z Litwy, inna twierdziła, że to Polka, a trzecia, że Rosjanka.

– Dlaczego zabrała zdjęcie? – chciała wiedzieć Dicte. – Co zamierzała z nim zrobić?

Stojąca w drzwiach dziewczyna objęła się ramionami, jakby zrobiło jej się zimno.

– Może po prostu nie mogła na nie patrzeć?

Dicte posiedziała jeszcze chwilę i z uprzejmości zadała kilka pytań o ośrodek. A gdy ją odprowadzano do wyjścia, zwróciła uwagę na tablicę, gdzie w istocie nie było już wycinka. Zniknęła również kartka z galerii z jej numerem telefonu.

– Czy ona coś mówiła? – spytała Dicte na odchodnym.

Dziewczyna miała rozmarzony wyraz twarzy. Wokół ust zamajaczył lekki uśmiech i Dicte na moment wyobraziła sobie, jak jej rozmówczynie mogłaby wyglądać, gdyby jej życie potoczyło się inaczej. Ile mogła mieć lat? Osiemnaście? Dziewiętnaście? Sprawiała wrażenie, jakby jej hardość była tylko cienką warstwą lakieru, pod którą kryła się całkiem normalna dziewczyna z bardzo zwyczajnymi marzeniami.

– Chyba wspominała coś o Ameryce.

– O Ameryce?

Dziewczyna skinęła głową. Na usta znów wypłynął lekki uśmiech. Tym razem dotarł również do oczu, które zalśniły czymś, co być może dałoby się zinterpretować jako nadzieję.

– Może wyjechała do Ameryki?– spytała.

Anne zawsze wiedziała, że dźwięki potrafią działać kojąco.

Było w nich coś magicznego i pomyślała, że może właśnie to urzekło ją w Andersie i jego muzyce. Dopiero później odkryła kruchość i delikatność nierozzerwalnie powiązane z uprawianiem muzyki. Samotność za taflą szkła, która otacza artystę stojącego na scenie przed publicznością, i fizyczne oraz psychiczne koszty pokazywania swych najintymniejszych emocji.

Dziś było inaczej.

Rozejrzała się po kościele, gdy tercet Andersa wygrywał długą frazę Mozarta. Dziś to ona była w szklanej klatce. To ona była bezbronna i to jej uczucia były wystawione na widok publiczny. Stała się przedmiotem uwagi, jakby miała wykonać długą i trudną arię. To jej mama leżała w trumnie. Jej mama miała spocząć w grobie. To jej żałoba tkwiła w niej głęboko i paraliżowała całe ciało, aż ciężko było oddychać.

Myśl o tym sprawiła, że głośno westchnęła i czyjaś ręka szybko spoczęła na jej dłoni.

– Będzie dobrze.

Dicte lekko uścisnęła jej rękę. Powoli wracał spokój i Anne przytaknęła głową.

Dłoń się nie odsunęła. Pozostała na miejscu jako zabezpieczenie zarówno przyszłości, jak i przeszłości. Anne zadumała się na chwilę nad naturą przyjaźni. Może w gruncie rzeczy to przyjaźń jest największa. Może to ona stanowi najtrwalszą z więzi, poza oczywiście tą, która ją łączy z Jacobem, siedzącym obok niej, zagubionym i przestraszonym. Jego rysunek przedstawiający ufoludki w stanie nieważkości unoszące się wewnątrz statku kosmicznego leżał w trumnie razem z jego babcią.

Muzyka tuż przed końcem utworu wspinała się na nowe wyżyny i umacniała – robiła to, czego ona sama nie była w stanie zrobić. Duchowny przed ceremonią zapytał, czy chciałaby zabrać głos przy trumnie, ale odmówiła. Nie wiedziała, co miałyby powiedzieć, najzwyczajniej w świecie nie istniały odpowiednie słowa.

Przeglądała się księdzu, kiedy w swoim fotelu w rogu słuchał koncertu

z zapartym tchem, przesunęła wzrokiem po twarzach siedzących w rzędach osób. Twarzach o szklistych oczach, należących do wujków, ciotek i kuzynów. Większość z nich nie była zbyt blisko związana z ich rodziną, ale muzyka poruszała wszystkich jednakowo. Ciotka Adda ścisnęła w dłoni chusteczkę. Anne złapała jej wzrok i na krótką chwilę jej smutek rozjaśnił milczący uśmiech. I zobaczyła w oczach ciotki coś jeszcze. Słaby przebłysk – no właśnie, czego? Współczucia? A może świadomości? Anne pomyślała o dokumencie, który znalazła w kredensie matki. Może Adda coś wiedziała?

Odwróciła się do Dicte i zauważyła, że przyjaciółka również ma łzy w oczach.

– To piękne – powiedziała tylko i przełknęła ślinę, aż widać było ruch na jej szyi.

Anne przytaknęła skinieniem głowy i naprawdę tak uważała, choć jednocześnie nie umiała zrozumieć, jak piękno może współistnieć z czymś tak ostatecznym jak koniec życia.

Sama nie wiedziała, jak udało jej się przez to przebrnąć. Przyjaciółki i Anders wywiązali się ze swoich ról. Nawet Jacob w jakiś sposób jej pomógł, kiedy z powagą zauważył, że teraz babcia może fruwać w kosmosie w stanie nieważkości jak ufoludki. Uśmiech ustąpił miejsca rozpacz. Ciepło, jakim obdarzyli ją ludzie, przepędziło chłód, który miała w sobie. Lecz potem, kiedy po poczęstunku wszyscy zaczęli się rozchodzić, jej serce na nowo skuł lód, jakby rozpacz wycofała się jedynie po to, żeby wziąć rozbieg.

Na końcu została tylko ciotka Adda. Anne obiecała podwieźć ją do domu i teraz siedziały obok siebie i w milczeniu przemierzały miasto, kierując się w stronę małego domku Addy w Skødstrup.

Dopiero kiedy były już przy Grenåvej, Anne zebrała się na odwagę.

– W jednej z szuflad u mamy znalazłam pewien dokument – zaczęła ostrożnie i zwolniła na przejeździe kolejowym. – Pojechałam tam któregoś dnia, żeby trochę się rozejrzeć.

Natychmiast pożałowała tego sformułowania. Zabrzmiało jak wścibstwo.

– Chciałam się zorientować, co tam jest – poprawiła się i nagle poczuła całkiem bezradnie. – Żeby wiedzieć, od czego zacząć.

Adda spojrzała na nią łagodnym wzrokiem. Anne bardziej to czuła, niż widziała, bo samochód przed nią właśnie w ostatniej chwili zrezygnował z wyprzedzania

i wrócił na swoje miejsce.

– Tak, sprzątanie po zmarłym bliskim to ogromna i trudna praca – pocieszyła ją Adda. – O jakim dokumencie mówisz?

Anne żałowała, że nie może zobaczyć reakcji ciotki. Musiała jednak patrzeć na jezdnię, bo jadący przed nią samochód ponownie spróbował wyprzedzić pojazd, który okazał się niemieckim samochodem z przyczepą kempingową.

– Odbita przez kalkę kopia listu, który rodzice napisali do biura adopcyjnego. List był z kwietnia tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego pierwszego roku, tego samego, w którym się urodziłam. Napisali, że chcą wycofać wniosek o adopcję.

Adda prychnęła z wściekłością, która kompletnie zaskoczyła Anne.

– Po co w ogóle trzymała ten papier? Mam nadzieję, że go wyrzuciłaś.

Przez jakiś czas jechały w milczeniu. Adda odwróciła głowę i wyglądała przez okno, choć widać było za nim wyłącznie inne samochody.

– Co o tym wiesz? – Anne sama się zdziwiła, że znalazła w sobie odwagę, by zapytać. – Co wiesz o tym, skąd się u nich wzięłam?

Ciotka Adda wciąż patrzyła na samochody, które mknęły ku nim z rykiem silników na przeciwległym pasie.

– A co ja niby miałabym wiedzieć? – spytała.

– Może wiesz, dlaczego rodzice napisali ten list?

Głos ciotki był stanowczy, niemal wściekły, kiedy w końcu odparła:

– Ja nic nie wiem. Naprawdę nie mam o niczym pojęcia.

Płomienie z jednorazowego grilla wgrzyzały się w letnie powietrze i wzmagały wrażenie, że świat jest ogromnym piekarnikiem. Kiedy w domu zadzwonił telefon, Dicte ucieszyła się z wymówki, by móc choć na moment zniknąć w chłodnym cieniu kuchni, podczas gdy Anne usadowiła się na ogrodowym fotelu i rozłupywała strąki zielonego groszku, który ich przemiła sąsiadka zostawiła Dicte na progu. Mieszkanie na wsi miało swe niezaprzeczalne zalety.

– Dicte, słucham.

Coś skrzeczało, ale Dicte umiała już rozpoznać odgłos połączenia z Basrą.

– Cześć, skarbie, co słychać?

Nawet pomimo zakłóceń słyszała w jego głosie, jak bardzo jest podekscytowany. Ciekawe, co tym razem. Nocny patrol? Nalot na kryjówkę domniemanych terrorystów? Dostał wskazówkę o umiejscowieniu tajnego magazynu amunicji?

– W porządku – odparła, zastanawiając się, jak by tu ubarwić nieco wydarzenia z ostatnich dni w Århus, żeby zabrzmiały egzotycznie. – Byłyśmy wczoraj na pogrzebie mamy Anne. Wciąż jest gorąco – dodała szybko. – Słońce przypieka.

– Tu tak samo, możesz mi wierzyć – zatrzeszczał Bo.

Grillujemy, chciała powiedzieć. Miło spędzamy czas. Otworzyłyśmy butelkę czerwonego wina i jemy zielony groszek. Jest nam PRZYJEMNIE. A poza tym zemdlałam w Sekvensen i zjadłam lunch z moim wybawcą. Ale hałas w tle nagle się wzmógł i ledwie dotarł do niej pogodny okrzyk Bo:

– Bardzo słabe połączenie. Zadzwonię o wpół do dwunastej.

Czemu tak późno, zapytała milczącą słuchawkę i spojrzała na nią z wściekłością. Nienawidziła czekać na jego telefon. Ale cóż poradzić – był daleko, zniknął w eterze gdzieś pomiędzy Basrą a Århus, a jej pozostał tylko mokry psi nos, trącający ją, żeby mu nappełniła miskę, i przyjaciółka, która z zapamiętaniem wpychała sobie do ust kolejną garść zielonego groszku.

Dicte nakarmiła Svendsena i wróciła na taras. Pies tymczasem błyskawicznie opróżnił miskę i schronił się w cieniu pod jednym z krzaków w ogrodzie.

– To był Bo – wyjaśniła Anne. – Kazał cię pozdrowić.

Anne spojrzała na nią znad groszków.

– Kłamiesz.

Dicte wzruszyła ramionami.

– Zadzwoń jeszcze raz o wpół do dwunastej. Jak myślisz? – zapytała, patrząc na grill, który nauczone doświadczeniem i wielką dziurą wypaloną w ogrodowym stole postawiły na podłodze. Z jednorazowym grillem było mimo wszystko znacznie mniej kłopotu, zwłaszcza kiedy ktoś nie przepadał za ogniem, a odkąd spłonęła stajnia sąsiadów, Dicte dostawała nerwowych skurczów na widok migoczącego płomienia świecy.

– Pięć, dziesięć minut – oceniła Anne i rzuciła Dicte strączek. Ta złapała go w locie. – Przekąś coś w międzyczasie.

Dicte zjadła groszki, usiadła i dołała im obu wina.

– Dobrze, że przyjechałaś. Wieczory są najgorsze, chociaż trochę pomaga, kiedy jest tak jasno.

Nie musiała tłumaczyć, jak wiele groźnych cieni może się skrywać w mroku, a latem przynajmniej słońce i księżyc oświetlały ogród i najbliższe otoczenie domu, więc żadna ponura niespodzianka nie mogła się w nich zaciąć.

Anne pokiwała głową.

– Masz jeszcze Svendsena.

Słyszając swoje imię, pies nadstawił jedno ucho. Dicte się uśmiechnęła.

– Więc co powiedziała?

Anne na próbę przytrzymała dłoń nad grillem, ale szybko przyciągnęła ją do siebie.

– Kto?

– Ciotka Adda, któż by inny. Mówiłaś, że zapytałaś ją o ten list.

Anne przez jakiś czas patrzyła na opakowanie marynowanych polędwiczek leżące w cieniu na małym stoliku na kółkach.

– Powiedziała, że o niczym nie wie. Teraz staram się czegoś dowiedzieć w biurze adopcyjnym. W tej sprawie powinna być jakaś dalsza korespondencja.

Po czym spojrzała na Dicte.

– Według wszelkich dostępnych informacji jestem biologicznym dzieckiem moich rodziców.

Dicte odrobinę za długo zastanawiała się, co powiedzieć.

Anne przyszła jej z pomocą.

– Wiem, dzięki. Przeglądałam się w lustrze całkiem niedawno, jeśli nad tym właśnie się zastanawiasz – powiedziała z uśmiechem zażenowania. – A jak ziemniaki? – dodała. – Już gotowe?

Cholera jasna. Dicte wbiegła do domu. Młode ziemniaki gotowały się już jakieś pół godziny. Szybko zdjęła garnek z kuchenki i zatęskniła za Bo i jego kulinarnym wyczuciem. Zawsze wiedział, kiedy makaron jest al dente, chleb upieczony, a ziemniaki ugotowane. Bo panował nad wszystkim, nad czym ona nie potrafiła.

Gdy wróciła z ziemniakami i sałatką ze szpinaku, Anne wyłożyła już mięso na grill. Dicte wsypała do sałatki świeży groszek, wymieszała wszystko z odrobiną oliwy i znów usiadła.

– A co na to Anders?

Anne wzięła trochę za duży łyk wina.

– Boi się – powiedziała. Dicte dostrzegła niepokój w skośnych oczach przyjaciółki, bo znaly się naprawdę dobrze. – Ja również. – przyznała Anne po chwili.

Wstała z miejsca, kucnęła przy grillu i odwróciła mięso.

– Może powinnaś to zostawić – zasugerowała Dicte, choć wiedziała, że to niemożliwe.

To tak jak z jej własną przeszłością i jej własną rodziną. Człowiek bez przerwy miał to w głowie. Czasem stawało się to wręcz nie do zniesienia, a niekiedy przechodziło w stan uśpienia, ale nigdy nie znikало, było jak podziemny strumień szemrzący pod powierzchnią codziennych spraw. Spróbowała sobie wyobrazić to nagłe poczucie pustki, kiedy się okazuje, że człowiek nie wie, skąd pochodzi. Gdzie ma swoje korzenie to dziecko, którym nigdy przecież nie przestajemy być.

– Same kłamstwa – powiedziała nagle Anne gniewnym tonem, przerywając rozmyślenia Dicte. – Karmili mnie kłamstwami. Nie ma innej odpowiedzi.

Gniew Anne nie był tak naprawdę jadowity, ale bardzo wyraźny i graniczący z rozpaczą. Jakie to wszystko niesprawiedliwe, pomyślała Dicte. Nie godzi się zmuszać kogoś, by podawał w wątpliwość własne pochodzenie, zwłaszcza tuż po śmierci matki. Rodzice kształtują swoje dzieci. Konsekwencje podejmowanych przez nich decyzji sięgają kolejnych pokoleń i nikt nie stara się nawet przewidzieć, jakie znaczenie jego wybory mogą mieć dla innych ludzi. W ten właśnie sposób

dochodzi do sytuacji takich jak ta, w której Anne została sama ze swoją niepewnością niczym wyrwa w duszy ziejąca czarną pustką.

– A co u Rose? – Anne niespodziewanie zmieniła temat, sięgając po talerz Dicte, aby nałożyć jej dwie polędwiczki.

– Chyba w porządku. Wciąż zakochana w swoim Azizie – dodała, rozgrzeszając jednocześnie w myślach wszystkich rodziców, którzy musieli podejmować trudne decyzje dotyczące przyszłości swoich dzieci.

– A ty jak się z tym czujesz?

Anne przyglądała jej się z zaciekawieniem. Dicte nie miała innego wyjścia, jak tylko powiedzieć prawdę.

– Dziwnie.

– Dziwnie dobrze czy dziwnie źle?

Dicte wzięła kęs kotleta i przegryzła ziemniakiem. Wszystko smakowało latem i świeżym powietrzem.

– Dziwnie okropnie.

Anne poszła. Rose już dawno wróciła i od razu padła na łóżko, nie mówiąc za wiele, ale jednak znalazła siłę, by czule cmoknąć matkę w policzek.

Dicte siedziała z psem na kanapie. Zaciągnęła zasłony, drzwi wejściowe były dokładnie zamknięte, podobnie jak te do ogrodu. Svendsen czuwał z jednym otwartym oknem. Drugie miał zamknięte i pogrążone w płytkim śnie.

Podrapała go za uszami i wbrew sobie wpatrywała się w telefon. Nie chciała siedzieć i czekać na znak. Nie chciała być w ich związku tą, która myśli o nim bardziej niż on o niej. Nie chciała być żoną, starą, matroną. Zmierzłą jędzą, która wiecznie się czepia, niecierpliwi i żąda wyjaśnień. Ale kim wobec tego chciała być?

Kimś, kogo się pożąda, pomyślała. Potrzebuje. Chciała być jego ukochaną, najdroższą, tą, do której kieruje pierwszą myśl, gdy otwiera oczy rano, i ostatnią, zanim je zamknie wieczorem. Chciała być naturalnym centrum jego życia. Słońcem, które go trzyma na powierzchni.

Westchnęła i wtuliła twarz w psie futro.

– Ach, Svendsen – mruknęła. – Głupia Dicte. Głupia, głupia Dicte.

Svendsen ją polizał, zaskamlał, pocieszył i przyznał jej rację.

Tak razem siedzieli, kiedy zadzwonił telefon. Zerknęła na zegarek. Było

dokładnie wpół do dwunastej – przemknęło jej przez myśl, że taka punktualność nie jest w jego stylu. Wstała i po czwartym dzwonku podniosła słuchawkę.

– No proszę, proszę. Przetawiłeś sobie zegarek na pół godziny do przodu? – zagaiła zamiast powitania, próbując zabrzmieć lekko, a nie sarkastycznie. Lecz w słuchawce nie było słycać normalnego trzeszczenia z Basry.

– Bo?

Wciąż cisza. Słyszała tylko cichy szum. W końcu odezwał się głos – nie należący do Bo, lecz cienki głos kobiety, może nawet dziewczynki, z silnym akcentem. Myśli w jej głowie walczyły o prawo pierwszeństwa z rozczarowaniem.

– *Who are you? Who do you want to talk to?*

Starła się, by jej pytania nie brzmiały wrogo. W odpowiedzi tamtej wyłapała coś, co mogło być alternatywną wersją wymowy jej własnego imienia. A może tylko to sobie wmawiała?

– *I am Dicte. Who are you? Can I help you?*

Znów nastąpił długi, chaotyczny i trudny do zrozumienia ciąg zdań, z których Dicte wyłapała pojedyncze słowa. Kilkukrotnie powtarzało się pewne imię i Dicte uznała, że brzmiało jak „Swietłana”. Pojawiło się też wymawiane w nietypowy sposób słowo brzmiące jak „Arizona”, a po nim cały szereg zdań w obcym języku. Dicte próbowała rozpoznać go po akcencie. Rosyjski? Polski? Czeski? Z tego, co słyszała, coś w tym kierunku. I nagle sobie przypomniała.

– Katka?

Głos przerwał gwałtownie swój słowotok. A sekundę później połączenie zostało przerwane.

Dicte długo jeszcze czekała, aż Katka oddzwoni. Najchętniej otwarłaby wino i się upiła, lecz mimo wszystko nie zrobiła tego. To by w niczym nie pomogło. Nic nie mogła zrobić, aby przekonać przerażoną młodą dziewczynę, by raz jeszcze zaryzykowała.

Była pierwsza, kiedy wreszcie się położyła. Bo nie zadzwonił, ale ledwie to odnotowała. W głowie huczały jej nazwy i imiona, jak pojedyncze sztuki ubrania oglądane przez szybę wirówki. Swietłana. Arizona. Swietłana. Arizona.

O trzeciej spojrzała na zegarek. Pięć minut później zasnęła.

Warsztat znajdował się na obrzeżach Sabro. Nieszczerólnie dbano tu o reklamę. W oknie wisiał jedynie odrapany szyld z napisem „Przeglądy samochodów”. Aziz doskonale znał ten adres. Spędził tu z chłopakami niezliczone popołudnia, kiedy trzeba było dostroić skuter, naprawić czyjś samochód albo zainstalować sprzęt grający, żeby bas dudnił, jakby miał przebić karoserię.

Z zewnątrz nie sposób było się zorientować w faktycznych rozmiarach pomieszczenia. Tymczasem ojciec Metina wspólnie ze swoimi braćmi znacznie je powiększył od tyłu budynku i pewnie nikt nie zwrócił uwagi, że przy okazji zajęł kawałek sąsiadującej z warsztatem ziemi należącej do gminy. Ale gdzie inaczej mieliby trzymać stare wraki przeznaczone na części?

Spod stojącego na rampie starego modelu skody buchnęły iskry. W kanale stał mężczyzna i spawał z osłoną na twarzy i w rękawicach.

– Cześć.

Aziz niemal wykrzyczał swe powitanie w głąb pomieszczenia, w którym powietrze było ciężkie od zapachu starego oleju i farb.

Mężczyzna się odwrócił.

– A niech mnie – Metin wydał z siebie stłumiony okrzyk zaskoczenia – to ty?

Aziz zauważył, że wbrew swojej reakcji Metin nie wydawał się szczególnie zaskoczony.

– We własnej osobie.

Metin odchylił osłonę na tył głowy. Wyglądał tak jak dawniej, ale podobnie jak Mustafa nabrał trochę mięśni. Twarz miał okopconą i prawie tak czarną jak wąż, a oczy łagodne, lecz potrafił patrzeć nimi z taką intensywnością, że wywoływał drżenie. Aziz przypomniał sobie, że Metina nigdy nie wolno lekceważyć, i przeszedł go ciarki.

– Co tam? Co teraz porabiasz? – spytał Metin, odkładając spawalnicę, po czym podparł się dłońmi, podskoczył i usiadł na krawędzi kanału. Stamtąd wstał jednym płynnym ruchem, po którym Aziz domyślił się, że Metin nadal trenuje kick-boxing. Podszedł do Aziza i walnął go w plecy.

– No jak tam, studenciku? Dalej czytasz te swoje książeczki?

Aziz wzruszył ramionami. Chłopaki od zawsze się z niego naśmiewały, że lubi książki. Książki i stare duńskie filmy. Ale przecież wszyscy mają jakieś słabości. Mustafa uwielbiał amerykańskie komiksy, a siostra Metina i on sam zbierali kapsle z butelek. To wszystko było akceptowalne, o ile lubiło się również inne rzeczy. Takie jak noże, samochody i uliczne bójki.

– A ty? – spytał Aziz. – Udało ci się zebrać jakieś nowe kapsle w pace?

Kiedy widzieli się po raz ostatni, Metin miał przed sobą cztery miesiące odsiadki za napad i kradzież samochodu.

Jeden koniec wąsa uniósł się w krzywym uśmiechu.

– Stary, taka odsiadka to jak wakacje – zapewnił. Splunął w bok, po czym wytarł ręce w irchową szmatkę dobytą z głębi kieszeni kombinezonu.

– A interes? – spytał Aziz niewinnie. – Kręci się?

Metin wykonał ramieniem gest obejmujący nie tylko warsztat, ale i całą przestrzeń z tyłu, gdzie ledwie starczało miejsca dla samochodów i motocykli starych i nowszych roczników.

– Mamy mnóstwo roboty. A co, szukasz zajęcia?

Aziz wiedział, że w ten sposób Metin pyta go, po co właściwie przyszedł, w dodatku w sobotę.

Był na to mentalnie przygotowany. Teraz najważniejsze, aby udało mu się ponownie wejść w rolę i by się nie okazało, że czas spędzony w środowisku studenckim do reszty zniszczył jego wiarygodność.

– Potrzebuję kasy – powiedział wprost. – Studiowanie to nie jest żyła złota. Pomyślałem, że może moglibyśmy pogadać.

Metin przez chwilę stał tylko i obracał językiem w ustach, jakby coś utknęło mu między zębami. Przez cały czas jednak taksował Aziza wzrokiem, a ten twardo i zdecydowanie wytrzymał jego spojrzenie.

– Mam dziewczynę, Dunkę – wyjaśnił Aziz, przeklinając się w duchu, że wciąga w to wszystko Rose. – A to przecież kosztuje.

Metin najwyraźniej znalazł w ustach to, czego szukał, bo splunął ponownie i pokiwał głową ze zrozumieniem.

– Tak, te duńskie dziwki doskonale wiedzą, na ile się wycenić.

– Ona nie jest dziwką.

Słowa zabrzmiały ostrzej, niż zamierzał, i Metin uniósł dłonie w geście obrony:

– Dobra, jasne, skoro tak mówisz.

Podszedł do Aziza i objął go ramieniem. Aziz musiał się kontrolować, żeby nie zeszywnieć pod tym nagłym dotykiem.

– Chodź. Coś ci pokażę.

Metin pociągnął go za sobą i wyszli z warsztatu. Nie ruszyli jednak w stronę samochodów, ale do dużego baraku o oknach zabitych deskami. Na drzwiach wisiała nowa kłódka. Metin sięgnął do kieszeni, wyjął z niej klucz i ją otworzył. Po ciemku wyciągnął rękę i zapalił światło. Uderzył ich ostry zapach ekskrementów i moczu.

– Tędy.

W półmroku ruszyli do podziemia budynku. Aziz struchlał, gdy powietrze nagle przecięło ujadanie psa.

– Stul pysk, kundlu – krzyknął Metin i pies zaczął piszczeć. – Nie będziesz nam chyba robił problemów, co?

Klatka mogła mieć z półtora metra kwadratowego. Pies był umięśniony, jakby trenował. Wyglądało na to, że nie ma uszu, a z ran w nabitym ciele zwisały płaty skóry. Oczy pitbulla lśniły żółtym blaskiem i Aziz poczuł, jak serce podchodzi mu do gardła.

– Skąd, u licha, go wzięłeś?

Miał nadzieję, że jego głos brzmi swobodnie. Pies warczał groźnie. Aziz czuł na sobie intensywny wzrok zwierzęcia. Ślina kapała mu z pyska i nawet Metin nerwowo reagował na ten widok.

– Dostaliśmy go z Czech – wyjaśnił. – Tam mają ich dużo.

Spojrzał na Aziza i skinął głową w głąb pomieszczenia.

– W każdy wtorek i piątek wieczorem urządzamy tu walki psów. Można sporo zarobić. Jeśli potrzebujesz gotówki, to może być coś dla ciebie.

Aziza zemdliło na myśl, że miałby stać tu i patrzeć, jak psy zagryzają się na śmierć albo prawie. Skinął potakująco głową.

– O której?

– Pierwsza walka zaczyna się o ósmej.

Była to idealna okazja, a jednocześnie duże niebezpieczeństwo. Aziz wiedział, że pojawią się wszyscy. Cała stara ekipa plus sporo nowych twarzy. Mógł zostać

ponownie wpuszczony do ich grona.

– Będę.

Pożegnał się z Metinem i ruszył w stronę przystanku. Na rozkładzie wyczytał, że do przyjazdu autobusu zostało mu piętnaście minut. Zaczął chodzić tam i z powrotem, starając się uporządkować myśli, ale te zwały się na niego wraz ze złością, której nie potrafił opanować ani do końca zdefiniować. Czuł mrowienie w rękach i szum krwi w całym ciele. Miał ochotę wrzeszczeć i kopać do utraty sił. Zamiast tego chodził tylko w tę i we w tę, jak pewnie robił tamten zamknięty w klatce pies, o ile nie był zbyt wykończony i nie leżał, dochodząc do siebie po poprzedniej walce.

Przypomniawszy sobie przesłuchanie na komendzie i twarz jednego z policjantów, niemal dotykając jego twarzy. W jego oczach była niezachwiana pewność, że wie, kto jest dobry, a kto zły, kto winny, a kto niewinny. On, Aziz, został uznany za winnego, zanim w ogóle pozwolono mu cokolwiek powiedzieć. Niewątpliwie przez swoje pochodzenie i przez to, co wcześniej robił. I dręczyło go coś jeszcze, coś, z czego, wydawało mu się, że już się otrząsnął. Myślał, że potrafi to schować gdzieś głęboko, zapomnieć o upokorzeniu i piekle, przez które go wtedy przeciągnęli.

Tymczasem wbrew jego woli wszystko nagle się na niego zważyło. Rozpacz matki i jej zapłakana twarz. Gniew i wstyd ojca. Milczenie Nazleen, która nie potrafiła uwierzyć w zarzuty, ale mimo wszystko targają nią wątpliwości. Wiedziała przecież, że spotkał się tamtego wieczoru z tą duńską dziewczyną. Wiedziała, że poszli do kina. Nie wiedziała natomiast – bo nikt nie wiedział – że to wszystko zostało ukartowane. Że ktoś zorganizował wszystko tak, aby łatwo można było wyciągnąć błędne wnioski. Ktoś, kto dobrze go znał, zawział się na niego. Dziewczynie zapłacono za to, żeby skłamała – był o tym przekonany. Tylko że nie potrafił tego udowodnić, podobnie jak oni nie mogli udowodnić gwałtu. Różnica polegała na tym, że wstyd spadł na niego i jego rodzinę, a wątpliwości interpretowano na korzyść dziewczyny, choć nie było żadnych dowodów i nie zapadł żaden wyrok. Kto wie, może jednak coś w tym jest, zastanawiali się ludzie i jeszcze bardziej pilnowali swoich córek. Może ten Aziz to mimo wszystko groźny przestępca? W końcu nigdy nie wiadomo, co siedzi w człowieku.

Rozkopał żwir na ścieżce rowerowej, aż kamyki poleciały na wszystkie strony.

Jego wściekłość rozchodziła się w najróżniejszych kierunkach i nie był w stanie ogarnąć ich wszystkich umysłem. Nie zdawał sobie sprawy, że ma wrogów, którzy aż tak go nienawidzą. Jasne, zdarzało mu się robić rzeczy, z których nie był dumny, ale nigdy nie skierowane przeciw komuś osobiście. Ani przeciwko jego kompanom. Czy coś przeoczył?

Nie umiał się w tym odnaleźć. Nawet teraz, po tylu latach.

Stojąc na środku ścieżki rowerowej, usłyszał szuranie opon na żwirze i zobaczył, że Metin na pełnym gazie odjeżdża spod warsztatu srebrnym volvem kombi, które wcześniej stało przed wejściem.

Aziz wciąż czuł na sobie spojrzenie Metina i widział jego węzowe ruchy, kiedy w warsztacie wstał z ziemi i do niego podszedł.

Metin, najbardziej nieobliczalny z nich wszystkich, był o rok starszy od niego i Mustafy i zawsze miał pokręcone pomysły. Potrafił się bić z uśmiechem na twarzy, a gdy wyszarpnął torebkę starszej pani, cieszył go strach w jej oczach. Metin potrafił, głośno się zaśmiewając, złapać kota za ogon i mocno się nim zamachnąć albo w amoku rzucić się z nożem na napakowanego gangstera w skórze i z tatuażami.

Aziz powlókł się do ławki i usiadł, pograżając się w rozmyślaniach.

Kiedyś mu się wydawało, że Metin jest odważny, ale wtedy był głupi, albo może po prostu młody.

Od tamtego czasu minęły lata. Dziś dorósł i dostał się na studia, podczas gdy pozostali obijali się jak zawsze. Nauczył się nazywać rzeczy po imieniu. Nauczył się drążyć i szukać sensu, zamiast z miejsca odrzucać to, czego nie rozumiał.

Wyprostował plecy, kiedy nagle uświadomił sobie, że Metin nie był ani tak męski, ani tak odważny, jak mu się wtedy zdawało. Metin nie był wzorem do naśladowania. Był zwyczajnym psychopata.

Aziz spojrział na zegarek. Do przyjazdu autobusu zostało pięć minut. Jeszcze przez chwilę rozważał za i przeciw i przypomniał sobie o zamkniętym w klatce psie. W końcu wstał, przeszedł przez ulicę i ruszył z powrotem do warsztatu. Nacisnął klamkę, lecz drzwi były zamknięte. Ostrożnie dostał się więc na tyły budynku, modląc się, aby pies nie zaczął ujadać.

Spiętrzony chaos żelastwa: samochodów do naprawy, samochodów, z których wymontowano mnóstwo części, by ich użyć jako części zamienne, samochodów,

które właściwie należałoby zniszczyć, ale z takiego czy innego powodu nie mogli trafić na oficjalne złomowisko, gdzie zbyt uważnie przyglądano się tablicom rejestracyjnym i numerom silników.

Na samym końcu, przy działce należącej do gminy znalazł to, czego szukał. Tkwiła między dwoma starymi motocyklami i spaloną mazdą 323 z lat osiemdziesiątych. Wyrwano z niej wszystkie drzwi i siedzenia. Zniknęła też tablica rejestracyjna, ale wciąż był jeden brązowy błotnik, więc Aziz nie miał wątpliwości. Zielona simca, którą ostatni raz widział tamtej nocy w porcie, stała w swej nieco zdemolowanej krasie na parkingu warsztatu w Sabro.

Wagner usiadł ciężko w swoim fotelu za biurkiem i zabrał się za otwieranie najnowszej korespondencji. Beznamiętny wzrok przesuwiał się po kolejnych pismach. Sporo było wśród nich komunikatów wewnętrznych o spotkaniach w dziale kadr, na stołówce i przypomnień o terminach okresowych ocen pracowniczych. Spotkania, spotkania, spotkania – można od nich zgłupieć. Do tego poranne odprawy i konferencje prasowe. Był skłonny uwierzyć, że człowiek jest w stanie „zaspotykać” się na śmierć.

I od razu niepokorne myśli ruszyły dalej tym tropem. Wyobraził sobie Gormsena, jak przeprowadza sekcję zwłok człowieka, który umarł z powodu nadmiernego uczestnictwa w spotkaniach, i jak wyjmując kolejne narządy wewnętrzne, mówi do mikrofonu: wątroba uszkodzona od przedawkowania kawy ze stołówki, zawartość żołądka: stara drożdżówka i sucha kromka razowego chleba, zwapnienia w tętnicach z powodu zbyt dużej ilości remolady i mózg obkurczony z powodu zbyt jednostajnej pracy, kanał słuchowy zatkany od słuchania idiotów, których zdaniem niezbędne jest częstsze zwoływanie spotkań.

Odsunął od siebie stos i wstał, żeby zaparzyć kawy w ekspresie, który w końcu udało mu się zainstalować w swoim biurze. Pomyślał, że musi odnaleźć w tym rytm. Musi dotrzeć do sedna i odciąć się od wszystkiego innego, włącznie ze zbędnymi spotkaniami.

Wiedział, że wykańcza go brak snu w połączeniu z pracą. Te dwa czynniki położyły się cieniem również na minionym weekendzie i tak przytępiły mu zmysły, że nie dostrzegał całej reszty. Śledztwo całkowicie go pochłaniało. Idzie Marie zapewne wkrótce skończy się cierpliwość. Czuł to, gdy jej pocałunki były trochę zbyt przelotne albo gdy nieco głośniejsz wzdychała, kiedy o coś spytała, a on nie od razu odpowiadał. Chciałby, żeby było inaczej. Chciałby być bardziej obecny. Lecz myśli w jego głowie i zagadka młodej matki oraz jej dziecka nie chciały zostawić go w spokoju, a upływający czas nie ułatwiał sprawy. Czas i spotkania.

Mimo wszystko jeszcze chwilę przeglądał pocztę, po czym włączył komputer. W końcu z pomocą przyszedł mu ekspres, sygnalizując bulgotaniem, że napój jest

gotowy i może się napić dobrej i mocnej kawy. Kenijskiej arabiki.

Aromat na moment przeniósł go do Afryki i wulkanicznej ziemi w pobliżu góry Kenia. Z zamkniętymi oczami rozkoszował się kwaskowatym i porzeczkowym posmakiem, który uwielbiał.

Przyjemność trwała krótko, bo już po chwili śledztwo i irytacja spowodowana czekaniem ponownie o sobie przypomniały. W zespole dało się odczuć zniecierpliwienie, co było groźne zwłaszcza po rozmowie z Azizem, która okazała się fiaskiem.

Jan Hansen i Ivar K jak dwaj sprinterzy w blokach startowych czekali na wystrzał, by zacząć wzajemnie się spychać na boki. Hansen skarżył się na ostry ton Ivara K, Ivar K zaś twierdził, że Hansen przesadnie się patyczkuje, a jego empatia jest oznaką sentymentalizmu. Wciąż czekali na wyniki szeregu testów patologicznych oraz na zidentyfikowanie odcisku z plastikowej torby. Tymczasem w laboratoriach najwyraźniej sezon urlopowy trwał w najlepsze i pozostawało tylko zżymać się, że ciało w porcie znaleziono w sierpniu, a nie w październiku. Do tego dochodziła jeszcze sprawa zdjęć z portu, których Bo Skytte nie chciał im udostępnić, a które mogły zawierać istotne informacje.

Wagner westchnął. Był w trakcie śledztwa, w którym wciąż tylko pojawiały się nowe problemy i coraz mocniej dawała się odczuć presja społeczna. Komendant już dwukrotnie do niego zachodził, by wymusić na nim jakiegokolwiek wyniki. Czy mają podejrzanego? Czy na pewno dokładnie przefiltrowali środowisko imigrantów? Same pytania i oczekiwania, a żadnych obietnic zwiększenia nakładów. Może jednak powinien był wtedy aplikować do działu technicznego?

Humor odrobinę mu się poprawił, kiedy nieco później szedł z Hansenem do stołówki z mocnym postanowieniem zakupu filiżanki podawanej tam lury i podwójnego ciastka z cynamonem i czekoladą. Lecz kiedy spojrzał na ciastko i przypomniał sobie swoją fikcyjną obdukcję, mimo wszystko zmienił zdanie. Żadna z tych rzeczy nie przysłuży się jego żołądkowi, więc ostatecznie wybrał wodę i jabłko, a ciastko zostawił Hansenowi.

– Mustafa Pinar – powiedział Wagner, wgrzając się w owoc, który okazał się tak kwaśny, na jaki wyglądał. – Mówisz, że go znasz?

Hansen przytaknął. Czas, jaki spędził w komisariacie w Gjellerup, bardzo im się teraz przydawał.

– Zadymiarz – podsumował. – Taki na granicy.

– Na granicy czego?

Hansen ugryzł kęs ciastka – natychmiast zmniejszyło się o połowę. Wagner z zazdrością przyglądał się potężnej sylwetce i mięśniom wypychającym materiał koszuli. Wydało mu się niesprawiedliwe, że niektórzy ludzie potrafią zmieniać wszystko, co niezdrowe, w mięśnie kulturysty.

– Na granicy tego, co niegroźne, i tego, co niebezpieczne – odparł Hansen. – Pomiędzy drobnymi rabunkami i kradzieżami samochodów a prawdziwą przemocą.

– Ma na koncie akty przemocy?

Hansen pokręcił głową.

– Ale to chyba niezupełnie jego zasługa. Niektórzy po prostu mają szczęście – dodał filozoficznie. Odłożył żalodne resztki ciastka na talerz i wytarł palce w serwetkę. Ujął filiżankę, odchylając groteskowo mały palec, i napił się kawy.

– Może mógłbyś się z nim skontaktować – zasugerował Wagner – wiesz, tak nieoficjalnie. Żeby wy badać teren, skoro już dostaliśmy od Aziza jego nazwisko.

Hansen pokiwał głową i zamierzał powiedzieć coś jeszcze, gdy do ich stolika w rogu dobiegł znajomy głos.

– A więc to tu się ukrywasz.

Wagner podniósł wzrok. Jak zwykle chwilę mu zajęło oswojenie się z widokiem Poula Gormsena w cywilnym ubraniu, a nie w zielonym kombinezonie, w jakim zwykle go widywał w zakładzie patologii. Teraz miał na sobie dzinsy i białą koszulę z krótkim rękawem, i wyglądał jak doświadczony sprzedawca w sklepie obuwniczym.

– Czemuż zawdzięczamy ten zaszczyt? – Wagner głową wskazał mu miejsce. – Siadaj.

Gormsen przez chwilę stał niezdecydowany. Wagner poczuł zimny strumień podchodzący pod powierzchnię świadomości.

– Coś nowego?

Gormsen spojrzał na niego.

– Nie chciałbym wam psuć lunchu, ale wydaje mi się, że tę rozmowę powinniśmy odbyć w twoim gabinecie.

– Jasne.

Komisarz wstał i skinął na Hansena, żeby poszedł z nimi. Cała trójka wyszła ze

stołówki. Kiedy wspinali się po schodach, strumień w głowie Wagnera zmienił się we wzburzone morze, o falach coraz wyższych i gwałtowniejszych.

– Jest źle? – spytał Wagner, gdy wreszcie siedzieli wokół jego biurka. Na szybko ułożył w stos wszystkie porzucane na nim papiery, żeby stworzyć iluzję porządku.

– Zdecydowanie tak to można nazwać – odparł Gormsen.

W głowie Wagnera mnożyły się możliwe najgorsze scenariusze, ale zanim zdołał sformułować pytanie, Gormsen przeciął jego gonitwę myśli.

– Chodzi o dziecko – powiedział poważnym tonem i wprawnym ruchem odsunął z czoła niesforny lok. – Nie dostaliśmy jeszcze wyników analiz wszystkich próbek, ale to, co już mamy, wystarczy, by wyciągnąć wstępne wnioski.

– I? – niecierpliwiał się Wagner.

Gormsen zrobił głęboki wdech.

– DNA matki i dziecka nie pasują do siebie – powiedział krótko. – Kobieta z portu nie jest biologiczną matką dziecka z bazaru.

Odgłosy ulicy pod ich oknem zlały się w uszach Wagnera w jednolity szum. Komisarz nagle poczuł suchość w ustach jak po wizycie u dentysty i samo sformułowanie pytania, które by brzmiało w miarę rozsądnie, wymagało ogromnego wysiłku.

– Żeby cię dobrze zrozumiał. Czy to oznacza, że kobieta z portu nie urodziła dziecka znalezionego w Bazar Vest?

Gormsen westchnął i przez chwilę patrzył w stół, zanim spojrzał Wagnerowi w oczy.

– Nie, niekoniecznie.

– Wobec tego co to oznacza? – spytał Hansen.

Gormsen rozłożył ręce. Wagnerowi wydawało się, że to gest bezradności. W oczach patrzących zza szkieł okularów krył się bezgraniczny niepokój, a lok grzywki wytrwale próbował opaść na czoło patologa.

– To oznacza, że ta kobieta nosiła w sobie dziecko, którego nie była matką.

Dotyk był tak lekki, że prawie niezauważalny, samymi czubkami palców. Mimo to woda w jej kubku w jednej sekundzie zmieniła się w wino i Dicte zaszumiało w głowie.

– A może pójdziemy na kawę do mariny? – zaproponował głęboki jak ocean głos.

Niewykluczone, że przypadkiem stanął tuż za jej plecami, kiedy uważnie czytała ogłoszenie na tablicy informacyjnej na siłowni, dopijając wodę po treningu. Ale nie można wykluczyć i tego, że zrobił to całkiem świadomie.

Gdyby zechciała, mogłaby się o niego oprzeć i nikt by niczego nie zauważył. Pomyślała o tym, zanim zdołała się ocenzurować. A co, gdyby to on objął ją w pasie i przyciągnął bliżej albo gdyby przysunął usta do jej ucha i delikatnie musnął je wargami, powtarzając swoją propozycję?

Gdybanie.

Ostatecznie zdecydowała się na skiniecie głową, choć wciąż czuła na ramieniu jego dotyk, jakby pozostawił widoczny ślad. Od brzucha w dół rozchodziło się dziwne wrażenie falowania, niosąc ze sobą ciepło. To uczucie podpowiadało: „ty decydujesz”.

– W takim razie widzimy się po prysznicu, okej?

Znów pokiwała głową.

Kiedy sobie poszedł, Dicte się za nim obejrzała. Zauważyła pasek potu na plecach jego koszulki i umięśnione nogi w sportowych butach. Musiała stłumić uśmiech, zanim poszła do sąsiedniej sali i zaczęła się rozciągać.

Kiedy skończyła, spojrzała na zegarek. Była piąta. Dicte miała za sobą ciężki dzień. Rano na komendzie zwołano konferencję, na której Wagner przekazał im sensacyjną wiadomość o dziecku. Jego słowa wciąż dudniły jej w głowie wraz z nowymi możliwymi scenariuszami, jakie niósł taki, a nie inny wynik badania DNA. Czyżby dziewczyna z portu była surogatką? A jeśli tak, to czy to pierwszy taki przypadek w Danii, czy też przed nią były jeszcze inne? A może istnieje kolejne wyjaśnienie, którego Wagner i jego ludzie nie mogli bądź nie chcieli

ujawnić?

Poszperała w sieci i znalazła przerażające opowieści z zagranicy. Historii było mnóstwo, podobnie jak kontaktów do kobiet, które ofiarowały swoje ciała jako inkubatory dla biologicznych dzieci innych ludzi. Lecz nic o Danii. Nawet najmniejszej wzmianki. Dania była małą wyspą na morzu bezprawia, gdzie wszyscy przestrzegali zasad i albo adoptowali dzieci, albo korzystali z in vitro, albo godzili się ze swoją sytuacją. Najwyraźniej.

Teraz jednak wszystko to było poza jej zasięgiem, pomyślała, stając w łazience pod chłodnym strumieniem, który obmywał jej ciało, pobudzał do życia pory skóry i wyostrzał zmysły. Teraz liczyła się kawa w marinie. Sumienie miała czyste, bo dostarczyła już dzisiejszy artykuł. Tekst na pierwszą stronę, główny temat jutrzejszego numeru. Słońce wciąż przypiekało z bezchmurnego nieba, a Dicte musiała się skupić na zaproszeniu, jakie właśnie otrzymała.

– Nie będzie ci przeszkadzać, jeśli najpierw zajrzę do kliniki? Muszę zabrać do domu trochę pracy na jutro – spytał, kiedy stali na parkingu gotowi wsiąść do swoich samochodów.

Dicte skinęła głową.

– Jasne. Spotkamy się w marinie.

Intensywnie spojrzał jej w oczy.

– Chyba że chcesz pojechać ze mną i zobaczyć, gdzie pracuję?

Natychmiast przypomniał jej się banał o oglądaniu kolekcji znaczków, ale szybko stłumiła sarkastyczny komentarz w swojej głowie, a wraz z nim myśl o Bo, która wbrew jej woli również się pojawiła.

– O tej godzinie nikogo tam nie ma, a okolica jest urocza – zapewnił Jeppe.

Kiedy wrzucił kierunkowskaz i skręcił z Ringgaden, żeby podjechać pod dawny szpital Marselisborg, przekonała się, że nie kłamał. Okolice wydawała się przepiękna, o ile odsunęło się od siebie myśli o chorobie i śmierci. Nie był to jeden ogromny budynek, lecz kompleks willi w stylu patrycjusza, z wykuszami, wysokimi oknami i drzwiami. Zielony zagajnik z dającymi cień drzewami, mnóstwem letnich kwiatów i wielkimi trawnikami stanowił doskonałe tło i niósł obietnicę spokoju oraz sielanki udreńczonym duszom.

Dicte wysiadła z samochodu i wchodząc za Jeppem szerokimi schodami, wdychała zapach tej oazy w środku miasta.

– Rzeczywiście bardzo tu ładnie.

Pokiwał głową, wstukał kod i otworzył drzwi wielkie i ciężkie, jakby prowadziły do zamku. Ruszyli w górę po jeszcze jednych schodach i dalej w dół korytarza, aż stanęli przed drzwiami z mosiężną wizytówką z jego nazwiskiem i tytułem. Otworzył i weszli do środka. Gabinet był jasny i ciepły. Na drewnianej podłodze słońce rysowało kształt okien. W pomieszczeniu stało duże biurko z krzesłem biurowym i bardziej miękki fotel dla gości. Regał z tyłu wypełniały książki i czasopisma, a na bocznym stoliku Dicte dostrzegła komputer z drukarką. Odległy kąt wypełniał mały stolik kawowy z buku, czerwona kanapa z trzema siedziskami i fotel do kompletu. Solidne duńskie meble najwyższej jakości, typowe dla instytucji publicznej. Ścianę zdobiła sztuka współczesna i jeden oprawiony w ramę plakat z reprodukcją łatwo rozpoznawalnego obrazu Toulouse-Lautreca, zakochanego w paryskich kurtyzanach i stałego bywalca Moulin Rouge oraz innych znanych kawiarni.

– Muszę skorzystać z komputera. To zajmie tylko chwilę.

Dicte się uśmiechnęła i podeszła do okna.

– Nie ma sprawy, poczekam. Masz ładny widok.

Włączył komputer i Dicte usłyszała dźwięk uruchamianego dysku. Chwilę potem włączyła się drukarka. Jeppe wyjął z urządzenia wydrukowane dokumenty i schował je do teczki. Przez cały czas stała odwrócona do niego plecami, ale wiedziała, co się święci, kiedy ponownie stanął tuż za nią. Jego ramię otoczyło ją w tali, a ciało ostrożnie docisnęło się do jej ciała. Przez bardzo krótką chwilę pomyślała o Bo, ale była na niego wściekła za to, że nie odezwał się od tamtego wieczora, kiedy odwiedziła ją Anne, i ta złość podsyciała w niej przekonanie, że ma prawo do tego, co się właśnie działo. To nie ona pojechała do Iraku. A zresztą skąd może wiedzieć, co Bo porabia wśród czarnookich kobiet ze Wschodu? Co ona właściwie może wiedzieć?

Na skórze poczuła ciepły oddech. Broda łaskotała ją w szyję, tuż przy krawędzi ramiączka letniej bluzki. Dłonie przesunęły się z jej tali, jakby podzieliły się zadaniami – gdy jedna ruszyła w górę, druga powędrowała w dół. Ciepło przeszło w gorączkę i pożądanie, które odczuwała całym ciałem. Dudniący puls zepchnął wyrzuty sumienia na sam tył głowy.

– Jesteś piękna. Taka piękna.

Mruczał pomiędzy pocałunkami. Widok przed jej oczami rozplynął się w mgłę. Drzewa stały się niewyraźnymi sylwetkami na tle słonecznego światła, dachy budynków migotały. Gdzieś bardzo daleko do drzwi świadomości pukała myśl: dobry Boże, co ty wyprawiasz?!

Ale ciało pragnęło czegoś bardzo konkretnego i ta żądza nią zawładnęła. Odwróciła się i zanurzyła w jego ramionach. Poczowała się mała, drobna, kobieca, miała wszystko, za czym tak tęskniła.

– Och ty – wydyszał. – Ty... ty...

Ramięczka bluzki zsunęły się razem z ramięczkami stanika. Chwycił ją i posadził na szerokim parapecie, po czym zanurzył twarz w jej piersiach. Gdy zaczął je całować – najpierw jedną, potem drugą, Dicte pochyliła się ku prostym, ciemnym włosom, starając się odsunąć od siebie tę drugą natrętną myśl. Głos w głowie powtarzał: on robił to już nieraz. Przyprawdzał kobiety dokładnie tutaj, podnosił je, sadzał na parapecie i całował ich piersi. Droczył się z nimi dłońmi i palcami, ustami i językiem. Brał i dawał, jak to czasem robili żonaci mężczyźni dla rozładowania napięcia.

Ale miała to gdzieś.

Czysty seks, pomyślała, gdy zdjął przez głowę własną koszulę i ich ciała spotkały się naprawdę – skóra przy skórze, usta przy ustach. Poczowała się dziwnie podniesiona na duchu, kiedy sobie uświadomiła, że właśnie po raz pierwszy i możliwe, że ostatni, jest w stanie zdobyć się na coś tak prostego i nieskomplikowanego. Żadnego zakochania, które nie pozwala się skupić. Żadnych wyobrażeń o długotrwałym szczęściu. Tylko to: dwa ciała, które wzajemnie się przyciągnęły i przeniknęły.

Dotarli do kanapy, kiedy bariera dźwięku została przerwana i między nich wdarła się rzeczywistość.

– Nie odbieraj – mruknął.

Dicte próbowała zignorować dzwoniący w torebce telefon i ponownie włączyć się w to, co właśnie robili. Ale miała wrażenie, jakby każdy dzwonek zdzierał z niej kolejną warstwę iluzji. W końcu usiadła.

– To może być ważne.

– Co może być ważniejsze od tego – spytał dokładnie tak, jak przewidziała. Dokładnie tak, jak odgadywała każdą jego namiętą frazę, każde pieszczotliwe

słowo, każdy komplement.

Nie odpowiedziała. Sięgnęła po prostu po leżącą na podłodze torebkę i wyjęła telefon.

– Tu Dicte.

– Svendsen! – W słuchawce zabrzmiał głos Kaisera i Dicte od razu się zaniepokoiła.

Wyczuła, że nie jest sobą. Jego głos nie był rzeźki jak zwykle, a na poły złośliwy ton zastąpiła powaga.

– Co się stało?

W słuchawce na ułamek sekundy zapanowała cisza i ona również ją przestraszyła. Jej szefowi nie zdarzało się zapominać języka w gębie.

– Doszło do incydentu w Basrze. Na patrol urządzono zasadzkę. I niestety szkody są nie tylko materialne.

– Bo?!

Coś jej mówiło, że wykrzyknęła jego imię, ale sama tego nie słyszała, więc krzyczała dalej.

– Nic mu nie jest?

Tym razem niezręczna cisza trwała dłużej, ale Kaiser w końcu się otrząsnął:

– Mówią, że żyje. Ale dziennikarz zginął. Nic więcej nie wiadomo.

– Jest promocja na schabowe – zauważył Anders z nieskrywaną tęsknotą w głosie mieszającym się z chórem marudnych dzieci i zestresowanych rodziców pchających wypełnione wózki niekończącymi się alejkami w Bilce.

– Nie ma mowy – rozstrzygnęła Anne i doskonale usłyszała, że zabrzmiała ostro.

– Nie możemy sobie na to pozwolić.

Chwilę szli w milczeniu. Wtorkowe popołudnia były w ich domu czasem wielkich zakupów. Anne kończyła pracę o czwartej, a Anders miał próby orkiestry w środy. W duchu podziękowała mamie jednego z kolegów Jacoba, która się zaoferowała, że mały może u nich zostać i zjeść obiad, zanim go odbiorą.

– Tylko żartowałem – mruknął Anders urażony, ale Anne po jego zgarbionych plecach widziała, że naprawdę miał ochotę na kotleta.

Zastanawiała się, czy nie powinna po prostu ulec. Dwieście pięćdziesiąt koron za cały schab – prawdziwa okazja, nawet jeśli mięso pochodziło z jakiegoś nieznanego kraju Trzeciego Świata. Dwieście pięćdziesiąt koron, za które być może kupiliby sobie romantyczną kolację, albo i więcej – pojednanie i czułość oraz namiętny seks na deser, jeśli by jej się poszczęściło.

– Możemy wziąć schab na tacce – powiedziała, a w głowie zobaczyła debet na koncie. Zdjęła opakowanie i wrzuciła do wózka.

– Jasne. – Anders nie brzmiał na całkiem zadowolonego. Spojrzał na listę zakupów, którą trzymała w ręce. – I gdzie, do cholery, trzymają tu jajka?

Anne popatrzyła za nim, kiedy wyruszył polować na jajka, a po drodze niechcący trącił wózek jakiejś rodziny z górą zakupów w środku. Leżące na skraju opakowanie czegoś, co wyglądało na roladę pasztetową, spadło na podłogę. Anders przeprosił i podniósł paczkę, ale dziecko tamtych ludzi i tak się rozplakało, a matka wyraźnie zestresowała się jeszcze bardziej.

Anne skupiła się na poszukiwaniu mielonego mięsa o obniżonej zawartości tłuszczu, ale przemknęło jej przez myśl, że to typowa w dzisiejszych czasach karuzela emocji. Nagromadzony stres z całego tygodnia znajduje ujście w to jedno popołudnie, kiedy na wszystko brakuje czasu. Przydałyby się im wakacje, trochę

czasu tylko we troje. I znów myśl o Korei zaświtała jej w głowie, a ona podążyła za tym marzeniem, którego Anders nienawidził, a które tak ją kusiło. Może udałoby im się odłożyć na taką podróż? Jacob powinien wiedzieć, skąd pochodzi. Wszyscy troje powinni zobaczyć ten kraj – jeśli tylko rozwinię wszystkie pourywane wątki i dowie się, jak tak naprawdę przedstawia się jej przeszłość. Pewnie jest tam pięknie, rozmarzyła się i włożyła do wózka opakowanie mielonej wołowiny, bo w końcu ją znalazła. Góry, rzeki, zielone pola ryżowe i cała masa ludzi podobnych do niej. Takich, w których Jacob również umiałby zobaczyć siebie.

– Kto powiedział, że w Bilce jest tanio? – Anders wrócił z jajkami, położył je na górę pozostałych zakupów i jednym zdaniem wysłał w kosmos marzenia o Korei. – Szesnaście dziewięćdziesiąt pięć za sześć nędznych jajek – stwierdził. – Chyba powinniśmy się przerzucić na sklep Aldi.

– Tam mają za mały asortyment – po raz kolejny przypomniawsza mu Anne. – Musielibyśmy jeździć do kilku sklepów.

Andersowi ta myśl również wydała się mało krzepiąca i rozchmurzył się dopiero, gdy dotarli do działu z winami, gdzie były próbki do degustacji. Dali się namówić na trzy butelki czerwonego trunku za sto dwadzieścia koron, a potem poszli do kafeтерии, żeby na szybko zjeść wczesną kolację. Może to niezbyt zdrowe – pomyślała Anne, zmęczona panującym w hali hałasem i włóceniem się z wózkiem od jednego jej końca do drugiego w poszukiwaniu drobiazgów – ale przynajmniej proste.

Piwo było z pianką, filet rybny Andersa przyjemnie chrupał. Anders odzyskał też całkiem humor na widok koszyczka z frytkami.

– Krążą pogłoski, że będą rozbudowywać operę na tyłach gmachu.

– Ciekawe. Gdzie to usłyszałeś?

Wziął frytkę i spojrzał na nią czule, zanim ją zanurzył w remuladzie i wsunął do ust.

– Od Poula Hansena. Drugie skrzypce.

Ciągnął dalej w stylu telegraficznym, pomiędzy kolejnymi frytkami.

– Kuzyn jego żony jest w radzie miasta. Podobno ma się do nas przenieść konserwatorium i będziemy się dzielili kosztami utrzymania budynków.

Pochylił się do przodu i Anne zobaczyła w jego brązowych oczach ten sam żar, który w chwilach czułości potrafił stopić jej serce.

– Jeśli do tego dojdzie, to Århus stanie się najprężniejszym ośrodkiem muzyki poważnej w kraju.

Musiła się uśmiechnąć. Jego emocje były zawsze tak niesłychanie intensywne. Skóra mu lśniła, jasna jak z porcelany. Jemu samemu wydawało się, że broda nadaje mu męski wygląd, ale wrażliwość, widoczna w całej jego postaci, nieuchronnie obnażała kruchość jego duszy. Tak mało potrzebował, aby wpaść w euforię, i równie niewiele wystarczyło, by ogarnęły go zwątpienie i lęk.

Najwyraźniej czytał jej w myślach, bo nagle przerwał swój monolog i wymachując pojedynczą frytką, powiedział:

– I co teraz? Chyba będziesz musiała zapomnieć o drażeniu sprawy swojej adopcji – spytał z nadzieją w głosie.

Przyłapała się na tym, że chciałaby umieć kłamać. Wówczas mogłaby po prostu przytaknąć i być w tym przekonująca. Zjadła trochę swojej sałatki z tuńczykiem i przegryzła chlebem.

– Najpierw chcę jeszcze spróbować z biurem adopcyjnym.

Anders wyglądał na zdezorientowanego.

– Przecież mówiłaś, że to nieważne. Jeszcze wczoraj twierdziłaś, że jest ci wszystko jedno, że to dla ciebie bez znaczenia, skąd pochodzisz. – Patrzył na nią błagalnym wzrokiem. – Powiedziałaś, że jesteś tym, kim jesteś, bez względu na wszystko.

Jasne, że to powiedziała, i w jakimś sensie rzeczywiście tak uważała. Uważała tak, gdy się denerwował. Uważała tak, kiedy się chował do swojej muszli piękna i muzyki, a ona się bała, że nigdy już z niej nie wyjdzie.

– Jeśli nie zostałam adoptowana, to jak się znalazłam w tej rodzinie?

Oczy Andersa zrobiły się czerwone. Wiedziała, że to oznacza jednocześnie złość i przejście do defensywy.

– Dla mnie to obojętne – oświadczył hardo. – Możesz sobie nawet być z Księżyca.

W jego wzroku widziała, że przyznaje się do swojej słabości – że chce po prostu, aby wszystko było jak zawsze. Jego oczy mówiły, że nie warto ryzykować. A co, jeśli jej przeszłość skrywa jakąś mroczną tajemnicę? Jeśli jako niemowlę została porwana albo nielegalnie wwieziona do kraju? Co, jeśli komuś mogłoby przyjść do głowy zażądać, aby została dostarczona z powrotem?

Spuściła wzrok na sałatkę i ukryła uśmiech. To takie do niego podobne. Tak działa jego instynkt, który w ferworze domysłów zapomina, że ona ma czterdzieści trzy lata i nikt nie może żądać od niej czegokolwiek.

– Wiem, o czym mówisz – przyznała – ale i tak mnie to dręczy.– I dodała najłagodniej, jak potrafiła: – Skontaktowałam się już z biurem adopcyjnym.

Odsunął od siebie talerz, choć zjadł dopiero połowę frytek, i Anne wiedziała już, że jest rozczarowany.

– Przecież żadnej adopcji nie było, prawda?

Wzruszyła ramionami i próbowała przybrać obojętną minę, ale ku własnemu przerażeniu zauważyła, że udzielił jej się jego strach, i nagle poczuła się tak, jakby przez jej nerwy przeszedł prąd. Co to za tajemnica się za nią ciągnie? Jaka jest prawda o jej pochodzeniu?

– Mam po prostu nadzieję, że uda mi się rzucić trochę światła na całą sprawę.

– Kiedy? – spytał.

– Jutro. Mam się z nimi spotkać.

Ale kiedy już doszło do spotkania, przebiegło ono zupełnie inaczej, niż sobie wyobrażała. Nie wiedziała wprawdzie, czego dokładnie się spodziewała – na pewno sądziła, że to miejsce będzie bardziej przyjazne i jasne. Że będzie napawało nadzieją i emanowało szczęściem.

Tymczasem kobieta za biurkiem wyglądała na zestresowaną, dokładnie tak jak połowa mieszkańców tego kraju. Anne pomyślała, że może sama ma małe dzieci. Może zadzwonili z przedszkola, żeby odebrała je wcześniej, bo źle się poczuły? Może mąż od niej odszedł i musi samotnie zmagać się z codziennością?

Choć była dość młoda, prezentowała się poważnie z włosami spiętymi w niski kok i w okularach bez oprawek, leżących równo na jej prostym nosie. Uśmiechała się jednak – o ile to faktycznie był uśmiech – z rezerwą. Przedstawiła się jako Beate Gau i od razu przeszła do rzeczy:

– Czego dokładnie chciałaby się pani dowiedzieć i jakiej pomocy pani od nas oczekuje?

Samo pytanie było jak najbardziej na miejscu, ale Anne zaniepokoił ton, jakim je zadano. Było w nim coś mechanicznego, jakby słowa zostały wykute w stali.

– Pomyślałam, że może zachowała się w państwa archiwum jakaś korespondencja, której kopii nie znalazłam w dokumentach mojej mamy – zaczęła

Anne. – Znalazłam bowiem list, w którym rodzice wycofali złożony wcześniej wniosek o adopcję. To by oznaczało, że taki wniosek wcześniej do państwa wpłynął.

– Nie przechowujemy dokumentów przez tyle lat – powiedziała kobieta krótko.

Następnie odchyliła się nieco w fotelu. Anne przez dłuższą chwilę czuła na twarzy jej badawczy wzrok.

– Rodzice powiedzieli, że skąd pani pochodzi?

– Z Korei.

Beate Gau wolno pokręciła głową.

– Adopcje dzieci z Korei stały się powszechne dopiero w latach siedemdziesiątych.

– Co chce pani przez to powiedzieć? – wydusiła z siebie Anne i zapragnęła mieć w tej chwili przy sobie kogoś, kogo mogłaby się przytrzymać. Pomyślała o Dicte. Gdyby tylko była tu Dicte i zadała właściwe pytania.

Kobieta westchnęła, jakby rozmawiała z mało pojętym dzieckiem.

– To, że Korea jest mało prawdopodobna. Nie wiem, dlaczego rodzice tak pani powiedzieli. Może w czasie, gdy zaczęła pani pytać o swoje pochodzenie, w kraju było już sporo dzieci z Korei.

Do Anne powoli docierało znaczenie tego, co usłyszała. Chciała to jakoś skomentować. Pragnęła zadać całą masę pytań, ale słowa nie potrafiły się ułożyć w jej głowie.

Tymczasem kobieta za biurkiem, która przypominała służbistkę z jakiegoś postkomunistycznego kraju, przechyliła głowę i beznamiętnym tonem stwierdziła:

– Zresztą moim zdaniem wcale nie przypomina pani Koreanki.

Anne poczuła, że serce jej przyśpiesza i w końcu udało jej się rozplątać język.

– A kogo wobec tego pani przypominam? – spytała bezradnie.

Beate Gau pogrzebała chwilę w leżących na biurku papierach, po czym raz jeszcze spojrzała badawczo na Anne jak na egzotycznego owada, którego próbuje zaklasyfikować.

– Poszłabym raczej w innym kierunku. Obstawiam coś z Północy.

– Północy?

Kobieta skinęła głową.

– Tak. Może gdzieś wśród Inuitów.

Anne spojrzała na nią pytająco.

– Eskimosów – wyjaśniła Beate Gau i uśmiechnęła się przelotnie, jakby chciała ją uspokoić – choć oczywiście nie jestem ekspertem.

Krople potu spływały jej między piersiami. Krawędź stanika zrobiła się mokra i nieprzyjemna. Całe ciało miała swędzące i lepkie, a skóra jej płonęła.

Wiedziała, że to nie tylko wina sierpniowych upałów, od których kraj coraz bardziej się dusił. Chodziło o to drugie – o uczucie, o którym nie chciała myśleć i którego nie chciała w sobie nosić. O pragnienie, które gdzieś w środku zrobiło w niej wyrwę i przelewało się przez nią wraz ze wstydem.

Dicte zrzuciła z siebie ubranie, kiedy tylko zamknęła za sobą drzwi. Najpierw, w korytarzu, zdjęła sandały. W dużym pokoju zostawiła bluzkę, w jadalni spódnicę, w sypialni stanik, a na końcu na podłodze w łazience wylądowały majtki. Weszła pod prysznic w nadziei, że woda zmyje z niej to wszystko.

Ale kiedy się wykąpała i wytarła pośpiesznie, jakby ktoś ją gonił, wciąż miała w głowie te same obrazy, dźwięki i zapachy. To zajście – pomyślała, bo nie była w stanie zmusić się, by użyć innego słowa. Tym była sytuacja, w jakiej się znalazła w gabinecie lekarskim w Marselisborgu. Tym było to, co zrobiła i czego nie można już naprawić.

– Bo – jęknęła do podłogi w łazience. – Bo, cholera.

Rosła w niej dziwna złość na niego za to, że nie zadzwonił ponownie tamtej nocy i że koniecznie musiał jechać do Iraku, by dać się postrzelić w cholernym ataku, i za to, że zrobiła to, co zrobiła.

– Niech to szlag. Kurwa, kurwa, kurwa!

Słowa wyrzucała z siebie rytmicznie, wycierając się ręcznikiem, aż skóra stała się czerwona. Potem z szafy wyjęła czyste majtki, koszulkę i szorty. Zdawała sobie sprawę, że zachowuje się głupio, bo zamiast wziąć odpowiedzialność za to, co zrobiła, winą obarczała człowieka, który leżał w szpitalu wojskowym w Basrze i mógł stracić nogę. To właśnie powiedział Kaiser, bez cienia emocji. Nogę, cholera.

– Lewą czy prawą? – spytała bez namysłu.

Była skołowana, bo obok niej na czerwonej kanapie leżał napalony lekarz, a jej własne ciało nagle zamknęło się ze wstydu. Lewa czy prawa, jakby to robiło

różnicę. Toteż Kaiser zignorował jej pytanie i szybko zakończył rozmowę. Zapewnił ją, że Bo sam do niej zadzwoni. Że przeżyje. Nie powiedział tylko jak.

– Nogę, Svendsen – odezwała się do psa, kiedy otworzyła drzwi lodówki i zajęła się smarowaniem dla niego kromek pasztetem. – Wyobrażasz sobie?

Pies popatrzył na nią, jakby naprawdę próbował sobie wyobrazić, jak by to było, ganiać kota sąsiadów na trzech łapach. Gdy zadzwonił telefon, wiedziała, że to Bo, zanim jeszcze go usłyszała. Rozpoznała szum telefonu satelitarnego i oddech, który dotarł do niej szybciej niż jego głos.

– Cześć, skarbie, co słychać?

Przez chwilę nic nie mówiła, a jedynie rejestrowała to, co słyszy. W jego głosie było zmęczenie, którego wcześniej nie słyszała.

– Jesteś tam? – spytał Bo. – Dicte?

Przełknęła ślinę. Ból uciskał jej czoło od środka. Powieki swędziały ją od niewypłakanych łez, a oczy miała szkliste.

– Jestem.

Usiadła. Pies, którego jedzenie zostało na blacie, położył głowę na jej kolanach.

– Miałam właśnie karmić Svendsena – powiedziała bez sensu i poczuła się jak idiotka, ale on najwyraźniej ją rozumiał.

– Kanapki z pasztetem?

Zabrzmiał, jakby był głodny, a to dobry znak.

– Jak zwykle – powiedziała, pociągając nosem. – Ty cholerny draniu.

Jego westchnienie zadudniło w słuchawce.

– Naprawdę mi przykro, skarbie. Chyba będę musiał wrócić do domu wcześniej, niż planowałem. Znajdzie się dla mnie ciepłe łóżko?

Może te ostatnie słowa wywołały lawinę. Zaczęła płakać, szlochać spazmatycznie, a słuchawka ślizgała się w jej mokrej dłoni.

– Już wszystko dobrze – jego głos zdawał się dobiegać z końca świata. – Już wszystko w porządku, skarbie.

– A twoja noga?

W jego głosie usłyszała ból i coś jak wyparcie.

– Noga to pryszcz. Złożyli ją śrubami.

– Kiedy wracasz?

Wyobraziła sobie, że zorganizowanie transportu potrwa kilka tygodni, więc jego

odpowiedź kompletnie ją zaskoczyła.

- Pojutrze. Razem z Jensem Peterem.
- Z Jensem Peterem?
- W trumnie.

Jutro, jutro, jutro, powtarzała w głowie, jadąc następnego dnia z Kasted do redakcji. Żniwa powoli się kończyły i większość pól pokrywało ściernisko. Tylko na pojedynczych pracowały jeszcze ogromne kombajny, sypiąc kurzem aż na drogę wijącą się od Nowego Młyna do starego Skejby. To tutaj, na tym odcinku wieś zmieniała się w miasto.

Minęły trzy lata, pomyślała nagle i przypomniała sobie, że jak tylko obejrzała dom w Kasted, od razu wiedziała, że tu będą mogły zamieszkać. Tu, na otwartej przestrzeni, wśród pól i zwierząt, będzie mogła swobodnie oddychać i dojść do siebie po rozwodzie.

Przypomniała sobie wolność i nadzieję, które ją wtedy wypełniły. Miały być tylko we dwie – ona i Rose, i nowe życie, bez kłótni i zdrad niewiernego małżonka. Ale pojawił się Bo i naprawił więcej niż tylko kaloryfer i odpowietrznik. Broniła się przed tym uczuciem. Cholera, naprawdę dała wtedy popalić swojemu sercu. Był zonaty i miał dwójkę małych dzieci. I był od niej o osiem lat młodszy. Paraliżował ją strach na myśl, że miałyby przestać się kontrolować i zatracić w tym uczuciu. A jednak tak się stało, choć sama do końca nie wiedziała jak. Ani się obejrzała, a zaistniał w jej życiu i zaczął funkcjonować jako jego punkt centralny. Nagle w korytarzu stanęły jego walizki i losy dwójki życiowych rozbitków splotły się w jedno pełne wybojów i zakrętów życie.

Wjechała w Randersvej i dalej Langelandsgade dotarła do centrum. I mimo wszystko, parkując na dziedzińcu na tyłach redakcji przy Frederiksgade, uśmiechnęła się lekko. Była akurat na czas, by zdążyć na odprawę. Jakimś sposobem udało im się zbudować wspólne życie, więc albo nie doceniała siebie samej, albo przeceniała Bo. Choć między nim a byłą żoną wciąż było sporo nierozwiązanych problemów i pomimo jego niesłabnącej potrzeby, by przenosić się z wojny na wojnę, coś ich połączyło i trwale do siebie przywiązało, mimo że każde z nich miało przeszłość, która nie ułatwiała nawiązywania relacji. On, wychowywany bez ojca przez matkę alkoholicką, wziął na siebie odpowiedzialność za młodsze rodzeństwo i przetrwanie całej rodziny, więc nie był

skłonny bardziej się poświęcić i nie dawał żadnych gwarancji. Jej z kolei zaszczerpiono niepewność i strach przed krwawym sądem ostatecznym i końcowym rozrachunkiem i możliwe, że potrzebowała właśnie tego – gwarancji.

Otworzyła drzwi samochodu, wysiadła i zarzuciła torbę na ramię.

Tymczasem żadnych gwarancji nie było. Nie ze strony Bo. A po tym, co nawyrabiała na czerwonej kanapie, musiała przyznać, że i ona nie była w stanie niczego mu zagwarantować.

Teraz będzie musiała spojrzeć mu w twarz, i to znacznie wcześniej, niż się spodziewała. Tego w swoim planie nie przewidziała – o ile w ogóle miała jakiś plan.

Ruszyła starymi, skrzypiącymi krętymi schodami na trzecie piętro, do jasnych, odnowionych pomieszczeń redakcji z widokiem na wieżę telefoniczną. Wcześniej czuła tęsknotę i nadzieję. Nie przewidziała jednak tego, co zaszło, a on wkrótce ją zobaczy. I w chwili, w której ich oczy się spotkają, będzie wiedział wszystko. Bo taka już jest i miała tego pełną świadomość. Jakkolwiek by tego pragnęła, po prostu nie umiała kłamać.

Lokal, w którym mieściła się redakcja, wyglądał tak, jak ona się czuła.

W pomieszczeniu hulał przeciąg z otwartego okna. Wchodząc, Dicte zastała Cecilie na czworakach z tyłkiem w górze, jak zbiera porozrzucane kartki. Jak zwykle podłoga i stoliki były zaścielone gazetami z tego tygodnia, na głównym stole królowały przepełnione popielniczki i stare torebki z piekarni, a w nich wyschnięte ciastka. Wszystko upstrzone plamami po kawie i pojedynczymi kostkami cukru.

– Firma sprzątająca zastrajkowała? – spytała i automatycznie zaczęła zbierać popielniczki, żeby zaprowadzić choć minimalny porządek.

Davidson wzruszył ramionami zza monitora.

– Okres urlopowy, jak sądzę – mruknął. – Ale mają kogoś na zastępstwo.

– I ten ktoś nie potrafi zanieść czarnego worka do śmietnika? – Czuła silną potrzebę odreagowania swojej frustracji na kimś, kimkolwiek. Na przykład na pierwszej osobie, która się do niej odezwie.

Dopiero teraz Davidson faktycznie na nią spojrział.

– Co cię ugryzło?

– Nic.

– Przestań. Masz nas za idiotów? – wtrąciła się Cecilie i wstała z podłogi, obejmując stos kartek A4. – Przecież też o tym słyszeliśmy. Jak on się czuje?

Oczywiście, że słyszeli. Jak mogła być taka głupia?

– Wraca do domu jutro ze śrubami w nodze – odburknęła i zapragnęła, aby stało się coś, co odwróci od niej uwagę wszystkich.

Jej życzenie się spełniło, gdy w rogu zabuczał faks. Wszyscy przyglądali się Davidsenowi, który wyjął z urządzenia pojedynczą kartkę.

– Następne – powiedział niewyraźnie i pomachał kartką w powietrzu.

– Co takiego? – spytała Cecilie.

– Ciało kobiety. – Głos Davidsena nagle stał się poważny. – Znalezione na dziedzińcu wewnętrznym w Øgadekvarteret.

Jego wzrok spoczął na Dicte. Tylko nie ja, pomyślała. Tylko tego mi jeszcze brakuje.

– Konferencja prasowa na komendzie o drugiej – poinformował ją Davidsen. – Bierzesz?

Pies zaczął szczekać tuż przed tym, jak Rose otworzyła drzwi. Aziz przemógł pragnienie, by cofnąć się o krok.

– Cicho, Svendsen. To tylko my.

Rose uklękła i pozwoliła psu się obwąchać i polizać po uchu i włosach.

– Dobry pies wartownik – pochwaliła go mimo wszystko. – Mądry pies.

Potem odwróciła się do Aziza i ręką pokazała, żeby poszedł za nią.

– Wiesz przecież, że nic ci nie robi. No chodź.

Jasne, że wiedział, ale przypomniał sobie psa do walk zamkniętego w baraku i przeszły go ciarki.

– Zniż się – poprosiła Rose, a on posłusznie kucnął. – Pozwól mu się powąchać. Wystaw rękę, o tak.

Najzwyczajniej w świecie złapała go za rękę i odwróciła ją wnętrzem do góry. Aziz spojrział w psie oczy. Przyglądały mu się czujnie, a po chwili poczuł łaskotanie, kiedy mokry psi nos dotknął jego skóry.

– To Aziz – przedstawiła go Rose. – On jest dobry.

Nigdy nie sądził, że coś takiego spotka akurat jego, ale oczy psa stopniowo przybierały pogodny, niemal oddany wyraz i poczuł, jak coraz głębiej zanurza się w spojrzeniu tego stworzenia.

Rose pogłaskała go po dłoni.

– Dobry, Svendsen, widzisz? Aziz jest dobry.

Gdy pies delikatnie polizał jego dłoń, przez Aziza przepłynęło dziwne ciepło, choć mu się opierał. Nie lubił psów. Nigdy ich nie lubił.

Rose wstała, zadowolona z efektów swojej mediacji.

– Mama dzwoniła – powiedziała, nim zsunęła torbę z ramienia i rzuciła ją na krzesło. – Powiedziała, że wróci późno.

Wcześniej przyszedł do niej do domu zaledwie dwukrotnie i za każdym razem jej matka była w pracy. Wspomnił przelotnie ich spotkanie w porcie i odniesione wrażenie, że przyglądała mu się badawczo. To się chyba nazywa sceptyczna rezerwa. W każdym razie z całą pewnością nie zachwycała jej nowa znajomość

córki, ale nie odważył się porozmawiać o tym z Rose. I bez tego miał dość powodów do zmartwień.

Rose szła przed nim. Patrzył na jej sylwetkę – przypominała mu tancerkę na linie. Spódnica opierała się na nieistniejących biodrach i falowała nad kolanami. Buty na całkiem płaskiej podeszwie wyglądały jak baletki. Wyobraził sobie, że artysta mógłby ją narysować kilkoma prostymi, cienkimi kreskami.

Odwróciła się do niego.

– Musiała pojechać na konferencję prasową. Znaleźli kolejną martwą kobietę. Straszne, prawda?

Kiedy to powiedziała, miał wrażenie, że powietrze wokół niej zadrgało, a jej ciało naprawdę balansowało na linie rozpiętej między niebem a ziemią.

– Gdzie? – Usłyszał własny, zachrypnięty głos.

Rose pomachała ręką, jakby chciała wyrzucić z głowy tę informację. Rozumiał ją. Sama jakiś czas temu znalazła martwą kobietę na bagnach i bardzo nie lubiła rozmawiać o takich rzeczach.

– Nie powiedziała. Chodź, musisz zobaczyć mój nowy sprzęt.

Poszedł za nią ze ściśniętym gardłem. Kolejna kobieta. Ale kiedy? Czy był w to zamieszany ktoś z osiedla? Czyżby znów powtarzała się ta sama historia?

Rose włożyła płytę do wieży i trochę podkręciła głośność. Kiedy pokój wypełnił głos Alicii Keys, podeszła do niego i się przytuliła. Wiedział, czego chce, i wiedział, że miała przed nim chłopaka. Nie była bardziej niewinna niż on, ale w tej konkretnej chwili miał wrażenie, że jest, i w pierwszym odruchu naturalny instynkt kazał mu ją chronić.

– Chodź – szepnęła.

Poczuł, jak się owija wokół jego ciała i serca. Wzięła go za rękę i pociągnęła do swojego dziewczynskiego łóżka, gdzie na białej narzucie rozsiadły się dwa misie. Pożądanie szarpało nim gotowe do skoku, ale z nim walczył. To powinno się odbyć jak należy – bez nerwowego zerkania na zegarek. A przede wszystkim on powinien najpierw pozbyć się z głowy tych wszystkich innych rzeczy.

– To chyba nie jest najlepsza pora – powiedział możliwie najostrożniej. – Twoja mama... i pies – dorzucił w akcie desperacji.

Pewnie to ostatnie tak ją rozbawiło. Roześmiała się szczerze i dźwięcznie niczym mały dzwoneczek.

– A co pies ma z tym wspólnego? – prychnęła w końcu.

Aziz oczywiście doskonale rozumiał komizm sytuacji.

– Niewiele – przyznał i sam musiał się uśmiechnąć, kiedy go pociągnęła na łóżko i upadli między misie. – Ale może powinniśmy...

Zamknęła mu usta pocałunkiem. Zdumiony pozwolił jej się poprowadzić, a gdzieś w tyle głowy pojawiła się myśl, że u każdej innej kobiety odebrałby to jako napastliwość, ale u Rose miało to nieodparty urok, było czyste i delikatne jak kwiat.

Lecz wtedy w jego myśli wdarła się rzeczywistość, a przed oczami zobaczył żółte oczy uwięzionego w baraku psa. Usiadł gwałtownie i Rose odsunęła się kawałek.

Patrzyli sobie w oczy. Wiedział, że jeśli nie będzie ostrożny, to może zniszczyć wszystko. Ona też ma swoją dumę. Jej usta lekko drżały, a w oczach miała ogromny znak zapytania.

Teraz on się do niej zbliżył. Dłońmi objął jej twarz, przysunął bliżej swojej. W spojrzeniu otworzył przed nią serce, tak jak przed chwilą jej pies otworzył przed nim swoje.

– Rose, kocham cię – powiedział tylko, a jego głos znów zabrzmiał chrapliwie. – Kocham cię bardziej niż kogokolwiek na ziemi. Nigdy nie wolno ci w to zwątpić. Ale to nie jest dobry moment. Jest coś, z czym muszę się najpierw uporać.

Nic nie odpowiedziała. Delikatnie pocałował ją w czoło i policzek, a potem, ostrożnie, w usta. Następnie wstał i wyszedł. Kiedy wieczorem tego samego dnia jechał w stronę Sabro toyotą pożyczoną od kolegi ze studiów, rozmyślał nad faktem, że znali się z Rose od trzech miesięcy i wciąż ze sobą nie spali. Wiedział, że dla innych to by było nie do wiary. Wszyscy uprawiali seks. On jednak zwlekał z tym, bo miał niejasne przeczucie, że tak należy. Rose nie była taka jak inne dziewczyny. Ona była jego życiem. Jego przyszłością – taką miał nadzieję. I dlatego powinien się z nią obchodzić szczególnie delikatnie.

Ostatecznie uznał, że to dobrze, że wciąż mają to przed sobą. Motyle w brzuchu i mrowienie aż po czubki palców wprawiały go w upajający stan wyczekiwania. Wyobrażał sobie, jak to będzie, jak będzie wyglądała Rose, kiedy stanie przed nim naga. Małe, idealne piersi i trójkąt włosów. Oczy, które przyciągają go ku sobie.

Wolno wypuścił powietrze z płuc. Tak, musi się uporać z tym wszystkim, o ile to

w ogóle możliwe. A potem czeka go nagroda.

Przed budynkiem nie było widać nic poza innymi samochodami, ale za to tych stało mnóstwo. Pomyślał, że nikt nie powinien nabrać podejrzeń – w końcu to warsztat.

Zanim wysiadł, poklepał się po kieszeni kurtki i poczuł kształt noża sprężynowego. Nie zamierzał go używać. Zamówił go poprzez brata Mustafy, Eihana, licząc, że w ten sposób wszyscy się o tym dowiedzą i przekonają, że znów jest jednym z nich, chłopakiem z osiedla balansującym na krawędzi prawa. Nóż był ważny, bo przydawał mu wiarygodności – tak w każdym razie sobie powtarzał, choć musiał przyznać, że daje mu również namiastkę poczucia bezpieczeństwa. Naturalnie fałszywego. Mimo wszystko przynajmniej w teorii będzie miał szansę się obronić, jeśli sytuacja wymknie się spod kontroli. W teorii będzie miał szansę.

Przeszedł przez plac w stronę przybudówki, skąd zaczęły go dobiegać głosy. Strzępy wyzwisk w różnych językach, począwszy od duńskich przekleństw, a skończywszy na arabskich klątwach. Obszedł budynek i zapukał do drzwi. Głosy wewnątrz ucichły. Potem Metin zapytał:

– Kto tam?

– Aziz. Przyszedłem obstawiać.

Na kilka sekund zapadła cisza, po czym Aziz usłyszał przesuwanie skobla i Metin otworzył mu drzwi.

– Właź do dziupli. – Roześmiał się, przeszywając go tym swoim drżącym wzrokiem, od którego człowieka przechodziły ciarki.

Aziz zauważył, że od ostatniego razu Metin zmienił fryzurę. Włosy miał teraz całkiem krótkie i utlenione. Był ubrany w dzinsy i drogą sportową kurtkę z kapturem. Na szyi zawiesił czarno-białą smycz na klucze. Metin ponownie się uśmiechnął.

– Musimy tylko wszystko przygotować.

Wewnątrz było chyba ze czterdzieści osób. W większości młodzież, ale Aziz dostrzegł też paru starszych mężczyzn. Rozpoznał ojca i braci Metina oraz wujka Mustafy. Przeszedł się wokół i przywitał z wszystkimi, jakby stanowili kochającą się rodzinę, której nie widział sto lat.

– Co tam, Aziz? Wróciłeś do stada? To lepsze niż zadawać się z nimi, prawda? Tu masz więcej możliwości. Tu jesteś swój.

Komentarze przelatowały mu nad głową, a on potakiwał tylko i przyznawał

wszystkim rację. Metin pchnął go w kierunku mężczyzny, który siedział przy stole i przyjmował pieniądze.

– Assam to nasz bukmacher. Jest bezstronny. Nie jest spokrewniony z nikim stąd.

Aziz wyjął z kieszeni dwa tysiące, które po drodze wypłacił z bankomatu.

– Walki są dwie – wyjaśnił Assam.

Aziz położył pieniądze na wyciągniętej dłoni.

– Obstawiam po tysiącu w każdej z nich. Kto jest faworytem?

Assam głową wskazał na tył pomieszczenia, gdzie warczenie psów mieszało się z głosami mężczyzn.

– W pierwszej będzie pitbull Rocky przeciwko rottweilerowi Tysonowi. Rocky jest faworytem.

Aziz głową pokazał Assamowi, żeby postawił na Rocky'ego.

– W drugiej walce będzie kolejny rottweiler, Shaba, kontra pies zaprzęgowy Ghost. Shaba jest faworytką.

Aziz udawał, że tym razem dokładnie rozważa swój zakład, po czym zdecydował:

– Stawiam na zaprzęgowego.

Assam pokręcił nieznacznie głową, jakby ostrzegając Aziza, że popełnia błąd.

– Potrzebuję gotówki – wyjaśnił głośno Aziz. – Muszę zaryzykować.

Mustafa podszedł do niego i stanął obok, podczas gdy na środku robiono miejsce na prymitywny ring. Mężczyźni prowokowali psy, zagrzewając je do walki. Metin i jego wujkowie trzymali pitbulla, jednocześnie okładając go patykiem i pokrzykując komendy, i pozwalając mu się zbliżyć do rottweilera wystarczająco, by wyczuł strach drugiego psa.

– I co tam, studenciaku – śmiał się Mustafa – czyżby w książkach nie było dość adrenaliny?

Aziz wzruszył tylko ramionami. Psy rzucały się na siebie, ale właściciele wciąż je przytrzymywali.

– Mam pewne trudności – powiedział tylko, nie wchodząc w szczegóły.

Mustafa splunął na bok.

– Coś poważnego?

– Można tak powiedzieć.

Mustafa pokiwał głową, jakby chciał zapewnić Aziza, że zna to z doświadczenia i że w końcu udało mu się znaleźć rozwiązanie. Aziz z kolei pomyślał o zielonej simce. I nagle poczuł, że szarpia nim sprzeczne emocje, bo jednocześnie do świadomości zapukały wspomnienia z dzieciństwa. Zrobił głęboki wdech. Nie wolno mu popaść w sentymentalizm i myśleć za dużo o przeszłości. Mustafa nie jest już jego kolegą.

– Teraz zaczynają. Patrz na pitbulla, mówię ci, sporo się można od niego nauczyć.

Aziz się odsunął i nie był jedyny. Dosłownie czuł zapach zwierząt, które rzuciły się sobie do gardeł, wznosząc tumany kurzu. Ich mięśnie drżały, ostre zęby połyskiwały bielą. Pitbull próbował zamknąć pysk na gardle rottweilera, a tamten szukał zębami poszarpanego ucha przeciwnika. Pazury drapały deski podłogi. Z obu pysków kapały ślina i piana. Jak dwaj zapaśnicy wagi ciężkiej szepiali się ze sobą raz po raz, aż pitbullowi w końcu udało się zacisnąć szczęki na szyi rottweilera i powalić go na ziemię. Azizowi ponownie zrobiło się niedobrze. Próbował myśleć o Rose, przypomnieć sobie jej zapach, delikatną skórę i oczy, które go przywoływały.

Mustafa trącił go łokciem w bok.

– Widzisz, bracie, trzeba celować od razu w gardło. Raz-dwa i pozamiatane.

Oczy pitbulla lśniły, kiedy szarpał szyję drugiego zwierzęcia. Rottweiler bezradnie machał umięśnionymi łapami. Aziz widział, jak oczy psa wywracają się do wewnątrz. Dopiero kiedy mężczyźni zaczęli polewać zwierzęta wiadrami wody, pitbull odpuścił i stanął w zwycięskiej pozie z zakrwawionym pyskiem i wywalonym językiem, jakby czekał na następną ofiarę.

Wspólnymi siłami udało się go zaciągnąć z powrotem do klatki, a właściciele rottweilera zabrali swoje zwierzę z pola walki.

W przerwie między walkami mężczyźni palili, pili mocną herbatę i rozmawiali o interesach. Metin pociągnął Aziza za sobą, żeby obejrzeć następne psy. Rottweiler był suką. Nie miała ucha i wszędzie zwisały jej płaty skóry. Azizowi skojarzyła się ze starym weteranem wojennym.

– Jest niesamowicie silna – wyjaśnił Metin. – Na bank wygra, mimo że ostatnio solidnie oberwała.

Pies zaprzęgowy był młody. Futro miał zdrowe, a oczy lśniące. Gdy się do niego

zbliżyli, uniósł górną wargę, ukazując nienaruszony perlisty rząd ostrych zębów, przystosowanych do odrywania mięsa od kości.

– To nowicjusz. Nie powinienesz być na niego stawiać – zauważył Metin.

Aziz próbował nie patrzeć na klucz wiszący na szyi kolegi. Zastanawiał się, co nim otwiera. Jakie tajemnice mógłby odkryć, gdyby potrafił otworzyć Metina i zajrzeć w jego wnętrze?

– Na tym mogę zarobić więcej.

Metin przyjrzał mu się badawczo. Teraz mnie taksuje, pomyślał Aziz. Rozstrzyga, czy może mi zaufać.

– Pod warunkiem, że wygra – zauważył Metin.

Walka przebiegała według tego samego schematu co pierwsza. W powietrzu fruwały strzępy sierści razem z wydzielinami obu zwierząt. Ich gardła rezonowały wściekłością, oczy lśniły nienawiścią do wroga, który stał na granicy życia i śmierci.

Aziz pomyślał, że Metin ma rację. Patrząc na psa zaprzęgowego, wyraźnie widział, że zwierzę jest młode i niedoświadczone, choć wola walki wypełniała każdą komórkę jego ciała. Azizowi serce waliło jak oszalałe, a kiedy rottweiler powalił przeciwnika na ziemię i czerwona krew utworzyła na białym futrze wręcz groteskowo piękny wzór, nagle zdał sobie sprawę, że udzieliło mu się podniecenie pozostałych.

Nie chciał tego. Nie wolno mu było dać się ponieść, bo wówczas wróci do dawnego życia. Stanie się taki jak oni, ani odrobinę lepszy.

Zamknął na chwilę oczy i znów pomyślał o Rose. Przypomniał sobie, jak wzięła go za rękę i odwróciła ją spodem do góry. Poczuł nos psa, który go wąchał, jego miękki język i spojrzenie.

Metin poklepał go po plecach.

– No szkoda. Ale ostrzegałem cię.

Pies zaprzęgowy leżał na boku i oddychał ciężko. Już oderwali od niego rottweilera. Cisza w przybudówce była jak mur, który powstał samoistnie.

Aziz sam nie wiedział, dlaczego wszedł na ring i kucnął. Chyba zwariowałem, pomyślał. Przecież to tylko pies. A ja nie lubię psów.

Lecz zwierzę śledziło go wzrokiem, leżąc na ziemi umazane własną krwią. Aziz sięgnął do wiadra i zaczerpnął dłonią wodę. Pozwolił, by skapywała powoli wprost

do otwartego pyska psa. Ten wyciągnął język i złapał w powietrzu jeszcze kilka kropli, zanim jego pierś podniosła się i opadła w ostatnim westchnieniu. Pies zanurzył spojrzenie w oczach Aziza.

Aziz miał wrażenie, że trwało to bardzo długo, choć prawdopodobnie tak nie było. Wstał. Dla zachowania pozorów splunął na martwe zwierzę.

– Dobra. Nie zaszkodziło spróbować go ożywić – rzucił ze złością.

Metin otoczył go ramieniem i przysunął twarz tak blisko jego twarzy, że Aziz poczuł zapach alkoholu.

– Jeśli naprawdę jesteś taki zdesperowany, to możliwe, że mam dla ciebie robotę – powiedział.

Aziz starał się przybrać postawę adekwatnie pokorną.

– Byłoby świetnie. Co miałbym robić?

Metin odciągnął go kawałek na bok.

– Bułka z masłem. Będziesz tylko kierowcą.

Sierpień był miesiącem powrotów.

Dicte rozejrzała się po hali przylotów portu Tirstrup. Samolot SAS-u z Kopenhagi był opóźniony o kwadrans. Rozproszone grupki krewnych z duńskimi flagami i małymi dziećmi na rękach próbowaly zabić czas, nie mając w istocie nic, co mogłoby im to ułatwić. Ludzie rozmawiali ze sobą cicho, jakby się znajdowali w bibliotece albo kościele, a w ich głosach było słycać wyczekiwanie.

Dicte podeszła kawałek bliżej i próbowała się przygotować na to, co ją czekało. Kto wie, może nie ma się czym przejmować? Może wszystko będzie całkiem normalnie, jakby wczoraj się z nim pożegnała, kiedy wyjeżdżał tylko robić zdjęcia ćwiczeń wojskowych w zachodniej Jutlandii. Przypomniała sobie jego pogodny głos w słuchawce, pewny siebie i czarujący: „*Hey, baby. Masz ochotę na pizzę dziś wieczorem?*”. Ale zaraz potem przyszła jej na myśl ich ostatnia rozmowa i słowa, które brzmiały tak, jakby Bo parodiował sam siebie, i znów nie wiedziała, jak zareaguje i ile on będzie w stanie się domyślić.

Rozejrzała się w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby skrócić nieco ten kwadrans. Ze stojaka z gazetami zdjęła lokalny dodatek do „*Jyllands-Posten*” i usiadła na ławce, choć najchętniej chodziłaby tam i z powrotem wzdłuż taśmy bagażowej, wciąż nieznośnie nieruchomej. Wystarczyło jednak, że omiotła wzrokiem nagłówek, by jej nerwy przeskoczyły z jednego bieguna na drugi. Tekst na pierwszej stronie w momencie przeniósł ją do sali, w której dzień wcześniej odbyła się ultrakrótką konferencja prasowa, i znów poczuła się tak, jakby była na zjeżdżalni i nie wiedziała, kiedy uderzy w ziemię i jak mocno.

Na komendę dotarła wciąż lekko roztrzęsiona po tamtej krótkiej rozmowie z Bo i po tym, jak się dowiedziała, że już za dwadzieścia cztery godziny będzie go odbierać z Tirstrup. Wagner i Hartvigsen zajęli swoje stałe miejsca za stołami. Dziennikarze właśnie się sadowili. Ruszyły kamery i dyktafony, a piszący trzymali notesy w gotowości.

Ze swego miejsca po przekątnej na drugim końcu sali złapała wzrok Wagnera. Tylko na sekundę, ale to wystarczyło, by poczuła jego niepokój, który wzmógł

jeszcze jej własne złe przecucia. Stało się coś bardzo niedobrego i nie chodziło tylko o fakt znalezienia kolejnych kobiecych zwłok. Na twarzy komisarza malowało się zmęczenie, a zmarszczki przy kącikach ust były wyraźniejsze. W ciągu kilku dni, jakie minęły od ich ostatniego spotkania, jego karnacja zmieniła się z ciemnej i złocistej w matową i szarą. Sięgnął po butelkę wody i napełnił swoją szklanę, a jego ruchy, w których normalnie uwidaczniał się zdecydowany charakter, w tej chwili zdawały się wyświetlane w zwolnionym tempie.

Dicte przypomniała się jej własna nieprzespana noc, podczas której głos Bo mieszał się z obrazami śmierci i zniszczenia w Århus i w Iraku. Patrząc na Wagnera, pomyślała, że on również nie spał – ani tej nocy, ani żadnej z ostatnich. Że ostatnimi czasy leży tylko ze wzrokiem wbitym w sufit i rozmyśla.

Wagner w końcu zdecydował się rozpocząć spotkanie.

– To będzie bardzo krótka konferencja – ogłosił. – Obecnie nie mamy zbyt wielu informacji, lecz o godzinie czwartej trzydzieści dzisiejszego ranka na tyłach kamienicy przy Norsgade 34 znaleziono zwłoki kobiety. Jeden z mieszkańców odkrył je za pomieszczeniem na rowery, gdy szedł do pracy w firmie sprzątającej.

Zrobił krótką przerwę, by wszyscy mogli przetworzyć tę wiadomość. Dziennikarze milczeli. Niepokój Dicte z żołądka podpełznął w górę i stanął jej w gardle jako twarda gruda.

– Nie zdołaliśmy jeszcze zidentyfikować ofiary – ciągnął Wagner – lecz wiadomo, że jest bardzo młoda. I choć wciąż czekamy na pełny raport z sekcji zwłok, z całą pewnością możemy stwierdzić, że została zamordowana. Istnieje duże prawdopodobieństwo, iż zbrodni dokonano za pomocą noża bądź podobnego narzędzia.

Znów przerwa. Teraz dziennikarze zaczęli się wiercić na swoich miejscach, a Dicte tylko patrzyła. Pytania piętrzyły się w jej głowie, ale nie była w stanie wydobyć z siebie słów.

– Czy to ma jakiś związek z dziewczyną w porcie? – zapytał dziennikarz z „Jyllands-Posten”.

Twarz Wagnera pozostała bez wyrazu.

– Na pierwszy rzut oka nic na to nie wskazuje.

– Jak była ubrana? – chciał wiedzieć reporter kryminalny ze „Stiften”. – A może była naga, jak dziewczyna z portu?

Wagner skinął na Hartvigsena, a ten włączył rzutnik. Na biały materiał padło zimne światło i po chwili na ekranie pojawiło się pierwsze zdjęcie. Na czymś, co przypominało blat stołu, leżały rozłożone części garderoby.

– Ubranie ofiary jest obecnie w laboratorium kryminalistycznym, ale zrobiliśmy kilka zdjęć na potrzeby prasy. Jeśli znajdą się świadkowie, którzy widzieli młodą, bardzo szczupłą kobietę ubraną w to, co wyświetla się na ekranie, bardzo chcielibyśmy z nimi porozmawiać.

Następnie odwrócił się w stronę tablicy. Wszyscy wbili wzrok w przedmioty na zdjęciu. Przypominały papierowe ubrania do wycinania i nakładania na papierową sylwetkę. Znajdowały się wśród nich czarna torebka na długim pasku, wysokie czarne kozaki, krótka spódniczka w czarno-białą kratkę i krótka żółta bluza z kapturem z licznymi podłużnymi śladami po tym, co musiało być krwią.

– Czy podejrzewacie motyw seksualny? – zapytał ponownie gość ze „Stiften”.

Wagner był ostrożny.

– Jak powiedziałem: wciąż czekamy na raport z sekcji zwłok.

– Ale czy istnieją jakiegokolwiek oznaki?

– Więcej nie mogę powiedzieć – uciął Wagner zmęczonym głosem i przeszedł do oświadczenia, które najwyraźniej miało być czymś w rodzaju podsumowania. – Jak wspomniałem, poszukujemy świadków, którzy widzieli szczupłą młodą kobietę ubraną w widoczne na zdjęciu części garderoby w nocy z poniedziałku na wtorek. Wzrost sto siedemdziesiąt centymetrów, potargane, rozpuszczone jasne włosy. Tyle mogę powiedzieć na tym etapie. Damy znać, gdy patolog sporządzi raport.

– Co zawiera torebka? – zapytała wreszcie Dicte, choć wiedziała, że to na nic. Gdyby policja chciała upublicznić jej zawartość, ona również zostałaby sfotografowana.

Wagner po raz drugi odrobinę za długo przytrzymał jej wzrok i znów przeszły ją ciarki.

– Niestety, na ten temat nie możemy się wypowiadać – odparł i wstał, a Hartvigsen wyłączył rzutnik.

Pozostali dziennikarze natychmiast poczuli krew i zaczęli się przekrzykiwać, zadając szczegółowe pytania, ale Wagner pozostał niewzruszony.

– W brązowych kopertach znajdują państwo zdjęcia. – Głową wskazał na stos leżący na przedzie stołu. – Mogą je państwo ze sobą zabrać.

Taśma bagażowa ruszyła niemal równocześnie z otwarciem się drzwi z pasa lądowania. Do hali przylotów zaczął się wlewać tłum pasażerów.

Dicte wypatrywała go z duszą na ramieniu. W hali aż iskrzyło od emocji, gdy bliscy odnajdywali się wśród łopotu flag, a zabiegani biznesmeni przemykali samotnie, ciągnąc za sobą walizki na kółkach.

Bo wyłonił się jako ostatni i Dicte przez moment nie była pewna, czy to rzeczywiście on. Upewnił ją dopiero widok zagipsowanej nogi i kuli. Człowiek, którego miała przed oczami, tylko nieznacznie przypominał Bo, jakiego znała. Gdy wokół nich ludzie obejmowali się i całowali w policzki i usta, oni stanęli nagle naprzeciwko siebie, jakby poznali się przez ogłoszenie i widzieli po raz pierwszy.

– Cześć.

Głos miał zachrypnięty, a oczy czerwone. Wydawało się, że w ciągu tygodnia stracił dziesięć kilo. A przecież jeszcze przed wyjazdem był chudy jak pies.

– Cześć.

Najchętniej sprawiłaby, żeby wszyscy pozostali zniknęli razem z tymi radosnymi głosami i zamaszystymi gestami, którymi zdejmowali walizki z taśmy albo unosili nad głowy małe dzieci.

Bo stał z rękami wzdłuż ciała. Obok niego taśma robiła kolejne pętle i Dicte jednym okiem szukała jego dużego worka żeglarskiego. W końcu wahanie przerwało w niej jakąś tamę i z oczu popłynęły jej łzy. Pocałowała go ostrożnie i szybko.

– Pomogę ci.

– Nie potrzebuję pomocy.

Po tych słowach na moment zamarła. Worek toczył się na taśmie. Bo ustawił się, żeby go wyłowić spośród innych bagaży, wspierając się jedną ręką na obu kulach. Torba przejechała dalej, nim zdążył ją chwycić, więc Dicte podbiegła i zdjęła ją z taśmy kawałek dalej.

– Cholera – mruknął – nie mogłaś po prostu jej zostawić?

– Żeby obróciła ile razy? – spytała bez zastanowienia. – Dziesięć? Dwadzieścia? Nie potrafisz przyjąć choćby najmniejszej pomocy?

Nic nie odpowiedział, ale Dicte widziała, że za jego zaczerwienionymi oczami kotłuje się cała masa emocji. Chciała się z nim trochę podroczyć, bo jego słowa ją zabolowały. Pomyślała o sobie, że zachowuje się jak zwierzę, i się zawstydziła. Czy

nie mogę mu pozwolić na odrobinę dumy?

Po drodze do domu stwierdziła, że pewnie wolałyby pojechać do własnego mieszkania w mieście, gdyby nie fakt, że było na trzecim piętrze bez windy. Ale potem spojrzała na niego, kiedy stali na światłach. Wiedziała, że on nie chce troski ani opieki, a jednocześnie bardzo jej teraz potrzebuje. Musi tylko być ostrożna i opiekować się nim tak, by tego nie zauważył.

Bo włączył radio. Ciszę między nimi wypełniła muzyka i piosenka Gartha Brooksa o tym, co będzie *If Tomorrow Never Comes*. Ale jutro nadeszło, pomyślała Dicte i wzdrygnęła się, bo owo jutro przyniosło ze sobą tak wiele nieoczekiwanych i nieszczęśliwych zdarzeń, a także dlatego, że nie wiedziała, jak się zbliżyć do tego mężczyzny, który siedzi obok niej ze swoim bólem, i jak zdoła mu wyjaśnić, że go kocha, a mimo to zdradziła tę miłość, którą uważała za nienaruszalną.

– Chcesz o tym porozmawiać?

Dużo później leżeli obok siebie w podwójnym łóżku, które nigdy wcześniej nie wydawało się takie duże. Odnosiła wrażenie, że między nimi otwarło się morze. Nie miała odwagi wyciągnąć ręki i go dotknąć.

– Nie ma o czym rozmawiać.

Mogłaby odpowiedzieć to samo i pewnie tak by zrobiła, gdyby to on zapytał. Mimo to nie umiała się powstrzymać, by nie spróbować go otworzyć.

– To może pomóc.

– Pomóc w czym?

Ziewnął. Pomyślała, że zrobił to ostentacyjnie, i znów mimowolnie poczuła irytację.

– Skończ już, cholera. Jens Peter zginął w Iraku, a ty prawie straciłeś nogę. To nie była szkolna wycieczka na Himmelbjerget.

Nie patrzył już w sufit, tylko leżał z zamkniętymi oczami. Dicte czekała cierpliwie, aż nabrała podejrzeń, że zasnął. Przelewały się przez nią strzępy emocji. Żołądek miała ściśnięty, krew szumiała w żyłach i groźnie dudniła wewnątrz czaszki. Wiedziała, że zbliża się migrena i najwyższa pora wstać i wziąć tabletkę. Ale nie była w stanie, ani nie chciała tego robić.

Nagle otworzył oczy i na nią spojrzał.

– Nie chcę o tym rozmawiać – zdecydował. – Musisz to zaakceptować.

Jak zahipnotyzowana patrzyła na tego obcego mężczyznę, który nagle i w

niewyjaśnionych okolicznościach zajął połowę jej łóżka.

– Okej – powiedziała w końcu. – W porządku, skarbie.

Kiedy zapadł w niespokojny sen, zamknęła myśli o jego traumie w najgłębszym zakamarku świadomości i jej głową ponownie zawładnęła wczorajsza konferencja na komendzie, podobnie jak wydarzenia w Iraku zapewne królowały teraz w głowie Bo.

Gdy dziennikarze zaczęli się rozchodzić, Wagner skinął na nią. Zrozumiała jego gest i została, i tak naprawdę chyba już wtedy domyślała się, co nastąpi.

– W coś ty się znowu wmieszała?

Możliwe, że miało to zabrzmieć wrogo, ale Dicte usłyszała w jego głosie niemal rezygnację.

– To znaczy?

Spytała tylko po to, by zyskać na czasie.

Odchrząknął i dał jej znak, żeby usiadła. Hartvigsen już poszedł, ale najwyraźniej w sali konferencyjnej miało być kolejne spotkanie, bo właśnie zaczęli się schodzić pozostali śledczy z zespołu Wagnera. Jan Hansen skinął jej przyjaźnie głową. Ivar K dwoma palcami uchylił nieistniejący kaszkiet i opadł na jedno z krzesel.

– W torebce ofiary znaleźliśmy pocztówkę – zaczął Wagner. Wydawało się, że następne zdanie sprawia mu ból. Może zresztą dlatego napełnił kawą najbliższej stojącą filiżankę i opróżnił ją jednym haustem. Przez twarz przeszedł mu wyraz obrzydzenia, ale go opanował. – Przedstawia reprodukcję i jest reklamą nowo otwartej galerii przy Grønnegade.

Wiedziała, oczywiście, co teraz nastąpi, ale mimo wszystko nie była przygotowana na panikę, która ją ogarnęła, gdy wybrzmiały jego słowa:

– Są na niej twoje nazwisko, adres i numer telefonu.

Możliwe, że to przez tę porę roku nie potrafił spać. Miał wrażenie, jakby nieuważny malarz bawił się pędzlem i stworzył na nocnym niebie niekończący się szereg świątecznych dni.

Wagner odchylił się w fotelu i zamknął oczy, gdy muzyka zaczęła przenikać w głąb jego myśli. Było wpół do trzeciej w nocy. Chłopcy i Ida Marie smacznie spali. Przyłapał się na tym, że jest zazdrosny. Przed oczami stanęła mu spokojna twarz Idy Marie z lekkim uśmiechem majaczącym wokół ust. Twarz, którą tak wyraźnie widział w jasnym świetle księżyca, jakie wypełniało sypialnię. Białe zasłony, pomyślał z goryczą. Może i ładnie wyglądają, ale nie dają szansy w walce z jasnymi letnimi nocami.

Glenn Gould grał temat z *Wariacji Goldbergowskich* Bacha i dźwięki fortepianu stopniowo tłumiły jego irytację, aż pozostało tylko zmęczenie. To znał już aż nazbyt dobrze. Może powinien po prostu nauczyć się żyć z bezsennością? Czy nie słyszał gdzieś, że z wiekiem człowiek potrzebuje mniej snu?

Posiedział jeszcze trochę, słuchając i podążając za poszczególnymi głosami, które przeplatały się ze sobą. Nigdy nie udało mu się rozstrzygnąć, dlaczego właśnie to wykonanie działało na niego tak kojąco. Może zresztą wcale nie powinien próbować tego dociec. Może powinien po prostu cieszyć się, że jego brzmienie w taki sposób na niego wpływa. Muzyka oddzielała uczucia od rozsądku, jakby były różnymi głosami w fudze. Dzięki temu widział jaśniej.

Choć gdy oglądał ciało młodej kobiety znalezionej na podwórku przy Norsgade, żadnej dodatkowej jasności nie potrzebował. Wezwanie wpłynęło do centrali o 4.33. Oficer dyżurny najpierw wysłał na miejsce patrol i to kierowca patrolu zadzwonił bezpośrednio do Wagnera do domu. Razem z Hansenem byli na miejscu o 5.30, a następnie wezwali Gormsena i techników – tamci przyjechali jakieś pół godziny później. Jego pierwszą myślą było, że mają do czynienia z zupełnie innym rodzajem zbrodni. Inną kategorią przemocy, której nie da się porównać z tym, co spotkało kobietę z portu. Ofiara leżała w kałuży krwi za schowkiem na rowery, zmasakrowana. Okrucieństwo zbrodni porażało tym bardziej, że ofiara była tak

drobna i szczupła. Wyglądała tak, jakby jednym pchnięciem można ją było złamać wpół, a sprawca mimo to wytoczył przeciwko niej najcięższe działa. Twarz miała obitą i zakrwawioną. Ciało powyginane, a oczy szeroko otwarte z przerażenia. Sztwyne palce sterczały jak krwawe szpony, którymi próbowała się bronić. To ostatnie mogło przynajmniej okazać się dla nich szczęśliwą okolicznością, bo być może pod długimi paznokciami Gormsen znajdzie DNA sprawcy.

Inny rodzaj zbrodni. Tak pomyślał w pierwszej chwili. To było jednak, zanim technicy przejrzeliby torebkę ofiary i znaleźli w niej pocztówkę z adresem i numerem telefonu Dicte Svendsen. Wagner od razu się domyślił, co to oznaczało. Naga kobieta z portu o spokojnym wyrazie twarzy i ta tutaj, lekko odziana dziewczyna, o twarzy zastygłej w przerażeniu, były ze sobą w jakiś sposób powiązane.

Glenn Gould zaczął wariacje, a Wagner pozwolił myślom płynąć ze strumieniem dźwięków. Bo tak przecież było – również gdy szło o wyjaśnianie zbrodni. Najpierw był temat – coś bardzo prostego, silnie zapadającego w pamięć: znalezienie ciała. Potem były komplikacje, które wiły się wokół tematu, szukając sedna. Oplatały go wielokrotnie, najróżniejszymi drogami, aby na koniec dało się go zrozumieć i wysupłać znaczenie. Momentami tempo było spokojne i wyważone, innymi razy wirowało na pozór chaotycznie i bez celu. Aż w końcu następowało rozwiązanie, gdy temat rozbrzmiewał po raz ostatni i człowiek nagle rozumiał to, czego nie pojmował przy pierwszym odtworzeniu – że od początku wszystko stanowi część planu. Historię opowiadaną bez słów.

Historia bez słów.

Powiedział to na głos. Tego właśnie szukał – owej historii, a Dicte Svendsen okazała się jej częścią, czy mu się to podobało, czy nie.

Opowiedziała mu o swojej wizycie w miejscu zwanym Hellet i spotkaniu z młodą dziewczyną, która mówiła o Katce. Mógł się na nią wściec za to, że się mieszała w policyjne śledztwo, mógł jej zagrozić najstraszliwszymi konsekwencjami i oskarżeniem o zakłócanie pracy policji. To jednak nie zmieniłoby faktu, że Dicte była wmieszana w ich sprawę, a oni – jakkolwiek upiornie to brzmiało – dzięki tej nowej zbrodni mieli większe szanse na rozwiązanie zagadki.

Westchnął w noc przed sobą i oparł tył głowy o dobrze znane, miękkie obicie fotela.

Europa Wschodnia świeciła jak neon nad całą sprawą. A nad z maltretowanym ciałem Katki równie jaskrawo lśnił napis „narkotyki”. Gormsen natychmiast zwrócił uwagę na ślady po nakłuciach, których nie zadano w trakcie zabójstwa. Od dawna wiadomo było, że dziewczęta ze Wschodu są przemycane do krajów Europy Zachodniej i zmuszane do prostytucji w warunkach niewolniczych. Słyszeć o tym i wiedzieć, że tak się dzieje, to jedno, ale dowiedzieć się, w jaki sposób konkretna osoba z któregoś z państw dawnego bloku wschodniego trafiła do Danii, to wyzwanie całkiem innego kalibru. Zwłaszcza jeśli ta osoba bądź osoby pojawiają się jako niemożliwe do zidentyfikowania zwłoki w portowym basenie i na podwórku kamienicy.

Długo tak siedział, a jego myśli zataczały kręgi wraz z wariacjami w utworze, który lubił najbardziej. Lecz kiedy na koniec ponownie zabrzmiał temat, Wagner wcale nie był bliższy zrozumienia tej historii, o której wiedział, że gdzieś tam czeka na odkrycie.

– Nie znalazłem nic na Mustafę. W każdym razie nic w oficjalnych papierach. Wczoraj przejechałem się po City Vest.

Jan Hansen znów mówił wyraźnie po niedawnym brutalnym starciu ze swoim dentystą. Wagner spotkał się z nim w windzie, jadąc do sali konferencyjnej.

– A poza papierami?

Hansen wzruszył szerokimi ramionami.

– Trudno powiedzieć. Nikt na osiedlu nie chce z nami rozmawiać. Traktują to jak zdradę.

Winda stanęła i drzwi się otworzyły. Hansen przepuścił Wagnera przodem.

– Naprawdę nie ma nikogo, kto mógłby coś powiedzieć? Ktoś z rodziny? Znajomi?

Hansen pokręcił głową.

– Rodziny nie ma sensu pytać. Ale porozmawiałem chwilę z jego współpracownikiem z klubu piłkarskiego. Tamtejsi chłopcy bardzo go szanują.

Wagner czekał cierpliwie.

– Twierdzi, że Mustafa przestał chodzić do klubu.

– I?

Hansen otworzył Wagnerowi drzwi do sali. Żadnego z pozostałych jeszcze nie było. Eriksen zadzwonił, że zepsuła mu się chłodnica w samochodzie. Powiedział,

że kuzyn z centrali alarmowej go podwiezie i będzie najszybciej jak się da. Ivar K i Kristian Hvidt pracowali w nocy, szukając informacji o Katce w Hellet, więc pewnie przyjdą wykończeni dziesięć minut po czasie, a Pedersena dopadło paskudne letnie przeziębienie, od którego ledwo widzi i słyszy. Może budzika też nie usłyszał, pomyślał Wagner poirytowany.

– Mustafa od dzieciństwa był zapalonym piłkarzem – wyjaśnił Hansen. – To jedna z nielicznych rzeczy, które potrafiły utrzymać go w pionie.

Usiedli przy dużym stole, na którym rozstawiono już termosy z kawą. Hansen, wyćwiczony przez swoją żonę, zaczął rozstawiać filiżanki.

– Ten klub piłkarski to w ogóle prawdziwy fenomen – dodał Hansen i starannie ułożył łyżeczki na spodkach. – Młodzi szanują opiekunów, a przy tym są naprawdę mocną drużyną. Raz podczas patrolu zagraliśmy z nimi mecz.

– Policjanci kontra złodzieje? – Wagner natychmiast się zorientował, że żart był nie na miejscu.

Hansen w istocie wyglądał na urażonego, jakby ktoś powiedział coś niedobrego o jego rodzinie, i Wagner tym bardziej pożałował swoich słów.

– Oni nie są złodziejami. Nie wszyscy – dorzucił. – Trzeba zrozumieć, że tkwią w potrzasku pomiędzy dwiema kulturami, a ich rodzice, niestety, często pogarszają sprawę, wychowując ich, jakby byli książętami. I kiedy potem ci chłopcy mają się odnaleźć w grupie rówieśników, w nawiązaniu relacji przeszkadza im przerośnięte ego i ambicja, której nie mają jak zaspokoić. Poza swoim środowiskiem czują się niechciani i niepotrzebni, więc rekompensują to sobie, wszczynając burdy i przekonując się nawzajem, że są tacy, jak im powtarzano w domu: absolutnie wyjątkowi, i wolno im robić, co tylko zechcą.

Wagner przez chwilę przetwarzał w myślach psychologiczny wykład Hansena. Następnie sięgnął po termos i w geście rozpaczony nalał sobie wrzątku, żeby zaparzyć herbatę.

– No dobrze. A wracając do Mustafy: dlaczego już nie przychodzi do klubu? – zapytał.

Hansen wzruszył ramionami.

– Mój kontakt na osiedlu twierdzi, że wpadł w złe towarzystwo i stał się religijny. Więcej nie chciał powiedzieć.

– Żadnych nazwisk?

Hansen pokręcił głową.

– Żadnych nazwisk.

Przez chwilę milczeli. Wagner przemógł swą niechęć, wyjął torebkę herbaty i zanurzył w wodzie. Ohydny czerwono-brązowy kolor wypełnił filiżankę, a jemu przypomniła się kałuża krwi, w której za schowkiem na rowery leżała Katka.

– Kto wygrał? – zapytał wreszcie.

– Co?

– Tamten mecz.

Hansen uśmiechnął się przepaszajaco.

– No, kurde, oni. Mustafa strzelił rozstrzygającego gola z rzutu wolnego. Nasz bramkarz był bez szans.

– A kto był waszym bramkarzem?

Hansen się zaczerwienił i dolał sobie kawy.

– Ja.

Powinien być na to przygotowany, a jednak nie był, kiedy później w swoim gabinecie odebrał telefon od Gormsena.

– Mam dla ciebie ten raport. Przyniósłbym go osobiście, ale jesteśmy zawałeni robotą. Dlatego wysyłam kuriera.

– Co w nim jest? – spytał Wagner.

Gormsen westchnął. Wagner próbował rozszyfrować ten dźwięk. Zwykły stres czy frustracja po sekcji Katki?

– Poza ciosem w serce, który był przyczyną zgonu, zadano jej jeszcze piętnaście innych ciosów. Pobraliśmy DNA spod paznokci. Dziewczyna broniła się jak mogła.

– Coś jeszcze? – spytał Wagner, bo w głosie Gormsena usłyszał, że to tylko wstęp.

– Była w ciąży – podsumował Gormsen ponuro. – W trzecim miesiącu.

Swietłana. Arizona. Swietłana. Arizona.

Słowa wirowały Dicte w głowie, kiedy następnego ranka jechała do redakcji. Nie walczyła z nimi. Przyznała sama przed sobą, że przynajmniej częściowo wypierają z jej myśli całą resztę, i poczuła pustkę. Odkąd Bo wrócił do domu, miała wrażenie, jakby rozmawiali nie ze sobą, lecz obok siebie. Jakby każde z nich skrywało jakąś tajemnicę, której to drugie za nic w świecie nie może poznać. To, co zaszło w gabinecie Jeppego Vra, było jak permanentny, pulsujący ból w klatce piersiowej i głowie. Na myśl o konfrontacji z Bo pociła się ze strachu. Czuła się jak najpodlejszy z ludzi, a jednocześnie musiała sobie odpowiedzieć na pytanie, czego właściwie chce. W głębi duszy wiedziała, że musi się spotkać z Jeppem przynajmniej raz, żeby zobaczyć jaśniej to, co się stało. Bała się tego, ale nie miała innego wyjścia.

Próbowała sobie wyobrazić życie bez Bo. Bez dreszczyku emocji, który wносił w jej świat wraz ze swym ciągłym niepokojem i nieobliczalnością. Byłoby bardziej uporządkowane – co do tego nie miała wątpliwości. Może zresztą znalazłaby sobie jakiegoś miłego kochanka albo, kto wie, może nawet chłopaka? Może...

Zaparkowała na podwórku za redakcją, wysiadła i głośno trzasnęła drzwiami samochodu, poprawiła torbę na ramieniu i ruszyła w stronę wejścia.

Na nic to gdybanie. Wciąż myślała tylko o nim, choć wcale tego nie chciała. Może jest już za stara, by zaczynać nowe, uporządkowane życie, w którym wszystko przebiega według ustalonego schematu, a pan domu wraca z pracy zawsze o tej samej godzinie?

Wyprostowała plecy i wciągnęła nosem poranne powietrze ostrzegające przed kolejnym upalnym dniem. Nad asfaltem pokrywającym plac już było widać nieznaczące drzenie, a słońce przypiekało skórę. Silnym pchnięciem otworzyła drzwi.

Owszem, cieszyła ją jego nieobliczalność, kiedy pojawiał się znikąd z trzema kartonami pizzy i dobrym humorem, i dzieciakami drepczącymi tuż za nim. Uwielbiała czuć zastrzyk adrenaliny, gdy ciągnął ją w mroczne zaułki będące

świadkami zbrodni albo gdy jadąc razem, wyłapywali w policyjnym radio temat na dobrą historię i z miejsca zawracali, porzucając swe wcześniejsze plany. I Bóg jej świadkiem, że lubiła nawet strach i nerwy, kiedy wyjeżdżał w któryś ze swoich ulubionych punktów zapalnych na globie, a tej ulgi, jaką czuła, gdy szczęśliwie wracał do domu, nie zamieniłaby na nic innego.

Podeszwy jej sandałów klaskały, gdy po starych schodach wchodziła na piętro, gdzie mieściła się redakcja. Niech to szlag, przecież ona naprawdę go chciała! Więc dlaczego to się stało tak cholernie skomplikowane?

Odkąd wrócił z Iraku, był milczący i zamknięty. Jakby ją obwiniął o to, że jest zdrowa, a on nie. I o to, że jej potrzebuje. A może stał się nieobecny również dlatego, że nie umie rozszyfrować, co takiego skrywa przed nim ona, podczas gdy on sam chowa głęboko swoje przeżycia z Iraku. Jeśli żadne nic z tym nie zrobi, będą tak tkwić oboje, każde strzegąc swojej tajemnicy. Jedno bardziej niespokojne i z większym poczuciem winy niż drugie.

Weszła na ostatni stopień i otworzyła drzwi. Już lepiej skupić się na pracy, pomyślała i odsunęła od siebie całą resztę.

– Gdzie w Århus można spotkać prostytutki narkomanki? – zapytała, kiedy wszyscy siedzieli spokojnie przy jak zwykle zabałaganionym stole.

Davidsen był akurat w nastroju na zdrowy tryb życia i ostentacyjnie położył przed sobą jabłko. Holger Søborg żuł gumę, a Cecilie wyjęła z torebki lusterko i zajęła się regulowaniem brwi. Larry Olsson siedział w kącie i przeglądał aktualne wydanie gazety, zaznaczając rozmaite miejsca na czerwono niczym surowa nauczycielka.

– W kwartale między Borgergade i Paradisgade – natychmiast odpowiedział Holger, a Cecilie posłała mu pytające spojrzenie.

– Skąd wiesz? – spytała, a w jej głosie zabrzmiała nuta świętego oburzenia.

Holger nie dał się sprowokować.

– Każdy to wie. One się nie ukrywają. Co wieczór stoją na chodniku i czekają na klientów.

Dicte spojrzała badawczo na Cecilie, a ta odwzajemniła jej wzrok. Przynajmniej co do tego były zgodne, że żadna z nich nie zwróciła uwagi, by w tamtej okolicy działało się coś szczególnego.

I przynajmniej ten jeden raz Davidsen i Holger mieli nad nimi przewagę.

– Kobiety – westchnął Davidsen, kręcąc głową, i ugryzł jabłko. – Myślę, że one po prostu nie widzą w ciemności.

– Bo one nie chodzą nocą po mieście. – Holger nie mógł się oprzeć generalizowaniu. – W każdym razie nie po północy.

– O, a ty chodzisz? – spytała Cecilie głosem ostrym jak brzytwa.

Tym pytaniem ucięła dalsze dywagacje Holgera, za co Dicte była jej wdzięczna.

– Okej. Ja w każdym razie zamierzam przejechać się tam dziś wieczorem i spróbuję się czegoś dowiedzieć o morderstwie przy Norsgade – oświadczyła. – Dziewczyna była narkomanką i prostytutką. Niektóre z pozostałych na pewno zauważyły jej zniknięcie i być może będą potrafiły podsunąć jakieś hipotezy, dlaczego ktoś ją zabił. Wcześniej zajrzę jeszcze raz do Hellet przy Thunøgade.

– Zabierasz ze sobą Bo? – spytał Davidsen.

Dicte nagle sobie uświadomiła, że myślała o nim wyłącznie jak o pacjencie. Teraz wyobraziła sobie czarno-białe zdjęcia prostitutek na tle gorączki nocy i samochody z przyciemnianymi szybami sunące wolno na pierwszym planie.

– Zależy, jak się będzie czuł.

Musiało to zabrzmieć, jakby ten pomysł jej się nie spodobał, bo Cecilie rzuciła:

– Przecież ma tylko włączać migawkę. Nikt mu nie każe pstrykać nogą.

Davidsen zaakceptował pomysł Dicte, ale tylko pod warunkiem, że artykuł zostanie zilustrowany świeżymi zdjęciami nocnego życia w Århus.

– Jeśli Bo nie będzie mógł, to wynajmij innego fotografa – podsumował.

Nie musieli wiedzieć, że niewykluczone, iż Katkę zabito dlatego, że wiedziała coś o kobiecie z portu i próbowała przekazać te informacje Dicte przez telefon o wpół do dwunastej w nocy. A w szczególności nie musieli wiedzieć, że dręczy ją poczucie winy w związku z jej śmiercią i przez całą noc nie umiała myśleć o niczym innym, i że mimo wszystko to, co się dzieje z Bo, zostało siłą rzeczy odsunięte na dalszy plan. Logika bowiem podpowiadała jej, że ktoś – nie wiadomo kto – nastawał na życie Katki i że pocztówka w jej torebce bynajmniej nie zapewniła jej ochrony.

Do końca narady siedziała więc tylko i się przysłuchiwała. Potem sprawdziła maila.

Cały dzień poświęciła na szukanie informacji i tworzenie artykułu o metodach pracy policji podczas wyjaśniania zabójstw i o tym, jak przeplatają się kompetencje

wydziału kryminalnego, laboratorium kryminalistycznego, instytutu medycyny sądowej i prokuratury. Szybko napisała też krótką notatkę o wyniku sekcji zwłok Katki i o tym, że ofiara była w trzecim miesiącu ciąży. Można oczywiście spekulować do woli, czy ma to jakikolwiek związek ze sprawą, ona w każdym razie stwierdziła jedynie fakt. O piątej kliknęła przycisk „wyślij” i przed wyjściem wypełniła jeszcze formularz zamówienia fotografa, by się z nią spotkał wieczorem na miejscu znalezienia zwłok przy Norsgade.

Potem pojechała na Bruunsgade. Oparła się pokusie, żeby wejść do nowo otwartego centrum handlowego Bruuns Galleri, i wstąpiła do jednego z małych sklepików na tej samej ulicy. W Emmery's kupiła chleb, a w delikatesach naprzeciwko szynkę serrano i kiełbasę chorizo, pyszny kozi ser i kawałek dojrzałego camemberta. Nie odmówiła sobie też małych czarnych oliwek i półsuszonych pomidorów – wzięła po dwie łyżki z każdego. Wisienką na torcie była inwestycja w drogie Côtes-du-Rhône w supermarkecie Føtex. Tak uzbrojona wróciła do swojego fiata, by obwodnicą ruszyć do domu i oczarować swego cudem ocalałego kulawego rycerza.

– A gdzie właściwie podziewa się Rose? – Bo przerwał milczenie, jakie zapadło między nimi wieczorem. – Od powrotu prawie jej nie widuję.

– Poszła do kina z koleżanką – odparła Dicte, przeżuwając oliwkę.

Spojrzała na zegarek. Dochodziła dziewiąta. Zaczęła sprzątać ze stołu. Bo wstał z trudem, wspierając się na jednej kuli.

– Zostaw, ja posprzątam – powiedziała, kiedy zobaczyła, jak balansując na jednej nodze, wynosi talerz do kuchni.

– Wiem, że dla ciebie to żaden problem – odparł ponuro – ale dla mnie owszem.

Jakimś sposobem zdołał opłukać talerze i włożyć do zmywarki. Dicte postanowiła się nie odzywać. Pomimo kulejącej współpracy udało im się w końcu posprzątać po kolacji, choć wiedziała, że sama zrobiłaby to szybciej.

Bo pokuśtykał do salonu i włączył telewizor, a ona nastawiła zmywarkę i ręcznie umyła kieliszki. Stała z rękoma po łokcie w mydlinach, kiedy zadzwoniła jej komórka leżąca na ławie i podłączona do ładowarki.

– Odbierzesz?

Usłyszała, jak Bo odebrał jej telefon i mruknął coś w odpowiedzi. Po chwili ze zgrozą ujrzała, jak jego twarz przesłaniają czarne chmury.

– To jakieś nieporozumienie – usłyszała jego głos.

Weszła do pokoju i chciała wyjąć mu aparat z dłoni, ale jej nie pozwolił. Słyszała, jak w słuchawce ktoś coś mówi.

– Wszystko jedno – powiedział Bo do aparatu. – Zlecenie zostało odwołane. Zrobiliśmy podwójne zamówienie. Przepraszam.

Chwilę potem odrzucił telefon na stół, jakby był odrażającym robakiem.

– Co to ma być, do cholery?

Patrzył na nią i czekał na odpowiedź. Wzrok miał urażony i wściekły zarazem.

– Lars Heine z Globusa chciał się dowiedzieć, czy dzisiejsze zlecenie jest do porannej gazety.

Bo zrobił pauzę. Zdążyła jeszcze pomyśleć, że powinna była mu powiedzieć. Ale przecież chciała poczekać na odpowiedni moment.

– Jakie zlecenie? Dlaczego nic nie powiedziałaś?

Skuliła się w sobie.

– Dopiero wróciłeś. Jesteś chory.

– „Jesteś chory” – powiedział cienkim głosem, przedrzeźniając ją. – Kiedy jest ta robota? I gdzie?

Opowiedziała mu o swoim planie. Przez chwilę siedział tylko i na nią patrzył. Chciała się wściec, ale zamiast złości ogarnęło ją poczucie winy i przypomniała sobie, do jakiego wniosku sama doszła, gdy tego dnia rano przyjechała do redakcji. Naprawdę go chciała. Z wszystkimi trudnościami, z wszystkimi huśtawkami, jakie jej fundował. Sięgnął po kulę i podniósł się z kanapy.

– Możemy chyba wziąć twoje auto – odezwał się.

Sama nie wiedziała, czego się spodziewała, ale kwartał Øgade był jak wymarły. Domyśliła się, że ludzie siedzieli w domach, na tarasach albo balkonach, lub podobnie jak połowa ludności Århus – w barach nad rzeką, które w letnie upały przeżywały obłączenie. Teren przy Norsgade, gdzie znaleziono ciało Katki, wciąż był odgradzony. Dicte ze wzrokiem wbitym w ziemię przeczesywała podwórko, licząc, że znajdzie jakiś ślad, który policja przeoczyła, lecz oczywiście bez powodzenia. Nie pojawił się nawet żaden z mieszkańców. Razem z Bo zadzwonili pod kilka numerów, lecz uzyskali tylko nic niewnoszące komentarze o tym, jakie to straszne, co się ostatnio dzieje w mieście, w dodatku w ich kwartale.

W centrum kryzysowym Hellet przy Thunøgade nikt nie otwierał. Na kartce na

drzwiach widniała informacja, że ośrodek będzie zamknięty przez dwa dni z powodu przebudowy.

– Przebudowa, jasne – mruknął Bo.

– Nie wierzysz w to?

– Myślę, że koledzy Wagnera zbombardowali to miejsce swoją skumulowaną uwagą po tym, co im opowiedziałaś, i ktoś w pośpiechu postanowił zamknąć ośrodek na kilka dni, dopóki sprawa choć trochę nie przycichnie.

Przez chwilę patrzyli z samochodu na zasłonięte okna budynku. Od strony Nørregade w ich kierunku szła młoda kobieta z torebką na ramieniu. Dicte wstrzymała oddech. Jej sylwetka pasowała do dziewczyny, z którą rozmawiała, kiedy była tu po raz ostatni. Tej, która czekała na Katkę. Gdy jednak Dicte podeszła bliżej, przekonała się, że to nie ona. Westchnęła głęboko.

– Spróbujmy na Borgergade i Paradisgade.

Bo głośno zagwizdał.

– No jasne. Jeśli nie ma ich tutaj, to pewnie są w pracy.

Uruchomiła silnik i kątem oka zauważyła, że samochód po drugiej stronie ulicy zrobił to samo. Wjechała do centrum, lecz i tu ulice były niemal puste. Jedyne przy sex shopie na Paradisgade kręciło się parę osób i oglądało oświetloną witrynę. Prawie nie było ruchu i ani jednego auta z przyciemnianymi szybami. Pojazd, który zauważyła wcześniej, sunął za nimi, lecz zachowywał odstęp. W lusterku wstecznym dokładnie widziała srebrne volvo kombi. Starszy rocznik. Kiedy przed sex shopem przyśpieszyła, tamten zrobił to samo.

Skreśliła w lewo w Nørregade i zrobiła kółko, jadąc w górę Guldsmedgade, dalej w Klostergade, a potem w górę Borgergade.

– Bingo – ogłosił Bo.

Podążyła za jego wzrokiem. Przed papierniczym stały dwie dziewczyny w krótkich spódniczkach i wysokich kozakach.

– Może to po prostu zwykłe dziewczyny – zauważyła.

– A może papież jest muzułmaninem – odparł Bo.

Zatrzymała samochód i Bo opuścił szybę. Jedna z dziewcząt podbiegła do niego i pochyliła się lekko nad samochodem, ale gdy za kierownicą dostrzegła Dicte, na jej twarzy odmalowało się jedynie rozczarowanie.

– Szukamy jednej z waszych koleżanek – powiedziała szybko Dicte. –

Przyjaciółki Katki. Tej, która została zamordowana przy Norsgade.

Dziewczyna pokręciła głową. Potargane, farbowane henną włosy zamachały przed jej twarzą i wystudiowanym gestem odrzuciła w tył głowę.

– Nie widziałam jej.

– Ale ją znasz? – spytała Dicte.

Dziewczyna na moment się zawahała.

– Czego od niej chcecie? Po co w ogóle się nas czepiacie? – Nadała się. – Chcemy tylko, żeby nas zostawić w spokoju.

– To ważne – Dicte nie odpuszczała – dla was wszystkich.

Dziewczyna pokręciła tylko głową.

– Kim wy jesteście? Glinami? Dziennikarzami? My tu tylko próbujemy zarabiać na życie, więc nic tu po was.

Odeszła kawałek i pokazała im środkowy palec. Dicte zamierzała wyłączyć silnik i wysiąść, ale Bo położył dłoń na jej ramieniu.

– To nic nie da. Nie możesz ich zmusić.

Kiedy wyjechała na Paradisgade i ruszyła w stronę domu, zdążyła całkiem zapomnieć o srebrnym volvie. Dopiero gdy mijali wieżę ciśnień przy Randersvej, ponownie dostrzegła je we wstecznym lusterku, ale nawet wtedy nie była pewna, czy to ten sam samochód.

Anne pchnęła drzwi do mieszkania swojej matki. Przez chwilę pomyślała, że jednak nie jest w stanie tego zrobić, więc aby zagłuszyć tęsknotę, szybko zajęła myśli kwestiami praktycznymi. Nie wolno jej się nad sobą uzalać. Musi działać skutecznie i po prostu zabrać się do roboty, zanim przyjdą dziewczyny. Ale kiedy w jej głowie zabrzmiały psalmy z pogrzebu, coś mimo wszystko kazało jej się zatrzymać. „Już spocząć idę, zmogły mnie znoje, znużone spadają powieki moje. Wejrzyj z miłością, mój Ojczy Boże, na nędzne dziecka Twojego łoża”.

Mama siedziała na brzegu jej łóżka i uczyła ją odmawiać ten fragment jako modlitwę przed snem. Ironia tego faktu niemal kazała jej się uśmiechnąć. To ojciec był pastorem, ale mama nauczyła ją składać ręce do modlitwy. Wciąż potrafiła przywołać obraz jej twarzy, tak jak widziała ją z perspektywy dziecka leżącego w łóżku. Twarz matki była wtedy okrągła, a policzki czerwone jak jabłka. Włosy ciemne i kręcone. Dołeczki w policzkach nie zniknęły jeszcze w pozostałych zagłębieniach twarzy, lecz malowały się wyraźnie na gładkiej skórze. Pamiętała oczy matki, nie tyle ich kolor czy młodzieńczy żar, ile ich wyraz. Wyraz nieskończonej, niewyczerpanej miłości.

Dzieciństwo przesunęło się jej przed oczami, a szloch ścisnął ją za gardło. Może to dobrze, pomyślała i ruszyła w stronę salonu. Może od czasu do czasu trzeba rzucić się w przepaść rozpacz, żeby poczuć, jak jest głęboka.

Pociągnęła sznurek od zasłony i wpuściła popołudniowe słońce. Promienie rozproszyły się na okrytej kretonem kanapie i skórzanym fotelu, w którym mama siadywała, aby oglądać telewizję, nogi kładąc na zydelku. Mahoniowa ława nabrała cieplejszego odcienia, a zegar w rogu połyskiwał czerwonozłotą głębią.

Anne usiadła na kanapie. Mimowolnie złożyła dłonie i poczuła, że ktoś – albo coś – przeszkadza jej skoczyć w czarną otchłań.

Bo przecież była też miłość, i ona była nieskończona, i sięgała następnego życia, i kolejnego. Była jak zakwas chlebowy, który z każdym pieczeniem się odnawia i staje mocniejszy. Tak właśnie jest, pomyślała, choć wiedziała, że to szalone porównanie. Z drugiej strony może to właśnie sens życia – w każdym razie życia

prostego i zwyczajnego, jak życie jej i jej matki. Jesteśmy nośnikami miłości, pomyślała, dokładnie tak jak genetycznie przekazujemy dalej jasne włosy albo niebieskie oczy. Ja przekazuję dalej miłość mojej matki, mimo że nie ona mnie urodziła. Przekazuję ją Jacobowi, który z kolei przekaże ją swoim dzieciom. Tak powinno być.

A jednak poczuła ukłucie zwątpienia i zdjęła ją obawa, że miłość również może się roztrzaskać, a w każdym razie mogą się na niej pojawić rysy i pęknięcia. Bo co właściwie zaszło między jej rodzicami wtedy, przed laty? Jak daleko się posunęli, aby spełnić swoje największe marzenie?

Ojciec nie potrafił jej pokochać. „Nie jesteś z mojej krwi i kości”, powiedział kiedyś. Nikt nie potrafił jej ranić tak jak on. Ale z czego wobec tego była? I czyja?

Ktoś zadzwonił do drzwi. Z ulgą podeszła, żeby otworzyć. Dicte i Ida Marie wręczyły jej torby z piekarni.

– Zapomniałyśmy się umówić, kto kupi ciastka – wyjaśniła Dicte i ją uściśnęła.

– Więc masz do wyboru tunezyjskie kruche ciasteczka albo muffiny z Linda’s Cookies – dodała Ida Marie.

– Albo i to, i to – dorzuciła Dicte i po raz pierwszy spojrzała na Anne badawczo.

– Co się stało? Ty płaczesz.

Nie umiała odpowiedzieć, więc tylko otarła łzy i ręką pokazała im, żeby weszły do salonu.

– To nic takiego. To tylko przez to, że przyszłyście.

Przez moment stały, patrząc na siebie. Wydawało się, że sens tych słów wolno docierał do każdej z nich i Anne poczuła, jak śmiech powoli wypycha gulę w gardle.

– Wobec tego dzięki za miłe powitanie. – Dicte skinęła głową w stronę kuchni. – Może zrobię kawy, żebyśmy miały czym to popić?

I choć kawa i ciastka miały być na koniec, ostatecznie wypily ją i zjadły słodkości, zanim zabrały się do pracy. Obie od razu zgodziły się jej pomóc, nawet z tak krótkim wyprzedzeniem. Dicte z radością zrobiła sobie pół dnia wolnego zarówno od Bo, jak i brutalnych zbrodni, a Ida Marie znalazła zastępstwo do swojego biura podróży.

– Dzięki, że chciało wam się przyjechać – powiedziała Anne, gdy zaczęły wnosić filizanki do mycia. – Nie wiem, od czego zacząć.

Ale one już porozkładały kartony i przygotowały czarne worki, i zanim się obejrzała, zaczęły sortować rzeczy, zapełniać kartony książkami, a królewską porcelanę owijać ostrożnie w długie kawałki papierowych ręczników, które również za sobą przyniosły.

– Ty tylko dyryguj – powiedziała Ida Marie. – Bądź dowódcą, który ogarnia całość.

Nie wiedziała, jak kiedykolwiek zdoła im się odwdziżyć, bo to wszystko było takie trudne, a one tak bardzo jej to ułatwiły. Uznała, że proszenie o pomoc Andersa nie będzie najlepszym pomysłem. Jemu wprawdzie łatwo byłoby znaleźć czas, ale nie był typem człowieka, który potrafi zachować pogodę ducha w sytuacji żałoby.

Anne przyglądała się przyjaciółkom: Dicte pakującej z zapałem i Idzie Marie ze zmarszczką zatroskania na gładkim czole. Chciałaby im pomóc, skoro one pomagały jej, ale w tej chwili nie miała siły.

– A jak poszło spotkanie w biurze adopcyjnym?

To pytanie zadała Ida Marie. Dicte dzwoniła już wcześniej i wiedziała wszystko o Beate Gau i jej teorii o tym, że Anne wcale nie jest z Korei.

Kiedy Anne powtórzyła wszystko Idzie Marie, ta zamilkła.

– Grenlandia? Ale czemu akurat tam? – zapytała po chwili.

Anne wzruszyła ramionami.

– To był chyba tylko przykład. Może chciała mi zwrócić uwagę, że istnieje wiele możliwości.

Gdy to powiedziała, jej świat ponownie zawirował. Kiedy opowiadała o spotkaniu Andersowi, starała się mu wytłumaczyć, jak to jest nie wiedzieć, z jakiego miejsca na świecie się pochodzi.

– To jakby niewidzialna ręka trzymała mnie nad ogromnym globusem. Wiem, że w którymś momencie mnie wypuści, ale nie wiem, gdzie spadnę.

Powiedziała to, kiedy wieczorem leżeli w łóżku.

– Nie mam pojęcia, co we mnie jest, co jest typowe dla mojego ludu, jaka jest jego kultura, jakie są tradycje. Może nawet wyznaję własną religię? Nie zawsze wiem, dlaczego reaguję tak, a nie inaczej. Dlaczego nie mogę pić za dużo alkoholu, dlaczego nie lubię wieprzowiny.

– Może jesteś muzulmanką – powiedział poważnym tonem, ale podszytym

humorem, co rzadko mu się zdarzało. Wcześniej tego wieczora miał koncert i wydawał się wciąż podekscytowany, pewnie po prostu muzyką. – Może się urodziłaś w jakiejś górskiej wiosce w Jemenie i któregoś dnia zjawi się tu twój ojciec i zażąda zwrotu swojej córki, oferując mi czterdzieści pięć wielbłądów rekompensaty.

Walnęła go łokciem.

– Być może to jest również wyjaśnienie twojego lęku przed wodą – dodał. – Może twoja rodzina nigdy nie widziała morza, bo trzeba było do niego jechać piętnaście dni wozem zaprzęgniętym w woły.

– Chyba na grzbiecie wielbłąda – zauważyła, ale mimo wszystko przytuliła się do niego, szukając tego kruchej poczucia bezpieczeństwa, które był w stanie jej dać.

Odpowiedział na jej gest i zaczął ją całować delikatnie, lecz namiętnie. Pomiędzy pocałunkami dorzucił:

– Czasem się zastanawiam, dlaczego nie lubię smażonej wątróbki i Jacob też jej nie lubi.

– I czego to miałyby być oznaką? – spytała, gdy jego dłonie jak aksamit przesunęły się po całym jej ciele i dotarły do gumki majtek.

– Najwyraźniej jestem księciem podmienionym w niemowlęctwie – szepnął i przytulił twarz do jej brzucha. – I pewnie dlatego też nie jem schabowego ani ostryg, ani homarów, ani...

Zamknęła oczy i przeniosła się do odległej galaktyki, gdy jego ostatnie słowo przepadło gdzieś pomiędzy mięsistym pożądaniem a owocami morza.

Pracowały, aż zaczęło im burczeć w brzuchach z głodu. Wtedy zjadły jeszcze trochę ciastek, zawieszając tymczasowo wszelkie postanowienia o zdrowej diecie.

– A co z tym? – Dicte skinęła głową w stronę sekretarzyka. – Opróżniłaś już szuflady?

Anne pokręciła głową. Odwlekała to. Wciąż leżały tam stosy papierów, które powinna przejrzeć, i choć była ciekawa, to coś mimo wszystko ją powstrzymywało. A może chodziło tylko o to nieprzyjemne wrażenie, że grzebie w prywatnych dokumentach swojej matki?

– Przecież trzeba coś z tym zrobić – zauważyła Ida Marie. – Może zajmiesz się tym, kiedy będziemy pakować ubrania? Możemy po prostu spakować wszystko,

a ty sama sobie posegregujesz, kiedy będziesz chciała.

Anne spojrzała na sekretarzyk. Mebel przyciągał ją i odrzucał jednocześnie. Ida Marie miała rację, jej słowa brzmiały bardzo rozsądnie, a poza tym, jeśli ma wpaść w panikę, to lepiej teraz, kiedy nie jest sama.

– Okej. Tak zrobimy – powiedziała wreszcie.

Posprzątały ze stołu i zabrały się do pracy. Gdy jej przyjaciółki poszły do sypialni i zaczęły pakować ubrania do worków, Anne usiadła na podłodze przed sekretarzykiem i wysuwała szuflady jedną po drugiej, po czym dokumenty wrzucała do reklamówki. Niektóre z nich miały wartość czysto sentymentalną – jakiś list albo kartka, którą sama wysłała do mamy z zagranicy. Stare świadectwo z liceum. Zdjęcia we wszystkich odcieniach wykonane przy wszelkich możliwych okazjach, zarówno luzem, jak i w albumach. To było jak podróż w czasie. Anne nie wiedziała nawet, która jest godzina ani jak długo już tak siedzi, gdy trafiła na małą teczkę z wycinkami z gazet. „Z Danii na Grenlandię” brzmiał nagłówek, a pod nim zobaczyła zdjęcie rodziców. Strona z „Århus Stiftstidende” nosiła datę szóstego września 1960 roku. Z tekstu dowiedziała się, że państwa Skov Larsen czeka ekscytujący rok, wkrótce wyruszają bowiem na Grenlandię, gdzie Erik Skov Larsen będzie pracował jako pastor w kościele w Fredrikshåb.

Gdy przeczytała całość, upuściła teczkę na podłogę i długo była w stanie tylko patrzeć w pustkę przed sobą. Dopiero potem się zorientowała, że jej ręce samoczynnie złożyły się do modlitwy. Była to jednak modlitwa milcząca, niewypowiedziana, bo sama nie wiedziała, o co powinna się pomodlić.

– Co się dzieje?

Gdy wróciła ze spaceru z psem, Bo przyglądał jej się uważnie. Dicte bardziej czuła, niż widziała, że przeświała ją wzrokiem i wyciąga milczące wnioski.

– No co, do cholery? To już nie wolno mi nawet na ciebie patrzeć? – oburzył się, siedząc w fotelu z nogą opartą na taborecie.

Czyżby się pomyliła? Może w jego głowie dzieje się coś zupełnie innego, niż się spodziewała? Odwiesiła smycz na hak i weszła za psem do środka.

– Wydaje mi się po prostu, że mi się przyglądasz – powiedziała, choć doskonale wiedziała, że nie powinna.

Bo uśmiechnął się życzliwie.

– A czemu nie miałbym ci się przyglądać?

– Doskonale wiesz, o co mi chodzi.

– Myślę, że wpadłaś w lekką paranoję przez tę pocztówkę – odparł. – Nie ma sensu tyle o tym myśleć.

Unikając jego wzroku, poszła do kuchni i odkręciła kurek. Zaczekała, aż woda będzie naprawdę zimna, po czym wróciła do salonu z pełną szklanką i piła łąpczywie po długiej wędrówce po mokradłach.

– Z czego wnosisz, że o tym myślę?

Bo pochylił się, a na twarz przywołał wyraz cierpliwości, taki jak ten, gdy pomagał w lekcjach Tobiasowi i Nince.

– Oni oczywiście musieli ją widzieć. Sprawcy. Musieli przeszukać rzeczy Katki i zobaczyć, że była z tobą w kontakcie.

– Rzecz w tym, że nie była.

Bo ponownie odchylił się do tyłu i spojrzał na nią, jakby jego cierpliwość była na wyczerpaniu.

– Przecież oni nie mogą mieć co do tego całkowitej pewności. Katka musiała wiedzieć coś, co oni pragnęli ukryć, więc nie chcieli, by przekazała to komukolwiek.

Dicte usiadła. Pies podbiegł, więc odruchowo zaczęła go drapać za uszami, a w

tyle czaszki pulsował ból głowy. Większą część środy spędziła w mieszkaniu matki Anne, a okazja nie należała do najweselszych. Dziś z kolei, w czwartek, bez powodzenia próbowała odnaleźć związek pomiędzy kobietą z portu a Katką. Wydzwaniała do Wagnera i równie bezskutecznie próbowała wyciągnąć z niego jakiegokolwiek informacje. Ogólnie dzień kompletnie do bani. I jak na razie powrót do domu nie sprawił, by stał się choć trochę lepszy.

– Chcesz powiedzieć, że powinnam się zacząć obawiać, że ktoś mnie obserwuje? Znowu?

Bo rozłożył wyciągnięte w górę ręce.

– Okej, najwyraźniej się pomyliłem. Sądziłem, że właśnie to cię trapi.

Wstał i przytrzymując się parapetu, pokuśtykał do kuchni.

– Chcę tylko powiedzieć, że powinnaś być ostrożna – powiedział z głową w lodówce. – Ale najwyraźniej masz mnóstwo innych spraw na głowie. Cóż ja mogę o tym wiedzieć? Przecież o niczym mi nie mówisz.

Ze szklanką mleka w ręce z powrotem pokuśtykał do salonu. Dicte biła się z myślami. On coś podejrzewa, nie ma wątpliwości. Znała ten jego cholerny szósty zmysł i przeklinała go z wszystkich sił.

– Jasne, że martwi mnie, co zamierzają zrobić sprawcy. Ale to fakt, mam też inne sprawy na głowie.

– Jakie mianowicie? – spytał i przytrzymał jej spojrzenie. – Co takiego ukrywasz?

Nie odwróciła wzroku, choć wiedziała, że widać w nim bunt. Gdzieś jednak w głębi serca zabrzmiał cichy alarm ostrzegający, że on ma rację. Tak bardzo się przejęła tamtą sprawą z Jeppem Vrå i tym, że wszystko może wyjść na jaw, że nie dość poważnie traktowała to, co się działo poza tym. Gdzie się podział jej zdrowy rozsądek? Czy ratowanie własnego życia nie powinno być ważniejsze od wyrzutów sumienia z powodu jednego głupiego potknięcia?

Wiedziała, że nie tak powinna zareagować, ale zdecydowała się na najprostsze wyjście i odbiła piłkę na jego połowę.

– Pomyśleć, że akurat ty mówisz o ukrywaniu czegokolwiek. Kiedy zamierzasz mi opowiedzieć, co dokładnie stało się w Iraku i jak zginął Jens Peter?

Widziała, jak jego twarz w jednej chwili dosłownie traci kolor i staje się niemal tak biała jak mleko, które teraz odstawił na ławę.

– Co to ma do rzeczy?

Dicte stąpała po cienkim lodzie, ale nie potrafiła się zatrzymać.

– Twierdzisz, że coś ukrywam. Nie możesz jednak oczekiwać, że wszystko ci opowiem, skoro sam nie chcesz otworzyć się choć odrobinę.

Bo przewiercał ją wzrokiem. Jego twarz była nieprzenikniona.

– Zabrzmiało to tak, jakby to był jakiś konkurs – powiedział w końcu. – Te dwie sprawy nie mają ze sobą najmniejszego związku.

– Jakie dwie sprawy? – odważyła się zapytać.

– To, co się stało w Iraku, z tym, co ty robiłaś tu w międzyczasie – niemal wykrzyczał.

Svensden, który był wyczulony na wybuchy gniewu, podkulił ogon i skrył się za kanapą.

– Uspokój się. Przestraszyłeś psa – powiedziała cicho, a wewnątrz cała się trzęsła.

– Okej – zgodził się i dodał ostrzegawczym szeptem: – Może zawrzemy umowę. Ja ci opowiem, co się stało w Iraku, a ty mi opowiesz, co ci leży na wątrobie. Wtedy będziemy mogli w końcu skupić się na tym, co istotne, a mianowicie na tym bagnie, w którym utknęliśmy przez tę przeklętą pocztówkę.

Dicte pokręciła głową.

– Nie rozumiem, dlaczego twoim zdaniem to przez tę kartkę zostaliśmy wciągnięci w cokolwiek. Do ciężkiej cholery, to żadna tajemnica, że zajmuję się tą sprawą. Moje nazwisko i adres mailowy pojawiają się w gazecie codziennie.

Bo wyrzucił w górę dłonie w geście bezradności.

– To nie to samo i doskonale o tym wiesz, tylko nie chcesz ruszyć głową. Sprawcy myślą, że posiadasz informacje o tym, jak tamta kobieta znalazła się w porcie z rozciętym podbrzuszem. Naprawdę sądzisz, że będą siedzieć i czekać, aż napiszesz o tym w gazecie?

To nie może być prawda. Nie będzie znowu drzeć o własne życie, bo jakiś szalenciec depta jej po piętach. Zwyczajnie nie jest w stanie przechodzić przez to raz jeszcze. Spojrzała na zegarek. Było za dziesięć szósta. O szóstej obiecała odebrać Rose z basenu w Hinnerup.

– Muszę lecieć.

Bo najwyraźniej odpuścił. Wiedziała, że nie na długo, ale lepsze to niż nic.

– Będziemy za pół godziny – dodała. A stojąc w drzwiach, odwróciła się i rzuciła: – Jeśli nie, możesz zgłosić nasze zaginięcie.

Zignorował jej sarkazm i ze szczerą troską w głosie zawołał za nią:

– Nie zapomnij komórki.

Żeby go udobruchać, sprawdziła w torebce, czy ją ma, po czym pomachała mu na do widzenia. Kiedy w końcu usiadła w samochodzie, poczuła ulgę. Wiedziała jednak, że na dłuższą metę tak być nie może. Prędzej czy później dojdzie do konfrontacji.

I jak tyle razy w ostatnich dniach, w myślach znów przeniosła się na czerwoną kanapę w gabinecie Jeppego i na samo wspomnienie tego, co zrobiła, oblała się potem.

– Niech to szlag!

Wycofała za szybko, aż podniosła się chmura zwiru. Przez całą drogę do Hinnerup czuła na karku spojrzenie Bo i miała wrażenie, że on czyta w jej myślach. Dobry Boże, naprawdę musi wziąć się w garść.

Dopiero kiedy dotarła do hali sportowej, zwróciła uwagę na srebrne volvo kombi, które w tym samym momencie wjechało na parking i zatrzymało się na najbardziej oddalonym od niej miejscu. Coś się poruszyło w jednym z zakamarków jej umysłu, ale odsunęła to od siebie, kiedy Rose wsiadła od strony pasażera z plecakiem i sportową torbą.

– Cześć, mamó.

Dicte dostała jeden z nieczęstych ostatnio buziaków w policzek i poczuła zapach chloru, mydła i drogiego balsamu do ciała, który rozpoznała jako swój własny.

– Jak poszło?

Rose pokiwała głową.

– Przepłynęliśmy tysiąc metrów.

– Wy to znaczy?

– Ja i dwie dziewczyny z równoległej klasy: Lea i Mette. Mieszkają tu, w Hinnerup.

Licealne znajomości Rose stały się tak rozległe, że Dicte zdecydowała się nie pytać dalej. Wycofała samochód i ruszyła w stronę Hinnerupvej. Teraz zobaczyła również, że volvo także odjeżdżało z odległego krańca parkingu. Przez jakiś czas obserwowała samochód w lusterku wstecznym i ponownie ją to zaciekało, ale

wtedy przypomniała sobie, że Bo pytał ją o chłopaka Rose.

– A co słyhać u Aziza?

Zerknęła ukradkiem na córkę, której twarz stężała, i wiedziała już, że może pytać w nieskończoność, a i tak nie dostanie zadowalającej odpowiedzi.

– Ma mnóstwo pracy.

Jej córka obierała dokładnie tę samą strategię co jej matka, kiedy Bo pytał, co ją trapi.

– Ale chyba jeszcze nie zaczął szkoły? Początek roku jest dopiero pierwszego.

Rose włączyła radio. W wiadomościach mówili o walkach w Iraku i o tym, że Iran może być w trakcie opracowywania bomby atomowej. Jeśli się w to wsłuchać, można by pomyśleć, że świat pogrąża się w wojnie religijnej o wymiarze apokalipsy. Może zresztą tak rzeczywiście jest, tyle że w tej chwili wydawało się to wszystko bardzo odległe.

– Znalazł pracę – mruknęła Rose pod nosem.

Dicte wrzuciła kierunkowskaz i wjechała w Hinnerupvej. Srebrne volvo jechało za nią. W myślach przekonywała się, że nie ma w tym nic dziwnego. Ktoś najwyraźniej również odbierał kogoś z basenu.

– W szpitalu? – Studenci medycyny często znajdowali tam dorywcze zajęcia.

Rose jednak pokręciła tylko głową i nic więcej nie powiedziała. Dicte przyśpieszyła do setki, choć ograniczenie było do osiemdziesiątki. Volvo zrobiło to samo. Przez moment zastanawiała się, czy powiedzieć o tym Rose, ale co by to dało. W torebce miała też telefon. Mogłaby poprosić córkę, żeby zadzwoniła do Bo.

Ostatecznie pokręciła głową, zawstydzona samą sobą. Uspokój się. Nie ma żadnego zagrożenia. Bo nastraszył ją ponurymi wizjami, a kiedy wróca do domu, będzie musiała zdać mu relację z tego, co się stało. Nie ma bowiem co liczyć na to, że zapomni o swojej własnej propozycji wymiany historii za historię.

Dojechała do zjazdu do Kasted, a volvo wciąż siedziało jej na ogonie. Dopiero w ostatniej chwili wrzuciła kierunkowskaz i wyhamowała gwałtownie, aż Rose poczuła szarpnięcie pasa.

– Co ty wyprawiasz?!

Lecz Dicte nie miała czasu odpowiedzieć, bo volvo przyśpieszyło i obie poczuły szarpnięcie, gdy stuknęło w tył jej fiata. Rose zaczęła krzyczeć. Dicte próbowała

skupić się na prowadzeniu, ale kierownica jakby przestała jej słuchać. We wstecznym lusterku zobaczyła wewnątrz śledzącego je samochodu. Z przodu siedziało dwóch mężczyzn. Obaj mieli wełniane czapki nasunięte aż na brwi. Mimo wszystko próbowała dostrzec ich twarze.

– Przestań! – krzyczała Rose. – Zatrzymaj się!

– Nie mogę. Trzymaj się.

Przed sobą jak na filmie zobaczyła przejazd kolejowy niedaleko Nowego Młyna, obok którego płynęła rzeka. Volvo nie odpuszczało. Dicte próbowała wyhamować, ale tamten bezlitośnie spychał ją coraz bliżej rzeki. Instynktownie chciała zamknąć oczy i zasłonić twarz, lecz palce wciąż kurczowo trzymały się kierownicy, gdy samochód wypadł z jezdni i z głośnym trzaskiem uderzył w nabrzeże, aż cała karoseria się zatrzęsała.

Nie była w stanie powiedzieć, czy straciła przytomność tylko na chwilę, czy na dłużej. Kiedy ponownie otworzyła oczy i potrafiła w miarę jasno myśleć, wyciągnęła rękę i dotknęła Rose.

– Jesteś cała?

Rose trzęsa się i szczękała zębami, ale odpowiedziała wystarczająco wyraźnie:

– Chyba tak.

Dicte sięgnęła do tyłu po swoją torebkę, wypatrując jednocześnie szarego volva, które teraz zniknęło. Drżącą ręką znalazła komórkę i zadzwoniła do Bo.

– Tak się to robi. Bułka z masłem.

Metin powoli wyjął płytę z pudełka i wsunął ją do odtwarzacza, prowadząc volvo w stronę Skejby. Z głośników popłynęło wściekłe rapowanie Eminema. Aziz czuł bas, który rozchodził się z podłogi samochodu i dodatkowo podkreślał jego wewnętrzne rozedrganie po tym, co właśnie się stało. Nie był w stanie tego pojąć. Nie był w stanie również nic powiedzieć, ale coś powiedzieć musiał, dlatego pod osłoną muzyki odchrząknął i poruszał językiem w ustach, żeby wyprodukować trochę śliny.

– No. Git – wydusił z siebie i liczył, że satysfakcja Metina z dobrze wypełnionego zadania nie pozwoli mu usłyszeć drzenia w głosie kolegi. – A kto właściwie był w tym samochodzie?

Metin wzruszył ramionami.

– Jakaś dziennikarka, która trochę za głęboko wetknęła swój nos, jak mi się zdaje. A ta druga to chyba jej córka.

Zerknął szybko na Aziza, a potem wbił wzrok w jezdnię przed nimi.

– Nie znam jej. W każdym razie nie osobiście. Ale ma niezły tyłek, nie? – Zaśmiał się i dorzucił: – W sensie córka. Chociaż matka też nie najgorsza.

Aziz patrzył przed siebie i głową wybijał rytm, jakby ta cholerna muzyka niesamowicie go porywała. Jednocześnie czuł, jak pod koszulką płyną mu strużki potu. Rose i jej matka. Dowiedział się, kiedy było już za późno. Ale czy postąpiłby inaczej, gdyby wiedział wcześniej? Jak daleko jest w stanie się posunąć dla tej sprawy?

Obiecali mu na czarno trzysta koron za godzinę. Więc z taką stawką oczywiście musi się wiązać pewne ryzyko.

– Jak widzisz, musisz się znać po trosze na wszystkim – Metin zza kierownicy tłumaczył Azizowi jak początkującemu roznosicielowi pizzy. – Na ogół chodzi tylko o to, żeby odbierać i dostarczać. Czasem ludzi, ale na ogół towary. I do tego czasem trzeba komuś dać coś w rodzaju ostrzeżenia. Pojedziemy teraz do gościa w Løgten i odbierzemy trochę jedzenia.

– Jedzenia? Po co?

Spojrzenie, jakie posłał mu Metin, ostrzegało, że zadaje za dużo pytań.

– Żeby jeść – uciął.

Choć w głowie Aziza aż gotowało się od pytań, nie rozmawiali zbyt wiele po drodze. Aziz zdawał sobie sprawę, że musi być ostrożny i nie dać koledze powodów do podejrzeń. Mimo to niepokój ogarniał go coraz bardziej i miał wrażenie, że lada chwila się udusi. Jeszcze niżej spuścił szybę w oknie i łapczywie łykał chłodne powietrze. W głowie kłębiły mu się myśli o Rose i jej matce jadących w tamtym samochodzie. Wiedział, że wyszły ze stłuczki cało. Jezdnia nie wznosiła się wysoko ponad rzekę, góra półtora metra. I jechały wolno, może dwadzieścia, trzydzieści na godzinę. To było tylko ostrzeżenie, jak to określił Metin. Aziz nie wiedział dokładnie przed czym, a Rose oczywiście znalazła się w tym samochodzie przypadkiem. Ale jej matka napisała sporo artykułów o kobiecie znalezionej w porcie, więc Aziz domyślił się, że to musiało mieć z tą sprawą coś wspólnego. W sumie teraz zdawało się, że wszystko ma z nią coś wspólnego: to, że wezwali go na policję, żeby złożył wyjaśnienia, że zielona simca stała na parkingu warsztatu w Sabro, Metin i Mustafa, a teraz również matka Rose. Aziz odnosił wrażenie, jakby w chwili, gdy znaleziono ciało przy Showboat, on sam wpadł w oko cyklonu. Po raz kolejny przeklął tamten wieczór i noc. Gdyby tylko nie skusili się z Rose na tanie wejściówki do dyskoteki. Gdyby zamiast tego poszli do normalnego klubu albo spokojnej kawiarni...

Z kieszeni wyłowił paczkę papierosów i podsunął ją Metinowi. Ten zapalił, zaciągnął się łapczywie i wypuścił dym, przejeżdżając przez skrzyżowanie przy Randersvej.

Aziz też się zaciągnął i przed oczami znowu stanął mu fiat uno spadający do rzeki. Wyobraził sobie twarz Rose wykrzywioną przerażeniem i poczuł wstyd. Wyrządził jej krzywdę, a to było ostatnim, czego chciał. Naprawdę ją kochał. Jak ma jej teraz spojrzeć w oczy?

Strzepnął popiół przez otwarte okno. Czy mogły go zauważyć? Najprawdopodobniej nie, pocieszał się. A jeśli nawet, to pewnie wydał im się podobny do każdego chłopaka z osiedla. Naprawdę się ucieszył, że mieli na głowach te cholerne czapki, mimo że w tym upale to koszmar.

W Løgten spotkali się z jakimś Azjata, który mieszkał w małym bliźniaku, i od

niego przenieśli do samochodu mnóstwo brązowych kartonów.

– Ryżu nam nie zabraknie przez dwadzieścia pięć lat – zażartował Metin i zapłacił mężczyźnie gotówką. – Ci goście z Wietnamu i Korei są naprawdę w porządku. Zawsze znajdą jakiś sposób, żeby zrobić interes na boku.

Aziz nie musiał pytać na boku czego. Wiedział doskonale, że chodziło o transakcje, które odbywały się w tajemnicy przed władzami, a tym samym nie były opodatkowane. Ale ryż? Czemu, u licha, mieli przewozić tyle ryżu?

– Ktoś chyba jest bardzo głodny – próbował podpuścić Metina.

– Na to wygląda – potwierdził tylko Metin i ponownie usiadł za kierownicą.

Zadzwoiła mu komórka. Odjeżdżając z podjazdu, wyjął ją z pokrowca przy pasku. Aziz ponownie zerknął ukradkiem na smycz na jego szyi. Na kółku wisiało sporo kluczy. Dwa wydawały się trochę starodawne, jakby były do jakiejś dużej bramy albo czegoś podobnego.

Metin rozmawiał po turecku, ale po tylu latach w Gjellerup Aziz znał język na tyle, by rozpoznać pojedyncze słowa. Wujek Metina przekazywał mu jakieś instrukcje – tyle Aziz był w stanie wyłapać. Trudno było natomiast ocenić, czy wujek również otrzymał jakieś instrukcje. Tak czy inaczej, mieli odebrać jakąś „mąkę” spod adresu gdzieś w centrum. „Ten przy Munkegade?”, spytał Metin, ale okazało się, że nie. Pomiedzy kolejnymi machami papierosa z ust Metina padały wyrażenia typu „już nie takie pewne” oraz „nowy adres”.

Zawrócili w stronę centrum i na Stjernepladsen zjechali w lewo. Kawalek dalej znów skręcili. Aziz przeczytał nazwę ulicy: Marius Simonsensvej. Nie znał tej okolicy. Zatrzymali się pod numerem trzydziestym piątym. Metin zostawił włączony silnik i wyskoczył z wozu.

– Zaraz wracam – rzucił przez ramię i zniknął.

Aziz zastanawiał się, czy zdąży otworzyć któreś z pudełek z ryżem i sprawdzić, co w nich jest. Lecz nim się zdecydował, Metin był z powrotem. W ręce trzymał małą foliową torebkę. Aziz dostrzegł w niej zarys dwóch pakunków.

Wrócili do Sabro przy akompaniamencie dudniącego basu. Aż do warsztatu żaden z nich się nie odezwał.

– Nie trzeba tych rzeczy gdzieś dostarczyć? – Aziz przerwał milczenie.

Metin pokręcił głową.

– Nie teraz. Póki co trzymamy to u nas w magazynie, aż dostaniemy nowe

polecenia.

– I nie wiesz, kto je nam wydaje?

Metin odwrócił do Aziza twarz, jakby był nakręcaną lalką. W jego oczach nagle pojawił się wrogi błysk.

– Ja o nic nie pytam. I lepiej, żebyś ty też się tego nauczył.

Aziz nic więcej nie powiedział. Zaczekał tylko, aż wujek Metina wciśnie mu do ręki dziewięćset koron, które zarobił. Lecz idąc na autobus z powrotem do miasta, myślami wrócił do małej torebki, którą odebrali przy Marius Simonsensvej. Jeśli to naprawdę była mąka, to bardzo dobrego gatunku. W przeciwnym razie nikomu nie opłacałoby się dać dwóm kierowcom po trzysta koron za godzinę, żeby ją przywieźli.

– I naprawdę nic nie widziałaś? Żadnych twarzy? – Bo się nie poddawał.

Dicte próbowała sobie przypomnieć i miała wrażenie, że coś rzeczywiście jej majaczy na krańcach świadomości. Nie była jednak w stanie wyostrzyć tego obrazu, zwłaszcza przy pulsującym bólu głowy, który blokował każdą myśl i każde wspomnienie. Zrezygnowana potrząsnęła więc tylko głową.

– Daj spokój.

Bo wyciągnął rękę i ujął jej dłoń. Siedzieli obok siebie na kanapie. Z kuchni dochodził apetyczny aromat pizzy, którą kupili, wracając z ostrego dyżuru, i teraz podgrzewali w piekarniku.

– Nic jej nie jest. Ten kołnierz to tylko tak na wszelki wypadek.

– Objawy urazu odcinka szyjnego nie ujawniają się tak szybko – zauważyła.

– Nie ma urazu kręgosłupa. Nic jej nie jest.

Gdy dotarły na izbę przyjęć, Rose skarżyła się na ból karku i głowy. Zrobili jej prześwietlenie, ale ono niczego nie wykazało, i lekarz stwierdził, że ból wkrótce minie. Dicte jednak jego słowa nie wystarczały. Chciała mieć pewność, a tej nikt nie był w stanie jej dać. Nawet Bo.

Po raz Bóg wie który w ciągu ostatnich kilku godzin wyrzucała sobie, że do tego dopuściła. To jej wina. Powinna była trzymać się swojej pracy i uczciwie raportować o nowych faktach. Zostawiając pocztówkę na tablicy w Hellet, wyszła z roli dziennikarki i osobiście zaangażowała się w sprawę. I nie był to pierwszy raz. Najwyraźniej doświadczenie niczego jej nie nauczyło.

Wstała, żeby sprawdzić, jak się ma pizza w piekarniku.

Bo ostrzegął ją zaledwie parę godzin temu. Nie potraktowała jego słów serio i naraziła siebie oraz Rose na niebezpieczeństwo. Kiedy zadzwoniła do niego z roztrzaskanego samochodu, w jego głosie usłyszała zarówno ulgę, jak i złość. Przyjechał po nie taksówką z całym wachlarzem emocji wymalowanym na twarzy i zawiózł je od razu na ostry dyżur.

Spojrzała na niego, z nogą w gipsie wyciągniętą przed siebie, rękoma założonymi na piersi, bacznie śledzącego każdy jej ruch przez otwarte drzwi do

kuchni. Wiedziała, że chciałby cokolwiek zrobić. Chciałby być tym, który chroni i działa. Tymczasem mógł ją tylko pocieszać i trzymać za rękę, gdy wewnątrz spalał się z poczucia bezradności. Bo nie może przecież ruszyć na poszukiwanie dwóch mężczyzn z volva, nawet gdyby miała ich adres. Nie może im dać tego, na co jego zdaniem zasługują. Nie może zrobić nic i to nie daje mu spokoju.

– Powinnaś była mnie posłuchać. Ci ludzie chcą cię dopaść.

Wiedziała, że to powie. Musiał wyrzucić z siebie te słowa, podobnie jak musiał wyrzucić z siebie złość. Wiedziała również, że jego gniew nie był skierowany wyłącznie na nią. Był zły również o to, co się stało w Iraku, o to, że Jens Peter zginął, był wściekły, że stał się bezsilny i zdany na innych, i że wydarzyło się coś, co tylko wyczuwał, lecz instynkt go nie mylił.

Wyjęła z lodówki sałatę i ją opłukała. Bo w salonie włączył telewizor.

– To dopiero początek – oświadczył ponurym tonem. – Bóg jeden wie, co wymyślą następnym razem, gdy zechcą kogoś nastraszyć.

– Spokojnie. Do ciebie nic nie mają. Kimkolwiek są ci „oni”.

Starła się brzmieć uprzejmie, ale do jej głosu zakradła się nuta irytacji. Była zmęczona i, owszem, czuła się winna jak jasna cholera. Została zepchnięta z drogi, wpadła do rzeki i bolała ją głowa. Naprawdę nie miała siły słuchać wymówek.

– Niech to szlag. – Pilot wypadł Bo z ręki i spadł na dywan.

Dicte stanęła w drzwiach i patrzyła w osłupieniu, jak próbuje go podnieść kulą.

– Pomóż mi, do cholery!

– Przecież nie chcesz pomocy. Wciąż to powtarzasz – powiedziała, lecz mimo wszystko podeszła do niego i podała mu pilota.

Wypadły z niego baterie, więc musiała ich poszukać na podłodze. Gdy je znalazła, szybko włożyła na miejsce.

– Proszę.

Spojrzał na nią i poczuła ucisk w żołądku, widząc, jak mruga pośpiesznie, żeby się nie rozpłakać. Miała ochotę go objąć, pogłaskać i pocieszyć, ale wiedziała, że by ją odepchnął.

– Jestem do niczego. Może powinnaś mnie wymienić na swojego rycerza z siłowni – powiedział.

– Jakiego rycerza? – spytała, żeby zyskać na czasie, ale czuła, że się czerwieni.

Bo uważnie się jej przyglądał. Dicte szybko odwróciła się plecami i uciekła do

kuchni. Spodziewała się, że powie coś więcej, ale zamilkł zupełnie. Siedział tak, dopóki nie wróciła z pizzą i sałatką, które postawiła na stole, po czym zawołała Rose. Otworzyła też butelkę czerwonego wina i nalała im, licząc, że to pomoże zawrzeć pokój.

– To on, prawda?

Zapytał z takim spokojem, że prawie nie rozpoznała w tym pytaniu konfrontacji. Słowa bardzo powoli przedzierały się przez zasłonę bólu i strachu w jej głowie. I może przez to, że i tak wszystko się waliło, nie patrząc na niego, pokiwała głową. Idiotka. Ale ze mnie idiotka.

– Od jak dawna? – spytał.

Dobry Boże, czy jemu się wydaje, że ukrywała przed nim jakiś romans?

– Tylko raz – powiedziała i sama usłyszała, że brzmi to jak odwieczne kłamstwo wszystkich niewiernych żon i mężów przyłapanych na zdradzie.

To było dokładnie tak samo przewidywalne jak to, że podejrzany będzie zapewniał o swojej niewinności.

– Dlatego, że nie zadzwoniłeś – szybko przeszła do oskarżeń. – Tamtego wieczora, kiedy obiecałeś zadzwonić raz jeszcze.

Przytrzymał jej wzrok. W jego oczach zobaczyła walkę bezgranicznej rozpacz z wściekłością.

– To było wtedy, kiedy zaproponowali nam udział w patrolu – wyjaśnił. – Wszystko rozegrało się błyskawicznie.

Dicte poczuła wstyd.

– Byłam na ciebie zła – broniła się. – Byłeś daleko. Obiecałeś zadzwonić.

Spojrzała na niego przez łzy i poczuła się jak dziecko.

– Potrzebowałam cię, ale ciebie nie było.

Zrobił minę, jakby zamierzał wstać, ale przez tę nogę było mu trudno, więc ostatecznie został na kanapie. Gdyby nie noga, toby sobie poszedł. Pojechałby do swojego mieszkania, być może na zawsze. Ale teraz mnie potrzebuje i nienawidzi tego – pomyślała Dicte.

Bo pokręcił głową, jakby mógł dzięki temu otrząsnąć się ze słów, które właśnie między nimi padły.

– To moja praca. Jestem w tym dobry.

Znów przytrzymał ją wzrokiem. Dicte przeszło przez myśl, że zrobił się taki

bezbronny. Bezbronny i wrażliwy, a ona bezlitośnie go zraniła.

– Możliwe, że to jedyne, do czego się nadaję – dodał i długo patrzył przed siebie. Potem sięgnął po kieliszek i wypił wino jednym haustem.

Dicte poczuła, że musi powiedzieć coś jeszcze, jakoś się wytłumaczyć. A jednocześnie wiedziała, że cokolwiek powie, zabrzmiałoby głupio.

– To był błąd – spróbowała. – Przyznaję, że to się stało, ale od tamtej chwili ani na moment nie przestałam tego żałować. To nic nie znaczyło.

Bo podniósł dłoń. Jego głos zabrzmiał mocniej.

– Daruj sobie te autorefleksje. Zachowaj je dla siebie. Nie chcę więcej o tym słuchać.

Zrozumiała, że to ma być jej kara. Będzie musiała sama uporać się z poczuciem winy.

Siedzieli przez chwilę, a powietrze między nimi iskrzyło. Jak sobie z tym poradzić, pomyślała. Jak znaleźć wyjście?

Wtedy Bo niespodziewanie przerwał milczenie.

– Myślałem o tym w Iraku. O gościu z siłowni. Wiedziałem, że to się stanie. Z jakiegoś powodu to przewidziałem.

Siedział i patrzył przed siebie, jakby oglądał niewidzialne zdjęcie. Wzrok miał badawczy.

– Może dlatego zgodziłem się pojechać na patrol do Basry. Wiedzieliśmy, że to niebezpieczne. Ryzyko napadu było wysokie. Duńscy żołnierze dopiero co pojмали w tamtej okolicy dwóch podejrzanych, a ci ujawnili informacje o dużym magazynie amunicji w prywatnym domu.

Napił się wina. Dicte zamknęła oczy, ale i tak nie była w stanie uwolnić się od własnych myśli, więc ponownie je otworzyła.

– Ktoś ukradł mi z hotelu kamizelkę kuloodporną. Kiedy mieliśmy wyjeżdżać, nigdzie nie mogłem jej znaleźć. Jens Peter uparł się, żebym założył jego. „Jesteś fotografem”, powiedział, „jesteś bardziej narażony na atak”. Wiedziałem, że ma rację. I dałem się przekonać.

Bo odchylił głowę do tyłu i wciągnął powietrze, jakby pił z butelki.

– Pojechaliśmy trzema wozami opancerzonymi. My byliśmy w ostatnim. Mijaliśmy dzielnicę mieszkalną i powiedziano nam, że obaj podejrzani pochodzą właśnie stamtąd. Nagle na środku jezdni pojawił się martwy pies. Kierowca

pierwszego samochodu wysiadł i odciągnął zwierzę na bok. I wtedy to się stało.

Bo odwrócił głowę i przyciągnął ją wzrokiem. Dicte wyraźnie widziała rozpacz w jego oczach, ale wiedziała, że nie mogła ani nie powinna w tej chwili próbować go pocieszać.

– Miałem wrażenie, że trwało to kilka godzin. Tymczasem Jens Peter został trafiony w pierwszych minutach ataku. Jego korpus był wielką otwartą raną. Nie wiedziałem, co robić, więc tylko przy nim siedziałem, trzymałem go za rękę i powtarzałem, że wszystko będzie dobrze.

Nie próbował nawet ocierać łez. Dicte zdusiła w sobie pragnienie, by podać mu chusteczkę.

– Ale nie było dobrze – powiedział z bólem. – Nie dla Jensa Petera. Kiedy było po wszystkim i przyjechało nasze wsparcie, już nie żył.

W jego głosie słyhać było gniew. Wiedziała, że skierowany głównie przeciwko niemu samemu, ale również przeciwko niej.

– Człowiek czuje się taki bezwartościowy – powiedział łamiącym się głosem. – Tak nieskończenie odrażający.

Dicte pokiwała głową i jednocześnie wiedziała, że w ten sposób Bo próbuje jej powiedzieć, że nie jest w tym osamotniona.

Żadne z nich nie mogło nic przełknąć. Żadne nic nie powiedziało. Dopiero gdy od dłuższej już chwili siedzieli, każde okopane we własnej twierdzy, Dicte przypomniała sobie o Rose. Poszła na górę i zapukała.

– Mogę wejść?

Słyszała, że Rose nie śpi, lecz coś robi w środku. Zwykle jednak słuchała muzyki, a teraz w pokoju panowała cisza.

– Może byś coś zjadła?

– Nie jestem głodna.

Dicte usłyszała smutek w głosie córki. Ostrożnie uchyliła drzwi i zajrzała do środka. Rose siedziała na łóżku z podkulonymi nogami, otulona narzutą. Ogromny biały kołnierz ortopedyczny sprawiał, że wyglądała na bladą i wychudzoną. Dicte odsunęła od siebie myśli o konfrontacji z Bo, gdy serce ścisnęła jej skoncentrowana miłość matczyna.

– Musisz coś zjeść. Inaczej będzie ci niedobrze.

– Czemu się kłóćcie?

Rose prześwietlała matkę wzrokiem. Dicte odczytała w nim niepokój i przypomniawszy sobie, jak bardzo Rose nienawidzi kłótni.

– To nic poważnego – skłamała i usiadła na brzegu łóżka. Oczy Rose były czerwone i opuchnięte.

– Coś się stało? Coś z Azizem?

Zapytała najostrożniej, jak była w stanie. Lecz Rose i tak odrobinę się odsunęła i docisnęła plecy do ściany, jednocześnie kręcąc głową na tyle, na ile potrafiła w tym kołnierzu.

– Powiedziałaś mu, co się stało?

Rose pokiwała głową. Oczy znów zaszyły jej mgłą i przetarła je grzbietem dłoni.

– Przecież może tu przyjechać i pobyć z tobą – zaproponowała Dicte. – Pewnie się martwi.

Wiedziała, że zapędziła się na najpilniej strzeżony prywatny teren i że Rose zapewne całkiem się zamknie. Coś jednak jej podpowiadało, że trafiła w czuły punkt. Przestała się zastanawiać, czy to ciekawość, czy troska kazały jej drążyć głębiej.

– Co powiedział?

Rose pociągnęła nosem. W jej oczach wciąż widać było dumę i postanowienie, że nie powie więcej niż to absolutnie konieczne.

– Niewiele. Zadzwoił i wtedy mu opowiedziałam.

– I nie ma ochoty zobaczyć, jak się czujesz?

Stwierdziła, że teraz zapędziła się za daleko. Rose odwróciła wzrok i wyjrzała za okno. Siedziała w ten sposób dłuższą chwilę, aż jej plecy zaczęły lekko drżeć i Dicte wyciągnęła rękę, żeby pogłaskać ją po głowie.

– Mówi, że jest zagoniony.

Słowa wydostały się z jej ust jednocześnie z płaczem. Dicte zdawało się, że słyszy w nich oskarżenie.

– Mówi, że musi coś załatwić.

Dicte ostrożnie przyciągnęła Rose do siebie. Mimowolnie poczuła ulgę. Rose jest nieszczęśliwa, ale być może to będzie początek końca tej niełatwej relacji.

Nie zdążyła jednak nawet poczuć wyrzutów sumienia z powodu własnych myśli, kiedy Rose uwolniła się z matczynych objęć i powiedziała głosem stanowczym i pewnym:

– Wiem, że mnie kocha. Ale martwię się o niego.

W pierwszym odruchu chciała opowiedzieć o ich rozmowie Bo. Nie była jednak w stanie przedrzeć się przez mur, który między nimi stanął, dlatego się nie odezwała.

Kiedy w końcu się położyli, żadne z nich nie umiało zasnąć. Nie potrafili również o tym rozmawiać. Leżeli więc obok siebie, a jednocześnie bardzo daleko od siebie.

Kilka godzin później mimo wszystko usłyszała jego ciche chrapanie, a jeszcze później obudziła się i stwierdziła, że leżą przytuleni. Próbowła uporządkować sobie w głowie to, co się wydarzyło, i to, co zostało powiedziane, ale była zbyt zasnana, żeby móc to objąć myślami. W głowie miała tylko sen, z którego właśnie się przebudziła. Przewinęła kawałek wstecz. Znow znalazła się w samochodzie spychanym z jezdni do rzeki. Rozpaczliwie wpatrywała się we wsteczne lusterko, starając się dojrzeć, kto siedzi w srebrnym volvie. Z nasuniętych niemal na oczy obcisłych czapek wystawały dwie twarze.

Zamknęła oczy i ponownie zanurzyła się w swoim śnie, kiedy nagle się poderwała, bo uświadomiła sobie, że już wie. Nie widziała twarzy, ale dostrzegła coś innego. Możliwe wyjaśnienie było jak cios w splot słoneczny, bo przypomniała sobie już, że spod jednej z czapek wystawały ciemne dredy.

Czy powinien jej o tym powiedzieć? I tak wkrótce się dowie.

Wagner zdecydował się jeszcze trochę poczekać. Może dlatego, że jego najbardziej podstawowy instynkt podpowiadał mu, by nie rozmawiać z prasą. Albo może dlatego, że czekał, aż ona da mu coś więcej. Bo o tym, że Dicte wie więcej, niż mu mówi, był przekonany. Widział to w intensywnym spojrzeniu jej niebieskozielonych oczu, pod którym zawsze czuł się tak, jakby był jej coś winien. Nie wiedziała o tym, a może wiedziała i po prostu potrafiła wyciągać od ludzi informacje.

Przyglądał się Dicte Svendsen, która ugryzła właśnie kęs ciastka. Nie mały, ostrożny kęs, lecz ogromny gryz, i wchłonęła go, jakby nie zjadła śniadania. Niepokój wyraźnie malował się na jej twarzy. Niewielka blizna przy kąciku warg łączyła się ze zmarszczkami mimicznymi i unosiła usta ku czemuś, co mogło przypominać uśmiech. I owszem, była zdenerwowana, a wnosząc z tego, co od niej usłyszał, miała ku temu powody. Lecz mimo wszystko najwyraźniej potrzeba było znacznie więcej, aby Dicte Svendsen straciła apetyt.

– I jesteś całkowicie pewna, że nie widziałaś niczego, co można by użyć do identyfikacji tych ludzi? Albo choć fragmentu tablicy rejestracyjnej?

Wahała się przez ułamek sekundy. Trudno powiedzieć, czy to mogło coś znaczyć. Wagner jednak nieustannie odnosił wrażenie, że Dicte zawsze bardzo dokładnie wybiera informacje, którymi się z nim dzieli, i za każdym razem zachowuje coś dla siebie. Denerwowało go to i jednocześnie motywowało do działania.

– Ani tego, ani tego. Samochód był starszego rocznika. W środku jechało dwóch mężczyzn. Na głowach mieli wełniane czapki – powtórzyła.

– Starzy? Młodzi?

– Młodzi – powiedziała z przekonaniem.

– Duńczycy?

Wzruszyła ramionami. Przytrzymał jej wzrok, który próbował się wymknąć i powędrować po ścianach jego gabinetu obwieszonych obrazami kupionymi za

pośrednictwem towarzystwa miłośników sztuki.

– Jeśli pytasz, czy mieli jasne włosy i niebieskie oczy, to nie – powiedziała wreszcie. – Wydawali się ciemniejsi. Co oczywiście nie znaczy, że nie mogą być Duńczykami – dorzuciła.

Wagner wiedział, że Dicte Svendsen normalnie nie jest aż taka ostrożna, i postanowił zmienić taktykę. Odchylił się w fotelu i wziął łyk kawy, choć smakowała jak stare ziarna. Trudno, musi zrobić coś, aby się trochę rozluźniła.

– A co u Rose? Wciąż jest obolała?

Pokręciła głową.

– Na szczęście nie. Dziś poszła do szkoły. Wydawała się zdrowa.

– A przyjaciel?

– Jaki przyjaciel? Bo?

– Jej przyjaciel. Układa im się?

Dicte otworzyła usta, jakby zamierzała coś powiedzieć, i po chwili znów je zamknęła. Wzruszyła ramionami.

– Rose nie mówi za dużo. To ponoć normalne, kiedy się ma siedemnaście lat.

Wagner oderwał kawałek ciastka.

– Moja córka też miała kiedyś chłopaka, który był imigrantem – usłyszał nagle swój własny głos. – Był Kurdem z Iraku. Miły chłopak.

Popatrzyła na niego, jakby chciała go spytać, co to, u licha, ma wspólnego z nią. W końcu jednak wyraz jej twarzy złagodniał – może z powodu czystej ciekawości, a może z uprzejmości.

– I co się stało?

Wzruszył ramionami i w tej samej chwili zdał sobie sprawę, że to było nietaktowne. Pokazał tym gestem, że związek jego córki rozpadł się, dokładnie tak, jak można było przewidzieć.

– Rozstali się, kiedy jego rodzice się o tym dowiedzieli i zaczęli na niego naciskać, żeby się ożenił z dziewczyną z ich wioski – wyjaśnił.

Znów bacznie jej się przyglądał. Jeśli poczuła się urażona albo zaniepokojona przyszłością Rose, to zupełnie nie było tego po niej widać. Z jej spojrzenia domyślił się, że to niepokój innego rodzaju. I jak się bardziej zastanowić, tę nerwowość widział w niej zawsze, odkąd zobaczył ją po raz pierwszy. Tyle że teraz się nasiliła. Stała się czymś w rodzaju wewnętrznego rozedrgania połączonego

z czymś, co wydawało mu się nieuchwytnie i co być może dałoby się opisać jako rodzaj buntu bądź zawziętości. Tak bardzo się różniła od Idy Marie o otwartym, jasnym spojrzeniu i nieskrywanej wrażliwości, przez którą każdy od razu miał ochotę otoczyć ją opieką. Dicte Svendsen była osobą bardziej złożoną. Wagner podejrzewał, że niektórych warstw jej świadomości nikt jeszcze do końca nie zgłębił.

– Cholera, nie chcę znów przez to przechodzić – wychrypiła nagle. – Nie wytrzymam tego.

To ostatnie wycodziła przez zaciśnięte wargi, teraz całkiem białe i zastygłe w grymasie bólu.

– O co w tym, do diabła, chodzi? – ciągnęła. – Musicie przecież coś wiedzieć! Musicie mieć podejrzanego, do ciężkiej cholery!

Zaczęła wyliczać pytania na palcach:

– Kto wykonał cesarskie cięcie na Swietłanie i w jaki sposób trafiła do Danii? Jakie znaczenie ma fakt, że niemowlę nie było jej biologicznym dzieckiem? Dlaczego znaleziono je na bazarze? Czy wątek imigrancki odgrywa tu jakąś rolę?

Z frustracji spowodowanej bezsilnością plasnęła otwartymi dłońmi o blat stołu, aż spodek z jej ciastkiem podskoczył na dwa centymetry.

– Dlaczego Katka musiała zginąć? Co wiedziała? I dlaczego trzeba mnie było zepchnąć głową w dół do rzeki?

Odwróciła dłonie wnętrzem do góry i uniosła je wyczekująco. Ostatniego pytania nie musiała wyrażać słowami, bo ono już dudniło Wagnerowi w głowie: co będzie dalej?

Siedział przez chwilę, czekając, aż jej gniew nieco ucichnie. Sam oczywiście zadawał sobie te wszystkie pytania, a zwłaszcza to ostatnie. Ale prawda była taka, że nie potrafił jej uspokoić. Prawda była taka, że on sam był dokładnie tak samo zaniepokojony i zdenerwowany jak ona, tyle że on nie mógł tego okazać.

Zdecydował się na szczerść, choć osoba, która przed nim siedziała, występowała w podwójnej roli: potencjalnej ofiary i dziennikarki.

– Dziś rano dostaliśmy raport z badania DNA płodu Katki.

Dicte zamarła. Wiedział, że zrozumiała natychmiast. Przez twarz przeszedł jej wyraz zdumienia, lecz szybko ustąpił miejsca zrozumieniu. Aha, a więc tak to wygląda, pomyślała. To o to chodzi.

– Surogatki – domyśliła się. – Przymusowe matki zastępcze przemycane z Europy Wschodniej, żeby bogaci mieszkańcy Zachodu mogli kupować biologiczne dzieci?

Popatrzyła na niego. Teraz, kiedy zaczęła się zastanawiać nad możliwą skalą takiego procederu, w jej oczach pojawił się bezgraniczny strach.

– Ile? – spytała i z wahaniem, starannie ułożyła usta, zanim nadała brzmienie następnym słowom. – Cała fabryka?

Mógł jedynie doprecyzować to, czego już się domyśliła.

– Płód Katki również nie miał DNA zgodnego z matczynym. Najwyraźniej mamy do czynienia z kobietami wykorzystywanymi do sztucznego zapłodnienia obcymi komórkami jajowymi i obcym nasieniem. Najprawdopodobniej wbrew ich woli.

Najprawdopodobniej wbrew ich woli.

Dicte siedziała bez ruchu, próbując objąć umysłem znaczenie tych słów. Gabinet Wagnera zmienił się w scenografię filmową, a figury i kształty na abstrakcyjnych obrazach stały się zaintrygowaną publicznością.

Spojrzała komisarzowi w oczy. Przez jedną szaloną chwilę zapragnęła móc złapać jego słowa i sprawić, by zniknęły. Ale one wciąż tu były. Wisiały w powietrzu, przydając mu ciężkości, jakby za moment w pokoju miała się rozpętać burza z piorunami.

Pamiętała głos Katki. Dziewczyny, która do końca miała nadzieję – cienką i wątłą jak ona sama. Jej telefon tamtego wieczoru około północy był tego uczucia dowodem. Lecz wystarczyło, by Dicte wypowiedziała jej imię, by dziewczyna się przeraziła, a jej nadzieja pierzchła. Co też musiała przejść, skoro była aż tak zastraszona? Jak w ogóle znalazła się w Danii? Gdzie mieszkała?

– Niewolnice – powiedziała na głos. – Jeśli to się dzieje wbrew ich woli, to muszą być gdzieś przetrzymywane jako niewolnice.

Wagner nic nie powiedział. Patrzył tylko na Dicte. A ona mówiła dalej, podczas gdy świadomość tego, co się stało, wciąż kotłowała się w niej bezładnie.

– Katka uciekła. Ona była tą, której się udało. Swietłana już nie żyła, gdy porzucili ją w porcie. To był wypadek i musieli się pozbyć ciała.

Wagner pokiwał głową.

– Tak. To brzmi prawdopodobnie.

Dicte wyjrzała na zewnątrz. Ulicą szło dwóch umundurowanych policjantów. Okno było otwarte i dało się słyszeć skrawki rozmowy i ich jowialny śmiech. Nie pojmowała, jak mogą się zachowywać, jakby nic się nie stało, skoro normalność właśnie legła w gruzach. To wrażenie było tak przytłaczające, jakby wielka dłoń dociskała ją do ziemi. W jej głowie wirowały pojęcia, jakich nigdy by się nie spodziewała, że kiedykolwiek zaistnieją w Århus. Białe niewolnictwo. Handel niemowlętami. Przed oczami stanęły jej bezbronne dziewczyny, zniewolone albo odurzone lekami bądź narkotykami, zmuszane do wejścia na fotel ginekologiczny

i poddania się zapłodnieniu, na które wiele kobiet czeka w kolejce w publicznej służbie zdrowia. Tylko że dla nich pozytywny wynik testu nie jest powodem do radości. Dziewięć miesięcy później muszą się rozstać z dzieckiem, które nosiły pod sercem.

– Wśród nich musi być lekarz – powiedziała po chwili.

– Specjalista od in vitro – dodał Wagner. – Może tutejszy. A może z zagranicy.

Dicte poczuła, że oczy wypełniają jej się łzami. Nie tyle z rozpaczy, ile ze złości. Zaciśnęła pięść i mocno uderzyła nią w stół. Wagner nawet nie mrugnął.

– Wiesz, co to jest? To jest, kurwa, wyspecjalizowany, naukowy gwałt – wyrzuciła z siebie. – To handel ludźmi do najwyższej możliwej potęgi.

Słyszała jak jej własny, piskliwy głos odbija się głucho od ścian. Wagner wstał i wyszedł, a po chwili wrócił ze szklanką wody.

– Napij się.

Posłuchała. Potem nabrała powietrza, wpuściła je głęboko do płuc i przytrzymała. Wkrótce serce wróciło do w miarę normalnego rytmu.

– Lepiej?

Kiedy na niego spojrzała, w jego oczach wyczytała troskę i niepokój, ale również coś jeszcze. Podziw, pomyślała całkiem bez sensu. Nie podziw dla jej osoby, lecz bardziej dla jej reakcji. Wyprostowała plecy. Nagle zrozumiała dlaczego. Przemknęło jej przez myśl, że on też chciałby reagować w ten sposób. Chciałby dać się ponieść emocjom, bo przecież czuje i myśli dokładnie to co ona. Ale nie może, bo mu nie wolno.

Ich oczy spotkały się na krótką chwilę nad biurkiem i Dicte poczuła, że są połączeni niewidzialną, bardzo cienką nitką.

– Musicie znaleźć tych ludzi.

Pochylił się nieco nad stosami papierów i kubków po kawie.

– Oczywiście, że musimy – potwierdził. – Nad tym właśnie pracujemy. Ale potrzebujemy pomocy.

– Mojej?

Teraz to on się wyprostował i popatrzył na nią uważnie. Jego spojrzenie było chłodne.

– Musisz nam powiedzieć, co wiesz.

– Już powiedziałam.

Nie przestawał się w nią wpatrywać. Dlaczego? Czy nie powiedziała wszystkiego? Czy cokolwiek przed nim ukrywała? Przed oczami mignęły jej czarne dredy pod wełnianą czapką, ale to był tylko przebłysk i już ich nie widziała. Zresztą to przecież niemożliwe. Musiało jej się przywidzieć.

Wagner wciąż czekał. Dicte pomyślała o Rose, która ją oskarżyła o hołdowanie uprzedzeniom. W końcu potrząsnęła głową.

– Nic więcej nie mam.

Nagle jednak coś jej przyszło do głowy.

– Czekaj. Tutaj są dwie strony – zaczęła – kupujący i sprzedający. Jeśli trudno jest dotrzeć do sprzedawców, może da się znaleźć kupujących? Wszystko prawdopodobnie odbywa się przez Internet. Jak cały szemrany handel w dzisiejszych czasach – dodała.

Wagner pokiwał głową i wydawało się, że zastanawia się nad tym, co powiedziała, jednocześnie obracając swoją filiżankę na spodku. Przez chwilę milczeli i Dicte rozmyślała dalej o konsekwencjach, które nie będą miały końca. Przypomniała sobie, jakie to uczucie oddać swoje dziecko. Możliwe, że te kobiety przeżywają tę traumę wielokrotnie. I są jeszcze kupcy. Zamożne pary czy zwykli ludzie, którzy zastawili domy albo wyprzedali rodowe srebra, żeby dostać to, co dla nich miało wartość największą? Dicte wiedziała, że dla kogoś, kto nie może donosić ciąży z własnym biologicznym dzieckiem i nagle dowiaduje się, że istnieje alternatywa, pokusa byłaby ogromna. Usprawiedliwianie się przed sobą samym w takiej sytuacji równałoby się wyparciu ze świadomości odrażającego i w żaden sposób niemożliwego do usprawiedliwienia faktu, iż dziecko, którego się pragnie, zostanie urodzone przez kobietę, którą do tego zmuszono. Dicte pomyślała, że człowiek być może jest w stanie przekonać samego siebie. Wytłumaczyć sobie, że te kobiety i tak nie mają przyszłości i kto wie, być może lepiej jest dla nich nosić w sobie cudze dziecko, niż być zmuszanymi do prostytucji. Człowiek bardzo szybko byłby w stanie samego siebie uniewinnić – wyłącznie dlatego, że na końcu czekałaby tak niewyobrażalnie wielka nagroda.

Dicte pomyślała o młodych kobietach, które tkwiły w tym beznadziejnym położeniu. Ile może ich być? Dwie? Trzy? Dziesięć? Przypomniała sobie jasną, przejrzystą urodę dziewczyny z portu. Leżąc na asfalcie w spódnicy z własnej krwi, wyglądała jak Matka Boska.

– Katka była ich jedyną nadzieją – powiedziała w końcu. – Wyrwała się stamtąd, śmiertelnie przerażona. Nie wiedziała, dokąd pójść, do kogo się zwrócić, więc zaszyła się w środowisku narkomanów, gdzie nikt nie zadawał pytań.

– Mogła również pójść na policję – zauważył Wagner, ale zabrzmiał, jakby sam w to nie wierzył.

Dicte spojrzała na niego. Miała wrażenie, że widzi go po raz pierwszy tego dnia. Jego deficyt snu był pewnie porównywalny z jej debetem w banku, a mimo to w źrenicach dostrzegła ogień, który jej podpowiadał, że jest w ciągłym stanie gotowości.

– Zapewne nie miała najlepszych doświadczeń z władzami – wyjaśniła oschle – i nie znała języka. Mogła nawet nie wiedzieć, w jakim jest kraju.

Wagner nic nie powiedział, ale wyglądało na to, że się z nią zgadza.

– A co z prasą? – zmieniła nagle temat. – Zamierzacie zachować to dla siebie? Chyba nie możecie, prawda?

Domyślała się, że rozważa właśnie wszystkie za i przeciw, ale jak zawsze, kiedy najbardziej jej zależało, żeby się odsłonił, miał nieprzeniknioną twarz pokerzysty.

– Tak, to będzie raczej niemożliwe – przyznał wreszcie. – Sprawa jest za duża i za bardzo pogmatwana etycznie i politycznie. Nie sposób przewidzieć konsekwencji. Dziś po południu zwołamy konferencję prasową – zdecydował.

Rozumiała, że musiał się zastanowić. Z jednej strony podanie informacji do wiadomości publicznej miało sens. Lecz z drugiej mogło spłoszyć sprawców, którzy zwiną biznes i przeniosą się dokądś indziej, może za granicę.

– Kto wie, zawsze jest szansa, że coś z tego wyjdzie – podsunęła. – Jakieś informacje od czytelników, które do czegoś się nadadzą.

Wagner wydawał się sceptyczny.

– Albo przegramy z kretesem.

– Chodzi ci o to, że mogą się przestraszyć?

Pokiwał głową.

– Choć wydają się niebywale arogancy w swoim działaniu – ciągnął dalej. – Wyrzucają ciało w porcie, w tłumie ludzi. A potem umieszczają zwłoki noworodka w lodówce, choć wiadomo było, że zajrzą do niej inspektorzy z kontroli żywności. Tak naprawdę nie sędzę, aby cokolwiek mogło ich przestraszyć.

– Ale skąd ta arogancja? – zastanawiała się Dicte.

– Czas – podsunął Wagner po krótkiej chwili. – Czas, przez jaki udaje im się wodzić za nos organy ścigania. Tak się dzieje z niewyjaśnionymi zbrodniami. Na koniec sprawca zaczyna wierzyć, że jest niezwyciężony.

– Nawet jeśli prasa o tym pisze?

Wagner pokręcił głową, jakby się zastanawiał.

– Wygląda na to, że będziemy musieli to sprawdzić.

Czas. Próbowała sobie wyobrazić, jak długo mogło trwać to piekło, ale nie była w stanie.

Miesiące? Lata? I na jaką skalę?

– Ciekawe, o jaką liczbę dzieci tu chodzi, prawda? – odważyła się zapytać, choć wiedziała, że nie usłyszy odpowiedzi.

I rzeczywiście Wagner tylko na nią patrzył – na pozór neutralnie, ale w tym spojrzeniu krył się niepokój bardzo podobny do tego, który ona czuła. Właśnie ten wyraz twarzy wciąż tkwił jej w głowie, kiedy się pożegnała i zjechała windą na dół. A także irytujące wrażenie, że coś ważnego wyleciało jej z pamięci.

– Czyżby nasza cywilizacja upadła aż tak nisko? Surogatki?! – To ostatnie słowo stanowiło krzyk rozpacz. Szefowa położnych Vibeke Termansen odłożyła gazetę.
– Biedne dziewczyny.

Anne zauważyła, że w ich pokoju socjalnym, gdzie się spotykały podczas przerwy na kawę, panowała tego dnia wyjątkowa zgodność. I wiedziała, że ta sama zgodność panuje dziś w wielu pokojach socjalnych w miejscach pracy w całej Danii, bo gazety od rana trąbiły o dziewczętach z Europy Wschodniej.

Przyjrzała się swoim koleżankom. Wszystkie zastanawiały się przede wszystkim nad losem kobiet, które być może są zmuszane do rodzenia dzieci innych kobiet. I choć to oczywiście upiorne, pomyślała również o swoich rodzicach. W jakimś sensie reprezentowali tę drugą stronę. Czy byliby zdolni skorzystać z takiego rozwiązania? Czy ona sama albo którakolwiek z jej koleżanek mogłaby poczuć pokusę, gdyby były bezdzietne wbrew swojej woli i ktoś przedstawił im atrakcyjną ofertę? Czyż to nie prawda, że tam gdzie jest podaż, jest również popyt?

– Ale tak naprawdę – wtrąciła i sięgnęła po termos – to mieliśmy przecież metodę próbówkową, potem pojawiła się mikroinseminacja, gdzie pojedynczym, wyselekcjonowanym plemnikiem zapładniano pojedynczą, wyselekcjonowaną komórkę jajową – naląła do kubka czarnej jak węgiel kawy i złagodziła nieco jej smak odrobiną mleka – a dziś mówi się o zezwoleniu na dawstwo komórek jajowych pomiędzy przyjaciółkami i członkami rodziny – ciągnęła. – Granice tego, co dopuszczalne, wciąż się przesuwają.

Pozostałe zaprotestowały, dokładnie tak, jak się spodziewała. Były przyzwoitymi, prawomyślnymi obywatelkami zachodniego demokratycznego kraju. Oczywiście, że musiały zareagować. Ona też by zareagowała, ale mimo wszystko czuła potrzebę, aby się postawić i prowokować. Może dlatego, że ludzie zbyt łatwo są skłonni prawić morały innym.

– In vitro to metoda naukowa i opiera się na dobrowolności – zauważyła jedna z pielęgniarek, Henriette Baunehøj. Miała grube okulary na perkatym nosie. Zdecydowanie nie była piękną. I mogłaby zrzucić z dziesięć kilo. Mimo to

udało jej się przygruchać sobie lekarza prowadzącego z oddziału K i dla przypieczętowania związku urodziła mu dziecko. – Przymus to co innego – stwierdziła. – To etycznie naganne pod każdym względem.

– Tylko dlatego, że to przymus? – spytała Anne.

Henriette pokręciła głową i uściśliła:

– Nie, oczywiście byłoby to naganne również wtedy, gdyby nie odbywało się pod przymusem.

– Ale wówczas trochę mniej – stwierdziła asystentka położnej, Hanne Rasmussen. – Najgorsze jest to, że te dziewczęta są przymuszane. I że są przetrzymywane jak niewolnice.

Oczywiście, że miały rację. I oczywiście, że to rozumiała. Mimo wszystko Anne nie potrafiła odpuścić swojej krucjaty.

– A co, jeśli kobieta jest chora i nie może sama urodzić dziecka? Na przykład ma zdeformowaną macicę, w której pęcherzyk nie może się zagnieździć. Jak daleko może się wówczas posunąć? Jak daleko posunęłyby się każda z nas?

Vibeke Termansen schrupała herbatnik i popiła kropelką kawy. Miała troje dzieci. Właściwie większość z nich miała dzieci. Tylko Hanne była bezdzietna.

– Jest jeszcze adopcja – podsunęła Vibeke, patrząc na Anne. – To jakieś wyjście.

Na moment zapadła cisza. Anne wiedziała, że wszystkie myślą teraz o tym, jak trudno byłoby pogodzić się z brakiem biologicznych dzieci i jak bardzo inaczej czułyby się jako matki adopcyjne.

– Ośrodki adopcyjne kierują się wyjątkowo surowymi zasadami – powiedziała w końcu Hanne. – My z Alexem dostaliśmy odmowę – dodała ledwie słyszalnym głosem. – Bo on jest ode mnie starszy o te piętnaście lat.

Tym razem cisza panowała w pomieszczeniu jeszcze dłużej. Słyszeć było tylko syczenie termosu, dopóki Vibeke nie wyciągnęła ręki i nie poluzowała nakrętki. Anne spojrzała na Hanne. Jasne włosy miała zaczesane do tyłu i zebrane w małą kitkę. Szczupłą twarz o delikatnych rysach, duże niebieskie oczy. Wszystkie ją znały i wiedziały, jak wiele potrafi dać z siebie na oddziale. Ale co poza tym? Pracowała z nimi od dwóch lat i o ile Anne się orientowała, nikt do tej pory nie poznał jej problemów w życiu prywatnym.

Hanne spojrzała na nie wojowniczo.

– No co? Natura nie daje gwarancji, że jak zostaniesz położną, to na pewno

będziesz mogła mieć dzieci.

– Jasne, że nie – wymamrotała Vibeke. – A sztuczne zapłodnienie?

Pytanie zostało zadane ostrożnie i w dobrej wierze, ale mimo wszystko zabrzmiało jak wścibstwo. Oczy Hanne wypełniły się łzami.

– Nie kwalifikujemy się.

Spojrzała na Anne, gotowa na konfrontację.

– Jest dokładnie tak, jak powiedziałaś. Pęcherzyki nie chcą się zagnieżdżyć, tak powiedział lekarz. Nie pozwolił nam nawet spróbować, bo to byłaby strata pieniędzy.

Wydawało się, że wszystkie w jednej chwili doznały paraliżu. Anne niemal ujrzała, jak jej własne poczucie winy niczym toksyczna mgła wypełnia pomieszczenie i zaraża pozostałe kobiety.

Hanne skinęła głową w stronę gazety.

– Nie popieram oczywiście przymusu ani porwań, to się rozumie samo przez się. Ale mogę was zapewnić, że gdyby zgłosiła się do mnie jakaś kobieta godna zaufania i zaoferowała, że zostanie zastępczą matką dla naszego dziecka, to nie miałabym oporów.

Wstała i już zamierzała wyjść, kiedy w drodze do drzwi przez ramię dała im mata:

– I gdyby chciała za to sto tysięcy koron, to również nie byłoby z tym problemu. Zarabiamy nieźle, jesteśmy bezdzietni, a dom ma czystą hipotekę.

Gdy wyszła z pracy, na zewnątrz było rześko – tak jak powinno być późnym latem. Najwyraźniej upał zdecydował się odpuścić, skoro zbliżał się wrzesień.

Anne przyjechała do szpitala rowerem i wracając Herredsvej, wdychała zapach rosnących przy krawężniku drobnych kwiatków, teraz bardziej wyrazisty. Dzień był piękny, niebo błękitne, a ona mimo wszystko czuła w środku pustkę.

Kiedy odebrała Jacoba ze świetlicy, przez całą drogę mówił jej o swoim dniu. Ona tymczasem czuła się tak, jakby słuchała go z odległej planety, i odpowiadała tylko zdawkowo, kiedy jechali obok siebie. Jacob dostał nowy rower na urodziny, ona miała starą damkę ciotki Addy, którą doprowadziła do porządku.

W głowie wciąż roztrząsała rozmowę z koleżankami. Co tak naprawdę ktokolwiek mógł wiedzieć o nadziejach i marzeniach innych kobiet? Na ile dobrze możemy się poznać? Zawsze jej się wydawało, że ludzie o mniej więcej podobnym

pochodzeniu i wykształceniu patrzą podobnie na konkretne problemy etyczne, ale to oczywiste, że cechują ich różne progi akceptacji. Kiedy Dicte zadzwoniła, żeby opowiedzieć jej tę historię – skoro i tak miała się ukazać w gazetach następnego ranka – Anne nie była w stanie wyobrazić sobie, że wykształcona duńska para, odpowiednio zabezpieczona finansowo, może się zdecydować na takie rozwiązanie.

– To musi być skierowane za granicę – powiedziała Dicte. – Nikt w tym kraju nie dałby się namówić na coś takiego.

Ale teraz wcale nie była tego taka pewna.

Kiedy dotarli do domu, dała Jacobowi mrożoną herbatę i zrobiła mu kanapki, po czym mały zniknął w swoim pokoju. Anders ćwiczył z orkiestrą w sali prób opery. Miała popołudnie dla siebie i całą masę zaległych spraw. Brudy wysypywały się z kosza na pranie, trzeba było zrobić bieżące porządki w domu, a gazety i puste butelki zanieść do kontenera na placyku.

Zwykle zajmowała się wszystkim. Zwykle była aktywna. A teraz siedziała przy stole i patrzyła przed siebie.

Niektórzy ludzie najwyraźniej potrafią wieść całkiem szczęśliwe życie bez dzieci. Niektórzy wręcz tak wolą. Ale dla innych to nie do pomyślenia nie móc przekazać owoców swego życia kolejnemu pokoleniu.

W końcu wstała i zmusiła się do otrząśnięcia z letargu. Wiedziała przecież doskonale, o co tak naprawdę chodzi. Wiedziała od samego początku. Dokładnie tak, jak Hanne Rasmussen postrzegała historię opisaną w gazetach przez pryzmat swojej własnej historii, ona, Anne, postrzegała ją przez pryzmat swojej.

Podeszła do szafki z witryną i wyjęła z niej starą, pomalowaną w kwiaty wazę. Kiedyś, w dawnych czasach służyła do podawania zupy w domu babci ze strony ojca. Odziedziczyła ją po śmierci babci i używała do dekoracji, a teraz trzymała w niej również stare wycinki z gazet, które znalazła w mieszkaniu matki. Wyjęła je i z powrotem usiadła przy stole. Chciała przejrzeć je ponownie, bo nagle sobie przypomniała, że coś w nich ją zaintrygowało, ale nie była pewna co – dopóki tego nie zobaczyła. Artykuł pochodził z lokalnej grenlandzkiej gazety wydawanej po duńsku. Zdjęcie pożółkło i trudno było rozróżnić poszczególne osoby. Za to podpis pod nim wciąż był wyraźny, podobnie jak krótka notatka o nowym pastorze i jego pomocniku, pastorze Hannibalu Gramie.

Anne podniosła kartkę do światła w nadziei, że wyraźniej zobaczy twarz mężczyzny. Większość fotografii wypełniała potężna sylwetka jej ojca. Nie tylko sylwetka, również jego bujna czupryna. Zawsze był dumny ze swoich włosów, które nadawały mu wygląd szalonego dyrygenta. W porównaniu z nim ten drugi wydawał się szczupły. I na tyle, na ile była w stanie dojrzeć, czubek głowy miał całkiem łysy. „Hannibal Gram wziął urlop z rodzimej parafii w Hinnerup, aby spełnić wieloletnie marzenie o Grenlandii”, napisano.

Anne siedziała jeszcze chwilę, po czym wstała i podeszła do stojącego w korytarzu stolika z telefonem i książką telefoniczną. Nie robiąc sobie większych nadziei, sprawdziła nazwisko. Znalazła je. Emerytowany pastor Hannibal Gram najwyraźniej wrócił do Hinnerup i wciąż tam mieszkał.

Bo spał niespokojnie. Co jakiś czas rzucał się na boki, jakby się osłaniał przed gradem kul. Jęczał coś niezrozumiale. Dicte próbowała rozszyfrować jego słowa, ale brzmiało to, jakby we śnie wynalazł zupełnie nowy język.

Zastanawiała się, jaki koszmar dręczy go tej nocy. Czy znów jest w Iraku i przeżywa atak? A może to ona jest winna tym jękom? Może to ona odpowiada za rozdzierające serce gardłowe jęki i pot, który przykleił mu włosy do czoła?

Ledwie zdążyła się odsunąć, gdy ramieniem zatoczył łuk i jego dłoń z plaśnięciem opadła na jej kołdrę. W świetle poranka widziała jego zaciętą minę i coś w niej pękło. Miała ochotę odsunąć spocone włosy z jego czoła, uspokoić go i powiedzieć, że wszystko będzie dobrze. Lecz nie zrobiła tego – może się bała, że się obudzi i spojrzy na nią tym wzrokiem, który ją prześladował już od doby. Nie robił tego świadomie – tego była pewna. Próbował przecież udawać, że nic się nie stało i że teraz najważniejsze jest, aby wspólnie zmierzyli się z tym, co ich spotkało. Lecz kiedy przyglądała mu się niepostrzeżenie, widziała cierpienie na jego twarzy. Wiedziała, że w jego oczach straciła coś w rodzaju niewinności. W jego wzroku pojawiła się czujność, podobnie jak w jego głosie. Było to prawie niedostrzegalne, ale dla niej mimo wszystko bardzo wyraźne – równie dobrze mógłby wbić w nią nóż i go obracać.

Leżała jeszcze trochę, patrząc w sufit i czując jego obecność obok siebie jako niepokojący ciężar. Wszystko tak koszmarnie się pokręciło. Był od niej zależny, a to ostatnia rzecz, której chciała, i on doskonale o tym wiedział. To ona potrzebowała pomocy i siły, której on już w sobie nie miał. W każdym razie w tej chwili. To ona znajdowała się w niebezpieczeństwie, prześladowana przez mężczyznę w srebrnym volvie, i to ona chodziła z nerwami w strzępach.

Przyglądała się wykrojowi jego ust i nierównemu zarostowi kontrastującemu z delikatną skórą tam, gdzie nie miał blizn ani zadrapań. Przesunęła wzrokiem wzdłuż pionowej zmarszczki na czole i omiotła oczy, pulsujące niespokojnie pod ciężkimi powiekami.

W końcu wstała. Było wpół do szóstej, ale wiedziała, że już nie zaśnie. Ubrała

się i zeszła na dół, gdzie z kojca spojrział na nią pies, po czym ponownie ukrył pysk pod ogonem i wrócił do spania. Z lodówki wyjęła chleb i ser i zaparzyła kawę. Po chwili jej zapach wypełnił cały parter.

Wszystko to zanosła do salonu i usiadła. Zza czerwonego buka sąsiadów skradała się cienka poranna mgła, a horyzont za skoszonymi polami malował się na czerwono i żółto.

Dicte jadła i piła kawę, siedząc na kanapie. Włączyła telewizor i przerzuciła na CNN. Miała wrażenie, że najlepiej myśli jej się, gdy otaczają ją dźwięki. Może to choroba zawodowa, której się nabawiła po latach siedzenia w biurach redakcji, gdzie dziennikarze bez ustanku rozmawiali przez telefon?

I tak przy włączonym telewizorze i śpiącym psie udało jej się odsunąć od siebie własne emocje i problemy z Bo. Wiedziała, że jest coś, co może pomóc w wyjaśnieniu sprawy surogatek. Gdyby tylko odkryła, co to takiego.

Wróciła pamięcią do tamtego wieczora, kiedy znaleziono ciało kobiety w porcie i kiedy wszystko się zaczęło. To wtedy Bo poinformował, że wyjeżdża do Iraku, i tego samego dnia uświadomiła sobie, że Rose jest zakochana w Azizie. Potem znaleziono noworodka i odkryto, że dziecko ma inne DNA niż jego matka. Co właściwie pomyślała, gdy ujawniono tę informację? Do jakich wniosków doszła policja? Że chodziło o pojedynczy przypadek? Że samotna kobieta zgodziła się zostać zastępczą matką dla zrozpaczonej i zamożnej pary? Jak sobie wtedy wyobrażali przebieg cesarskiego cięcia? Najbardziej prawdopodobne, że stało się to gdzieś niedaleko portu, bo od śmierci dziewczyny nie minęło wiele czasu. Oczywiście powinni byli rozważyć ewentualność, że chodzi o więcej niż jedną kobietę. Najwyraźniej jednak nikt tego nie zrobił, nawet policja.

Ugryzła kęs kanapki i popiła kawę. Ona zresztą też była zajęta innymi rzeczami. Bo. Zakochaniem Rose. Swoim własnym zakochaniem?

Wiedziała, że zakochanie to nie było właściwe słowo, raczej zauroczenie. Znów poczuła niesmak, ale mimo wszystko coś – może jakaś ukryta skłonność do masochizmu – kazało jej przywołać w pamięci epizod z Jeppem.

Nie rozmawiali ze sobą od tamtego czasu. Celowo przestała chodzić na siłownię, a dla Anne i Idy Marie miała tylko kolejne wymówki. Ale to nie może trwać w nieskończoność.

Spojrziała na zegarek. Zrobiło się wpół do siódmej. Posiedziała jeszcze chwilę

i dopiła kawę, a w myślach przetestowała najróżniejsze słowa i wyjaśnienia, aby się dobrze przygotować. Potem znalazła w książce jego adres i pojechała do Risskov.

Trafnie obstawiła, że jego dom to willa o prostej bryle utrzymanej w stylu funkcjonalizmu. Ściany zostały pomalowane na jasnożółty kolor. Ogród był zadbane, a wysokie krzaki i drzewa chroniły przed ciekawskim wzrokiem przechodniów.

Powoli przejechała obok. W jednym z pomieszczeń – domyśliła się, że to kuchnia – paliło się światło. Wszyscy już wstali i pewnie jedli śniadanie. Kawałek dalej zjechała na bok, żeby widzieć główne wejście. Zamierzała ruszyć za nim, kiedy będzie jechał do pracy, i porozmawiać na parkingu przy Marselisborgu. Lecz kiedy piętnaście minut później otworzyły się drzwi, Jeppe stanął w nich z biszkoptowym labradorem i smyczą w ręce.

Przez chwilę przyglądała mu się z samochodu. Czego się spodziewała? Nie poczuła żadnego ciepła w podbrzuszu, a serce nie przyśpieszyło ani o nanosekundę. Wyglądał na tego, kim był: zwyczajnym, zabieganym ojcem rodziny, którego żona pewnie wygoniła z psem, bo dzieciom się nie chciało wyjść.

Gdy podszedł bliżej, otworzyła drzwi i wysiadła.

– Cześć.

Stanął i wydawał się zdezorientowany, jakby go wyrwała z głębokiego zamyślenia.

– Cześć – powiedział wreszcie. – Co tu robisz?

Nie było w jego głosie wrogości. Raczej zaskoczenie. Pies przyjaźnie ją obwąchał i Dicte równie ciepło poklepała go po grzbiecie.

– Fajny pies.

– Jacques – powiedział i uśmiechnął się zawstydzony. – Mieszka w rodzinie frankofilów.

Dicte wzruszyła ramionami.

– Mój nazywa się Svendsen.

Powiedziała to, żeby wiedział, że nie on jeden dał swojemu psu dziwne imię. Oraz żeby powiedzieć cokolwiek, co trochę rozluźni atmosferę między nimi.

Nie pytając go o zdanie, ruszyła dalej razem z nim i psem.

– Właściwie to przyjechałam cię przeprosić – powiedziała. – Albo raczej się wytłumaczyć.

Spojrzała na niego. Uśmiechał się przyjaźnie.

– Wy tłumaczyć z czego?

Najwyraźniej nie zamierzał jej tego ułatwiać. Będzie więc musiała po prostu to powiedzieć.

– Przerwano nam. Wybiegłam bez wyjaśnienia.

Puścił do niej oko. Jego dawny urok wciąż na nią działał, ale już tylko odrobinę.

– Tak, to był zimny prysznic. Ale domyśliłem się, że to coś ważnego. Coś o Iraku i zasadzce. Choć rzeczywiście mówiłaś trochę bezładnie.

Opowiedziała mu zatem o Bo i jego koledze. Pies przystanął i wysikał się pod żywopłotem.

– Chciałam się po prostu upewnić, czy po tym, co się stało, możemy jeszcze przebywać w tym samym pomieszczeniu.

– Masz na myśli siłownię – doprecyzował.

Pokiwała głową.

– Tak, siłownię.

Spojrzał na nią wnikliwie. Serce zabiło jej mocniej, ale wiedziała już, że nie straci głowy. Był przystojnym mężczyzną o przyjemnym głosie, to wszystko. Jest w stanie nad tym zapanować.

– Już tam nie chodzę – powiedział po chwili. – Mam w tej chwili za dużo na głowie.

Poczuła lekki zawód, ale i ulgę. Przeszli się razem jeszcze kawalek.

– Ty zresztą też jesteś zajęta, z tego co widzę. Czytam twoje artykuły.

Powiedział to ściszym głosem, w zaufaniu. Jakby się jej przyznawał do przeglądania świerszczyków przy latarce pod kołdrą.

– Ta historia o surogatkach... – mówił dalej. – Oczywiście dało mi to do myślenia.

– To znaczy?

Pies ponownie się zatrzymał, tym razem żeby się przywitać z innym psem. Jeppe uprzejmie skinął głową do właściciela i zamienił z nim parę słów, nim ruszyli dalej.

– Opowiadałem ci chyba o sprawie dziecka zakażonego wirusem HIV, u którego nie umieliśmy znaleźć źródła zakażenia?

Wtedy ją olśniło. Bingo. To właśnie na próżno próbowała sobie przypomnieć.

– I wciąż go nie znaleźliście?

Starła się, by jej głos brzmiał neutralnie. Ale Jeppe najwyraźniej zapomniał, że rozmawia z dziennikarką, bo sprawiał wrażenie, jakby chciał wyrzucić to z siebie.

– Dziecko nie zakaziło się od rodziców – tyle wiemy na pewno. I nie, wciąż nic więcej nie znaleźliśmy.

– Więc teraz się zastanawiasz, czy to dziecko mogło zostać urodzone przez matkę zastępczą?

Wzruszył ramionami, w tym ruchu dostrzegła frustrację.

– Oczywiście przemknęło mi to przez myśl.

– I zamierzasz coś z tym zrobić? Na przykład iść na policję?

Jakby nagle się przestraszył swojej otwartości.

– W życiu! Co wówczas będzie z tymi rodzicami? Trudno przewidzieć konsekwencje prawne. A poza tym obowiązuje mnie przecież tajemnica lekarska.

Pies szarpnął smycz, ale Jeppe był stanowczy.

– Nie, Jacques. Dalej nie idziemy. Wracamy do domu.

Jeszcze przez chwilę zastanawiała się, czy nie powinna spróbować go przekonać. Wyglądało jednak na to, że ich rozmowa dobiegła końca, a on już odbiegł myślami ku innym nagłym sprawom.

– No tak. Ja też muszę już wracać – powiedziała, kiedy dotarli do jej samochodu.

Jeppe schylił się i pocałował ją lekko w policzek.

– Dicte Svendsen, poznanie cię było prawdziwą przygodą. Uważaj na siebie.

W drodze do domu zastanawiała się nad jego ostatnimi słowami. „Uważaj na siebie”. Mimo wszystko musiała się uśmiechnąć, bo na pewno inaczej by się z nią pożegnał, gdyby wiedział, jaki plan właśnie zrodził się w jej głowie.

Metin karmił psa. Przez klapkę w drzwiach wrzucał wielkie kawały surowego mięsa, jakby zwierzę w ciągu nocy zmieniło się w wygłodniałego tygrysa bengalskiego. I rzeczywiście łapczywie pochłaniał jedzenie, warcząc i strosząc sierść. Aziz z bezpiecznej odległości przyglądał się, jak szarpie długie płaty mięsa i błyskawicznie się z nimi rozprawia.

Włożył rękę do kieszeni, gdzie sześciło sześćset koron. Właśnie zrobił rundkę. Odebrał stos dywanów i jakieś zapieczętowane pudełka z mieszkania w City Vest. Posiedział też trochę w budce z burgerami na terenie City Vest, gdzie zjadł lunch i przeczytał gazetę. Musiał ją kupić po tym, jak zobaczył cholerny nagłówek na okładce i poczuł zimny pot na plecach. Przez mdłości nie mógł dokończyć cheeseburgera, a frytki zostawił niemal nietknięte i zimne.

– Nie wolno mu dawać za dużo – rzucił Metin przez ramię, gdy pies ślinił się nad mięsiwem. – Trzeba zachować równowagę, żeby w następnej walce nie był zbyt ociężały.

Aziz tylko kiwał głową. Myśli w jego głowie gnały jak szalone. Czuł się tak, jakby miał do rozwiązania krzyżówkę. Znał już część liter, ale wciąż brakowało mu zbyt wielu, aby się domyślić, w jaki wyraz się układają. Jedną rzecz wiedział na pewno. To wszystko miało związek z artykułem w gazecie i kobietą w porcie. Surogatki. Dziewczyny przemycane do kraju najprawdopodobniej z Europy Wschodniej.

Podrapał się pod brodą. Dobrze będzie wrócić do domu i się wykapać. Czuł się na wskroś brudny po wizycie w warsztacie i przybudówce. Wiedział, że nie były to tylko sadza, smar i cały brud przynależny warsztatom.

Znów przypomniał mu się artykuł. Studiował medycynę i oczywiście zdawał sobie sprawę, co jest potrzebne do przeprowadzania tego typu zabiegów: coś w rodzaju kliniki. Jakieś laboratorium, w którym można przygotowywać komórki jajowe i plemniki i potem łączyć je ze sobą. Nie wystarczy znaleźć dziewczęta, które mogłyby być surogatkami, i par, które nawet w dobrej wierze oddadzą swoje plemniki i komórki jajowe. Tu niezbędna jest również wiedza. Laborant

i pielęgniarka, i oczywiście lekarz, który się zna na bezpłodności. Potrzebne są sterylne warunki i przede wszystkim sterylny sprzęt.

Rozejrzał się wokół i jeszcze raz ukradkiem omiół wzrokiem pomieszczenie, kiedy razem z Metinem ruszyli z powrotem do garażu, gdzie w swoim małym kantorku siedział wujek Metina i grzebał w niewielkim stosie papierów. Wszędzie panował straszny brud. Nawet w biurze było pełno plam ze smaru, a stosy dokumentów pokrywała gruba warstwa kurzu. W każdym kącie wisały pajęczyny, a płyty na suficie wyglądały tak, jakby w każdej chwili miały odpaść. Jeśli Metin i jego wujowie byli w to zamieszani, to na pewno nie jako profesjoniści.

W myślach zdążył już prawie całkiem oczyścić Metina i jego wujków z jakichkolwiek podejrzeń, kiedy przed oczami stanął mu widok kobiety w porcie i od razu połączył się z opisem młodej dziewczyny, która została zadżgana. Brudna robota, pomyślał. Tym przecież zajmują się Metin i jego wujkowie.

Przyglądał się Metinowi, który ściszym głosem rozmawiał o czymś z wujkiem. Coś, być może jakieś polecenie, nie spodobało się mu. Całe ciało miał napięte, a w jego oczach pojawił się błysk wściekłości. Tylko przez szacunek dla wujka i jego głos, teraz odrobinę donośniejszy, Metinowi udało się powstrzymać nerwy na wodzy. Lecz ramiona wciąż trzymał odsunięte od tułowia, a dłonie zaciśnięte w dwie twarde kule.

Metin był w stanie zabić. I nie miałby najmniejszych problemów ani skrupułów, żeby wyrzucić kobietę z samochodu i zostawić w porcie. A w napadzie szału mógłby również zadżgać inną kobietę. Aziz wiedział, że jego dawny kolega miał to w sobie. Zawsze to wiedział.

Słońce wciąż przypiekało, choć powietrze zrobiło się ostatnio bardziej rześkie. Zanim pojechał do domu, usiedli na chwilę z Metinem na podwórku na dwóch starych rozkładanych krzesłach i wypili colę.

– Jak się właściwie nazywa ta twoja dziewczyna?

Pytanie zabrzmiało niewinnie, kiedy siedzieli spokojnie, patrząc przed siebie. Na starej Viborgvej prawie nie było ruchu, ale Aziz udał, że przejeżdżający akurat niemiecki mercedes z długą przyczepą kempingową niesamowicie go zainteresował.

– Czemu pytasz? – zapytał w końcu.

Metin przybrał swój urażony ton i Azizowi wydało się, że słyszy w nim ukrytą

groźbę.

– Przepraszam, staram się tylko być miły.

Czy oni mogli wiedzieć? Nie widział się z Rose od kilku dni. Nie chciał, aby została w cokolwiek wmieszana. Poza tym tak okropnie się czuł z tym, co się stało nad rzeką, że rozmawiał z nią tylko przez telefon i jedynie przez chwilę. Kiedy mu opowiedziała o tych wydarzeniach, a on zyskał pewność, że ani jej, ani jej matce nic nie jest, rozłączył się, obiecawszy, że wkrótce się zobaczą.

Zerknął ukradkiem na Metina, który odchylił głowę i wlał sobie letnią colę prosto do gardła. Czy to był test? Czy to wszystko zostało ukartowane?

Jak daleko jest gotów się posunąć? Dlaczego sam nie powie: dość, i się nie wycofa? Dlaczego tak mu zależy, by się dowiedzieć, kto jest w to zaangażowany? Przecież to nie dotyczy go osobiście. No tak, tylko że teraz dotyczyło. Teraz i on był zaangażowany. Mieli na niego haka i nie może się nagle odciąć bez poniesienia konsekwencji. A poza tym, pomyślał, gdy Metin głośno beknął, jest już chyba blisko wyjaśnienia.

Skulił się w sobie. Czuł się, jakby niósł ogromny ciężar, i najchętniej by go z siebie zrzucił.

– Może to prawda, co mówi Mustafa – zagał Metin.

Ewidentnie chciał, żeby się dopytywał, więc Aziz to właśnie zrobił.

– A co mówi Mustafa?

Metin przyjrzał mu się bacznie. Aziz zaczął się pocić pod jego wzrokiem, ale wiedział, że nie wolno mu spuścić oczu.

– Już wtedy to mówił – powiedział w końcu Metin filozoficznie, patrząc przed siebie i śledząc wzrokiem przejeżdżającą cysternę.

Aziz czekał cierpliwie. Od zawsze ulubioną rozrywką Metina było podburzanie Mustafy i jego przeciwko sobie nawzajem. Teraz Mustafa również pracował dla wujków Metina. Ze dwa razy zrobili razem rundę i Aziz miał wrażenie, jakby odradzała się ich dawna zażyłość.

– Powiedział, że zrobiłeś się za bardzo duński.– Metin charknął na bok. – I że nie jesteś dobrym muzułmaninem.

A od kiedy to Mustafa był dobrym muzułmaninem? Wszyscy z ich ekipy pili alkohol, jedli hot dogi z przyczepy i ganiłi za duńskimi dziewczynami. Robili dokładnie to, na co mieli ochotę.

– I kto to mówi.

Metin wzruszył ramionami.

– Ostatnio zrobił się bardzo religijny.

– Mustafa?!

Aziz nie potrafił ukryć zdumienia w głosie.

Metin spojrzał na niego. Aziz chciałby zapytać, dlaczego wobec tego Mustafa gania po mieście i załatwia pół, a może i całkiem nielegalne interesy dla wujków Metina, ale się nie ośmielił.

Metin się roześmiał. W jego pustym i chrapliwym jednocześnie śmiechu brzmiała drwina. Za dużo papierosów, pomyślał Aziz. I może też za dużo taniej polskiej wódki bez akcyzy. Metin również nie był wzorowym muzułmaninem.

– O niczym nie masz pojęcia. Ty naprawdę nic nie wiesz, sieroto.

Azizowi wydało się, że oczy Metina zalśniły na żółto, jak oczy tamtego psa.

– Mustafa realizuje własny plan – powiedział Metin tajemniczo do kolejnego przejeżdżającego samochodu. – Zawsze to robił.

Raz jeszcze przenikliwie spojrzał na Aziza. Jakby tlił się w nim jakiś żar. Ale Aziz wiedział z dawnych czasów, że Metin po prostu taki jest.

– A tobie, studenciku – powiedział Metin dziwnie łagodnym szeptem – tobie zawsze zazdrościł. Od samego początku.

Aziz chciał zaprzeczyć, ale nie można było jawnie podważyć tego, co mówi Metin. Zaczął więc rozmyślać. Czy to prawda? Czy za tym, co powiedział, coś się kryje? Czy to po prostu kolejna próba, aby ich poróżnić?

– Dlaczego? – spytał Aziz. – Przecież nie miał mi czego zazdrościć.

Metin wstał. Butelka po jego coli została na ziemi i Aziz, podnosząc się, zebrał obie.

– Dlaczego? – powtórzył Metin prześmiewczo zniekształconym głosem. – No pomyśl. Kto potrafił czarować te duńskie dziewczyny? Kto tylko pstryknął palcami, a już się ustawiały w kolejce?

Drwina była ostra i bezwzględna. Aziz odczuł ją jak kopniak prosto w brzuch.

– Aziz – przedrzeźniał dalej Metin. – Piękny Aziz o oczach jak indyjski książę. Nic dziwnego, że Mustafa nie wytrzymał.

Aziz wyłapał jego słowa.

– Jak to nie wytrzymał? Co chcesz przez to powiedzieć?

Metin wolnym krokiem ruszył z powrotem do warsztatu. Aziz stał i się wahał. Za pięć minut miał autobus z Viborgvej, ale musiał wyciągnąć od Metina więcej.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – powtórzył.

Metin zatrzymał się w otwartych drzwiach warsztatu i się odwrócił. W jego głosie słychać było ojcowską troskę:

– Chodzi oczywiście o tamto wtedy. Ale to przecież dawne dzieje. Pięć lat, nie? Wszystko już zostało zapomniane.

Aziz stał nieruchomo, a słowa powoli zapadały mu w świadomość. Metin zaś, nim zamknął za sobą drzwi, rzucił mu przez ramię:

– Jutro mamy ważną robotę. Musimy przycisnąć tę dziennikarkę.

Plan był szalony i niedorzeczny, ale innego nie miała.

Dicte zaparkowała samochód Bo przed redakcją. Z bagażnika wyjęła swój stary rower. Nie miała czasu go sprawdzić, a nie używała go od roku. Ale przynajmniej w obu kołach było powietrze.

Z samochodu wyjęła długi, znoszony rozpinany sweter, którego też dawno na sobie nie miała. Nałożyła go na koszulkę i spodnie sindbady w piaskowym kolorze, których nogawki ściągnęła przywiezionymi z domu gumkami, sprawiając, że stały się kompletnie aseksualne. Następnie zamknęła auto, torbę umieściła na bagażniku i włączyła się do ruchu.

Była czwarta, kiedy dotarła do szpitala w Marselisborgu. Przypięła rower do stojaka, zdjęła z nogawek gumki i usiadła na ławce w dyskretnej odległości od kliniki.

W jej przekonaniu pora była idealna. Widziała, że pracownicy powoli zaczynają się wykruszać. Kolejno opuszczali budynek, niektórzy pośpiesznie, z rozbieganym wzrokiem i trzymając teczki pod pachą, inni ze zwykłymi torebkami bądź aktówkami, uśmiechając się z zadowoleniem po zakończonym dniu pracy. Jeppego Vrå na razie nie było widać, a jego granatowy peugeot wciąż stał na parkingu.

Dicte próbowała się skupić na tym, po co tu przyszła, ale przed oczami wciąż stawały jej sceny, jakie się rozegrały na czerwonej kanapie, kiedy była tu ostatnim razem. Z miejsca, w którym siedziała, widziała okno jego gabinetu. Pamiętała, jak stanął za nią, jak ją objął i pocałował w kark i ramiona w czasie, gdy Bo w Iraku walczył o życie.

Jak mogło do tego dojść? Jak mogła być tak łatwowierna? Jeppe Vrå miał najwyraźniej w zwyczaju zapraszać napalone kobiety do swojego gabinetu i chwalić się widokiem z okna. Nie powinna była dać się na to nabrać.

Przełknęła ślinę, a może rozczarowanie sobą samą. To już jednak przeszłość. Wolałaby nigdy więcej tu nie przychodzić, ale choć jej plan miał sporo niedociągnięć, pewne było, że nie obejdzie się bez ponownej wizyty w gabinecie z czerwoną kanapą.

Przesiedziała na tej ławce z pół godziny i przeczytała prawie całą gazetę, którą ze sobą przyniosła, kiedy w końcu zobaczyła go, jak lekko zbiega po schodach. Długimi krokami dotarł wkrótce do swojego samochodu, który już wcześniej otworzył pilotem – usłyszała kliknięcie i krótki sygnał wyłączanego alarmu. Obejrzała się za nim, gdy odjeżdżał z parkingu.

Wcisnęła gazetę do torebki, wstała i zdecydowanym krokiem ruszyła w stronę kliniki. Wystarczająco często była u Anne w pracy, by wiedzieć, że pracownicy służby zdrowia nie mają czasu zadawać pytań. Pchnęła drzwi i weszła do środka. W recepcji wciąż byli ludzie, ale panowała już tam atmosfera końca dnia. Jedna z pracownic rozmawiała z recepcjonistką i najwyraźniej właśnie wychodziła, bo przez ramię miała przewieszony cienki płaszcz.

Dicte przywitała się skinieniem świadczącym o pewności siebie i spokojnie ruszyła w stronę schodów. Wolałaby wejść niewidziana przez nikogo, ale uznała, że to niemożliwe. Nie знаła kodu do drzwi, więc liczyła się z tym, że będzie musiała się dostać do budynku, kiedy wciąż będzie otwarty.

Zresztą i tak nie wydawało się, aby ktokolwiek zwrócił na nią uwagę. Domyśliła się, że każda z kobiet w recepcji uznała, że jest znajomą albo pacjentką innej.

W najdalszym końcu budynku znalazła toaletę. Weszła do środka i zamknęła drzwi. Usiadła na opuszczonej klapie, ponownie wyjęła gazetę i uzbroiła się w cierpliwość.

Była siódma, kiedy ostrożnie uchyliła drzwi. Nasłuchiwała. Budynek wydawał się opustoszały, więc zdecydowała się zaryzykować.

Szybko odnalazła gabinet Jepeggo Vrå. Na moment cofnęła się w myślach do chwili, w której po raz pierwszy zobaczyła mosiężną tabliczkę z jego nazwiskiem i tytułem. Z torebki wyjęła rękawiczki do sprzątanania i szybko je nałożyła, boleśnie świadoma, jak żałośnie to wygląda. Wiedziała jednak również, że to konieczne.

Drzwi nie były zamknięte na klucz. Otworzyła je, weszła do środka i szybko zamknęła za sobą.

Usiadła za biurkiem, celowo nie patrząc na kanapę i ignorując widok z okna. Wcisnęła przycisk startu i komputer zaczął się budzić z buczeniem procesora. Na ekranie pojawił się pulpit Windowsa, a na nim rozmaite ikony. Kliknęła w tę z dokumentami, ale system zażądał hasła.

Miała wprawdzie nadzieję, że wszystko pójdzie bardziej gładko, ale liczyła się

z tym, że to nadzieja nikła. Westchnęła i przystąpiła do żmudnych prób. Sprawdziła Jepeggo Vrå w sieci i dowiedziała się o nim co nieco. Wiedziała, gdzie się urodził, poznała przebieg jego kariery w rozmaitych szpitalach i przeczytała o jego pobycie za granicą w czasach studenckich. Wiedziała, jak się nazywają jego dzieci i jego żona, a nawet jego pies. Wiedziała, przy jakiej mieszka ulicy i w jakiej dzielnicy, w którym miesiącu się urodził, że jeździ peugeotem i trenuje na siłowni we Frichsparken. Jedno po drugim wypróbowała imiona członków rodziny, ale komputer odrzucił je wszystkie.

Rozejrzała się po gabinecie, ale nie była w stanie wypatrzyć nic, co mogłoby wskazywać na gust albo przekonania osoby, która w nim urzędowała. Pomyślała, że hasło to zwykle coś osobistego. To zawsze jest coś, co naszym zdaniem wiemy tylko my. Coś, co może pochodzić z najdalszej przeszłości. Wiązać się z jakimś dawnym przeżyciem. Dawna miłość, zmarły pies albo kot. Ksywka z dzieciństwa.

Wypróbowała rozmaite mutacje imienia „Jeppe”. Jepsen, Jeps, Jeppesen. Wciąż bezskutecznie.

Jej wzrok padł na regał z książkami. Wszystkie wydawały się fachową literaturą medyczną o specjalistycznych tytułach. Znów poczuła, że się poci pod ubraniem. Miała wrażenie, jakby spod piersi do pępka zaczął płynąć mały strumyk. To niemożliwe, żeby po tym wszystkim, co zrobiła, miała odejść stąd z pustymi rękoma.

Przerwała na moment. Zamknęła oczy. Próbowwała oczyścić umysł i zacząć od nowa. Kiedy ponownie je otworzyła, jej wzrok padł na nieliczne wiszące na ścianie obrazy. Podeszła do jednego z nich, uważając, by nie dotknąć kanapy. Z podpisu dowiedziała się, że malarz nazywał się Henrik Mathisen. Wróciła do komputera i spróbowała Henrik, Mathisen oraz imię i nazwisko, lecz bez powodzenia. Wróciła więc do oprawionego plakatu Toulouse-Lautreca. Zaraz, zaraz. Czy podczas ich spotkania w Risskov Jeppe nie wspomniał, że jego rodzina to frankofile? Może właśnie ten francuski artysta jest szczególnie bliski jego sercu? Próbowwała rozmaitych kombinacji jego nazwiska, ale system konsekwentnie je odrzucał. Mimo wszystko coś kazało jej szukać dalej w tym kierunku. Przed oczami przewijały jej się rozmaite obrazy. Nicole Kidman w *Moulin Rouge*. Piękna, lecz skazana na rychłą śmierć śpiewa: „Come what may; I will love you «till my dying day»” młodemu bohaterowi granemu przez Ewana McGregora.

Moulin Rouge. Gruźlica. Paryskie kawiarnie.

Zaraz. Nie tak dawno temu w jej głowie pojawiły się podobne skojarzenia. Kiedy to było i gdzie?

Podniosła się od biurka i przez chwilę stała w oknie, podziwiając widok, a jej myśli cofały się w czasie. Bo. Jeppe. Inspekcja Żywności. Bazar Vest. Sekvensen.

Oczywiście. Siłownia Sekvensen. Dzień, kiedy ona i Jeppe po raz pierwszy ze sobą rozmawiali. Zadzwoiła mu komórka. Jednym uchem przysłuchiwała się wtedy jego rozmowie, a umysł na bieżąco przekładał słowa na obrazy. Odwróciła się i spojrzała na plakat przedstawiający dwóch mężczyzn oglądających dwie tańczące kankana dziewczyny. Siedzą przy stoliku z uniesionymi wysoko papierosami w firkach i zielonym napojem w szklankach.

Co takiego Jeppe powiedział wtedy do telefonu? Że coś leżało w folderze z dokumentami. Wtedy wyobraziła sobie prawdziwy folder. Segregator, który można wziąć pod pachę, ale dziś oczywiście folder z dokumentami był czymś innym. Dziś foldery trzymano w komputerach, a te zamykano hasłami. Może to jego sekretarka dzwoniła w sprawie pliku, którego nie umiała znaleźć? A może jego żona? Wtedy jej to przeliterował. A jak alfa, be jak beta, chyba.

Nic więcej nie pamiętała. Z coraz większą desperacją rozglądała się po pokoju i jej wzrok ponownie spoczął na plakacie. Jeppe siedział przy tym biurku i również patrzył na ten plakat, kiedy wymyślał swoje hasło. Café, kankan, drinki. Usłyszała jego głos, kiedy powiedział tamtego dnia: „Nie wiesz co to? To napój alkoholowy”.

Spojrzała na zielony płyn w szklankach mężczyzn z plakatu. Wtedy do niej dotarło:

„Absynt”.

Wpisując hasło, jednocześnie je wyszeptała i chwilę później została zaproszona do systemu.

Odnalezienie kartoteki, której szukała, okazało się zaskakująco proste, bo klinika nie miała zbyt wielu pacjentów w wieku niemowlęcym. Pobrała dokument i wysłała jego kopię na swój adres mailowy. Przez dłuższą chwilę zastanawiała się, jak się to wszystko rozwinie. Ostatecznie stwierdziła, że sytuacja jest zbyt poważna, a zatrzymanie tej informacji dla siebie zaszkodzi sprawie. Znalezienie winnych nie może się opierać na dedukcji tylko jednej osoby, a ona nie może być jedyną, która wie o istnieniu tej kartoteki. Ostatecznie więc, trochę wbrew sobie,

zrobiła jeszcze jedną kopię, załączyła do niej kolejną wiadomość i wysłała całość Johnowi Wagnerowi, w pełni świadoma, że tym samym wtajemnicza go we własne przestępcze działania.

Spojrzała na zegarek. Było wpół do dziesiątej i na szczęście wciąż jasno.

Wyłączyła komputer, rozgrzebała leżące na biurku papiery i zrzuciła na podłogę parę książek. Potem wyszła z gabinetu, zostawiając szeroko otwarte drzwi. Zeszła schodami i wciąż mając na rękach różowe rękawiczki, otworzyła drzwi wejściowe. Opanowanym krokiem ruszyła w swoją stronę. Była niemal przy rowerze, kiedy rozległ się alarm. Szybko zdjęła rękawiczki, schowała je do torebki i wyjęła gumki. Gdy wyjeżdżała, niemal oślepiły ją światła jednego z samochodów agencji Securitas, którego kierowcy najwyraźniej nie zainteresowała kobieta w średnim wieku jadąca na rowerze w kardiganie i z nogawkami spiętymi gumkami.

– Znalazłeś coś, Sørensen?

Funkcjonariusz przy komputerze wzruszył ramionami, co mogło oznaczać wszystko: od frustracji do nadziei.

– Wciąż nic z Danii – powiedział po chwili. – Jest sporo zagranicznych stron z linkami do klinik, które oferują dzieci na zamówienie. Są też ogłoszenia osób prywatnych, które oferują się jako matki zastępcze. Ale i tu nic od nas.

Wagner patrzył w ekran i czuł się beznadziejnie staroświecki, bo cała ta technologia autentycznie go przerażała. Przeszedł masę kursów doszkalających, a mimo to wciąż potrafił wykonać na komputerze tylko najbardziej niezbędne czynności. A i do nich musiał się przemóc.

– Wobec tego musimy szukać dalej – powiedział i poklepał kolegę po ramieniu.
– Kawy?

Policjant pokręcił głową. Wagner stał jeszcze chwilę zafascynowany migoczącym ekranem i szybkością, z jaką tamten wstukiwiał polecenia. Komenda rejonowa Århus dysponowała własnym działem informatycznym, w którym zatrudniony był właśnie Sørensen. Liczyli, że za pośrednictwem Internetu uda im się nawiązać kontakt ze sprzedawcami usług surogatek, ale na razie informatyk przesiedział przed ekranem bite pięć godzin i jedynym rezultatem były trzy puste kubki po kawie i czekający go zapewne wkrótce ból żołądka.

Wagner wrócił do sali konferencyjnej, gdzie wciąż siedzieli jego ludzie. Spojrzał na zegarek, była dziewiąta. Zbliżała się pora, kiedy powinni się rozejść do domów, odpocząć i zrelaksować. Coś jednak powstrzymało go przed zakończeniem zebrania, choć na stole stała już wieża pustych kartonów po pizzy, a z muffinów przyniesionych z całodobowego sklepu na dworcu zostały okruszki i jedna wyschnięta końcówka.

– Nic? – spytał Hansen.

Wagner pokręcił głową. Ivar K, który miał rozpięte górne guziki koszuli, podrapał się po torsie i Wagner pomyślał, że kobiecie ten ruch pewnie wydałby się zmysłowy. Jego zaś wyłącznie drażnił.

– Powinniśmy byli zatrzymać chłopaka z dredami – stwierdził Ivar K z wyzwaniem w oczach. – Gość ma coś za uszami. Jestem gotów zjeść kapelusz mojego ojca, jeśli jest inaczej.

Wagner dostrzegł, że Hansen napiął mięśnie szyi. Oczy miał czerwone ze zmęczenia.

– I co według ciebie miałyby mieć wspólnego ze sprawą? – zapytał z udawanym zainteresowaniem. – Sądysz, że to on jest laborantem? A może lekarzem?

Ivar K obstawał przy swoim. Leniwie wyciągnął się na krześle, aż prawie na nim leżał. Odłamał połowę ostatniego kawałka ciastka i wepchnął go sobie do ust.

– Studiuje medycynę – powiedział, przeżuując.

– We wrześniu będzie na drugim roku – zauważył Hansen. – Nie odróżniłby macicy od nerki.

Pozostali poruszyli się nerwowo. Eriksen bazgrał coś w notesie. Może kolejną zwrotkę do swoich piosenek okolicznościowych, które układał na zamówienie, pomyślał Wagner i poczuł się nieskończenie zmęczony. Petersen wyszedł i przyniósł wodę z baniaka na korytarzu, a Kristian Hvidt wziął ostatni kawałek ciasta, ale położył go tylko na swoim talerzu i intensywnie się w niego wpatrywał.

Wagner chrząknął.

– Słuchajcie. Zanim się rozejdziemy, podsumujmy, na czym stoimy.

Kolejno zaczęli wymieniać ustalenia. Harowali jak woły, ale wciąż bez rezultatów. Kontaktowali się z biurami ewidencji ludności, żłobkami, lekarzami i położnymi, szpitalami, a nawet kościołami, licząc, że ktoś zapamiętał parę, która nagle i niespodziewanie zjawiała się u nich z noworodkiem, albo inne nietypowe okoliczności zwróciły ich uwagę. Dostali kilka wskazówek, które zamierzali sprawdzić następnego dnia, ale niestety nic, co wydawałoby się rozstrzygające. Poza tym środowisko lekarzy było szczególnie hermetyczne. Wagner pomyślał, że pod tym względem są podobni do imigrantów. Bardzo niechętnie udzielali informacji, a zwłaszcza tych poufnych.

Ivar K i Petersen sondowali środowiska prostytutek i narkomanek. Przepytali w związku z tym liczbę kobiet, która mogłaby obsłużyć cały korpus policji w średniej wielkości duńskim miasteczku. Pokazywali im zdjęcia zarówno Swietłany, jak i Katki, lecz nie uzyskali żadnych istotnych informacji. Fotografie rozesłano również do pozostałych okręgów policyjnych w kraju.

– Wschodnich dziwek jest multum – powiedział poetycko Ivar K i nie była to jego pierwsza tego typu uwaga. – Nie brakuje również Tajek, jeśli ktoś jest zainteresowany. Świadczą usługi wszelkiego rodzaju, od francuskich, greckich, aż po...

– Dzięki. Zrozumieliśmy.

Wagner zgniótł papier po muffinach.

– Musimy sprawdzić również sutenerów pracujących w burdelach. Macie nazwiska?

Ivar K wyjął notes z kieszeni koszuli.

– Tylko trzech, którzy mogą być zamieszani w sprawę. To tak zwani biznesmeni ze wschodniej Jutlandii. Dwaj z nich mają wyroki za pobicie, a trzeci jest czysty. – Tu jednak Ivar K pokręcił głową. – Ale to przygłupy. Wykluczone, żeby któryś z nich dał radę ogarnąć coś tak złożonego logistycznie. Jeden był kierowcą ciężarówki, drugi służył w armii, a trzeci jeździł kiedyś koparką w zakładzie usług komunalnych.

Wagner, choć być może nie użyłby dokładnie tego określenia, był skłonny zgodzić się z Iwarem K. Podobnie jak uważał, że Hansen ma rację, podchodząc sceptycznie do teorii o zaangażowaniu w sprawę środowiska imigrantów. Ale na tym właśnie polegał problem. Do takiej działalności potrzeba specjalistycznej wiedzy. A gdzie można ją zdobyć, jeśli nie wśród lekarzy?

– Mimo wszystko trzeba ich ściągnąć do bazy i zadać im parę pytań – stwierdził dla pewności.

Dalej rozmawiali o badanych wątkach i planach działania na następny dzień. Teorii i koncepcji im nie brakowało, ale wciąż były to tylko luźne poszlaki. Nie mieli żadnych dowodów, które mogłyby się utrzymać w sądzie.

Zwątpienie wraz ze skrajnym wyczerpaniem sprawiły, że pokój na moment zawirował.

Wagner przytrzymał się krawędzi stołu, jednocześnie przyznając przed samym sobą, że jest jeszcze inny powód, dla którego tak bardzo nie chce kończyć zebrania, i nie ma on nic wspólnego ze sprawą.

Obawiał się powrotu do domu. Spotkania z Idą Marie, na które normalnie zawsze się cieszył i które uważał za nagrodę po całodniowej ciężkiej pracy.

Zamknął oczy, ale wtedy wirowanie przeszło w zawrót głowy i zajście z poranka

uparcie domagało się jego uwagi.

Wychodził już z domu, kiedy zauważył dwie ulotki. Położyła je na stoliku w przedpokoju, gdzie nie mógł ich nie dostrzec. Najwyraźniej nie widziała związku pomiędzy prowadzonym przez niego śledztwem i jej własnym marzeniem o kolejnym dziecku, ale powinna była go widzieć. Powinna była zrozumieć, że on w tej chwili naprawdę nie ma głowy, by się zajmować sprawami osobistymi. I chyba przez ten brak zrozumienia tak się w nim zagotowało. Nim jego mózg zdążył ocenzurować słowa, wyrzucił je z siebie, a ich moc rażenia okazała się druzgocząca.

Stała tuż za nim, kiedy się schylił i wziął do ręki najpierw jedną, a potem drugą ulotkę. Obie reklamowały kliniki leczenia bezpłodności. Powinien był usłyszeć, że w panice z trudem łapie oddech, kiedy odwrócił się na pięcie i uniósł je wysoko jak zabójca nóż.

– Za kogo ty się uważasz, co? Naprawdę jesteś w stanie myśleć tylko o sobie?

Pobladła z przerażenia. Bezwiednie otworzyła usta i od razu je zamknęła, nie wydając dźwięku. Instynktownie przycisnęła dłoń do szyi, jakby się bała, że ją udusi. Lecz nawet jej szok i bezbronność nie były w stanie stłumić jego gniewu.

– Czy masz jakiegokolwiek pojęcie, o co mnie prosisz? Czy jesteś w stanie sobie wyobrazić, jak ja się czuję, kiedy dzień w dzień muszę się zajmować martwymi kobietami i dziećmi, i ludźmi, którzy z powodu egoizmu i ślepego pragnienia rozmnażania się zapominają o moralności?

Z wściekłością rzucił ulotki na podłogę, gdzie wylądowały z cichym plaśnięciem. Potem się wyprostował, wziął swoją torbę i zdążył tylko dostrzec łzy, które cichymi strumieniami popłynęły po jej policzkach. W desperacji, by nie powiedzieć jej czegoś jeszcze, otworzył drzwi i uciekł.

– Wszystko w porządku? Jesteś blady.

Głos Hansena przedarł się do jego świadomości. Wagner pokiwał głową i Ida Marie stopniowo zaczęła znikać mu sprzed oczu.

– Tak, wszystko dobrze.

Wziął łyk zimnej kawy, bo zaschło mu w gardle. Następnie rozejrzał się wokół i stwierdził, że nie on jeden od dawna nie przespał spokojnie nocy. Nawet Ivar K wyglądał tak, jakby zmogło go zmęczenie, i siedział zgarbiony z brodą wspartą na dłoni. Eriksen zarzucił bazgrolenie w notesie i już tylko wyglądał sennym

wzrokiem przez okno. Wagner uznał, że dalsze przeciąganie zebrania byłoby zwyczajnie nieodpowiedzialne. Wstał więc i powiedział:

– Chodźmy do domu. Widzimy się tutaj jutro o dziewiątej.

Stoły i krzesła zaszurały na linoleum. Pudełka po pizzy i papier po ciastkach siłą wepchnęli do kosza na papiery. Wagner na moment zastanowił się jeszcze, czy nie pójść na górę i nie sprawdzić maila, ale winda się zepsuła, a on miał wrażenie, że nogi płaczą mu się na samą myśl, że miałyby wejść na trzecie piętro.

Wyłączył światło i zamknął drzwi, po czym zszedł na podziemny parking.

W domu znalazł wiadomość od Idy Marie, że razem z Markusem pojechali do jej matki, która dostała silnego ataku kamieni żółciowych. Alexander był u jego siostry, Hanne.

Zastanawiał się, czy nie zadzwonić do Idy Marie na komórkę, ale właściwie nie wiedział, co miałyby jej powiedzieć, a do tego było po dziesiątej. Usiadł więc tylko z piwem i kanapką z salami w fotelu i puścił Bacha. Kiedy gwałtownie się obudził, stwierdził, że jest druga i przespał w fotelu całe trzy godziny.

Poszedł więc do sypialni i leżał bezsennie, dopóki nie zadzwieczał budzik.

Następnego dnia komórka Idy Marie była wyłączona. Wiedział, bo wielokrotnie próbował się do niej dodzwonić, jednocześnie nawigując samochodem w porannym ruchu i wiedząc, że za używanie telefonu grozi mu mandat.

Stojąc na skrzyżowaniu przy Ringgade, zerknął na siebie w lusterku. Spał góra trzy godziny i nie spodobało mu się to, co zobaczył. Szybko więc z powrotem skupił wzrok na jezdni, aby widok trupio bladej twarzy i czerwonych oczu nie zapadł mu w pamięć zbyt głęboko.

Ledwie zdążył otworzyć drzwi gabinetu i zebrać papiery na poranną odprawę, kiedy zadzwonił telefon na jego biurku.

– Dzieńdoberek, brachu – przywitał się rześki jak skowronek Haraldsen z głównej siedziby Centralnego Biura Identyfikacji Linii Papilarnych w Kopenhadze. – Jak leci?

– Aaa...

Wagner przez moment potraktował pytanie serio i zastanawiał się, czy opowiedzieć temu człowiekowi, którego znał z pracy i rozmaitych kursów doszkalających, o swoich kłopotach ze spaniem i Idą Marie oraz o kamieniach

żółciowych jej matki, lecz coś w głosie Haraldseny kazało mu skierować myśli na inne tory.

– A u ciebie? Czemu zawdzięczam ten zaszczyt? – zapytał ostrożnie.

– Bingo! – ogłosił z dumą Haraldsen.

– To znaczy?

– Mamy dla ciebie zgodność.

– Jaką zgodność? – Wagner nie miał pojęcia, o czym tamten mówi, i powoli tracił cierpliwość.

Znał jednak Haraldseny wystarczająco długo, by wiedzieć, że nie ma sensu poganiać kolegi.

– To był czysty przypadek – zaczął Haraldsen, który dobre wiadomości z sadystyczną lubością przekazywał w długich pasażach. – Pomyślałem, że skoro mamy teraz dwie tak ważne sprawy i obie w Århus, to przecież niewykluczone, że... no wiesz, małe miasteczko na prowincji, gdzie wszyscy wszystkich znają. Niemalże.

Wagner jęknął.

– Haraldsen, cholera, do rzeczy!

– Dobra już, dobra – zgodził się Haraldsen. – No więc porównałem odcisk z torebki heroiny zarekwirowanej przy Munkegade z odciskiem z worka, w którym było niemowlę.

Wagner wstrzymał oddech, ale wiedział, że Haraldseny trzeba teraz ładnie poprosić, by mówił dalej.

– I?

Wraz z tym słowem wypuścił powietrze.

Haraldseny zrobił teatralną pauzę. Wagner usłyszał, jak szeleści jakimiś kartkami.

– Są identyczne.

Wagner patrzył przez okno, starając się jednocześnie przetworzyć tę wiadomość w głowie.

– Chcesz przez to powiedzieć, że osoba, która umieściła dziecko w lodówce, jest zamieszana w handel narkotykami?

– Dokładnie tak – potwierdził Haraldsen.

Dobry Boże. Czyżby to było aż takie proste? Wagner poczuł, jak nagle wszystko staje na głowie, z jego ciała uchodzi zmęczenie i wstępuje w nie nowa energia.

– Nie masz przypadkiem również nazwiska?

Zadając to pytanie, wiedział, że na czole świeci mu się wielka czerwona lampka ostrzegawcza, że prosi o zbyt wiele, i wbrew logice zapragnął je cofnąć.

W słuchawce zaszumiało, kiedy Haraldsen zrobił głęboki wdech, jakby zbierał siły, lecz Wagner słusznie zgadł, jaka będzie odpowiedź.

– Pracujemy nad tym.

Brugsen w Mejlby otwierano o dziesiątej.

Dicte wysiadła na małym parkingu przed sklepem. Gorące powietrze już migotało nad asfaltem, a każdy chłodniejszy powiew natychmiast tłumilo wysokie ciśnienie atmosferyczne i idące z nim w parze piekące sierpniowe słońce. Z Kasted jechała tu samochodem Bo dwadzieścia minut. Spódnica kleiła jej się do ud, a ona sama czuła się uwięziona w letniej aurze, która najwyraźniej się zapomniała i zdecydowała zostać na zawsze.

Z wnętrza wyszła ubrana w fartuch kobieta w średnim wieku i ustawiała przed sklepem wiadra oraz stojaki z kwiatami. Dicte poprawiła sobie torebkę na ramieniu i ruszyła w jej kierunku.

– Bardzo ładne.

Oglądała wiązanki róż, pochyliła się i wciągnęła nosem słodki, wilgotny zapach, który przywodził na myśl upragniony deszcz.

– To prawda – odparła uprzejmie kobieta. – Róże mają coś w sobie.

Poprawiła wiązanki i zrobiła miejsce na kolejne wiaderko – tym razem z chryzantemami, za którymi Dicte nigdy nie przepadała.

– Można przynieść róże świeżo upieczonej mamie? – zastanawiała się głośno Dicte, oglądając kwiaty, wśród których stały też rośliny doniczkowe. Wszystkie świeże, prężyły się i rozpuszczały wokół całą gamę aromatów.

– Oczywiście – powiedziała kobieta bez wahania. – Róże pasują na każdą okazję. I może do tego jakiś miś albo drobiazg dla malucha – podsunęła. Wyglądała jak radosna, lekko zwariowana Ciotka Klotka. Miała figlarne oczy, trwałał ondulację, a ruchy energiczne i szybkie. Dicte pomyślała, że może mieć koło pięćdziesiątki.

Zdjęła ze stojaka wiązankę różowych róż. Z bliska widać było na ich płatkach małe krople wody. Dicte domyśliła się, że kwiatki są świeżo po porannym prysznicu.

– Nie znam za dobrze tej okolicy – zagaiła po chwili. – Nie wie pani może, gdzie jest Helbovej?

Na moment na twarzy kobiety pojawił się wyraz zrozumienia.

– Jest pani znajomą Johna i Katrine? Spod czwórki?

Dicte przytaknęła.

– Byłam za granicą – skłamała. – Nie widziałam jeszcze małego.

Nowa znajoma Dicte uśmiechnęła się szeroko, ukazując dwa głębokie dołeczki w policzkach.

– Och, jest taki słodki, nasz mały Rasmus. Dziś kończy pięć miesięcy.

Dzięki ci, Boże, za małe wiejskie społeczności, gdzie ludzie najwyraźniej wciąż wiedzą, co słyhać u innych. Dicte przez chwilę zastanawiała się, czy nie spróbować wyciągnąć od niej czegoś więcej, ale widać był to ulubiony temat jej rozmówczyni i żadne podpytywanie nie było potrzebne.

– Wie pani, to było pewne zaskoczenie – wyznała i poprawiła na stojaku dwie smużyny płożące. – Tak długo czekali, aż nagle wszystko potoczyło się błyskawicznie. Choć po Katrine nic nie było widać – dodała z podziwem w głosie. – Niemal do samego końca została szczuplutka jak trzcina.

Zmrużyła oczy i spojrzała pod słońce, jakby gdzieś na bezchmurnym niebie kryło się wyjaśnienie tego cudu.

Dicte pochyliła się i odłożyła wiązanekę z powrotem do wiaderka. Zamiast niej wyjęła żółty bukiet.

– Szczęściara. Ale jakiś brzuszek musiała chyba mieć? – skomentowała i postarała się, by w jej głosie zabrzmiała stosowna dawka zazdrości. – Ja w ciąży z córką przytyłam piętnaście kilo – dodała. – Nie ma sprawiedliwości na świecie.

Kobieta oberwała dwa uschnięte liście z dwóch roślin doniczkowych i strzepnęła odrobinę ziemi z półki, na której stały. Osobista informacja, jaką Dicte zdecydowała się z nią podzielić, najwyraźniej zachęciła ją do jeszcze większej poufałości.

– Oczywiście nie widziałam jej w ostatnich trzech miesiącach ciąży, bo byli wtedy w Anglii. John dostał tam zlecenie dla swojej firmy – dodała. – To dlatego mały urodził się w Londynie.

Kobieta mrugnęła porozumiewawczo do Dicte, która nie do końca wiedziała, co chciała przez to powiedzieć.

– Oczywiście w obłędnie drogiej klinice, bo Katrine musi mieć wszystko, co najlepsze. Zresztą sama pani pewnie widziała, jak John ją rozpieszca. Prywatny

pokój i menu jak z pięciogwiazdkowej restauracji, i oczywiście kablówka. Katrine sama o tym opowiadała.

Dicte szybko przeanalizowała słowa kobiety. John i Katrine Henningsen dobrze się zabezpieczyli. Oficjalną wersję dopracowali w najdrobniejszych szczegółach i najwyraźniej dysponowali odpowiednim budżetem, by była wiarygodna.

Przez moment zastanawiała się, czy nie zostać trochę dłużej i nie wyciągnąć od swej nowej znajomej czegoś jeszcze, ale uznała, że powinna uważać, by nie przedobrzyć. Dlatego mruknęła tylko coś i pokiwała ze zrozumieniem głową. Na koniec powtórzyła pytanie o drogę, pożegnała się kilkoma ciepłymi słowami i weszła do sklepu zapłacić za kwiaty.

Potem jechała zgodnie ze wskazówkami, aż znalazła adres. Był to odrestaurowany wiejski dom z czerwonej cegły i z dachem pokrytym czerwoną dachówką. Stał nieco na uboczu, ukryty kawałek od drogi na dużej, pagórkowatej działce. Trawnik porastały stare drzewa owocowe. Dużą część działki w prawym rogu zajmował warzywnik, ale teraz pokrywały go kwiaty. Na tarasie królowały starodawne drewniane meble pomalowane białą emulsją. Przywodziły na myśl domową szarlotkę, bułeczki z cynamonem i kawę nalewaną z dzbanka w niebieski wzór kwiatowy z królewskiej fabryki porcelany. W cieniu dużego parasola stał błękitny wózek dziecięcy. Sceneria emanowała sielanką, współczesność reprezentowała tu jedynie rzeźba z brązu na środku trawnika. Przypominała wystylizowaną postać ptaka siedzącego na piedestale i gotowego, by rozpostrzeć skrzydła i odfrunąć.

Dicte zaparkowała samochód i wysiadła. Przez moment zastanawiała się, czy nie wziąć ze sobą kwiatków – głównie po to, żeby nie umarły z gorąca na tylnym siedzeniu. Ostatecznie zostawiła je w samochodzie i ruszyła podjazdem do drzwi. Pod zadaszeniem stał mały czerwony peugeot 206. Domyśliła się, że to samochód żony. Katrine Henningsen wciąż przebywała na urlopie macierzyńskim. John Henningsen, który według informacji, jakie zdobyła, był partnerem w uznanej kancelarii adwokackiej, o tej godzinie pewnie znajdował się w biurze.

Dicte szybko, zanim zdążyła się rozmyślić, zadzwoniła. Chwilę później usłyszała kroki i w drzwiach ujrzała młodą kobietę. Na wysuniętym w przód biodrze trzymała niemowlę, a w ręce, którą otworzyła, butelkę ze smoczkiem.

Kiedy ich oczy się spotkały, Dicte poczuła, że ogarniają ją wątpliwości. Katrine

Henningsen nie była bogatą, rozpieszczoną kobietą z wyższych sfer, której mąż, starszy od niej o piętnaście lat, kupił dzieciaka, by ją przy sobie zatrzymać. Nie miała makijażu, ubrana była w cienką letnią spódnicę, bluzkę na ramiączkach i płaskie buty. Naturalnie kręcone włosy miała potargane, a niewyregulowane brwi kreśliły dwie wyraźne, ciemne linie na jej poza tym jasnej, szczerzej twarzy.

Dicte nigdy wcześniej jej nie widziała, a mimo to poczuła, jakby coś je łączyło. To tak jakby za granicą rozpoznać w tłumie obcych twarzy Duńczyka.

– Dzień dobry – usłyszała własny głos po chwili niezręcznej ciszy. – Nazywam się Dicte Svendsen.

W spojrzeniu kobiety pojawił się strach.

– Chodzi o kota? – spytała. – Myślałam, że jest w domu, ale błyskawicznie potrafi czmychnąć i czasem wybiega na ulicę.

Zaniepokoiła się tak, że w oczach stanęły jej łzy.

– Nie żyje? Przyjechała pani główną drogą, prawda?

Dicte szybko pokręciła głową i widziała, że tamta oddycha z ulgą. Nie chciała tego robić, ale wiedziała, że właśnie teraz należy wprowadzić element szoku.

– Jestem dziennikarką. Piszę artykuł o surogatkach.

Reakcja była powolna, ale wyraźna. Szczere, otwarte spojrzenie się zamknęło, a Dicte dopiero teraz zrozumiała, że coś tu się nie zgadza. Coś było nie tak z tą twarzą i najwyraźniej uwidaczniało się to najbardziej w sytuacjach, gdy Katrine Henningsen została nieco wyprowadzona z równowagi.

Dicte miała wrażenie, że kobieta przez ułamek sekundy rozważa zatrzęsienie jej drzwi przed nosem. Lecz dziecko na jej biodrze zaczęło gaworzyć, wyciągnęło rączkę i bawiło się włosami Dicte. Złapało jej kosmyk i ona pozwoliła maluchowi przyciągnąć się bliżej.

– Rasmus. Nie.

Zabrzmiało to jak rozpaczliwe wołanie o pomoc. Katrine Henningsen wycofała się w głąb korytarza z dzieckiem, które wciąż kurczowo trzymało Dicte za włosy. Dicte poczuła szarpnięcie, jakby ktoś podpalił jej głowę.

– Proszę, niech pani stąd idzie – poprosiła Katrine. – Mój mąż niedługo wróci.

Znów to poczucie więzi. Kobieta kłamała równie nieporadnie jak ona sama. Dicte pomyślała o Katce i Swietłanie oraz innych młodych dziewczętach wykorzystanych do zaspokojenia macierzyńskich uczuć, które bez tego trafiałyby

w pustkę. Próbowwała odnaleźć w sobie wzburzenie, jakie ją wypełniło, kiedy włamała się do komputera Jeppego Vrå, i które towarzyszyło jej, gdy rano samochodem Bo jechała do Mejlby. Tymczasem jedyne, co czuła, to głęboki smutek, a on pozbawił jej głos wszelkiej mocy.

– Na pewno ma pani ochotę porozmawiać – powiedziała cicho. – To musi być dla pani trudne. Burza, która rozpętała się w mediach.

Na twarzy Katrine Henningsen wyraźnie malował się strach, ale nie było w niej widać oznak wrogości.

– Może wcale pani o tym nie wiedziała... – podsunęła Dicte i usłyszała nadzieję we własnym głosie. – Albo nie znała całej prawdy – dodała.

Kobieta patrzyła na nią w skupieniu. Następnie pokręciła głową i przełknęła ślinę. Poruszała ustami, ale nie dobywały się z nich żadne słowa. Dicte wykorzystwała jej milczenie i zapytała życzliwym tonem:

– Mogę wejść?

Katrine stała jeszcze parę sekund, najwyraźniej nie mogąc się ruszyć. Chłopiec puścił włosy Dicte i przeniósł uwagę na naszyjnik od Dyrberg & Kerna, który dostała od Bo na gwiazdkę.

Dicte ostrożnie weszła do środka. Katrine tylko się cofała. Chłopiec, pokrzykując z zachwytem, bawił się zawieszka.

W oczach kobiety pojawiły się łzy i panika.

– Nic się nie dzieje – uspokajała ją Dicte. – Czy możemy gdzieś usiąść i porozmawiać?

Wydawało się, że Katrine Henningsen wreszcie się poddała. Skinęła głową. Następnie otworzyła rączkę dziecka i uwolniła zawieszka. Odwróciła się i ruszyła przodem do dużego salonu, z którego wychodziło się na taras. Podeszła prosto do wózka.

– Właśnie miałam go położyć – powiedziała i odsunęła na bok cienką kołderkę.

Ostrożnie wsadziła dziecko do wózka i przykryła je. Mały sam wyciągnął rączki po butelkę, a gdy mu ją dała, pogłaskała jego policzek z czułością, która ścisnęła Dicte za serce.

– Jest śliczny – powiedziała.

Katrine się wyprostowała.

– I chory.

Dicte skinęła głową.

– Wiem. Ale nic po nim nie widać.

– Nie oddam go.

Słowa zostały wypowiedziane ze stanowczością graniczącą z gniewem. Posłała Dicte spojrzenie pełne bólu i tego czegoś nieokreślonego, co Dicte dostrzegła już wcześniej.

– Wiem, co się dzieje. Czytałam o tym w gazecie – powiedziała Katrine. – Nie wiedzieliśmy...

Dicte czekała. Patrzyła wprost w tę twarz, na której wszystko było jasne i otwarte i na której teraz pojawiły się zawziętość i bunt.

– ...choć może jednak trochę się domyślaliśmy – dodała po chwili wahania, lecz gniew wcale od tego nie osłabł. Kręciła głową, pochylając się nad wózkiem i poprawiając kołderkę. – Możliwe, że to było naganne – powiedziała do dziecka, które zaczęło cicho kwilić. – Mogą mnie wsadzić do więzienia. Mogą mnie powiesić, zastrzelić, mogą zrobić, co chcą. Ale nie mogą mi zabrać Rasmusa. On zawsze będzie moim dzieckiem.

Katrine Henningsen przysunęła sobie krzesło, usiadła i zaczęła z zapamiętaniem bujać wózek. Chłopiec znów się uspokoił. Dicte również przysunęła sobie krzesło.

– Skąd pani o nas wie? – spytała nagle Katrine.

– Tego, niestety, nie mogę powiedzieć.

Jej rozmówczyni najwyraźniej trudno było się skupić na jednej myśli, bo nagle zmieniła temat.

– Nie mogę mieć dzieci – powiedziała. – Miałam trzynaście lat, kiedy usunęli mi oko, a dwadzieścia pięć, kiedy straciłam macicę. Dopiero co się pobraliśmy. John namówił mnie, żeby zamroziła jajeczka.

Spojrzała na Dicte, która już wiedziała, co jej nie pasowało w twarzy tej kobiety. Oczy. Były tego samego koloru, ale w jednym brakowało życia.

– Staraliśmy się o adopcję, ale odmówiono nam z powodu wieku Johna.

Wzruszyła ramionami.

– Mieliśmy nadzieję, że dostaniemy specjalne zezwolenie. Ale nie otrzymaliśmy z powodu postaci mojej choroby. W obu przypadkach miałam raka.

Dicte odwróciła wzrok. Nie chciała tego słuchać. Tęsknota ścisnęła ją za gardło, kiedy przypomniał jej się chłopiec, którego kiedyś tuliła do serca. Tylko przez

chwile, ale ta chwila wystarczyła, by na zawsze zapamiętać uczucie nierozzerwalnej więzi. Czy miała prawo oceniać? Ona, która oddała dziecko, mimo że mogła je przy sobie zatrzymać?

Patrzyła na niebieski wózek i maleństwo, zaciskające rączki na butelce, jakby od tego zależało jego życie. Miała ochotę pogłaskać je po buzi, lecz tego nie zrobiła. Tak to już jest. Człowiek podejmuje decyzje, dokonuje wyborów, a przy okazji wyrządza nieodwracalne szkody sobie samemu i niewinnym ludziom. System sprawiedliwości mógł wymierzyć karę, jeśli się dopuściło przestępstwa, ale w ostatecznym rozrachunku każdy musi się nauczyć żyć ze swoim poczuciem winy.

– Opowie mi pani, jak to zorganizowaliście? – spytała Dicte. – Przez Internet?

Katrine Henningsen wciąż bujała wózek, jakby jej ramię działało niezależnie od jej woli. Twarz była pozbawiona wyrazu – Dicte pomyślała, że może to przez sztuczne oko.

– Napisze pani o tym w gazecie?

– Bez imienia i nazwiska.

Wózek dalej cicho skrzypiał. Katrine Henningsen wodziła wzrokiem po ogrodzie i zatrzymała go na rzeźbie ptaka, jakby chciała zamienić się z nim miejscami.

– Nie. Nie przez Internet – powiedziała wreszcie i zdrowym okiem popatrzyła Dicte w oczy. – Dostaliśmy list adresowany bezpośrednio do nas.

– List? – Dicte usłyszała zdumienie w swoim głosie. – Zatem ktoś musiał was znaleźć – stwierdziła.

Katrine Henningsen pokiwała głową.

– Pamiętam, że nie było żadnego numeru telefonu. Napisano tylko, że ktoś się z nami skontaktuje. Musieli wiedzieć... – Przygryzła wargę. W oczach stanęły jej łzy. – Musieli wiedzieć, jak rozpaczliwie pragniemy dziecka. – Pokręciła głową. – Nie wiem, skąd to wiedzieli. Nigdy nie próbowaliśmy tego dociec. Uchwyciliśmy się tej szansy bez oglądania się za siebie i na nic nie zważając.

Dicte przez chwilę w milczeniu przetwarzała nowe informacje. Korespondencja bezpośrednia, oczywiście bez nadawcy. Staroświeckie, a jednak sprytne, skoro w sieci tak niewiele da się obecnie ukryć przed policją.

– Co było dalej? – spytała.

Katrine wzruszyła ramionami. Przestała bujać wózek i teraz bawiła się cienkim

materiałem spódnicy.

– Rzeczywiście ktoś się z nami skontaktował. Telefonicznie. To było jakby...

Spojrzała na Dicte, najwyraźniej mając nadzieję, że znajdzie w niej zrozumienie.

– W tym była troska. Jakby ktoś chciał dla nas dobrze. Jakby zadzwonił do nas lekarz i po tych wszystkich odmowach miał dla nas dobre wieści. Nie wydawało nam się to naganne czy odrażające. Byliśmy przekonani, że postępujemy słusznie. Również moralnie – dodała.

– W jakim sensie?

Katrine zdjęła nieistniejącą nitkę ze swojej spódnicy.

– Powiedziano nam, że procedura odbywa się w warunkach w pełni profesjonalnych. Że pracuje przy tym cały sztab lekarzy, laborantów i dobrowolnych matek zastępczych i że robią to dla idei. Jako rodzaj protestu przeciwko nieludzkiemu prawu. Że zapłodnienie i poród odbędą się w bezpiecznych warunkach i pod czujnym okiem specjalistów... w klinice.

Dicte chciała jej zadać całą masę pytań, ale musiała uważać. Jedno niewłaściwe słowo, a Katrine Henningsen zamilknie i ponownie się nie otworzy. Oni wiedzieli, że to nielegalne. Ale dostali to, czego pragnęli, a do tego zapłacili dodatkową cenę w postaci choroby dziecka. Katrine była przestępczynią, ale również ofiarą.

– Gdzie się mieściła ta klinika?

Katrine wzruszyła ramionami.

– Nigdy jej nie zobaczyliśmy. Podpisaliśmy pełnomocnictwo dające dostęp do zamrożonych jajeczek i otrzymaliśmy potwierdzenie, że przekazano je lekarzowi specjalizującemu się w leczeniu bezpłodności. John zostawił im próbkę nasienia. I już.

– A co z kobietą, która miała urodzić dziecko? Nigdy jej nie spotkaliście?

Na szyi Katrine pojawiły się wielkie czerwone plamy i przesunęły się na twarz.

– Widzieliśmy tylko zdjęcie – przyznała. Słysząc było, że nie miało dla nich znaczenia, kim jest ta kobieta. Ważne, że będą mieli dziecko. Nad tym, kto je urodzi i w jakich okolicznościach, w ogóle się nie zastanawiali.

Rasmus zaczął płakać. Katrine wstała i ponownie dała mu butelkę. Dicte również się podniosła.

– Co zamierza pani zrobić? – spytała Katrine. Dicte widziała jej niepokój tak wyraźnie, jakby sama go czuła. – Co teraz będzie?

Dicte spojrzała na malucha, który znów się uspokoił przy swojej butelce. Targały nią sprzeczne emocje. Czowała się jak sędzia mający rozstrzygnąć niemożliwą do rozstrzygnięcia sprawę, w której nie będzie wygranych.

– Nie wiem – powiedziała szczerze. – Ale tak przecież nie można. Poświęca się życie i wolność jednych kobiet, aby innym dać wymarzone potomstwo.

Katrine przez moment sprawiała wrażenie, jakby zastanawiała się nad tym, co usłyszała. Następnie pokiwała głową.

– Tak. Ma pani rację, to godne potępienia. I oczywiście od początku zdawaliśmy sobie z tego sprawę. Ale postanowiliśmy udawać, że nic nie wiemy.

Dicte miała zamiar zapytać o coś jeszcze, ale się odwróciła i ruszyła do wyjścia. Chciała, by to wyszło od Katrine. Tak też się stało, kiedy ta odprowadzała ją do drzwi.

– Rozpoznam go, jeśli zobaczę zdjęcie – odezwała się w końcu.

Tysiące nowych możliwości przeleciało Dicte przez myśl. Przez chwilę pomyślała o wątku imigranckim i dwóch śniadych mężczyznach w volvie. O dredach i Rose. I nagle cała jej odwaga skurczyła się i spadła niczym ciężka gruda na dno żołądka.

– On był taki jak pani czy ja – odezwała się Katrine. – Budził zaufanie, bo wyglądał jak dawny kolega ze szkoły. Przedstawił się jako Mark Søndergaard Hansen.

– Więc to Duńczyk? Taki z niebieskimi oczami i blond włosami?

Kobieta przytaknęła.

– Przystojny. Były żołnierz. Powiedział, że walczył w Bośni.

Dicte w najwyższym skupieniu odnotowała, że coś się poruszyło w odległym zakamarku jej pamięci.

Tymczasem Katrine ciągnęła dalej.

– On sam też był chory. Odnosiliśmy wrażenie, że wie, jak to jest.

– Jak to jest chorować?

Katrine przez chwilę wydawała się rozczarowana jej pytaniem.

– Jak to jest nie móc mieć dzieci. Powiedział, że przeszedł białaczkę.

Anne po raz setny spojrzała na zegarek, ale wskazówka przesunęła się o milimetr. Wciąż była jedenasta, może dwie minuty po. Do umówionej godziny pozostała wieczność.

Opróżniała zmywarkę i jednocześnie starała się zapanować nad emocjami. Tłumaczyła sobie, że to nic wielkiego, po prostu jedzie odwiedzić starego emerytowanego pastora. Ale ogromna niewiadoma przyciągała jej myśli ku sobie i Anne trzęsły się ręce, gdy ustawiała filiżanki w szafce, bo być może zbliżała się do poznania prawdy.

Właśnie miała włożyć kolejne dwa naczynia, gdy jej dłoń zatrzymała się w połowie ruchu. Dźwięk oboju Andersa niespodziewanie przebił się z wyciszonego pokoju do ćwiczeń. Oczywiście nie dało się całkowicie stłumić muzyki i z reguły nie przeszkadzało jej, nawet gdy Anders wchodził na najwyższe tony któregoś ze współczesnych kompozytorów, kompletnie niezrozumiałych dla jej uszu, lecz akurat tego dnia wołałaby go nie słyszeć. Dźwięk przenikał ją do głębi i ogarnęła ją niemożliwa do opanowania tęsknota. I choć jej nie nazywała, wiedziała, że to tęsknota za nim, za tym, by poczuć bliskość, nie tylko tę fizyczną.

Od dłuższego czasu bardzo wyraźnie widziała, że Anders porusza się torem równoległym do jej uczuć i potrzeb. Nawet Jacob wysyłał im sygnały, których nie dało się nie zrozumieć. Kiedy po raz Bóg wie której komunikacja między nimi się rwała i padały gorzkie słowa, patrzył z niepokojem to na nią, to na ojca. Ich spięcia nie przybierały formy zaciekłych awantur czy wybuchów złości, były to raczej bezradne wymiany zdań zrozpaczonych ludzi, które jedynie pogłębiały przepaść, jaka się przed nimi otworzyła.

Anne wzięła ręcznik kuchenny i wyżyła go mocno pod ciepłą wodą. Kiedy to się stało? Kiedy przestali się wzajemnie wspierać i starać zrozumieć?

Przetarła stół kuchenny. To jej uporu nie był w stanie znieść. Jej nieustającego poszukiwania prawdy, dla której zaniedbywała całą resztę. Wiedziała, że on się boi. Jednak w którymś momencie, gdy po raz kolejny wycisnęła ręcznik, zadała sobie pytanie: ale dlaczego? Wyjrzała przez okno i się zamyśliła. Dwa lata temu Anders

zbudował w ogrodzie drewniany domek dla Jacoba. Teraz patrzyła na konstrukcję, jakby ją widziała po raz pierwszy. Doceniła staranne łączenia drewna i precyzję, z jaką wykonano ładny, abstrakcyjny wzór, którym potem Anders ozdobił również ich dom. Wtedy tylko lekko się zdziwiła, że jej mąż potrafi robić również takie rzeczy. Teraz ten mały domek wydał jej się symbolem tego, jak słabo go znała. Posiadał talenty i umiejętności, warstwy świadomości i oczywiście tajemnice, o których nie miała pojęcia. Kiedy ostatni raz podjęła próbę, aby go lepiej poznać? W którym momencie dali się uśpić złudzeniu, że nie ma już między nimi nieodkrytych łądów i wiedzą o sobie wszystko?

Mechanicznie wycierała stół papierowym ręcznikiem, a obój snuł swą rozpaczliwą pieśń w tonacji molowej.

Anders nigdy nie był szczególnie rozmowny. Niczym uosobienie stereotypu kobiety to ona była bardziej gadatliwa. Rozwodziła się nad swoim dzieciństwem i dorastaniem, opowiadała mu najróżniejsze rzeczy o byłych chłopakach i przyjaciółkach, i o trudnej relacji z ojcem. A czy Anders kiedykolwiek powiedział jej coś więcej niż to, co było absolutnie konieczne? Co tak naprawdę wiedziała o jego relacjach z rodzeństwem i rodzicami, czy chociażby z dziadkami?

Nastawiła wodę na herbatę, starając się odpowiedzieć na swoje własne pytania. Uświadomiła sobie, że gdy z rzadka rozmowa schodziła na jego przeszłość, on zawsze zwinnie odsuwał się i zamykał w sobie.

Prychnęła sama do siebie, bo zdawała sobie sprawę, że sama siebie oszukuje. To nie on się zamykał, lecz ona nigdy nie próbowała drążyć głębiej. Nie próbowała wyciągać od niego nic więcej, przekonana, że robi to, bo szanuje jego skryty charakter. Wiedziała jedynie, że to on znalazł ojca, kiedy ten powiesił się z powodu depresji. Ale to tylko suchy fakt. Dlaczego nigdy, choćby jeden raz, nie chciał o tym porozmawiać?

Patrzyła na czajnik i słuchała nagrzewającej się wody, kiedy w pamięci odtwarzała niektóre fragmenty ich rozmów. Nagła świadomość uderzyła ją z bezwzględną precyzją, aż niemal zaparło jej dech w piersiach.

Zawiodła go. Powinna była w milczeniu męża usłyszeć modlitwę o pomoc. Lecz potem pojawił się Jacob i to na nim skupiła większość uwagi, zaś Anders zszedł na drugi plan.

– Albo trzeci – wymamrotała, gdy naląła wrzątek do dzbanka i wrzuciła do niego

liście herbaty. Bo przecież w ostatnich latach intensywnie skupiała się też na sobie – najpierw na swojej chorobie, a teraz na rozgrzebywaniu przeszłości, której on tak bardzo się obawiał.

Czekała, aż herbata się zaparzy, po czym rozlała ją do dwóch kubków. Do jednego dolała odrobinę mleka, po czym oba ustawiła na małej tacy. Zeszła na dół do pokoju ćwiczeń i zapukała.

– Tak?

Jego ton był pytający, ale odczytała go jak zaproszenie i nacisnęła kławkę.

– Chcesz herbaty?

Wyglądał na zaskoczonego, kiedy sama również wzięła kubek i usiadła na starej kanapie, przeniesionej do piwnicy z salonu. Odłożył obój i wziął kubek do ręki.

– Co ćwiczysz?

– Mahlera. Drugą część. Kiedy jedziesz?

– Za godzinę.

Przyjrzała mu się badawczo. W najgłębszych zakamarkach brązowych oczu czaił się strach, ale próbował go ukryć.

– Może pojedziesz ze mną?

Spojrzał na nią zdumiony.

– Ja?

Uśmiechnęła się. Podmuchała na gorący napój i podkulila nogi.

– A czemu nie?

Pokręcił głową. Anne wyciągnęła rękę i złapała jego dłoń leżącą na stole.

– Anders, potrzebuję cię.

Po jego twarzy przesunęły się mroczne cienie. Tak łatwo go rozszyfrować, pomyślała i znów poczuła wyrzuty sumienia. Wystarczyło tylko odrobinę się postarać, by uzyskać odpowiedź. Była wypisana wszędzie – w łagodnych oczach, które nagle się mrużyły, w mięśniach żuchwy pracujących bez jego kontroli.

Mruknął coś niezrozumiale.

– Co mówisz?

Ponownie pokręcił głową.

– Mówię, że dasz sobie radę beze mnie. Ze wszystkim – dodał. – Do niczego ci nie jestem potrzebny.

Przez chwilę czuła się tak, jakby kompletnie opadła z sił. Cała pewność siebie

opuściła ją, jakby ją wyssała fala uderzeniowa. Kubek z herbatą stał się ciężki i nieporęczny. Było gorzej, niż sądziła. Ale może zasłużyła sobie właśnie na to.

– Twój tato – zaczęła, ale widziała, że zaciska usta jak dziecko, które odmawia jedzenia. Powiedziała więc raz jeszcze, tym razem szeptem. – Musisz mi pomóc zrozumieć – próbowała go przekonać.

Spojrzał na nią z niedowierzaniem. Bo też dlaczego miałby uwierzyć, że naprawdę ją to interesuje?

– Dlaczego nigdy mi o tym nie opowiedziałeś? Czego się boisz?

Nieufność słyhać było również w jego głosie, gdy spytał:

– A dlaczego nagle tak cię to interesuje? Masz ochotę pogrzebać również w mojej przeszłości?

Ciężar, jaki teraz czuła, był tak wielki, że musiała zacząć zgadywać.

– Zawsze sądziłam, że twój tato chorował na depresję – zaczęła, zmuszając go w ten sposób do rozmowy – ale tak nie było, prawda? To było coś nagłego, tak? Coś niewytłumaczalnego?

Czuła się jak śledczy na komendzie. Jak gestapo, pomyślała. Naprawdę nie była w stanie bardziej się postarać?

Anders ukrył spojrzenie pod długimi rzęsami. Drżały mu płatki nosa, a grzbiet nosa nagle wydał jej się ostry jak brzytwa. Wiedziała, że przegrała, gdy ponownie wziął obój i przystawił go do ust.

Godzinę później jechała do Hinnerup i w głowie wciąż roztrząsała ich rozmowę.

A kiedy skręciła na rondzie przy Ikei i wjechała w Søftenvej, niepokój zawładnął nią bez reszty, łącząc się z tremą przed spotkaniem z księdzem. Co takiego powiedział Anders? Że nie jest jej do niczego potrzebny?

Mocniej złapała kierownicę. Gdyby nie знаła go tak dobrze, mogłaby to odczytać jako sygnał, że zamierza od niej odejść. Ale tak naprawdę, jak dobrze znała swojego męża?

Odbiła w Hinnerup i musiała spojrzeć na mapę. Emerytowany pastor Hannibal Gram kiedyś zapewne mieszkał na plebanii, ale dziś zajmował mieszkanie w centralnej części głównej ulicy. Księgarnia, kwiaciarnia, supermarket i apteka oraz rzędy wieszaków z damską odzieżą ustawionych wprost na deptaku walczyły o uwagę przechodniów. Wybór sklepów był całkiem spory, a mimo to nie zaburzał typowej dla małego miasteczka atmosfery bliskości. Łatwo było uwierzyć, że

wszyscy tutaj się znają.

Gdy zadzwoniła do drzwi, Hannibal Gram otworzył niemal od razu. Jego cała postać sprawiała wrażenie wyblakłej – ot, starszy mężczyzna o pociągłej twarzy, szczupłych kończynach i lekko zgarbionej sylwetce. Wciąż miał na głowie wianek włosów, który Anne widziała na zdjęciu w gazecie, tyle że ich kolor zmienił się na stalowoszary.

Wrażenie bezbarwności szybko minęło, gdy napotkała jego spojrzenie – intensywne i zaciekawione.

– Więc tak wyglądasz – powiedział. – Często próbowałem sobie ciebie wyobrazić.

Nie wyjaśniając bliżej tego osobliwego powitania, podał jej rękę i zaprowadził ją do pomieszczenia, które okazało się salonem, najwyraźniej przeobrażonym w bibliotekę. Książki wypełniały przestrzeń od podłogi po sufit i, jak stwierdziła, nie były ustawione w żadnym szczególnym porządku. Półki ciągnęły się przez całą dłuższą ścianę pokoju oraz zajmowały całą tylną, ale książki nie stały na nich w równych rzędach jak żołnierze. Wyglądały, jakby porwała je lawina, i leżały płasko w stosach albo opierały się o siebie pod ostrymi kątami. W miejscu, gdzie w zamyśle pewnie miał być stół, królowało ogromne biurko, a na przeciwległym krańcu, tam, gdzie padało światło od ulicy, stał wysłużony komplet wypoczynkowy i misternie rzeźbiony stolik z drewna, które mogło przypominać połyskujący na złoto czerwony mahoń. Na ścianach wisiały obrazy olejne i akwarele, a wśród nich było sporo motywów grenlandzkich.

– Proszę, usiądź – zaprosił ją Hannibal Gram i ręką wskazał kanapę. – Nieczęsto jest używana – dodał. – Napijesz się kawy?

Zamierzała odmówić, ale na nakrytym haftowaną serwetą stoliku czekała już królewska porcelana z motywem mewy i miseczka z herbatnikami.

– Dziękuję, chętnie – powiedziała więc i usłyszała, że głos jej drży z powodu jego pierwszych słów skierowanych do niej i wciąż wiszących w powietrzu.

Usiadła i czekała cierpliwie, aż wrócił z dzbankiem, nalał im obojgu kawy i pokazał cukierniczkę i dzbanuszek ze śmietanką. Potem podsunął jej herbatniki i dopiero wtedy sam usiadł. Zgadywała, że musi mieć jakieś siedemdziesiąt pięć lat, ale poruszał się energicznie, a w jego głosie zachowały się autorytet i stanowczość, które zwykle kojarzą się z pastorami.

Dopiero gdy rozsiadł się wygodnie z filiżanką w dłoni i kiedy skosztowali herbatników oraz wymienili uwagi na temat pogody, oparł się wygodnie w fotelu i uważnie jej przyjrzał.

– Twoi rodzice byli porządnyimi ludźmi – powiedział. – Bardzo ich oboje lubiłem. W tamtych czasach na Grenlandii wszyscy żyliśmy jak jedna wielka rodzina.

Anne przełknęła ostatni kęs ciastka.

– Do niedawna nie wiedziałam, że rodzice w ogóle byli na Grenlandii.

Przez chwilę wydawało się, że Hannibal Gram nie wie, co powiedzieć. W końcu pokiwał powoli głową.

– No tak. Rozumiem, że mówienie o tym mogło być dla nich trudne.

– Dlaczego?

Machnął lekko wolną ręką, a filiżanka zadzwoniła na spodku trzymanym w drugiej.

– Z powodu tego, co się tam wydarzyło – wymruczał, jakby mówił do siebie. – Zwłaszcza twój ojciec mógł pragnąć o wszystkim zapomnieć, nawet jeśli to było dla niego niemożliwe.

– Zapomnieć o czym?

Wiedziała, że brzmi jak desperatka. Wyraz jego twarzy podpowiadał, że on to rozumie, ale też sugerował coś innego. Pochylił się ku niej i zanim cokolwiek powiedział, poruszał na próbę ustami.

– Musisz zrozumieć – zaczął – że z powodu lojalności wobec twoich rodziców nie jestem odpowiednią osobą, by ci powiedzieć to, czego chciałabyś się dowiedzieć. Nie jestem z rodziny. Nie byłem z nimi wystarczająco blisko. Potrafię sobie jednak wyobrazić, jak bardzo pragniesz poznać odpowiedź.

Dolał im obojgu kawy, dorzucił cukru i starannie zamieszał. Jego ruch wydawał się kontrastować z panującym w pomieszczeniu chaosem.

– Sądziłem, że ci powiedzieli. Choć z drugiej strony myślę, że twoi rodzice nie byli w tej sprawie jednomyślni. – Wzruszył ramionami. – Może więc zaakceptowali to, że się nie zgadzają, i postanowili nie mówić ci nic.

Anne pokręciła głową.

– Mama chyba próbowała, ale wtedy mnie to nie interesowało i nie chciałam o tym słuchać.

Przytaknął ze zrozumieniem.

– Ach tak. Cóż, mamy więc wyjaśnienie. Ale teraz chciałabyś się dowiedzieć?

Pokiwała głową. Od jego intensywnego spojrzenia zaschło jej w gardle. On coś wiedział. Ten stary człowiek o głosie pastora i z wiankiem włosów wokół łysiny wiedział o niej coś, czego ona sama nie wiedziała.

Chwilę później powiedział z naciskiem w głosie:

– Musisz mi wybaczyć, ale nie mogę ci więcej powiedzieć. Wydaje mi się, że dałem ci to do zrozumienia również przez telefon. Jako jeden z nielicznych zostałem wtajemniczony w sprawę i przysiągłem milczeć. Nie byłbym dobrym sługą Bożym, gdybym nie potrafił dotrzymać przysięgi złożonej z dłonią na Biblii mojego ojca pośród grenlandzkiej śnieżycy.

– Śnieżycy? – Anne była kompletnie skołowana.

Przytaknął. Na moment zamknął oczy i czuła, że myślami wrócił na Grenlandię.

– To był bardzo ciężki poród, a położna nie dotarła z powodu śnieżycy. Twoja matka...

Anne usłyszała wahanie w jego głosie. Chciała zapytać: „Która? O której z moich matek mówisz?”, ale przecież wiedziała, więc milczała.

– Bardzo ciężki poród – powtórzył. – Nie mogliśmy jej uratować.

Anne odczekała, aż dojdzie do siebie. Miała wrażenie, że widzi, jak wspomnienia tłoczą się przed jego oczami.

– Kochałem Grenlandię – wyjaśnił. – Przyrodę. Ludzi.

Spojrzał na nią wzrokiem, który mówił wszystko.

– Więc jestem Grenlandką – stwierdziła, a to słowo zabrzmiało w jej uszach zupełnie obco. – Moja mama była Grenlandką? A ojciec?

Pastor wyprostował się i lekko wzdrygnął. Przeszłość zniknęła sprzed jego oczu i znów popatrzył na nią przepaszajaco.

– Nie jestem odpowiednią osobą – powiedział niemal błagalnie, jakby go prosiła, żeby popełnił jakąś zbrodnię.

– Więc kto? – spytała, bo widziała przecież, że kusi go, by przekazać pałeczkę dalej.

– Adda, siostra twojego ojca – odparł. – W tamtych miesiącach mieszkała w ich domu.

Myśli zawirowały jej w głowie i z najwyższym trudem wydobyła z siebie głos.

– Ciocia Adda?

Pokiwał głową i uśmiechnął się lekko.

– Wyjątkowa kobieta.

Spojrzał na nią i teraz w jego oczach dostrzegła smutek.

– Podobnie jak twoja matka.

Po spotkaniu z Katrine Henningsen w Mejlby Dicte pojechała do redakcji.

W międzyczasie zapomniała wypatrywać srebrnego volva i pogrążyła się w myślach. Poczowała jednak coś jakby szturchnięcie, gdy rzeczywistość ponownie o sobie przypomniła. Spojrzała w lusterko wsteczne i wyjrzała przez okno, by sprawdzić, czy nikt jej nie śledzi.

Nie śledził. Może mimo wszystko dali sobie spokój i uznali, że wystarczająco ją nastraszyli, spychając do rzeki? Pewnie mają też inne rzeczy na głowie, kimkolwiek są.

Zastanawiała się, czy nie powinna dać im wygrać. Czy nie powinna zabarykadować się w domu, zamknąć wszystkich drzwi na klucz i pozaciągać zasłon. Bo by się ucieszył. Pewnie dlatego, że wtedy wiedziałby, gdzie jest i co robi, i ponieważ on sam był uziemiony. Ale może właśnie dlatego, że on tam był i zajmował tak dużo przestrzeni swoimi spojrzeniami i milczącymi wyrzutami, postanowiła obrać strategię przeciwną.

Musi się zachowywać normalnie i spróbować dotrzeć do sedna sprawy. W przeciwnym razie zawładnie nią strach, a do czego to prowadzi, wiedziała aż nazbyt dobrze. Strach ogranicza i paraliżuje, pomyślała, ściskając kierownicę i wymijając ciężarówkę na Randersvej. Strach zagłusza w niej poczucie, co jest słuszne, a co nie. Wiedziała o tym, bo już kiedyś się bała. Najlepiej podjąć otwartą walkę.

Spojrzała w lusterko. Ciężarówkę wyminął jeszcze jeden samochód. Czarny, z napędem na cztery koła. Przez jakiś czas miała go na oku, po czym zwolniła i dała się wyprzedzić. Właśnie tak, pomyślała. Człowiek zaczyna widzieć zjawy. Boi się byle czego.

W ślad za tą refleksją pojawił się gniew. Jak wyglądał ten potworny krąg nieszczęśliwych kobiet, które tworzyły obraz, jaki ostatecznie się wyłonił? Kto ten krąg zapoczątkował? Podaż zastępczych matek? A może popyt na nie? A może wszystko zaczęło się tego dnia, w którym naukowcom udało się stworzyć dziecko poza macicą jego biologicznej matki? Albo pierwszego dnia w dziejach ludzkości,

kiedy kobieta odkryła macierzyństwo i przyjęła je jako część swojej tożsamości?

Dicte wychowała się w latach, gdy kobieca solidarność była jednym z najwyższych priorytetów, i osobiście malowała czerwoną farbą feministyczne hasła na demonstracje. A teraz grzebała w sprawie, w której kobiety wykorzystują inne kobiety w imię świętego macierzyństwa, a następnie same się z tego rozgrzeszają. Czasy się zmieniły. Pełnia szczęścia jako rodzinna sielanka w domu na przedmieściach nie jest już czymś, na co ludzie są gotowi pracować i o co walczyć. Teraz są zdolni dla tego ideału wykorzystywać innych, a nawet stąpać po ich trupach.

W redakcji nie było nikogo.

Usiadła przy komputerze i zastanowiła się nad tym, co Katrine powiedziała o mężczyźnie, który skontaktował się z nią i jej mężem. Żołnierz po służbie w Bośni, białaczka. Nie tak dawno przeprowadziła wywiad z jednym żołnierzem, który również wspomniał o białaczce i o badaniach, jakim poddano wracających z misji, lecz które niczego nie wykazały. Uznała to za zastanawiający zbieg okoliczności i odszukała tamten wywiad. Przeczytała go raz jeszcze. I jeszcze. Potem znalazła w szufladzie swój stary notes z zapiskami z rozmowy i również je przejrzała. Potem puściła nagranie. Przesłuchała całość, ale wciąż nie znalazła w materiale nic, co by ją olśniło.

W końcu znalazła jego numer i zadzwoniła do niego na komórkę.

– Erik Svennevig. – Autorytet wojskowego był wyraźnie słyszalny w jego głosie.

– Mówi Dicte Svendsen – przedstawiła się. – Przeprowadzałam z tobą wywiad dla „Avisen”.

W słuchawce nastąpiła krótka przerwa. W tle płakało dziecko.

– Tak, pamiętam – powiedział. – Wyszło bardzo dobrze.

– Chciałam się tylko upewnić, czy dostałeś egzemplarz, jaki ci przysłałam.

Płacz dziecka się nasilił.

– Przepraszam. To pierwszy dzień choroby małego – powiedział z desperacją w głosie. – Zaraz wracam.

Usłyszała kojące słowa i wyczuła, że wziął dziecko na kolana, zanim ponownie podniósł telefon.

– Dostał smoczek. Powinien pomóc – powiedział pełen nadziei. – Zamierzałem zadzwonić i podziękować – dodał.

– Nie ma sprawy – odparła skromnie. – Pamiętam, że mówiłeś coś o białaczce i że jeden z twoich kolegów zachorował.

– Rzeczywiście.

Zrobiła głęboki wdech, nim zdobyła się na kłamstwo:

– Pomyślałam, że chciałabym przyjrzeć się temu bliżej. Nadać temu wątkowi trochę więcej wagi, jeśli wiesz, o co mi chodzi.

Trafiła w sedno. Gniew Erika aż sączył się ze słuchawki.

– Armia i rząd oczywiście wymigują się od odpowiedzialności, to jasne. Tyle zachorowań nie może być dziełem przypadku.

– Pomyślałam, że może mógłbyś mnie skontaktować z tym kolegą, żebyśmy mogła z nim porozmawiać. O ile oczywiście zechce.

– Ma na imię Mark – powiedział Erik, lecz po chwili w jego głosie pojawiło się zwątpienie – ale nie wiem... wydaje mi się, że jest bardzo chory.

– Mark Søndergaard Hansen? – spytała, jakby oczywiste było, że zna to nazwisko.

Erik znów na moment się zawahał.

– Tak, to on. Od dawna nie miałem z nim kontaktu.

– Wiesz, gdzie teraz mogę go znaleźć?

– Wydaje mi się, że mieszka gdzieś w okolicach Århus. Po powrocie z Bośni nie miałem z nim za wiele styczności. Tam był inny świat.

Inny świat.

Kiedy zakończył rozmowę, Dicte od razu weszła do sieci i wpisała w wyszukiwarkę „Bośnia” i „handel ludźmi”.

Wyników wyskoczyło sporo. Otwierała wyrywkowo artykuły, aż trafiła na stary tekst Reutersa z maja 2000 roku.

„Żołnierze oddziałów SFOR zaangażowani w handel ludźmi”, głosił wytłuszczony śródtytuł jednej z kolumn. Dalej przeczytała o raporcie Komisji Praw Człowieka ONZ. Ujawniono w nim, że cywilny członek SFOR w listopadzie 1999 roku zapłacił trzy tysiące dwieście dolarów właścicielowi baru w miejscowości Vlasenica we wschodniej Serbii za dwie kobiety – Rumunkę i Mołdawkę. Później został zwolniony z pracy w SFOR, lecz nigdy nie stanął przed sądem.

Czytała też o oskarżeniach i pogłoskach, jakoby w handel narkotykami i stręczycielstwo w Bośni zaangażowanych było więcej osób pracujących dla ONZ

i SFOR: „Według raportu ONZ znaczna część zgłaszanych spraw dotyczyła dużego obszaru zwanego «Arizona Market», gdzie było największe zagęszczenie domów publicznych. Niekontrolowany przez nikogo obszar znajduje się na północy Bośni przy granicy pomiędzy muzułmańsko-chorwacką federacją a Republiką Serbską i blisko Chorwacji oraz Jugosławii”.

Dicte przez jakiś czas tylko patrzyła na ekran i słowa migoczące jej przed oczami. Arizona Market. Katka mówiła o Arizonie, ale nie chodziło jej o Amerykę. Arizona leżała w Bośni. Ona i Swietłana w jakiś sposób trafiły w tamto miejsce.

Tak to właśnie musiało wyglądać. Potrafiła to sobie wyobrazić. Wschodnioeuropejskie kobiety wystawione na sprzedaż w burdelach i za trzy tysiące dolarów przekazywane dalej jako niewolnice. Przemycane do Danii i zmuszane nie do prostytucji, lecz do bycia zastępczymi matkami.

Czytała dalej. Wydrukowała artykuł, czując jednocześnie, jak jedzenie podchodzi jej do gardła. Marka Søndergaarda Hansena próbowała znaleźć zarówno w książce telefonicznej, jak i w Internecie oraz poprzez informację telefoniczną, ale nic to nie dało.

Resztę dnia poświęciła na opisanie swojego spotkania z Katrine Henningsen, która w tekście wystąpiła pod zmienionym nazwiskiem, a potem znów szukała w Internecie informacji. Zastanawiała się, czy nie powinna zadzwonić do Wagnera i przekazać mu tego, czego się dowiedziała, ale ostatecznie postanowiła poczekać, aż będzie bardziej pewna swoich racji. Chciała też najpierw omówić to wszystko z Bo.

O wpół do piątej zadzwoniła do niego i powiedziała, że wraca do domu.

Zjechała z Marielystvej w Brendstrupvej, kiedy na siedzeniu pasażera zadzwoniła jej komórka. Wrzuciła kierunkowskaz i stanęła na placu przed dobrze jej znanym wysokim silosem, po czym odebrała.

– Mówi Dicte.

W słuchawce zatrzeszczał nieznany męski głos.

– To ty pisziesz o surogatkach?

Coś kazało jej mocniej złapać telefon.

– Z kim rozmawiam?

– Na twoim miejscu dobrze bym się zastanowił.

Serce zaczęło jej walić jak szalone.

– Kim jesteś?

– Po prostu dobrze ci radzę, nic więcej.

Dicte otworzyła usta, żeby powiedzieć coś jeszcze, ale wtedy to się stało. Ktoś szarpnął drzwi samochodu i silne ręce wyciągnęły ją na zewnątrz. Przed oczami mignęła jej tylko ciemna twarz o dziwnie żółtych oczach i druga, w wełnianej czapce i z upchniętymi pod nią dreadami. Potem ktoś zawiązał jej oczy czymś wełnianym i rzucił ją na tylne siedzenie samochodu.

Dopiero leżąc twarzą na siedzeniu cuchnącym spirytusem i wymiocinami, uświadomiła sobie, że żaden z jej porywaczy nie odezwał się ani słowem.

Oczywiście, że go widziała. I oczywiście, że go rozpoznała, chociaż włosy schował pod czapkę i ustalili, że nie odezwą się ani słowem. Jak to ujął Metin: nie ma potrzeby od razu ujawniać swojego akcentu.

Ucisk w żołądku zelżał odrobinę, ale Aziz wcale nie poczuł się od tego lepiej. Miał wrażenie, jakby całe ciało zalewała mu wzbierająca fala mdłości. Pot pokrył jego skórę cienką warstwą wilgotnej folii i wkrótce jego koszula zrobiła się mokra i lepka.

Wstał z łóżka, na którym leżał, gapiąc się w sufit. Na szczęście nikogo nie było w domu. Nazleen i dwie młodsze siostry poszły do szkoły, a ojciec do pracy. Matka pojechała do galerii handlowej Veri Center po zakupy. Miał mieszkanie dla siebie i tego właśnie potrzebował. Spokoju, żeby się zastanowić. Lecz przed oczami wciąż pojawiała mu się twarz matki Rose, kiedy szarpnęli drzwi jej samochodu. Zasłonił uszy, żeby nie słyszeć jej krzyku przerażenia, ale rozdzierający wrzask nadal odbijał się od jego bębenków: „Nie! Puszczaj!”. Krzyczała i kopała. Goleń czuł do teraz, a zebra miał obolałe od silnego pchnięcia łokciem. „Pomóż mi. Pomóż mi. Pomóż mi, do ciężkiej cholery!”

Nie miał odwagi spojrzeć jej w oczy i nie chodziło tylko o ryzyko, że go rozpozna. Bardziej bał się, że zobaczy Rose w spojrzeniu jej matki i że być może nigdy już nie odzyska swego dawnego życia.

Wgapiał się w plamę na suficie i odnosił wrażenie, że na jego oczach nieustannie zmienia kształt, nie pozwalając mu uporządkować myśli. W co on się, u licha, wpakował? Jak kiedykolwiek zdoła spojrzeć Rose w oczy? Nie wspominając o jej matce. Przegrał wszystko, dał się wciągnąć w coś, nad czym nie jest w stanie zapanować. Jak mógł być taki głupi?

Pomyślał o Rose i próbował przywołać jej obraz, poczuć pod palcami jej delikatną skórę. Wciąż jednak mu się wymykała, a zamiast tego jego umysł bezlitośnie miał to, co się wydarzyło, przepuszczając przez ciało kolejne fale mdłości i wciskając mu je do gardła. Usiadł na krawędzi łóżka. Kręciło mu się w głowie. Pot spływał mu po plecach wzdłuż kręgosłupa, pod pachami i w kroku.

Zataczając się, ledwie zdążył dotrzeć do toalety. Wymiotował, a skurcze wiły się w jego brzuchu jak jadowite węże.

Potem stał pochylony nad muszlą i czekał, aż puls mu się uspokoi. Kiedy spryskał twarz zimną wodą, miał wrażenie, że mu się nieco polepszyło. Powłócząc nogami, poszedł do salonu. Pokręcił się trochę w kółko, aż postanowił obejrzeć jakiś film. Jeden z tych, których nikt z jego rodziny nie lubił oglądać. Stary duński film kupiony za grosze w supermarkecie. Akurat takie uwielbiał oglądać w spokoju. Tego również nie potrafił wytłumaczyć. Może chodziło o to, że pokazywał Danię w jakiś sposób bardziej niewinną niż ta, którą on znał. Była to historia miłosna. Lubił patrzeć na młodą jasnowłosą kobietę i syna gospodarza nieprzytomnie w niej zakochanego. Lecz najbardziej podobały mu się krajobrazy. Sceny zniw, widoki pagórków i dolin, pola, nad którymi niemal zawsze świeciło słońce, a wszystko było takie spokojne i sielskie.

Wyobraził sobie, że można by rozłożyć koc albo kurtkę i kochać się pośrodku takiego pola czy łąki. Myślał o Rose i bardzo tęsknił.

Film ukoił jego nerwy na tyle, że mógł jasno myśleć. Musi się wydostać z tego bagna. Najpierw jednak dokończy misję, jakiej się podjął, i wyjaśni, kto w tym uczestniczy. Wiedział, że w którymś momencie będzie musiał podjąć decyzję, dokonać wyboru – jasnego i czytelnego, aby wszyscy widzieli, po czyjej stoi stronie. Ale kiedy już nadejdzie ten moment, po czyjej właściwie będzie stał stronie? Nie uważał siebie za przestępcę, ani nawet za osobę innego pochodzenia etnicznego, jak to się pięknie nazywało. Lecz czy nie tym właśnie był w tej chwili? I czy aby nie jest tak, że w ostatecznym rozrachunku to właśnie w tych kręgach jest jego miejsce?

Pomyślał o Mustafie. Dawniej byli niemal nierozłączni. Czasem brakowało mu tej przyjaźni, ale Mustafa jakby się odciął. Czy w tym, co Metin powiedział tamtego dnia, gdy siedzieli w słońcu i pili colę, mogło się kryć ziarno prawdy? Nie potrafił w to uwierzyć.

Mimo to gdzieś w tyle głowy obudziły się złe przeczucia. Bo choć Metin mówił o Mustafie, był to zupełnie inny Mustafa niż ten, którego znał Aziz.

Prawdą jest, że Metin zawsze starał się konfliktować ludzi. Takie miał hobby. Niszczenie przyjaźni i nastawianie jednych przeciwko drugim sprawiało mu przyjemność niemal fizyczną. Ale czy mógł się w tym kryć choć cień prawdy? Czy

Mustafa miał cokolwiek wspólnego z tym, co go spotkało przed pięciu laty?

Nagle uświadomił sobie, że wcale nie zna Mustafy tak jak dawniej. Nie był w jego nowym mieszkaniu. Wiedział, że się ożenił z jakąś kuzynką z Turcji, ale nigdy jej nie poznał i nie miał pojęcia, jakie życie prowadzi jego dawny przyjaciel w czterech ścianach swojego domu.

Poderwał się z kanapy, bo nagle poczuł, jak coś pcha go do działania. Musi się dowiedzieć prawdy.

Przewinął taśmę do początku i schował kasetę do pudełka. Jak będzie bogaty, kupią sobie odtwarzacz DVD. Będą mieli też głośniki z dźwiękiem przestrzennym i nowy telewizor z płaskim ekranem. Będą mieli całą masę fajnych rzeczy.

Lecz może nigdy nie uda mu się zarabiać normalnych pieniędzy? Może nigdy nie znajdzie prawdziwej pracy, nawet ze swoim wykształceniem? Bo przecież poza szkołą ma jeszcze nazwisko i kolor skóry, i gdziekolwiek by się udał, zawsze będzie na niego czekała ta przeklęta szufladka, do której go wkładano, zanim jeszcze zdołał otworzyć usta. Czy w ogóle może to miejsce nazwać swoim?

Autobusem pojechał do Brabrand i potem od City Vest poszedł pieszo na Bentesvej.

Zza drzwi mieszkania Mustafy na trzecim piętrze dobiegała arabska muzyka. Aziz zadzwonił i po chwili w drzwiach zobaczył Mustafę.

– A niech mnie. To ty?

Mustafa omiótł wzrokiem klatkę schodową. Aziz uznał to za oznakę zdenerwowania, które udzieliło się i jemu, aż poczuł mrowienie w dłoniach.

– Poczęstujesz mnie herbatą?

Po minie Mustafy wyraźnie było widać, że nie ma na to ochoty, ale ostatecznie konwenanse i dobre wychowanie zwyciężyły i Aziz wszedł do środka.

– Ładne mieszkanie – przyznał Aziz, bo coś przecież musiał powiedzieć.

Było tu wszystko. Skórzane pufy i stara kanapa, ściany obwieszane kolorowymi dywanami przedstawiającymi najróżniejsze motywy: od tureckich krajobrazów po meczety. W oknach też wisały dywany, a w rogu stała fajka wodna. Aziz był nieco zaskoczony, bo jego dawny kolega na ścianach swojego pokoju wieszał plakaty zespołów rockowych, a wszystko, co tureckie, odrzucał jako staromodne.

– Dopiero się wprowadziliśmy – burknął Mustafa.

– Nigdy nie poznałem twojej żony. Jak ma na imię?

Pytając, Aziz uważnie rozglądał się po pokoju. Muzyka nie dobiegała z wieży, ale z arabskiego kanału telewizyjnego włączonego na cały regulator.

– Amina – odparł Mustafa. – Niedługo wróci. Wyszła do apteki. Usiądź.

Słowo, które miało stanowić zachętę, w ustach Mustafy zabrzmiało jak szorstki rozkaz.

Aziz usiadł na kanapie. Mustafa przysunął sobie krzesło. Najwyraźniej nie zamierzał przynieść herbaty, a jedynie patrzył wrogo na Aziza.

– Na co właściwie wydajesz te pieniądze? – spytał Aziz. – Te, które zarabiamy u wujków Metina? – I dorzucił, by dodać swemu pytaniu lekkości: – Ja planuję kupić DVD i głośniki do dźwięku przestrzennego.

Przez chwilę Mustafa przyglądał mu się z wyrazem twarzy, który Azizowi wydał się obojętny.

– Wysyłam pieniądze z kraju – powiedział w końcu.

– Do rodziny?

Mustafa znów popatrzył na niego, jakby się zastanawiał, czy w ogóle chce mu się odzywać. Najwyraźniej jednak doszedł do wniosku, że odpowiedź będzie tu na miejscu, bo odparł:

– Wspieram kilka organizacji.

– Organizacji?

Mustafa wzruszył ramionami.

– Muzułmańskich. Po prostu.

Otworzył usta, jakby zamierzał powiedzieć coś jeszcze, może przedstawić swoje argumenty, ale ostatecznie je zamknął. Aziz poczuł się nieswojo. Przypomniawszy sobie słowa Metina.

– Właściwie to przyszedłem porozmawiać z tobą o tamtej historii sprzed pięciu lat.

Twarz Mustafy stężała, a usta się zacisnęły. Przeniósł wzrok na wiszący na ścianie obraz i dalej, na okno, za którym było widać inne szare bloki Gjellerup.

– Tak? A dokładnie o czym?

Tak nieudolnie próbował zachować obojętny ton, że Aziz poczuł skurcz w żołądku. Uważnie przyjrzał się twarzy kolegi i zmusił go, by spojrzał mu w oczy. Widział, że w Mustafie tli się gniew. Nie dostrzegł natomiast ani cienia wstydu.

– To byłeś ty, prawda?

Słowa padły, zanim zdążył je powstrzymać. Mustafa uniósł górną wargę, odsłaniając ostre kły jak rozdrażniony pies. Patrzyli sobie w oczy i w tej sekundzie wszystkie łączące ich więzi zostały zerwane.

– Zasłużyłeś sobie – powiedział po prostu Mustafa, nie odwracając wzroku. – Dostałeś to, o co się prosiłeś.

Aziz pokręcił głową.

– Człowieku, ty jesteś chory. Wszystko ukartowałeś. Co jej za to dałeś? Pieniądze? Ile? Jaką zapłaciłeś cenę, żeby zostać zdrajcą, co? – Aziz mówił donośnym głosem i musiał przerwać, żeby się uspokoić.

Mustafa patrzył na niego z pogardą. Aziz odruchowo sięgnął ręką ku łydce i dotknął miejsca, gdzie miał przymocowany nóż.

– Nie waż się mówić mi o zdradzie. Ty, który odrzuciłeś swoje dzieciństwo i całą przeszłość, żeby zostać Duńczykiem. Jesteś muzułmaninem, stary. To jest twój świat i to są twoje korzenie. Więc się zastanów, zanim mnie nazwiesz zdrajcą!

W tym momencie otworzyły się drzwi. Do pokoju weszła kobieta w chustce na głowie i z rękami obwieszonymi reklamówkami. Azizowi w jednej porażającej chwili przypomniała się siostra. Zerwał się z kanapy i wybiegł, mijając kobietę w drzwiach.

Wydawało jej się, że ktoś wcisnął pauzę i jej zmysły przestały działać. Nic nie widziała, nic nie słyszała, nie czuła żadnego zapachu.

Jakby ją wrzucono do wielkiego czarnego garnka i zamknięto pokrywkę.

Wszystko wokół było czarne jak smoła, choć zdjęli jej opaskę z oczu. Po omacku dotarła do okrągłego okna i stwierdziła, że także zostało pomalowane na czarno – od zewnątrz. Zbadła ściany i wyrobiła sobie pojęcie o rozmiarach pomieszczenia – jakieś sześć metrów kwadratowych, może trochę mniej. Pod jedną ze ścian leżał cienki materac. Żadnych innych sprzętów. Żadnego stołu. Ani koca. Podłoga rezonowała, gdy po niej chodziła albo tupiała. Dicte stwierdziła, że jest z żelaza.

Myśli przelatywały przez jej głowę jak skołowane ptaki w panice uderzające w zamknięte okno. Nie potrafiła nad nimi zapanować, dlatego podsycaly jej strach i wzburzały krwistoczerwoną falę migreny, która bulgotała tuż za oczami. Chciała poszukać w torebce tabletki, ale przypomniało jej się, że wszystko jej zabrali. Telefon oczywiście też. Nie miała nawet szklanki wody i możliwe, że właśnie przez to oraz dlatego, że strach wywołany napadem wciąż nie złagodniał, jej gardło i przełyk były jak papier ścierny.

Budzące się powoli zmysły zaczęły wysyłać pierwsze sygnały do mózgu. Najpierw wrócił słuch. Coś rytmicznie obijało się o ścianę, również metalową. Bach. Bach. Gdyby nie była tak przerażona, dźwięk mógłby nawet wydać jej się kojący, ale w tej sytuacji szarpał jej nerwy i jeden po drugim wyciągał je na zewnątrz. Bach. Bach. Brzmiało to tak, jakby gruba lina waliła o dno garnka, a podłoga od tego lekko rezonowała, choć możliwe, że po prostu kręciło jej się w głowie. Bach. Bach. A może została żywcem pogrzebana w czarnym grobie? Puls znowu przeszedł w szalony galop. Serce waliło jak młotem i podchodziło do gardła. To ostatni moment, by spróbować jasno myśleć, zanim w panice zacznie walić głową w ścianę.

Zrobiła głęboki wdech nosem i powoli wypuściła powietrze ustami. Wiele takich oddechów musiała zrobić, zanim puls ponownie się uspokoił. W międzyczasie

odnotowała słony, ostry zapach morza i nagle uświadomiła sobie to, czego wcześniej nie pojmowała: znajdowała się na statku.

Myśl, że odpływał i być może jest już w obcym kraju, na nowo wzbudziła w niej panikę. Lecz wtedy ocalił ją dźwięk. Bach, bach. Wiedziała już, co to takiego. Cuma uderzała w burzę, kiedy woda w porcie falowała.

Port w Århus, domyśliła się. Leżąc na podłodze samochodu z rękoma związanymi na plecach i z workiem na głowie, odnotowała tylko tyle, że nie jechali zbyt długo. Nasłuchiwała głosów, ale żaden się nie odezwał. Wiedziała jednak, że w samochodzie był Aziz. Pod wełnianą czapką dostrzegła zarys dredów i oblał ją zimny pot na myśl, że ten człowiek związał się z jej córką.

Po omacku dotarła do materaca i usiadła na nim. Śmierdział moczem i wymiocinami – poczuła skurcz w żołądku. To jednak jedyne miejsce, na którym mogła odpocząć. Nie była w stanie utrzymać się na nogach.

Pod powiekami znów zobaczyła Rose, ale zebrawszy wszystkie siły, odpędziła od siebie ten obraz. Nie chciała o niej myśleć, bo wówczas wzbierał w niej płacz, a z powodu bezradności ciałem wstrząsały niekontrolowane dreszcze. Musi mieć jasną głowę i wykorzystać wszystko, czym dysponuje. Musi się stąd wydostać. Musi przeżyć.

Poprzez zasłonę migreny i bólu przypomniawszy sobie wnioski, do jakich doszła po rozmowie z Erikiem Svennevigiem i wyszukiwaniu w sieci. Mark Søndergaard Hansen mógł stać za tym wszystkim albo być jedynie pionkiem w większej rozgrywce. Jej instynkt skłaniał się jednak ku temu pierwszemu. Gdzie go znaleźć? Czy to on zadzwonił na jej komórkę, wybrawszy odpowiedni moment, żeby ją zwabić na plac pod silosem, gdzie prawie nie było ruchu? Czy to on zlecił jej porwanie?

Oparła głowę o chłodny metal ściany, by stłumić dudnienie w czaszce.

Handel ludźmi w Arizona Market w Bośni. Dziewczyny przemycane do Danii i zmuszane to bycia zastępczymi matkami. Wiele niewiadomych w tej historii. Takie przedsięwzięcie wymagało udziału lekarzy i laborantów, potrzebne były sprzęt i wiedza. I jaką rolę w tym wszystkim odgrywał statek, na którym się znalazła?

Mimo tych pustych plam miała już pewien obraz sytuacji. To było jak odbicie w krzywym lustrze. Po jednej stronie znajdowało się marzenie o własnym

biologicznym dziecku, a po drugiej jego konsekwencje – koszmar osób, które wykorzystano, by się ono spełniło. Jednych składano w ofierze, by inni mogli osiągnąć szczęście. Jedni pasożytowali na drugich w niekończącym się łańcuchu szczęścia i nieszczęścia.

Rytm wybijany przez linę o burtę statku przeniknął do jej świadomości. Bach. Bach. A ona może jest lepsza? Ona, która swym uporczywym dążeniem do prawdy raz po raz sprawiała, że ludzie wokół niej wpadali w rozpacz. Zawsze uważała ten swój upór za coś pozytywnego, ale teraz nie była już tego taka pewna. Coś kazało jej przeć naprzód, jakiś instynkt równie silny jak ten, który mówi ludziom, że mają się rozmnażać. Jeśli się nad tym zastanowić, chyba od zawsze właśnie to było jej siłą napędową. Pamiętała z dzieciństwa, jak stale kwestionowała zasady i ograniczenia, jakie nakładała na nich religia, pamiętała z okresu dojrzewania, jak została całkiem sama, gdy mały chłopczyk rósł w jej brzuchu. On też padł ofiarą tej siły, która kazała jej ze ślepym uporem dążyć do celu. I jak powinna tę siłę nazwać? Poszukiwaniem prawdy? Pragnieniem, by się uwolnić od restrykcyjnych dogmatów? A może po prostu zwykłą pogonią za szczęściem?

Poczuła pod stopami chłód nagiej metalowej podłogi i podkuliła nogi pod siebie na cuchnącym materacu. Odchrząknęła, a dźwięk odbił się od twardej ściany i uderzył ją prosto w twarz.

I do czego doprowadziła ją ta pogoń? Po raz kolejny rzuciła się przed siebie na oślep i nie myśląc o konsekwencjach. Udawała, że nie widzi, jak przy tym odsuwa na bok innych ludzi, jeśli stanęli jej na drodze. Być może Katka by żyła, gdyby nie ona. A Bo i Rose nie szaleliby teraz z niepokoju, co się z nią dzieje.

Zakłęła pod nosem. Migrena czerwonymi falami przewalała się przez jej głowę. Dicte powoli odzyskiwała świadomość.

Co poradzić, człowiek jest tym, kim jest. Może jedynie słuchać własnego instynktu i mu zaufać, bez względu na szkody, jakie przy tym wyrządzi innym.

Ból przeszył jej mózg. Instynkt prawdy i przetrwania – to wszystko, co jej pozostało. Cała reszta była w tej chwili bez znaczenia.

Nagle usłyszała jakiś dźwięk. Może zresztą docierał przez cały czas. Może był czymś w rodzaju tła dla lin uderzających o burtę i razem miały stanowić przemyślnie skomponowany utwór muzyczny?

Znów się skupiła i ze wszystkich sił pragnęła, by słuch ją zawodził, choć

wiedziała, że to nieprawda. Dźwięk, który przedzierał się przez metalowe drzwi, dobiegał z wnętrza statku. Rozdzierający i niemożliwy do pomylenia z czymś innym kobiecy płacz.

Wagner otworzył okno w sali konferencyjnej i wciągnął w płuca wieczorne powietrze. Była ósma wieczorem i upał na szczęście zelżał. Właśnie opadała rosa, wypełniając powietrze świeżością.

Wszyscy bardzo tego potrzebowali. Zrobił jeszcze dwa głębokie wdechy, nim się odwrócił i spojrzał na swój zespół pałaszujący szybką kolację. Ivar K przyniósł chińszczyznę. Z małych pudełek roznosiły się egzotyczne wonie, od których Wagnerowi zachciało się kromki czarnego chleba z domowym pasztetem i grubą warstwą bekonu. Petersen i Eriksen, obaj po pięćdziesiątce, również ze sceptycyzmem grzebali w swoim ryżu, za to Hansen i Ivar K po raz pierwszy w czymś się zgadzali.

Wagner odchylił się lekko do tyłu, aby powietrze z zewnątrz ochłodziło go i osuszyło mu spocone plecy. Marzył o kąpieli.

Wydarzenia minionego dnia stały mu przed oczami jak pokaz slajdów. Początek dnia pamiętał tylko jako pustkę, bo Ida Marie wciąż była u swojej mamy. Zaczął już wątpić w historię o kamieniu żółciowym i coraz bardziej skłaniał się do tego, że po prostu od niego odeszła. Nie odbierała komórki, a do pracy bał się zadzwonić.

Kiedy dotarł na komendę, w pierwszej kolejności sprawdził maila, w nadziei, że w skrzynce znajdzie od niej jakiś znak. Zamiast tego odkrył enigmatyczną wiadomość od Dicte Svendsen. W załączniku była jednak opatrzona pieczęcią „poufne” kartoteka prowadzona przez specjalistę od leczenia osób z wirusem HIV, Jeppego Vrå, w klinice w Marselisborgu. Poczł się, jakby ktoś uderzył go w bok głowy. Długo siedział, wpatrując się w ekran, zanim uświadomił sobie prawdę: Bóg raczy wiedzieć jak, ale Dicte udało się odszukać rodzinę, która mogła reprezentować stronę biorców w sprawie surogatek. Wyglądało na to, że Johnowi i Katrine urodziło się dziecko w sposób niewyjaśniony zakażone wirusem HIV. Niewyjaśniony, ponieważ żadne z rodziców nie było zakażone i nie dało się wytropić innych możliwych źródeł zakażenia. Najprostszy wniosek był taki, że dziecko zakażyła zastępcza matka.

Nie śmiał nawet myśleć o tym, jakie konsekwencje prawne mogą za coś takiego

spotkać Dicte, ale dla zespołu śledczych jej informacja była na wagę złota. Razem z Janem Hansenem odwiedzili Katrine Henningsen. W domu zastali również jej męża, który wrócił na lunch. Oboje mocno wstrząśnięci przyznali, że dokonali transakcji wartej ćwierć miliona koron. Widząc, jak bardzo kochają swoje chore dziecko, współczucie, którego wcale nie chciał, ścisnęło Wagnerowi żołądek. Nie potrafił przewidzieć konsekwencji dla tego małżeństwa i nie miał pojęcia, czy sąd pozwoli im zatrzymać chłopca. Byli jednak chętni do współpracy i podali szczegółowy opis mężczyzny, który się z nimi skontaktował. Wagner namówił ich, aby pojechali na komendę i powtórzyli rysopis, by policyjny rysownik mógł sporządzić portret pamięciowy.

Leżąca obok pustego talerza komórka Wagnera zadzwoniła. Komisarz odepchnął się od okna i wpadającego przez nie chłodu. W głębi duszy miał nadzieję, że to Ida Marie, a jednocześnie wolałby nie rozmawiać z nią akurat teraz. Miał w głowie taki chaos, że nie był pewien swojej reakcji.

– Wagner.

– Dicte zniknęła. – Słyszał było, że Bo Skytte stara się kontrolować swój głos, ale był tak bliski załamania, że zdołał dobyć z siebie tylko zachrypnięty szept.

– Powiedz, co się stało. Od samego początku.

– Jestem tutaj – powiedział Bo i rzeczywiście zabrzmiało to, jakby stał tuż obok.

– Nie chcą mnie wpuścić na górę.

Wagner wyobraził go sobie, jak stoi w recepcji, wychudzony, z włosami w strąkach i dzikim wzrokiem. Strażnicy mogli go wziąć za narkomana szukającego towaru. Czasem zdarzało im się zabłąkać na komendę.

– Zaczekaj. Hansen po ciebie zjedzie.

Bo wyglądał jeszcze gorzej, niż Wagner się spodziewał. Brodę miał potarganą i zaniedbaną, oczy czerwone z niepokoju i być może z powodu braku snu. Jakby wychodząc z domu, narzucił na siebie jakieś przypadkowe szmaty, spodnie tak na nim wisały, że nie dało się tego usprawiedliwić nawet modą. Kiedy kuśtykał na zagipsowanej nodze, Wagner przypomniał sobie o Iraku.

– Dawno powinna być w domu – powiedział Bo zdecydowanym tonem. – Zadzwoniła o wpół do piątej i powiedziała, że już jedzie. – Pokręcił głową, aż włosy mu zatrzepotały. Wagner dostrzegł, że w oczach stają mu łzy. – Powinienem być się z wami skontaktować trochę wcześniej, ale pomyślałem, że może zmieniła

zdanie i zatrzymała się po drodze, żeby zrobić zakupy. Ale teraz... Po tym wszystkim, co się stało.

Wagner pokiwał głową i nalał siedzącemu naprzeciwko mężczyźnie wody. Nigdy nie przepadał za chłopakiem Dicte. Być może przez wpływ Idy Marie, która podobnie jak Anne uważała chyba, że Bo jest zbyt niespokojnym duchem. Lecz teraz w jego spojrzeniu dostrzegł szczery i głęboki lęk. Bo wyglądał tak, jakby lada chwila mógł się załamać.

– Jakim samochodem jechała?

– Moim. Czarna honda civic z dziewięćdziesiątego piątego. Jej wóz jest w naprawie.

Wagner skinął na Hansena sporządzającego notatki. Bo podał numer rejestracyjny.

– Jaką trasą normalnie wraca do domu?

– Najpierw Paludana Müllera, potem Marielystvej i Brendstrup.

Wagner skinął na Ivara K i Petersena.

– Może byście się tam przejechali i rozejrzeli?

Petersen przytaknął i obaj wstali. Ivar K w pośpiechu włożył do ust krewetkę w tempurze i zsalutował dwoma palcami.

– Tak jest.

– Gdzie była, kiedy dzwoniła po raz ostatni? – spytał Wagner.

Bo wzruszył ramionami.

– Chyba w redakcji.

Wagner skinął na Kristiana Hvidta, który chrupał ciastko ryżowe, rozsypując okruszki.

– Zadzwoń do redakcji. Możliwe, że o tej porze nikogo tam nie będzie, wówczas będziesz musiał zadzwonić na ich prywatne numery. Zapytaj, czy coś zauważyli.

Bo podał listę nazwisk kolegów i koleżanek z pracy Dicte.

Wagner wziął głęboki wdech. Nie mieli właściwie nic poza niedoskonałym portretem pamięciowym i opisem Katrine i Johna Henningsenów. A w takim przedsięwzięciu musiało przecież uczestniczyć więcej osób. Gdzie znajdowali się ci ludzie? I kim byli?

– Ach, zapomniałbym – powiedział Bo i pogrzebał w kieszeni z przepaszającym uśmiechem na twarzy.

Kiedy wyjął dłoń, położył na stole jakiś przedmiot. Wagner patrzył na mały prostokąt, nic nie rozumiejąc.

– Zdjęcia z portu – wyjaśnił Bo. – Oczywiście je przejrzałem. Nic tam nie znajdziecie, ale są wasze.

Wagner potrafił rozpoznać rękę wyciągniętą do zgody i jego opór wobec tego niechlujnego mężczyzny o niespokojnym spojrzeniu odrobinę zmalał. Pokiwał głową i przekazał kartę Eriksenowi.

– Nie wiem, czy u techników ktoś jeszcze jest, ale możesz spróbować.

Przez chwilę siedzieli i patrzyli przed siebie, gdy Eriksen wziął kartę i zniknął za drzwiami. Bo zgniół serwetkę w kulkę. W złości rzucił ją w kąt pokoju.

– To moja wina – mruknął.

– Zawsze tak myślimy – pocieszał go Wagner. – To normalna reakcja, ale przecież to nieprawda.

Spojrzał badawczo na Bo. Na jego twarzy widać było sprzeczne emocje, od złości przez rozpacz aż po czyste zmęczenie.

– Miała romans – powiedział wreszcie Bo. Wagner domyślał się, jak trudno było mu to powiedzieć. – Z jednym lekarzem z Marselisborga. Pokłóciliśmy się. Staralem się ją przekonać, żeby po tej historii z samochodem więcej czasu spędzała w domu. Ale ona nie potrafi usiedzieć na miejscu...

Ukrył twarz w dłoniach. Wagner przez chwilę sądził, że płacze, ale kiedy Bo ponownie podniósł na niego wzrok, w jego oczach dostrzegł złość.

– Mówię to tylko dlatego, że to może mieć jakiś związek. Z tym lekarzem.

Wagner zastanawiał się nad tym przez chwilę. To naturalne, że Bo chciał się zemścić.

– To raczej mało prawdopodobne – powiedział ostrożnie. – Niemal na pewno mamy tu do czynienia z czymś zupełnie innym.

Bo nie wyglądał na ani trochę mniej wściekłego.

– Tak, wiem – powiedział wreszcie. – Ale musicie mnie we wszystko włączyć – poprosił. – Muszę przy tym być, kiedy przystąpicie do akcji. Po prostu.

Wagner westchnął w myślach. Pałający chęcią zemsty Bo Skytte na swym białym koniu był ostatnim, czego teraz potrzebował. Właśnie miał coś powiedzieć, kiedy z korytarza wszedł Eriksen, machając czymś, co wyglądało jak faks.

– Przyszło z Centralnego Biura Identyfikacji Linii Papilarnych. Zidentyfikowali

te odciski.

Wszystkie zmysły Wagnera błyskawicznie przeszły w stan gotowości. Serce waliło mu, jakby chciało rozerwać koszulę.

– Kto to?

Eriksen wyciągnął rękę z kartką i zmrużył oczy.

– Nazywa się Eihan Pinar.

– Pinar? – Wagner spojrział na Hansena. – To jakaś rodzina Mustafy Pinara?

Hansen wziął faks od Eriksena i pokiwał głową.

– Młodszy brat Mustafy ma na imię Eihan. Z tego co widzę, adres się zgadza.

– Ile ma lat?

Hansen spojrział na niego. Po stłumionym głosie Wagner domyślił się, jak bardzo jest wstrząśnięty.

– Wtedy był jeszcze dzieckiem. Trochę postrzelony, ale dobry napastnik środkowy.

Policzył na palcach. Wagner widział, że przed oczami kolegi przesuwają się obrazy, i zdawał sobie sprawę, że sprawiają mu ból. Hansen znał tych chłopaków. Cholera, grał z nimi w piłkę i w głębi duszy również ich polubił.

– Dziś może mieć z osiemnaście lat. Rodzina była niepełna – mówił dalej z desperacją w głosie. – Ojciec zmarł i w domu rządzą najstarsi synowie. Matka ledwie mówiła po duńsku. Naprawdę ciężka sytuacja...

Wagner spojrział na Eriksena i skinął na Kristiana Hvidta, który wciąż jadł ciastka ryżowe. Celowo unikał patrzenia na Hansena.

– Co wy na to?

Eriksen przyglądał się własnym paznokciom.

– Odciski zostały przecież zabezpieczone. Nigdzie nie uciekną.

– Ale Pinar może uciec – dodał Kristian Hvidt. – Może się poczuć przyciśnięty.

– Myśmy go przecież nie dociskali – zauważył Hansen. – Nawet nie wie, że go podejrzewamy.

Wagner spojrział na Hansena, który miał dobre serce, a ludzkość raz po raz go zawodziła. Być może wybrał nieodpowiedni zawód, pomyślał komisarz. Może powinien pracować w miejscu, gdzie wiara w człowieka się umacnia, a nie jest systematycznie podkopywana.

– Mamy dwa zabójstwa – powiedział i usłyszał szorstki ton w swoim głosie. –

Dicte Svendsen zniknęła. Nie możemy ryzykować utraty ważnych informacji.

Ponownie spojrzął na Jana Hansena.

– Znasz tego chłopaka, możliwe, że ci ufa. Razem z Eriksenem ściągniecie go do bazy na krótką rozmowę – zdecydował. – Od razu.

Chłód metalowych płyt przenikał przez materac i paraliżował ramiona i nogi Dicte.

Na próżno starała się kontrolować czas. Miała wrażenie, że ciemność wchłania minuty i godziny i sprawia, że tracą znaczenie.

Może był wieczór, a może noc. A może to był wczesny ranek, gdy usłyszała za drzwiami kroki. Dudniły tak, jak Dicte wyobrażała sobie, że mogą dudnić kroki policjantów mijających cele śmierci w amerykańskim więzieniu.

Usłyszała zgrzyt, kiedy ktoś przekręcił klucz w zamku i otworzył drzwi. Światło padało zza pleców stojącego w drzwiach mężczyzny i przez chwilę Dicte poczuła to, czego doświadczyła, kiedy stanęła naprzeciwko Katrine Henningsen – jakby już go знаła. Jak wtedy, kiedy nieoczekiwanie spotka się członka własnego klanu. Mężczyzna miał trzydzieści kilka lat, krótko obcięte włosy koloru ciemnobłond, inteligentne niebieskie oczy i otwartą twarz w rodzaju tych, z których potrafiła czytać. Ubrany był zwyczajnie i niezobowiązująco w dżinsy i luźną koszulę z krótkimi rękawami, lecz coś w jego postawie sprawiło, że Dicte struchlała.

Skinął głową na przywitanie, po czym wszedł do pomieszczenia, zajmując w nim większość miejsca. Musiała się opanować, by nie cofnąć się w kąt. Zamiast tego zmusiła się do wstania i spojrzenia mu w oczy. Byli podobnego wzrostu, ale on był szerszy – miał umięśnione ramiona.

– Mark Søndergaard Hansen? – Próbowała odebrać mu inicjatywę i nie szczekać zębami.

Tak jak się spodziewała, wydawał się zaskoczony, ale już po chwili ponownie zapanował nad swoją twarzą. Ustawił się z ramionami wzdłuż boków i rozłożył ciężar ciała na obie nogi. Końcowy efekt wyglądał groźnie.

– Powinnaś była pozostać przy pisaniu artykułów – powiedział – zamiast mieszać się w coś, o czym nie masz pojęcia.

Od razu rozpoznała głos, który usłyszała kiedyś w słuchawce.

– Surogatki? – podpowiedziała i zerknęła za jego plecy. Porzuciła myśl o ucieczce, gdy dostrzegła cień wartownika. – Bezbronne kobiety kupione na

Arizona Market i przetransportowane do Danii w bagażniku samochodu – zgadywała. – To tutaj je ukrywasz?

Patrzył na nią nieruchomo. Czyżby obrała złą taktykę? I czy w ogóle jakakolwiek taktyka ma tu sens?

– Jako kobieta powinnaś rozumieć, jak ważną wykonujemy pracę.

Powiedział to z żalem w głosie, ale Dicte usłyszała w nim również ziarno czegoś zinnego, jak metal, z którego zbudowany był ten statek.

– Wiesz, jak wyglądałoby ich życie, gdyby nie ja? – zapytał. Przesunął ciężar ciała na jedną nogę i wepchnął kciuk do kieszeni. – Bieda i prostytutka – oświadczył. – Ich dzieci nie miałyby przyszłości.

Widziała, że dla niego to ważne, aby zrozumiała. Przypomniała sobie, co powiedziała Katrine Henningsen o tym, że on sam przeszedł białaczkę.

– Więc twoim zdaniem w ten sposób mogą przynajmniej przyczynić się do szczęścia innych ludzi? Wypełniając twoją szlachetną misję, nawet jeśli to robią pod przymusem?

Chciała nadać swemu głosowi neutralne brzmienie, wyciszając w nim strach i odrazę.

Przez chwilę chodził tam i z powrotem po niewielkim pomieszczeniu jak cierpliwy nauczyciel mający do czynienia z opornym uczniem.

– Dziwny jest ten nasz świat – powiedział w końcu. – Ludzie wykształceni, bogaci i uczuciowi z rozmaitych niedorzecznych powodów są odrzucani przez biura adopcyjne i zmuszani żyć bezdziejnie, jeśli nie są w stanie samodzielnie spłodzić potomstwa. A w innych krajach nastolatki rodzą dzieci w biedzie i skazują je na przedwczesną śmierć.

Uderzył dłonią w ścianę, aż zadudniła. Dicte wbrew woli szła za jego tokiem myślenia.

– Tak wiele jest miłości, która pozostaje niewykorzystana – powiedział z zapalem maniaka. – Tak wiele miłości się marnuje, jeśli człowiekowi nie pozwala się nią podzielić.

Przesunęła językiem w ustach, licząc, że pojawi się choć trochę wilgoci, ale przętyk miała tak wyschnięty, że prawie ją bolał. A może bolało ją co innego? Może on miał rację? W pewnym sensie miał, Dicte wiedziała to z własnego doświadczenia. Kiedy oddała swoje dziecko, najpierw czuła pustkę, potem jednak

tylko stłumione emocje nagromadziły się i eksplodowały bólem, który już nigdy miał jej nie opuścić.

– Czyli krzywdzenie jednych, by uszczęśliwić drugich, jest w porządku? Cel uświęca środki?

Hansen wzruszył ramionami.

– Może trochę za bardzo filozofujesz – powiedział wymijająco.

Dicte jednak nie odpuszczała.

– A więc to taki biznes rozkręciłeś. Jak ci się to udało? – Starła się brzmieć, jakby była pod wrażeniem jego działań, i najwyraźniej jej się to udało, bo znów zaczął chodzić po pomieszczeniu, a jego kroki odbijały się echem od ścian i podłogi. Gdy znów się odezwał, okazało się, że zamierza wygłosić mały wykład:

– Widziałem te dziewczęta wystawione na sprzedaż w Bośni. Młode, zdolne do rodzenia kobiety. To nie było trudne. Gdybyśmy my ich nie kupili, kupili by je inni.

– Wy, to znaczy kto?

Westchnął cicho.

– To, co się tam wtedy działo, zakrawało o absurd. Bośnia znalazła się pod rządami najróżniejszych władz, które wzajemnie się zwalczały, a prostytutka kwitła jak nigdy. Młode dziewczyny z biednych wschodnich krajów ściągaly do stolicy, żeby trochę zarobić. Z burdeli korzystali wszyscy: lokalna policja, członkowie misji pokojowej ONZ, sił NATO i SFOR. Niektórzy wyłudzały haracze od właścicieli domów publicznych.

Pokręcił głową.

– To było czyste szaleństwo, więc równie dobrze można było ten chaos przekuć w coś pozytywnego. Razem z kolegą zaczęliśmy wykupywać dziewczęta. Początkowo chcieliśmy je ratować – wyznał. – Ale potem wpadłem na pomysł „Akcji Bocian”, jak to nazwałem.

– Bo bocian przynosi dzieci – domyśliła się, a on przytaknął.

– Zachorowałem i mieli mnie odesłać do domu. Mimo to udało mi się trochę odłożyć, by uruchomić projekt. Trzeba było znaleźć specjalistę od płodności i okazało się, że to wcale nie takie trudne. Trafiłem na serbskiego lekarza z tą specjalizacją, którego dyplomu duńska służba zdrowia nie chciała uznać, więc jeździł jako taksówkarz. Jego żona była laborantką i znalazła się w podobnej

sytuacji. Miała wykształcenie, zgodnie z którym nie mogła pracować. Zatrudniła się więc w rzeźni.

Dicte przyglądała się mężczyźnie, kiedy słowa płynęły z jego ust. Poza niewielkimi oznakami lekkiej psychozy wydawał się zupełnie normalny. Może dlatego nagle poczuła, że się dusi. On to sobie wszystko dokładnie przemyślał. Nic tutaj nie było przypadkowe. Włącznie z tym, co stanie się z nią.

– Dlaczego statek? – spytała, żeby podtrzymać jego słowotok, podczas gdy druga połowa jej mózgu zaczęła się gorączkowo zastanawiać nad możliwościami ucieczki. – Jakim sposobem mogliście sobie na to pozwolić? A sprzęt?

Uśmiechnął się i teraz zobaczyła, że jego skóra lśni od potu. Miał gorączkę albo coś zażył. Dicte obstawiała to drugie.

– Potrzebowałem bezpiecznego miejsca, z którego nie można uciec. Wtedy przypomniała mi się historia o statku, który cumował w porcie i którego nie dało się ruszyć, bo właściciel nie mógł zapłacić opłaty portowej. Chodziło o ubezpieczenie. Zarząd portu nie mógł usunąć statku ani go sprzedać, więc jednostka stała i zajmowała miejsce przez półtora roku.

Znów trochę pochodził, zatrzymał się i odwrócił. Ponownie walnął pięścią w ścianę, aż zadudniło.

– To stary frachtowiec. I tak miał iść na złom, więc go kupiłem za dziesięć tysięcy koron. Transakcja przeszła za pośrednictwem firmy, którą założyłem na Kajmanach, żeby nikt nie mógł mnie namierzyć jako właściciela.

Roześmiał się dziecinnie, niemal figlarnie.

– Kiedy tu zacumowałem, już nie mogli nas wyrzucić. Pozwolili nam prowadzić prace konserwatorskie, a z czasem przestali się nami interesować.

Znów walnął w ścianę.

– To było genialne. Mogliśmy wchodzić i wychodzić, kiedy tylko chcieliśmy. Ale dziewczyny oczywiście przywoziliśmy nocą, inaczej ktoś na pewno by nas podkablował.

Dicte zobaczyła, że jakkolwiek było to szalone, rzeczywiście mogło się udać.

– Sprzęt kupiliśmy tanio od greckiego lekarza, który zamknął praktykę. Przewieźliśmy go w ciężarówce SFOR-u.

Dicte na moment zamknęła oczy i przytrzymała się ściany. Narastający gniew stłumił strach i migrenę.

– Co się stało ze Swietlaną? – zapytała.

Przez chwilę obawiała się, że teraz zamilknie i nie powie jej nic więcej, ale ostatecznie pokręcił tylko głową.

– Wszystko szło zgodnie z planem, dopóki nie zaczęła krwawić. Lekarz wykonał cesarskie cięcie, ale dziecko nie żyło. Uduśliło się pępowiną. Więcej dzieci nie mogłaby mieć.

– Więc pozwoliliście jej się wykrwawić?

Nagle jakby źle się poczuł. Przesunął wzrok z niej na jakieś miejsce na ścianie ponad jej głową, a potem znów na nią, aż w końcu wbił go w kraciasty wzór materaca.

– Wymagałaby opieki – wyjaśnił. – Nie mieliśmy odpowiednich środków.

– Więc się jej pozbyliście?

Wzruszył ramionami.

– Nasza działalność nie jest skierowana na zajmowanie się zwłokami – wyjaśnił.

– Nie mogliśmy jej tutaj trzymać, a wrzucając ją po prostu do morza, ryzykowalibyśmy, że nas znajdą. Poprosiłem więc naszych asystentów, żeby się tym zajęli. Ci niestety źle ocenili sytuację i porzucili ciało w porcie.

– Asystentów?

– Nawiązaliśmy współpracę. Z pewną grupą młodych ludzi.

– Z kręgów imigranckich?

Przytaknął.

– Wybór był oczywisty. Potrzebowaliśmy kogoś, kto by się zajął logistyką. Odbierał i przywoził zaopatrzenie, tego typu rzeczy.

– I organizował narkotyki do odurzania dziewcząt? Albo zabił Katkę?

Hansen zrobił krok w przód i stanął tuż przed nią. Czuła piżmowy zapach potu i słabą woń wody po goleniu. Choć to niedorzeczne, że pomyślała o tym w takiej chwili, ale rozpoznała jej markę – Bo czasem jej używał. Klatka piersiowa Hansena unosiła się i opadała, a ramiona miał odsunięte od ciała niczym kowboj gotów wyciągnąć kolta. Ale jej nie tknął.

– Katka była głupia – powiedział tylko. – Nie powinna była próbować ucieczki. Powinna była wiedzieć, że i tak w końcu ją znajdziemy... Nie mogliśmy pozwolić, żeby wszystko zniszczyła.

– A jednak jej się udało – powiedziała prowokacyjnie Dicte. – Katka przed

śmiercią wszystko mi opowiedziała. Zadzwoiła do mnie, a ja przekazałam informacje policji. To tylko kwestia czasu, jak tu będą.

Przysunął twarz całkiem blisko niej. W jego oczach lśniła drwina.

– A jak myślisz, po co tu jesteś? Jesteś naszym zabezpieczeniem. W chwili, gdy wejdą na pokład, będziesz martwa.

Uśmiechnął się.

– A jesteś znaną osobą, prawda? Nie odważą się zaryzykować. Będą musieli pozwolić nam odpłynąć.

– To nieprawda. Powiedz, że to nieprawda.

Anne trzymała w ręce dwie fiołki leków. Anders odłożył obój i przez chwilę tylko patrzył na nią oczami bez wyrazu. Potem jakby odzyskał głos, który jednak wcale nie był jego głosem.

– Jak je znalazłaś?

Skuliła się w sobie. Poczucie zdrady miało gorzki smak i ścisnęło za gardło.

– A jak myślisz? Anders, cholera, beta-adrenolityki. I leki nasercowe!

Zrobiła krok w głąb pokoju do ćwiczeń i usiadła na starej kanapie.

– O co w tym chodzi?

Sama nie wiedziała, dlaczego z samego rana zabrała się za sprzątanie szafki w łazience. Może chciała się zająć czymś praktycznym, nabierając odwagi przed spotkaniem z ciotką. Tabletki znalazła w głębi na samym końcu szafki, za fiołkami przeterminowanych leków, na wpół opróżnionymi butelkami szamponu i słabo wyposażoną apteczką.

Anders patrzył wszędzie, tylko nie na nią, ale ona przytrzymała jego wzrok, wzięła go za rękę i usiadła naprzeciw niego.

– Mahler. Trudna partia solowa – mruknął i Anne zobaczyła, że ma łzy w oczach. – Nie miałem czasu porządnie się jej nauczyć, tak żeby palce grały same.

Wskazał głową fiołki, które postawiła na stole, koło oboju.

– To pomaga. Biorę je tylko sporadycznie – dodał pośpiesznie.

Dobry Boże. Słyszała oczywiście plotki, że muzycy klasyczni żyją pod taką presją, iż często sięgają po środki zwiększające wydajność. Nigdy jednak nie przyszło jej do głowy, że Anders jest jednym z nich.

– Żyjesz w ciągłym stresie. Potrzebujesz pomocy – powiedziała, zmuszając się, by oddychać normalnie, i pilnując, by głos nie przeszedł w dyszkant. – Tabletki to żadne rozwiązanie. Anders, to są ciężkie leki. Możesz sobie zrobić krzywdę. Zaburzyć ciśnienie, zniszczyć organy wewnętrzne. Wyniszczasz się!

Teraz w jego głowie i spojrzeniu pojawił się cień buntu.

– Nie ja jeden. Inni też to robią. Gdy ich nie biorę, trzęsą mi się ręce, więc muszę

je zażywać, aby wszystko całkiem się nie posypało. Nie chcę, żeby ze mną było tak jak...

Nie musiał kończyć. Nagle wszystko stało się jasne. Wiedziała już, skąd te wszystkie jego uniki i strach, z jakim obserwował jej poszukiwania sensu. Balansował na linie, zachowując równowagę za pomocą dwóch buteleczek. Jeśli wykona jeden fałszywy krok albo zostanie popchnięty, spadnie w przepaść.

– Jak z twoim ojcem – dokończyła za niego, jednocześnie z całą mocą to sobie uświadamiając. – Boisz się, że staniesz się jak twój ojciec. Że się załamiesz.

Zaczęły mu drżeć ramiona. Płacz był suchy i zachrypnięty.

– Samobójstwo jest dziedziczne. Prawdopodobieństwo jest spore.

Anne знаła te statystyki i wiedziała, że do pewnego stopnia ma rację. Czemu wcześniej tego nie zauważyła? Jakim cudem nie domyśliła się, że jego niepokój to w istocie strach, że ulegnie pokusie śmierci? Strach, że geny zrobią mu na złość.

– Ty byś tego nigdy nie zrobił – zapewniła go. – Nie zrobiłbyś tego Jacobowi.

Bo właśnie to musiało być jego największym zmartwieniem. Że się ugnie i jego syn go znajdzie. To takie podłe i tak bardzo nie w porządku. Zwykle tchórzostwo, ale Anders nigdy nie był bohaterem i doskonale o tym wiedział.

Ukrył twarz w dłoniach. Teraz płakał naprawdę, szlochał, pociągał nosem, z oczu płynęły mu łzy. Wiedziała, że płacze nie tyle nad sobą, ile nad swoim ojcem.

– Jak mógł to zrobić? I to w taki sposób! – powiedział, zanosząc się płaczem. – Lekarze się, kurwa, nie wieszają!

To było dwadzieścia pięć lat temu. Chciałaby podsunąć mu jakąś odpowiedź, pomóc zrozumieć, ale nic dla niego nie miała. Pogłaskała go więc delikatnie po głowie i karku.

– Ty nie jesteś swoim ojcem. Jesteś sobą – pocieszała. – Sam o sobie decydujesz.

To było jak wodospad i nie miało końca. Jakby gromadziło się przez lata. Siedziała w milczeniu i czekała. Nagle wziął jej ręce i przyłożył je do swego policzka, a rozpacz w jego oczach rozdarła jej serce.

– To takie trudne – łkał. – Te tabletki mi pomagają. Bez nich nie dam rady.

Powtórzyła to, co powiedziała wcześniej, ale tym razem wydawało się, że zrozumiał.

– Potrzebujesz pomocy. Musisz wziąć zwolnienie i iść na terapię. Zadzwoń do

twojego lekarza i cię umówię.

To ostatnie powiedziała w formie pytania, aby mógł zaprotestować. On jednak tylko pokiwał głową.

– Geny to prawdziwe gówno – dodał, zanim wyszła zadzwonić.

Pomyślała, że ma rację. Może lepiej nic nie wiedzieć. Z drugiej strony człowiek został wyposażony w nienasyconą ciekawość, a ona nie stanowiła wyjątku.

Salon był odzwierciedleniem charakteru cioci Addy.

Proste linie, czerń i biel. Oszczędne umeblowanie, lśniąca czysta powierzchnie bez zbędnych ozdób. Wyraz zamiłowania ciotki do klasycznych projektów, gromadzonych przez całe życie i kupowanych po jednej sztuce za pieniądze odłożone z niewielkiej nauczycielskiej pensji. Anne usiadła w fotelu Swan Arnego Jacobsena. Wokół niskiego szklanego stolika stały takie trzy, obite czarną skórą.

Ciotka Adda oddała się swej jedynej – poza meblami – słabości i zapaliła krótkie cygaro. Energicznie machała rękoma, próbując rozproszyć dym, nim dotrze do Anne.

– Gwóźdź do trumny, po prostu to powiedz.

Anne uśmiechnęła się półgębkiem.

– Nic nie mówię. To twoja sprawa.

– Ale to drugie już nie.

To nie było pytanie, ale Anne i tak postanowiła odpowiedzieć.

– Uważam, że mam prawo wiedzieć. I wygląda na to, że jesteś jedyną osobą, która zna prawdę.

Ciotka jakby zamierzała zaprzeczyć, ale się powstrzymała. Za to Anne wypaliła prosto z mostu:

– Masz pozdrowienia od Hannibala Grama.

Reakcja ciotki była dziwna. Jakby przez jej twarz przesunął się promień słońca i wygładził ostre linie. Uśmiechnęła się łagodnie jak anioł.

– Jak go znalazłaś?

Było jasne, że pyta wyłącznie po to, by zyskać na czasie i zebrać się w sobie. Anne mimo to opowiedziała jej o spotkaniu z pastorem.

– Ciekawy człowiek – podsumowała.

– Wspaniały człowiek – poprawiła ją ciocia Adda, a w jej głosie zabrzmiała tęsknota. – Człowiek o wielkiej sile ducha.

Anne pomyślała o Andersie. „Siła ducha” była dobrym określeniem. Gdyby tylko ją miał.

Pochyliła się ku ciotce.

– Byłaś tam. Wiesz o wszystkim. Powiedz, co tam się stało.

Cisza była niemal widoczna w powietrzu, chociaż może to tylko dym z cygara zawisł jak chmura i tłumiał ich oddechy, a nawet tykanie zegara.

W końcu Adda zaciągnęła się głęboko, zamknęła oczy i wydmuchała jeszcze większą chmurę.

– Najwyraźniej są ludzie, którzy nie mogą żyć bez dzieci – zaczęła. – Twoja matka do nich należała.

Otworzyła oczy i Anne zdumiała się, że w jej niebieskich tęczęwkach wciąż jest tyle życia. To mogłyby być oczy siedemnastolatki, lecz patrzyły na nią z twarzy kobiety siedemdziesięcioletniej, która większą część życia ma za sobą. Życia bez męża i dzieci.

– A ponieważ twój ojciec ją kochał i nigdy nie przestał kochać, był gotów dać jej wszystko, czego zapragnęła. Sięgnąłby dla niej po gwiazdkę z nieba.

W jej głosie pojawił się ton pragmatyzmu. I może zapowiedź uśmiechu.

– Niestety, okazało się, że to nie takie proste. Więc zamiast tego sięgnął po inną kobietę. Naturalnie z kompletną akceptacją twojej matki.

Gdy prawda spadła na nią z hukiem lawiny, Anne pomyślała o Andersie. Głos uwiązł jej w gardle, z trudem łapała powietrze, aż zrozumiała.

– Więc tato był moim prawdziwym ojcem? Nie ojcem adopcyjnym?

Adda przytaknęła.

– Ale on mnie nie lubił. Powiedział, że nie jest w stanie kochać kogoś, kto nie jest z jego krwi i kości.

Wyraźnie pamiętała jego słowa, wypowiedziane w kościele, w którym dopiero co wygłosił kazanie. Wryły się na zawsze w jej głowie.

Adda westchnęła.

– Musisz zrozumieć, że to nie było dla niego łatwe. Czuł się zbrukany. Nie pragnął tamtej obcej kobiety, która dobrowolnie udostępniła swoje ciało, by zostać twoją matką. On był księdzem. W swojej opinii popełnił grzech.

Niebieskie oczy wpatrywały się w nią intensywnie.

– Spróbuj zrozumieć. Twoja matka nie dawała mu spokoju, prosiła go i nalegała.

Starali się o adopcję, ale Dania była daleko, a oni tkwili na Grenlandii. Było ciemno i zimno, a ona tak bardzo pragnęła dziecka.

– Surogatka.

Adda zamrugła.

– Co takiego?

Anne pomyślała o dziewczynie w porcie i historii, którą jej opowiedziała Dicte. Nic się nie zmieniło. Kobiece dążenie do reprodukcji od zarania dziejów jest jak silny strumień płynący pod powierzchnią wszystkich działań tej płci.

– Kim ona była, moja biologiczna matka?

Na twarzy Addy znów pojawił się uśmiech i na moment zmył wszystkie blizny i zmarszczki.

– Była aniołem. Bardzo piękna i mądra, i widziała cierpienie twojej matki. Ona nie kochała twojego ojca. Ona kochała twoją matkę.

Adda musiała chyba dostrzec niepewność w twarzy Anne, bo dodała pośpiesznie:

– Nie tak jak dziś, kiedy mówi się o tym miłość lesbijska i brzmi to tak wulgarnie. Miłość, którą Aja darzyła twoją matkę, była z innej materii. Na tyle, na ile to wyczułam, nie było w niej nic cielesnego. Była to miłość czysta, nie egoistyczna. Aja pragnęła uszczęśliwić twoją matkę i to pragnienie zaspokoila.

– Była Grenlandką? Pełnokrwistą?

Adda skinęła wolno głową.

– Była córką znanego myśliwego. Dumną i mądrą. Pracowała jako zakrystianka w zborze twojego ojca i nauczycielka w miejscowej szkole.

Adda, choć to do niej niepodobne, wzięła Anne za rękę. Dotyk był chłodny i suchy, lecz mimo to wysłał falę ciepła w górę ramienia i rozlał ją po całym ciele.

– Twoja biologiczna matka była niezwykłą kobietą, pamiętaj o tym. Była mądra, ale przede wszystkim silna. Była silna dla innych. Umarła uśmiechnięta i zdążyła jeszcze zobaczyć twoją matkę z tobą w ramionach.

Niebieskie oczy ciotki wwiercały się w ciemne oczy Anne.

– Jesteś do niej bardzo podobna. Na zewnątrz, ale również wewnątrz.

Znów zapadła cisza, lecz tym razem była jak spełnienie. Jakby obie jej potrzebowały, by zagłębić się we własnych myślach. Anne ogarnął spokój. Czekala na niego i teraz z radością go przyjmowała. Bo to przecież prawda. Nie tylko fakt,

ale najprawdziwsza prawda, czuła to całą sobą. Siłę odziedziczyła po matce. Trwała, przechowywana w genach przez całe pokolenia. Znow pomyślała o Andersie i poczuła, jak bardzo on tej siły potrzebuje.

Ciotka wstała i wyszła z pokoju. Po chwili wróciła i podała Anne kopertę. W środku było stare czarno-białe zdjęcie. W urodzie pięknej młodej kobiety było coś uroczystego. Miała wysokie kości policzkowe, skośne oczy i niemal rozmodlony wyraz okrągłej twarzy. Jej czarne włosy lśniły tak, jakby je polakierowano. Lecz pośród całej powagi jakby gdzieś w głębi się uśmiechała i ten uśmiech mógł lada chwila rozjaśnić jej twarz.

Anne zrobiła szybki wdech i spojrzała w oczy sobie samej.

Dicte straciła poczucie czasu. Noc była identyczna jak dzień. Te same dźwięki i ten sam mrok. Tylko ból w stawach i mięśniach przypominał, że jej ciało od wielu godzin było zmuszone przyjmować niewygodne pozycje na metalowej podłodze statku z cuchnącym materacem jako jedyną wyściółką. Nie pamiętała, aby zasnęła, ale nie była tego pewna. Miała wrażenie, że zmysły bawią się z nią, wmawiając jej różne rzeczy. Może przysnęła na chwilę. A może wyłączyła się na wiele godzin.

Nie miało również sensu liczenie sekund i układanie ich w minuty. Burczenie w żołądku pozwoliło jej mimo wszystko domyślić się, że już od ładnych kilku godzin jest nowy dzień.

Wstała. Próbowwała się rozciągnąć i nie czuć zapachu własnego moczu z najdalszego kąta, w którym musiała się załatwić. Kolejno rozruszała ręce i nogi. Skakała w miejscu, aż dudniło. Nie dlatego, że marzła, lecz dlatego, że ciało było jej najważniejszym narzędziem. Jeśli ono ją zawiedzie, pozostanie bez szans.

Nie dali jej nic do jedzenia, ale jeden ze strażników przyniósł wodę. Mimo to w ustach i przełyku znów miała pustynię i choć strach blokował w niej ochotę na jedzenie, siły poza jej kontrolą żądały pożywienia. Wiedziała, że rzuciłaby się na każdy posiłek, cokolwiek by to było.

Położyła się na materacu i na tyle, na ile była w stanie, zaczęła ćwiczyć mięśnie brzucha. Jednocześnie próbowała uruchomić umysł.

Celowo trzymała się jak najdalej od własnych uczuć. Jeśli teraz zacznie myśleć o Bo i Rose, wszystko będzie stracone, a jej obrona na nic się zda. Skupiła się więc na sprawach praktycznych. Musiała uwierzyć, że ją znajdą. Bo się zorientuje, że jej nie ma, i zgłosi zaginięcie. Wagner zmobilizuje wszystkie siły, żeby ją zlokalizować. Dostał jej wiadomość z załączoną kartoteką, więc pewnie już się skontaktował z Katrine i Johnem Henningsenami. Jeśli nawet nie będzie miał nazwiska, to dostanie opis Marka Søndergaard Hansena.

Jęknęła, wykonując kolejne skłony, i przeklinała się za słabą kondycję.

Może znaleźli też samochód Bo. Jeśli tak, to poszukają śladów – może znajdą odciski palców. Optymizm powoli brał górę, a ona męczyła się ćwiczeniami.

Wreszcie usiadła i wypuściła powietrze. Nadzieja była jak delikatny płomień, który potrzebuje pożywienia, aby przetrwać. Starła się, jak mogła, myśleć pozytywnie. Gdzieś tam przebywali ludzie, którzy dobrze jej życzyli. Zmobilizowano odpowiednie siły, aby odnaleźć ją i te dziewczyny, które są tu przetrzymywane.

Mimo to odwaga ją opuściła, gdy w pełni uświadomiła sobie swoją sytuację. Położyła się z powrotem na materacu i wbiła wzrok w ciemność.

Jak mieliby znaleźć ten statek? Jak mieliby się domyślić, że właśnie statku mają szukać? A jeśli nawet się domyślą i ją odnajdą, porywacze zagrożą jej śmiercią.

Usłyszała kroki na korytarzu. Tętno jej przyśpieszyło i poczuła przyływ nadziei. Przypomniała sobie o syndromie sztokholmskim i zrozumiała, na czym polega. Nie chodzi o to, że żywi ciepłe uczucia do któregośkolwiek ze swoich porywaczy, ale człowiek uwięziony z sobą samym w kompletnej ciemności może popaść w desperację. Już sam głos drugiego człowieka albo jego obecność mogą rozjaśnić mrok.

Ponownie usłyszała zgrzytanie klucza w zamku, a gdy otwarły się drzwi, najpierw do środka wpadło światło, a dopiero potem z jasności wyłoniła się jego postać.

Niemal całkowicie wypełniał sobą wejście. Gdy zobaczyła gniew na jego twarzy, cała nadzieja ją opuściła.

– Dorwali jednego z moich ludzi – ogłosił Mark Søndergaard Hansen. – Zaczyna się odliczanie.

Zamknął drzwi, a Dicte ponownie spowiała ciemność pomieszana ze strachem.

Nóż sprężynowy w jego dłoni wydawał się tak lekki i tak swojski, jakby byli starymi przyjaciółmi.

Aziz nie sądził, że pójdzie tak łatwo. Bał się, że nerwy go zawiodą i że czas, jaki spędził na uczelni wśród studentów, takich praworządnych i przyzwoitych, odcisnie na nim zbyt duże piętno i zablokuje zdolność do takich zachowań.

Ale nie. Najwyraźniej blokada nie działała, kiedy to było naprawdę ważne.

– Oszalałeś – wychrypiął zwinięty w kłębek Metin, leżąc na podłodze przybudówki. Pies, słysząc jego głos, zawarczał w swojej klatce. – Co ty wyprawiasz, pojebało cię? Przecież jesteśmy po tej samej stronie, nie?

Aziz wiedział, że Metin nie może się ruszyć. Sznur mocno ścisnął jego kostki i nadgarstki, i przyciągał je ku sobie, jakby ludożercy z kreskówki zamierzali zanieść go na patyku do wioski. Mimo to Aziz nie potrafił na niego spojrzeć, a już na pewno nie mógł popatrzeć mu w oczy. Pragnął uciec, ale dokąd? Sam by się z siebie uśmieł, gdyby to wszystko nie było tak cholernie smutne. I gdyby nie to, że miał tu do zrobienia coś jeszcze. Na myśl o tym ścisnęło go w żołądku, ale nie było innego wyjścia.

– Stary, no co ty wyprawiasz? Weź mnie rozwiąż, do cholery – jęknął Metin, a w jego głosie pobrzmiwała groźba. – Mój wujek niedługo wróci. Będą na ciebie polować, jak mnie nie puścisz.

Będą na niego polować, nawet jeśli to zrobi. Wykonał ten krok i nie ma już odwrotu, pomyślał – obrzydzenie było jak powłoka oblepiająca mu gardło i wypełniająca usta goryczą.

Stał przez chwilę i tylko patrzył – najpierw na leżącego na podłodze Metina, a potem na psa, z którego gardła dobywało się głębokie warczenie. Tu potrzebny był cud. Po prostu. A on nie wierzył w cuda.

Chciał znaleźć w sobie odwagę, ale zrozumiał, że to nie pomoże. Na drżących nogach podszedł do Metina. Nie mógł uniknąć jego wzroku. Nie mógł się uwolnić od przeszywających go oczu, które pomimo tego wszystkiego, co stało się między nimi, wciąż uruchamiały w nim serie obrazów z dzieciństwa i dorastania. To, co

zrobił i co jeszcze zamierzał zrobić, było niewybaczalne w świecie, w którym przysięgli sobie być dla siebie braćmi. Wstyd zostanie w nim już na zawsze.

– No co, uczniaku? – spytał Metin swoim starym znanym głosem przypominającym o przyjaźni i wspólnych wycieczkach poza prawo. – Mimo wszystko jesteś zdrajcą?

Ostatnie słowo zapiekło jak rozżarzony pręt. Aziz wstrzymał oddech. Patrzył dawnemu koledze prosto w oczy i mierzył przepaść, która obecnie ich dzieliła.

Potem sięgnął po smycz Metina i zdjął klucze z jego szyi.

Nie miał właściwie żadnego planu, ale coś mu mówiło, że wejście na pokład nie będzie zbyt trudne.

Sam przecież wnosił matkę Rose pomostem, bezwładną i wiszącą między nimi, najwyraźniej na wpół przytomną. Nikogo nie zdziwił widok kolejnego śniadego chłopaka, który ma dostęp do największych tajemnic na tym statku. Poza tym był z nim Metin.

Dziś wejdzie sam, ale za to z kluczami Metina. Powiesił je sobie na szyi i liczył, że staną się jego przepustką.

Odpalił srebrne volvo. Podjechał pod kawiarnię, gdzie kupił kanapkę, a stamtąd ruszył prosto do portu.

Statek nazywał się „Yalova”. Kiedyś był czarno-czerwony, ale teraz głównie rdzawy. Bóg jeden wie, kto jest właścicielem i jak to się stało, że zacumował w tutejszym porcie. Nie pilnowała go jednak straż portowa. Cumował za daleko, za bardzo schowany, by zainteresować kogokolwiek. W tym sensie doskonale się nadawał do przetrzymywania ludzi, myślał Aziz, parkując przy kei i wysiadając.

Tak jak się spodziewał, nie było najmniejszych trudności. Jeden ze strażników rozpoznał go z poprzedniego dnia i przywitał skinieniem.

– Metin jest chory – poinformował Aziz.– Mam zanieść jedzenie dla dziennikarki.

Starał się brzmieć szorstko, jakby się śpieszył i zaszedł tu tylko na moment, żeby zrobić przysługę koledze.

– Znasz drogę.

Aziz przytaknął i wymijając strażnika, wszedł pod pokład. Jej kajuta znajdowała się na najniższym poziomie. Zszedł po drabince w ciemność, a po drodze dobiegały go głosy kobiet z pozostałych pomieszczeń. Nie wiedział, ile ich jest, ale na samą

myśl, że się tam znajdują, przeszły go ciarki.

Dotarł na najniższy pokład frachtowca – wszystko dudniło, gdy szedł korytarzem – po czym szybko wsunął w zamek klucz od Metina i pchnął drzwi.

Wstrzymała oddech, gdy go zobaczyła.

– Ty?!

Usłyszał w jej głosie pogardę szczelnie otulającą to krótkie słowo. Spojrzał jej w oczy i zobaczył w nich wroga. Nienawiść dziennikarki była głębsza, niż kiedykolwiek potrafiłby sobie wyobrazić.

Szybko przyłożył palec do ust, by ją uciszyć. Z powodu mroku panującego w kajucie musiał zostawić otwarte drzwi.

– Nie mamy czasu. Przychodzę pomóc – szepnął. Po wyrazie jej twarzy widział, że mu nie wierzy. – Przyniosłem pani coś do jedzenia.

To ostatnie powiedział głośno i podał jej torebkę z kanapką. Chwyciła ją łapczywie i bez słowa. Szybko rozerwała opakowanie i zajrzała do środka. Po chwili trzymała w ręce własną komórkę i patrzyła na niego zdumiona.

– Może pani z niego korzystać tylko przez chwilę – wyjaśnił przepraszająco. – Bateria jest na wyczerpaniu.

Nie dopuścił jej do słowa, tylko wręczył smycz z kluczami. Potem odwrócił się na pięcie i zamknął za sobą drzwi.

Dobry glina, zły glina.

Wagnerowi przypomniały się amerykańskie filmy o policjantach, kiedy po raz setny zaglądał przez okno do pomieszczenia, w którym Ivar K i Jan Hansen jak nigdy współpracowali przy przesłuchaniu Eihana Pinara. Ivar wyrzucał pytania jak karabin maszynowy pociski w stronę siedzącego po drugiej stronie stołu chłopaka, który coraz bardziej kulił się w sobie. Obok niego siedział adwokat, o którego naturalnie poprosił. Niemal w tej samej sekundzie Hansen podsunął mu uprzejmie paczkę papierosów. A kiedy Eihan Pinar wyjął papierosa i umieścił go między wargami, Hansen nachylił się do niego z zapalniczką i uśmiechem dobrego wujka.

Lecz to wszystko było na nic. Wagner miał silne odczucie, że chłopak sobie z nimi pogrywa. Ivar K również to wiedział i w jego niecierpliwym huśtaniu się na krześle dostrzegało się frustrację. Nawet uśmiech Hansena z czasem zaczął przypominać kiepską kopię samego siebie, a mięśnie na jego karku napięły się ostrzegawczo.

Wagner spojrział na zegarek. Było wpół do drugiej po południu. Minęło dokładnie siedemnaście godzin, odkąd dostali informację o odciskach palców, a następnie ściągnęli Eihana Pinara na przesłuchanie.

Owszem, przyznał się, że pracował jako goniec dla handlarzy narkotyków i że umieścił to, co jak sądził, było kawałem wołowiny w lodówce u rzeźnika halal na Bazarze Vest. Zastrzegł jednak, że tylko wykonywał polecenia. I tu pojawiał się problem, bo młody człowiek o boksterskim nosie i wysokich kościach policzkowych uparcie twierdził, że nie ma pojęcia, od kogo te polecenia otrzymywał. Jego mocodawca nie miał nawet imienia. Zgodnie z wersją Eihana nieznanemu mężczyzna zagadnął go któregoś dnia pod stacją Shella przy Edwin Rahrsvej i obiecał zapłacić gotówką za wykonanie pewnego zlecenia. Wynagrodzenie było wysokie, a robota dziecinnie prosta, więc kiedy ktoś przedstawia taką ofertę, to nie prosi się go przecież, żeby się wylegitymował. Gdy go porządniej docisnęli, dodał jeszcze, że mężczyzna, którego opisał jako „Duńczyka o jasnych włosach i niebieskich oczach”, jeździł nowszym rocznikiem

toyoty cariny. To wszystko, co mieli, a i do tej informacji musieli podejść krytycznie. Każdy widział, że z ust chłopaka sypały się kłamstwa, a oczy nerwowo omiatały ściany i sufit.

– On się boi – stwierdził Arne Petersen, podając Wagnerowi filiżankę kawy.

Komisarz z wdzięcznością ją przyjął, choć po wszystkich, które wypił do tej pory, kolejna filiżanka drżała mu na spodku. Noc przeszła w dzień. Oni śledzili kolejne wątki sterczące jak pocięte kable, a Dicte Svendsen wciąż przebywała w jakimś nieznanym im miejscu. Znaleźli samochód Bo przy Brendstrupvej. Drzwi od strony kierowcy były szeroko otwarte, odkryli też wyraźne ślady walki, lecz żadnej, najmniejszej wskazówki, dokąd mogła zostać przewieziona.

Wagner znów zajrzał do pokoju przesłuchań. Eihan gryzł paznokcieć kciuka.

– Ale niestety to nie nas się obawia – powiedział Wagner i przyłapał się na tym, że ma ochotę zamknąć chłopaka w izolatce razem z Ivarem K. Parę rundek przy wyłączonym nagrywaniu i bez obecności adwokata mogło uczynić cuda. Ale oczywiście nie wolno takich rzeczy mówić na głos ani nawet ich pomyśleć.

Petersen pokręcił głową. W niegolonym od wczoraj zaroście na tle bladej skóry połyskiwały siwe włosy. Wagner pomyślał, że pewnie on sam wygląda na równie wykończonego. Nikt z zespołu śledczego nie opuścił komendy, odkąd znaleźli samochód Bo Skyttego. Powiadomiono prasę i zmobilizowano wszystkie jednostki. Radiowozy bezustannie przeczesywały miasto, ale dopóki nie wiedzieli, gdzie szukać, były to działania niemal pozorne.

– Potrzebujemy czegoś jeszcze – mruknął pod nosem Petersen. – Te odciski to za mało.

Wagner wiedział, o co chodzi koledze. Ponownie spojrzął na zegarek.

– Możliwe, że wyszli na lunch, ale i tak spróbuj zadzwonić do Kopenhagi i zapytaj, jak stoją z próbkami DNA. Wyjaśnij im, jakie to pilne.

Petersen pokiwał głową i ruszył w dół korytarza. Wagner wrócił do bunkra Führera, jak Ivar K nazywał salę konferencyjną. Wszyscy byli pochłonięci pracą, ale pokój niczym cienka kołdra pokrywało zniechęcenie. Obdzwaniano urzędy, szpitale, oddziały pogotowia i utrzymywano stały kontakt z pozostałymi okręgami policji. Zbierano informacje, zapisywano najważniejsze pojęcia, lecz wciąż nie pojawiło się nic rozstrzygającego. Dokładnie tak, jak zauważył Petersen – potrzebowali więcej. Nawet Bo Skytte, którego nikt nie miał siły odesłać do domu,

patrzył bezradnie w okno, a jego długie ciało skuliło się w coś do złudzenia przypominającego porażkę.

Wagner usiadł zmęczony na krześle i z wszystkich sił starał się nie położyć głowy na stole i po prostu nie zasnąć. Zamiast tego posłał ku niebu milczącą modlitwę i miał nadzieję, że ten, który powinien ją odebrać, nie ma wyłączonego telefonu.

W tej samej chwili zadzwoniła jego komórka i nadzieja ponownie wzbiła się do góry jak bąbelki ku powierzchni wody.

– Wagner.

Najpierw słychać było tylko szum czyjegoś milczenia, ale po chwili odezwał się głos Idy Marie:

– Usłyszałam w radiu. To potworne.

Choć przez tyle godzin nie spał i był skupiony na czymś innym, na dźwięk jej głosu serce zaczęło mu bić szybciej. Nie widział jej od czterdziestu ośmiu godzin.

– Gdzie jesteś?

– Tutaj, na dole – powiedziała niepewnie. – Przywiozłam ci parę rzeczy. Świeżą koszulę i przybory do golenia.

– Wejdz do mnie do biura. Zaraz tam przyjdę.

Wiedział, że zabrzmiało to tak, jakby mówił do Ivara K, ale w tej chwili nie potrafił inaczej. Gdy schodził na dół, w głowie aż wrzało mu od pytań. Czy wciąż jest na niego zła? Czy kiedykolwiek wróci do domu? Czy jeszcze go kocha?

Kiedy otworzył drzwi, stała w oknie. Jej skóra lśniła w słońcu, a wokół włosów widniała szklista aureola. Wyglądała na zmęczoną i kruchą, była piękna. W pierwszym odruchu chciał ją wziąć w ramiona. Zamiast tego zapytał tylko, kontrolując swój głos:

– Jak się czuje twoja matka?

Zamrugła i przez moment sprawiała wrażenie, jakby nie zrozumiała pytania. Potem uśmiechnęła się nieznacznie.

– Lepiej. Wczoraj wróciłam do domu.

Znajdowała się tak daleko, że odległość wydawała się niemożliwa do pokonania. Nagle poczuł się nieskończenie stary i zmęczony. Oparł się o ścianę i musiał stoczyć ze sobą walkę, by nie osunąć się na podłogę.

– Ja nie mogę, Ido Marie – powiedział wreszcie. – Nie dam rady. – Zamachał

w powietrzu ręką. – Potem również nie. Kiedy to wszystko się skończy.

Ruszyła niepewnie w jego stronę, ale się zatrzymała, jakby się bała podejść za blisko. Widział, że szuka odpowiednich słów.

– W porządku – zapewniła go. – Rozumiem cię.

Wiedział, że wcale nie rozumie, ale cieszył się, że jest dzielna i to powiedziała. Spróbował się uśmiechnąć i stwierdził, że ten grymas zniknął pod warstwą zarostu i zmęczenia.

– Wszystko, co sztuczne, nie przemawia do mnie – wyjaśnił mimo wszystko, ale zdawał sobie sprawę, że to za mało. – To, co ma się wydarzyć, musi się wydarzyć między tobą a mną, bez udziału kogokolwiek innego, nawet nauki.

Zamierzał ją spytać, czy jest w stanie to zaakceptować, lecz nie miał odwagi. Ledwie śmiał spojrzeć jej w oczy, bo wiedział, że jej delikatność go zmiękczy. W końcu jednak to zrobił, a wtedy w jednej chwili znalazła się w jego ramionach, wciskała w niego twarz i pozwalała mu wdychać zapach wszystkiego, co było nią.

– Popełniłam błąd – szepnęła pomiędzy pocałunkami. – Zapomniałam cię uwzględnić w moich planach.

Jego skóra drapała jej skórę. Ukrył twarz w jej włosach. Czuł się jednocześnie męsko i podle. Kochał ją, poświęciłby dla niej wszystko. Wszystko poza wewnętrznym przekonaniem o tym, co w jego mniemaniu jest słuszne, a co nie. Westchnął i odwzajemnił jej pocałunek w nadziei, że mu wybaczy.

Komórka w jego kieszeni zadzwoniła ponownie, magiczna chwila minęła. Wyjął telefon i odebrał.

– Wagner.

Głos Dicte Svendsen zdawał się dobiegać z bardzo daleka:

– Jestem na statku. W porcie. Zaraz skończy mi się bateria.

Przemiana z męża w policjanta nastąpiła błyskawicznie.

– W Århus?

– Tak sądzę. Stoi za tym człowiek o nazwisku Mark Søndergaard Hansen. Dawniej był żołnierzem w Bośni.

– Jesteś cała?

Lecz nim odpowiedziała, jej telefon się wyłączył.

– Zadzwoń do portu. Ile mają tam obecnie statków? Potrzebujemy pięćdziesięciu ludzi, o ile to możliwe.

Nie czuł śladu zmęczenia. Wyparła je czysta, skoncentrowana adrenalina i uruchomiła w jego ciele nieznane mu dotąd zasoby energii. Polecenia wydawał spokojnie, lecz dobitnie, by nikt nie wątpił w ich wagę.

– Jak się do tego zabierzemy? – spytał Hansen.

Wagner wyobraził sobie wyjące syreny i radiowozy jeżdzące bezładnie po porcie. To się nie sprawdzi.

– Musimy zidentyfikować statek i dostać się na pokład od strony morza – doszedł do wniosku. – Tak cicho i niepostrzeżenie, jak to będzie możliwe. Najlepiej z pontonów. Dodatkowo potrzebujemy oddziału w gotowości na terenie portu. Mundury szturmowe, broń maszynowa i cała reszta. Ale dyskretnie.

Spojrzał kolejno na swoich ludzi. Operacja była większa, niż zakładał. Większa, niż ktokolwiek rozsądny mógł przewidzieć. Zamierzał właśnie zadzwonić do dowództwa sił porządkowych, kiedy wtrącił się Bo Skytte.

– Moje zdjęcia.

– Co z nimi?

– Gdzie są?

– Wysłane do analizy w laboratorium – wyjaśnił z irytacją Wagner i spojrzał wściekle na wynędzniałego fotografa Dicte Svendsen. Pożałował, że zabrakło mu sił, żeby go stąd odprawić.

– Przynieście je – poprosił Bo z desperacją w głosie. – Coś sobie przypomniałem.

Wagner przez sekundę rozważał, czy go nie zignorować, ale ostatecznie coś kazało mu wysłać Hansena na górę. Ten chwilę później był z powrotem ze stertą powiększonych fotografii. Kiedy rozłożył je na stole, wszyscy jednocześnie to zauważyli.

– Tu! – Bo niemal krzyknął i wskazał na jedno ze zdjęć.

Wagner pokiwał głową. Przedstawiało tłum ludzi przed dyskoteką. Wzrok przyciągał kordon policji z psami i pałkami podniesionymi przeciwko demonstrantom, ale nie to sprawiało, że zdjęcie było tak istotne. Kiedy się dobrze przyjrżeli, zobaczyli, że przy kei kawałek dalej stał przycumowany stary frachtowiec. Fotografie zrobiono o trzeciej w nocy, a mimo to w jednej z kajut paliło się światło.

– Zadzwoń do biura portowego i zapytaj, co to za statek – polecił Wagner.

Pięć minut później Arne Petersen miał odpowiedź.

– Turecki frachtowiec „Yalova”. Od dziesięciu miesięcy cumuje w basenie numer dwa przy kei trzydziestej piątej. Urząd żeglugi nie dał pozwolenia na odpłynięcie ze względów bezpieczeństwa.

– To jak się znalazł w porcie? – spytał Ivar K.

– W biurze portowym mówią, że przyplłynął z ładunkiem zboża. DLG wykupiło ładunek, a sam statek poszedł tanio.

– Czy ktoś zna tę jednostkę? Potrzebujemy planów na tyle dokładnych, na ile to możliwe – powiedział Wagner.

Petersen również na to miał gotową odpowiedź.

– Celnicy. Weszli na pokład, gdy statek przybił do portu.

Wagner zrobił głęboki wdech. Napięcie było jak ściśnięta sprężyna wypełniająca całe jego ciało. Myśli jak błyskawice przelatowały mu przez głowę. Chodziło przede wszystkim o ratowanie życia, ale bezpieczeństwo wszystkich zaangażowanych również było ważne.

– Okej. Musimy ściągnąć do portu tych celników. I naturalnie karetki i lekarzy. Sam powiadomię dowództwo sił porządkowych i Hartvigsen i zadzwonię do kapitanatu.

Funkcjonowali jak doskonale naoliwiona maszyna. Dostał pięćdziesięciu ludzi, o których prosił. Dwudziestu miało się rozdzielić i podpłynąć w czterech pontonach, a pozostali jako oddział bojowy zabezpieczać statek. Gdy wszystko ustalono i zaplanowano, zaklął w duchu, że bateria w telefonie Dicte nie wytrzymała choć trochę dłużej. Nie mieli pojęcia, ile osób znajduje się na pokładzie „Yalovy” ani czy Dicte jest jedyną przetrzymywaną tam osobą. Wszystko mogło się wydarzyć. Statek mógł być nawet zaminowany. Wchodzili tam po części na oślep.

Pocieszał się jednak, że przynajmniej zdają sobie sprawę z tego, że wiedzą tak mało. Powietrze w pokoju drżało z wyczekiwania. Oczy wszystkich lśniły charakterystycznym żarem gotowości bojowej. Walczyło się tym, czym się dysponowało. Taka była ich praca, a na wypadek gdyby któryś z nich o tym zapomniał, właśnie tego typu sytuacje przypominały im, że to nie zabawa i że narażają życie.

– W porządku – powiedział i spojrzał kolejno na każdego z nich. – Oddziały

specjalne jadą na miejsce swoimi transporterami. One oczywiście wchodzą jako pierwsze. My wkraczamy dopiero wtedy, gdy przejmą statek i, miejmy nadzieję, również ludzi na jego pokładzie. Czy wszyscy sprawdzili broń i wiedzą, jakie zająć pozycje?

Zebrani pokiwali z powagą głowami.

– Uważajcie na siebie. I zabezpieczcie tyle śladów, ile się da.

Znów wszyscy potaknęli, po czym Wagner wypowiedział słowa, które uruchomiły całą maszynę:

– Zatem ruszamy.

Strażnik podszedł prosto do niego.

Aziz zastanawiał się, czy nie uciec z powrotem pod pokład, ale tamten już go zauważył i ruszył ku niemu, wściekle wymachując rękami.

– Coś ty tam tak długo robił? I gdzie masz klucze?

Mimo wszystko Aziz wycofał się odrobinę w panujący pod pokładem mrok. Myśli w jego głowie pędziły jak szalone. Więc jednak nie będzie tak łatwo, jak mu się zdawało. Będzie musiał już teraz pokazać, po czyjej jest stronie, i w pewnym sensie odczuwał wdzięczność, że tak się stało.

– Wyłaż, gówniarzu. Co ty, do cholery, wyprawiasz?

Wiedział, że w ten sposób zyska niewiele czasu, ale mimo wszystko ponownie zszedł na najniższy pokład. Jednocześnie gorączkowo obmyślał jakikolwiek plan. Trzeba to załatwić możliwie najszybciej.

– Co, kurwa?!

Gość był duży i ciężki i gdy rzucił się za Azizem w ciemność, aż zadudniło. Pod jego koszulką rysowały się mięśnie i można się było tylko domyślać, z jaką siłą uderzą te ramiona, jeśli się zamachną z zaciśniętymi pięściami.

Lecz Aziz był szybszy i bardziej zwinny. Krążył, przeskakiwał i w końcu znalazł odpowiednie miejsce, gdy tamten próbował się zorientować w półmroku.

– Gdzie ona jest?

W głosie mężczyzny pojawiło się zdenerwowanie. Nagle zrozumiał swoją pomyłkę i wiedział, że przyjdzie mu za nią zapłacić.

Azizowi z kolei przyszło do głowy, że może rachunki mają właśnie to do siebie, że zawsze przychodzą nie w porę.

Chciałby sięgnąć po nóż przyczepiony do łydki, lecz nie było czasu. Zauważył jednak tuż obok gaśnicę przyczepioną do metalowej ściany. Palcem wskazał gdzieś za plecami strażnika.

– A, tu jesteś! – krzyknął tamten i instynktownie się obejrzał.

Wtedy Aziz szybkim ruchem odczepił gaśnicę ze ściany i wycelował nią, jakby miał przed sobą ogień piekielny. Kiedy strażnik ponownie zaklął i odwrócił się

przodem do niego, Aziz z wszystkich sił rzucił mu gaśnicę w twarz. Tamten stał przez chwilę na chwiejnych nogach, a z nosa i ust leciała mu krew. Potem z hukiem upadł na plecy.

Dicte wyczekała, aż na statku znów zapanuje cisza. Było słycać hałas, odgłos szybkich kroków, ale od dłuższego czasu nie pokazał się nikt poza Azizem. Wiedziała, że to jest jej szansa.

Kiedy się wymknęła z kajuty i zaczęła otwierać kolejne pomieszczenia służące za cele, słyszała tylko głucho stukanie liny o burtę. Nie wiedziała, czy zostaną odnalezieni. Nie wiedziała, ile Wagner zdążył usłyszeć, nim padł jej telefon. Mogła jedynie mieć nadzieję, że wystarczająco.

Szamotała się ze smyczą i klęła w duchu, próbując kolejne klucze, nim trafiła na ten, który przekręcił się w zamku.

Na materacu w rogu siedziały skulone dwie dziewczyny i patrzyły na nią pustymi, ciemnymi oczami. Jedna była chuda jak patyk i ubrana w dzinsy i koszulkę. Druga miała na sobie obcisłą sukienkę ze streczu, jakie można kupić w supermarkecie za sto koron. Jej ciężowy brzuch był już bardzo widoczny.

Dicte przyłożyła palec do ust, by je uciszyć. To jednak było zbędne. Żadna z dziewcząt nawet nie pisnęła.

– Przyszłam wam pomóc – szepnęła najpierw po duńsku, a potem po angielsku.

Ich oczy jedynie odwzajemniały jej spojrzenie, więc Dicte nie była w stanie stwierdzić, czy którakolwiek z nich zrozumiała jej słowa. Przez chwilę stała, nie wiedząc, co zrobić. Potem ruszyła w kierunku kolejnych cel i je również otworzyła. Wszędzie napotykała jedynie przestraszone spojrzenia. Żadna z kobiet nawet nie drgnęła.

Będzie musiała je wyprowadzić. Wzięła je za ręce i razem wyszły na korytarz, gdzie nagle Dicte ogarnęły wątpliwości. Czy na pewno dobrze robi? Czy nie powinna ich zostawić pod pokładem? Czy rzeczywiście tutaj będą bezpieczniejsze?

Nie miała pojęcia, w którym kierunku powinny iść ani gdzie są strażnicy, jeśli wciąż tu są. Tak czy inaczej, musiały się wydostać gdzieś, gdzie jest światło. Po drabince na górę.

Wdepnęła w coś mokrego i się poślizgnęła. Wtedy zobaczyła strażnika leżącego pod drabinką. Nawet pomimo ciemności widać było krew sączącą się z jego nosa

i ust.

Nie było czasu do namysłu. Musiały zaryzykować. Zaczęła się wspinać ku światłu, aż usłyszała szczekanie psa.

Gdy górną część ciała wystawiła przez luk, zobaczyła foksteriera. Za nim szedł Mark Søndergaard Hansen. Trzymał w ręce coś połyskującego. Dicte odnotowała tylko, że gładką lufę pistoletu skierował w jej stronę.

– Dobrze jest mieć psa na statku – powiedział jakby do siebie. – Poluje na szczury i myszy. I jest niezłym stróżem.

Dicte poczuła się uwięziona pomiędzy niebem a piekłem. Zamarła, stojąc na jednym z ostatnich szczebli.

– Wyłaż albo będę strzelał.

Spojrzała na błękitne niebo, a potem w jego oczy, tego samego koloru. W końcu jej nogi ożyły i wyprowadziły ją na pokład. Przeszył ją ból, gdy Hansen ciężkim butem pchnął ją do tyłu, aż się poślizgnęła na podłodze. Upadając, z ulgą dostrzegła, że dziewczęta pozostały na dole. Pewnie przestraszyły się jego głosu i szczekania psa.

– Twój pies najwyraźniej nie jest dość dobrym stróżem – wydusiła z siebie. – Nie zareagował, gdy jeden z twoich ludzi mnie wypuścił. Może zresztą wcale nie są tak lojalni, jak ci się wydaje.

Myśli przelatowały jej przez głowę. Czy nie powinni wkrótce się tu zjawić? A może nie było już dla niej nadziei? Bała się rozejrzeć. Znajdowała się w porcie Århus czy zupełnie gdzie indziej? Skąd ma to wiedzieć? Skąd policja ma to wiedzieć?

Rozległo się kliknięcie bezpiecznika pistoletu. Dicte pomyślała, że teraz się to stanie. Tutaj wszystko się kończy.

– Nie wyjdiesz z tego żywa – powiedział spokojnie.

Przełknęła ślinę. Smakowała żelazem, jakby polizała podłogę statku, ale wiedziała, że to krew – w czasie upadku przygryzła wargę.

– Czy to naprawdę jest tego warte?

– O tak – zapewnił ją. – Od samego początku było tego warte. Tak jest, gdy człowiek poczuje powołanie.

Postąpił krok w jej stronę. Przekonywała się, że tego nie robi. Że martwa nic nie będzie dla niego warta. Nie umiała jednak opanować strachu i niepewności,

więc instynktownie się odsunęła. Zbyt późno zrozumiała, że widząc ten ruch, wpadł w panikę.

– Nigdzie nie uciekniesz.

Uniósł pistolet i wycelował. Gdy padł strzał, świat eksplodował bielą, ale przed tym jakby w zwolnionym tempie zobaczyła, że ktoś szarpnął jego ramię w górę i odchylił głowę do tyłu. Dostrzegła dredy, błysk noża i po chwili opryskała ją krew z szyi mężczyzny.

– Skacz! – krzyknął Aziz, ale ostatecznie musiał do niej podbiec i nią potrząsnąć.

– Ich jest więcej – powiedział z naciskiem. – Skacz, do cholery. Wskakuj do wody!

Lecz choć mijały cenne sekundy, Dicte była w stanie tylko leżeć sparaliżowana strachem. Przybiegł kolejny strażnik i Aziz odwrócił się z nożem w ręce. Teraz oprzytomniała. Pistolet przeleciał po pokładzie i leżał w zasięgu jej dłoni. Aziz upadł przygwożdżony ciałem strażnika. Dicte podczołgała się kawałek i obiema drżącymi rękoma wzięła broń. Następnie wycelowała i strzeliła.

Niemal w tej samej chwili usłyszała głos Wagnera dudniący przez megafon:

– Policja. Statek jest otoczony. Niech wszyscy wyjdą na pokład z rękoma za głową, spokojnie i bez gwałtownych ruchów.

Jego słowa jeszcze nie wybrzmiały, gdy na pokład weszli szturmowcy w czarnych kombinezonach, z wizjerami na hełmach i podniesionymi karabinkami maszynowymi. Usłyszała strzały i chciała się zmusić do wstania. Nie wiedziała, ile minęło czasu. Pistolet upuściła na pokład. Znów poślizgnęła się na krwi i miała wrażenie, że czerwone fale zalały jej pole widzenia. Chciała przetrzeć oczy, lecz nie była w stanie. Nie umiała nawet ruszyć ręką.

Wtedy ktoś ją podniósł. Potem przypomniała sobie szorstki zarost i niewyraźne słowa Wagnera, który uspokajał:

– Trzymam cię. Jesteś bezpieczna.

– Biuro adopcyjne? – spytała Dicte.

Wagner przytaknął i nalał sobie piwa. Siedzieli w jego biurze. Od akcji w porcie minęło pięć dni, lecz wydawało się, że to było pięć miesięcy. Aziz leżał w szpitalu z raną od noża. Mark Søndergaard Hansen i jeden ze strażników nie żyli. Podczas akcji uwolniono wszystkie dziesięć dziewcząt, z których osiem było w ciąży. Śledczy ustalali tożsamość biologicznych rodziców dzieci, a serbski lekarz specjalizujący się w zapłodnianiu oraz jego żona laborantka już siedzieli w areszcie.

– Mark Hansen miał tam informatora. Ten człowiek przekazywał mu dane kontaktowe par, którym odmówiono adopcji. W ten sposób Hansen kierował swoją ofertę bezpośrednio do osób potencjalnie zainteresowanych skorzystaniem z surogatki.

Wciąż robiło jej się niedobrze, gdy się nad tym zastanawiała. Może nigdy się nie dowiedzą, ile dzieci przyszło na świat w ten sposób. A jeśli się dowiedzą, to co? Trudno było o tym myśleć.

Odsunęła od siebie talerz z ciastkiem francuskim i oburącz uniosła do ust kubek z kawą. Wciąż była roztrzęsiona. Miała wrażenie, że już zawsze będzie.

– Ale to nie on zabił Katkę?

Wagner wykonał głową gest, który mógł oznaczać cokolwiek.

– Najprawdopodobniej to on wydał polecenie. Ale DNA z próbki pobranej spod paznokcia Katki wskazuje, że to Eihan Pinar trzymał nóż. Jest bratem dawnego kolegi Aziza, Mustafy. To również Eihan z jeszcze jednym chłopakiem, który ma na imię Metin, wyrzucili ciało Swietłany w porcie.

– Czy Mustafa też jest w to zamieszany?

Spojrzała na Wagnera i nagle przypomniała sobie, jak ją wyniósł z łodzi po trapie na pomost, i jak ostrożnie przekazał ją ratownikom z karetki. Pojechali prosto do szpitala razem z Bo, który był bardzo milczący i tylko siedział z aparatem wiszącym u szyi.

– Pośrednio tak – powiedział Wagner. – Najwyraźniej nie miał dostępu do

statku. Ale jeszcze nie jesteśmy tego całkowicie pewni i być może nigdy nie będziemy.

– Dlaczego nie?

Wagner westchnął.

– Bo Mustafa zniknął. Mamy uzasadnione podejrzenia, że pojechał do Iraku walczyć po stronie Państwa Islamskiego.

Dicte otworzyła szeroko oczy ze zdumienia.

– Poważnie?

Wagner skinął głową.

– Poważnie. Ale wygląda na to, że był w tym odosobniony, typ outsidera. Pozostali traktowali to jak zwykłą pracę. Chcieli zarobić na samochody, odtwarzacze CD i co tam jeszcze.

Jednak oderwała kawałek ciastka i zaczęła żuć. Jej dłonie były tak niespokojne. Bez przerwy musiała je czymś zajmować.

– Może powinnaś zacząć palić – podpowiedział uprzejmie Wagner.

Wiedziała, że w ten sposób chciał się dowiedzieć, jak się czuje. Jakaś jej część pragnęła mu wyznać, że nadal nie może spać, że kąpie się po osiem razy dziennie, żeby zmyć z twarzy i ciała nieistniejącą lepką krew. Lecz spojrzała na niego i zdecydowała, że nie ma sumienia go tym obarczać, bo w jego oczach zobaczyła dokładnie to samo, jakby przeglądała się w lustrze. Były w nich niepokój, bezsenność i wrażliwość pokryta jedynie cienką warstwą lakieru. Im obojgu pomoc może tylko czas.

– A co z konsekwencjami prawnymi? Dla mnie i Aziza?

Zabiła człowieka. Podobnie jak Aziz. To wspomnienie nawiedzało ją w snach i równie skutecznie prześladowało za dnia, wpychając ją w mroczne zakamarki świadomości i wnikając pod skórę.

Wagner bacznie jej się przyjrzał.

– To prawda, zabiliście ludzi. Ale co innego mogliście zrobić? W grę wchodziło życie innych.

Spojrzał na swoje papiery, wśród których były sporządzone przez niego notatki służbowe.

– Oczywiście staniecie przed sądem. Musimy jednak pamiętać, kto tutaj jest bohaterem, a kto czarnym charakterem.

Widziała, że próbował się uśmiechnąć, ale nie do końca mu się to udało.

– Czy to dotyczy również Aziza? W jakimś sensie działał po drugiej stronie.

Wagner z troską spojrział jej w oczy.

– Aziz najprawdopodobniej będzie miał problemy, ale nie sądzę, że z nami.

Wedle naszej oceny działał z czystych pobudek. Chciał uratować ludzkie życie.

Rozumiała to i pomyślała o Rose i jej wyboistej przyszłości, jeśli pozostanie przy tym chłopaku. Bo niemal na pewno spotka go kara. Może nie ze strony wymiaru sprawiedliwości, lecz tej innej i mniej przewidywalnej władzy. Zdradził, a to oznacza niebezpieczeństwo. I osoba, która zdecyduje się dzielić z nim życie, również będzie na nie narażona.

Dicte odsunęła od siebie te myśli. Jej mózg nie był w stanie tego ogarnąć. Spojrzała więc tylko na zegarek. Była szósta.

– Muszę lecieć, jestem umówiona.

Podniosła się i Wagner również. Przez chwilę stali zmieszani naprzeciwko siebie, po czym szybko pocałowała go w policzek.

– Dziękuję – powiedziała.

Nim zdążył odpowiedzieć, była już za drzwiami.

Całą drogę do restauracji przy Graven pokonała pieszo. Zbliżało się załamanie pogody. Nad horyzontem zebrały się ciemne chmury. Wiatr się wzmógł i podwiewał jej spódnicę. Zateśniła za jesienią, burzą, czymś, co nią potrząśnie i pozwoli ruszyć z miejsca.

Bo jak zawsze się spóźniał, więc jakiś czas przesiedziała przy barze z kieliszkiem wina, dzięki czemu twarda gruda w żołądku stopniowo się rozpuściła i zmieniła w coś ciepłego i płynnego. Jak zawsze myślała o synu, którego oddała. Od dawna czuła, że musi go odnaleźć i dowiedzieć się, jakie życie stało się jego udziałem zamiast tego, którego ona mu nie dała. Jednak po tym, co się wydarzyło, odnosiła wrażenie, że owo pragnienie zostało szczelnie zamknięte w jakiejś odległej komórce pamięci. Niekiedy chcemy za dużo i goniąc za tym, potrącamy ludzi, którzy są najbliżej, przyszło jej do głowy, gdy brała łyk wina. Minie sporo czasu, zanim znowu się odważy nad tym zastanowić.

Czas, pomyślała, gdy Bo, kuśtykając, wszedł do lokalu. Popatrzyła wprost w jego otwartą, szczerą twarz i zobaczyła troskę skierowaną ku niej. Czas, pomyślała ponownie, kiedy ją pocałował i mocno przytulił, aż na krótką chwilę

zapomniała o wszystkim, co ich podzieliło. Czas i może coś jeszcze, coś bardziej konkretnego.

– Miłość, na przykład – mruknęła do siebie.

– Co?

– Ale jestem głodna – powiedziała i nagle zapragnęła czegoś więcej niż jedzenia.

– Na to na pewno coś zaradzimy – zapewnił ją Bo.

1 Nazwa ulicy w Århus oznaczająca dosłownie: grób (przyp. tłum.).